

*Romans historyczny*

# C MARSHA CANHAM

## *Żelazna Róża*

Przekład

Maria Wojtowicz

AMBER

# *Prolog*

*Sierpień 1614 roku*

Zgodnie z ulubionym powiedzeniem ojca Juliet, był to „dobry dzień na umieranie”. Rozżarzone do białości słońce spoglądało z nieba tak błękitnego i czystego, że kto się w nie zapatrzył, czuł ucisk w sercu. W tej chwili jednak Juliet nie mogła pozwolić sobie na podziwianie pięknej pogody. Przed oczyma błyskała jej zimna stal. Klingi zwierzały się ze szczękiem, syjąc deszczem błękitnych iskier.

Zaczęła odczuwać zmęczenie w nadgarstku. Odpierała wściekły atak napastnika, jak długo mogła, a potem błyskawicznie uskoczyła, obróciła się i przykucnęła - wszystko jednym płynnym ruchem - pozwalając, by kierował nią instynkt, gdy zabrakło sił. Za jej plecami czaił się drugi groźny cień. Z zalanej krwią twarzy spoglądały na nią oczy pełne nienawiści. Juliet zakłęła. Uskoczyła w bok i zbyt późno zorientowała się, że wpadła w pułapkę. Z jednej strony blokował jej drogę płonący maszt, z drugiej - ciężka lufa półkolubryny. Dwaj Hiszpanie, z którymi przed chwilą walczyła, szybko pojeśli, w jakich opałach się znalazła. Przyparli ją do relingu. Jeden z nich mruknął coś pod nosem i złapał się za krocze. Drugi wybuchnął śmiechem i lubieżnie polizał końce brudnych paluchów.

Szpada Juliet zamigotała w słonecznym blasku. Śmiejący się Hiszpan ujrzał, jak jego palce odrywają się od ręki i spadają na pokład, ociekając krwią. Zanim zdążył krzyknąć, Juliet rzuciła się na jego kompana i jednym cięciem poderżnęła mu gardło. Rana przypominała koszmarny uśmiech. Wróg osunął się do przodu, a ona jednym kopnięciem odepchnęła

go na bok i zwinnie przeskoczyła przez miotające się w śmiertelnych drgawkach ciało. Do ataku ruszył kolejny napastnik.

Juliet uniosła szpadę, jej smukłe ciało sprężyło się, by odeprzeć potężny cios, który miał jej rozplątać czaszkę. Odczuła uderzenie w ramionach i barkach. Było tak silne, że musiała oprzeć się plecami o nadburcie, zdołała jednak powstrzymać napór wrogiego ostrza. Lewą ręką wyciągnęła zatknięty za pasem sztylet. Dwudziestocentymetrowa klinga, ostrajak igła, bez oporu weszła w skórzany kubrak Hiszpana.

Juliet ledwie zdążyła odzyskać równowagę, gdy dostrzegła błysk stalowego hełmu. Tuż poza zasięgiem jej szpady stał nowy nieprzyjaciel i bez pośpiechu opierał swą hakownicę\* o kawał belki. Lont już się tlił, a lejkowaty wylot lufy znajdował się na wprost twarzy Juliet. Wróg zamierzał strzelić jej między oczy.

Przyparta do nadburcia mogła tylko patrzeć, jak jego palec naciska spust uruchamiający sprężynę. Zamek pochyła się do przodu... podobny do węzła lont dotyka panewki z prochem... Uniósł się mały obłoczek dymu i z lufy wystrzeliła żelazna kula.

Nagle pomiędzy strzelcem a Juliet mignęło coś fioletowego i błysnęła srebrzysta koronka. W ostatniej chwili uderzenie stalowej klingi w lufę hakownicy sprawiło, że pocisk chybił. Szpada nieznanego błysnęła raz jeszcze i między żelaznym pancerzem a hełmem odnalazła pasek nagiej skóry, nieosłoniętą szyję. Trysnęła fontanna jaskrawoczerwonej krwi i Hiszpan zatoczył się do tyłu. Z szerokim uśmiechem wybawca odwrócił się do Juliet i wyciągnął rękę, by pomóc jej wydostać się z ciasnego kąta przy relingu.

- Wszystko w porządku, chłopcze?

Juliet ujrzała przed sobą niezgłębione ciemnobłękitne oczy. Nigdy jeszcze takich nie widziała- Były częściowo osłonięte rondem wytwornego kapelusza, założonego nieco na bakier i ozdobionego pióropuszem tej samej barwy co fiółkowy kubrak i spodnie do kolan.

- Chłopcze?

Zamiast odpowiedzi, Juliet wyciągnęła pistolet zza pasa przewieszzonego przez pierś i wypaliła. Nacisnęła spust, zanim na twarzy nieznanego zagościło zdumienie. Kula przeleciała nad jego szerokim ramieniem i ugodziła w pierś Hiszpana, który na przeciwległym końcu pokładu zamierzał właśnie zabić jednego z jej ludzi.

Ciemne jak nocne niebo oczy powędrowały za pociskiem, po czym zwróciły się ku Juliet. Na twarzy ozdobionej starannie przystrzyżonym

\* Hakownica - strzelba dawnego typu podpalana lontem, zwana także akebuzem.

wąsem oraz niewielką bródką znowu pojawił się uśmiech. Błysnęły białe zęby.

- Piękny strzał! Widzę, że wszystko z tobą w porządku.

W pożegnalnym geście dotknął róna kapelusza, przeskoczył przez resztki relingu na rufie i zniknął w kłębiącym się tłumie walczących na głównym pokładzie. Chwilę potem potężna, ogłuszająca eksplozja zbiła z nóg zaskoczoną Juliet i odrzuciła aż na lufę działa.

Zdażyła odwrócić twarz, by osłonić ją przed gorącym podmuchem, unoszącym ze sobą ostre odłamki, które zasypały pokład. Wielki słup czerwonopomarańczowego ognia wzbíł się pod niebo. Towarzystwy mu wrzaski ofiar, które żywiól dopadł na pokładzie. To do reszty odebrało Hiszpanom ducha. Odrzucali broń i poddawali się, unosząc ręce do góry. Niektórzy padali na kolana, inni wyciągali splecione dłonie, błagając o li-tość.

Juliet zerwała się na nogi i podbiegła do relingu. Śródokręcie przypominało jatkę. Trupy zaścielały pokład od dziobu po rufę. Na szczęście nie eksplodowała prochownia na hiszpańskim galeonie, czego najbardziej obawiała się Juliet. Wybuch miał miejsce na pokładzie znacznie mniejszego angielskiego statku, połączonego z kadłubem galeonu gęstą siecią lin zakończonych kotwiczkami.

Hiszpanie tak byli zajęci atakiem na angielską fregatę handlową i opanowani żądzą mordy, że nie zwrócili uwagi na statek Juliet, który wyłonił się niepostrzeżenie zza zasłony mgły i dymu. „Żelazna Róża” podpłynęła pod pełnymi żaglami i sygnęła serią morderczych salw w odsłoniętą burtę galeonu, nim oplatała ją własną siecią grubych lin. Na komendę: „W górę i na pokład!” cała załoga statku kaperskiego\* ochoczo wdrapała się po burcie, by wziąć udział w bitwie. Widząc to, bliscy już kapitulacji marynarze z napadniętego angielskiego statku odzyskali zapał. I chociaż na dwóch niewielkich stateczkach było znacznie mniej ludzi i dział niż na olbrzymim okręcie wojennym, Hiszpanie przegrali bitwę.

\* Kapitan takiego okrętu miał tzw. list kaperski, czyli królewskie zezwolenie na atakowanie i grabienie wrogich statków.

# 1

**A** Aleśmy mieli fart, dziewczyno! Cholerny fart! Na rufie stoi para móżdżerzy, ani chybi wyprułyby z nas flaki, jak z tej angielskiej łajby. Chyba sam Belzebub zasłonił nas swoim ogonem! Do stu tysięcy diabłów, czegoś takiego jeszcze nie widziałem i gdybym nie zobaczył na własne oczy, to bym nigdy nie uwierzył!

Nathan Crisp, kwatermistrz na pokładzie „Żelaznej Róży”, sięgał Juliet zaledwie do podbródka. Mógł się za to poszczycić byczym karkiem i muskularnymi ramionami. Był w stanie bez wysiłku podnieść mężczyznę o wiele wyższego od siebie i, co ważniejsze, wiedział dosłownie wszystko o morzu, uzbrojeniu statków i żeglowaniu w każdą pogodę. Juliet ufała mu bez zastrzeżeń - podobnie jak własnemu instynktowi.

- Co z tą angielską fregatą?

Crisp potrząsnął głową.

- Muszę najpierw wejść na pokład i dokładnie wszystko obejrzeć, ale idzie pod wodę i to szybko. Gdyby nie liny, które ją łączą z galeonem, już by było po niej. Ostatni wybuch zmiotł ładownię, z górnego pokładu też niewiele zostało.

Juliet obiegała wzrokiem zamglony horyzont.

- Już tylko kilka godzin do zmroku, a czeka nas jeszcze masa roboty, nim ruszymy w dalszą drogę. Jak myślisz, gdzie się schował kapitan galeonu?

- Uciekł pod pokład, podły szczur, jak ta hołota zaczęła rzucać broń.

Srebrzystoniebieskie oczy Juliet pociemniały i rozbłysły w nich iskiarki gniewu.

- Piekło i szatani! Pewnie wyrzuca za burtę wszystkie manifesty ładunkowe i dzienniki pokładowe, żeby nie wpadły nam w ręce!

Luk prowadzący pod pokład, do apartamentów kapitana, był zamknięty od wewnątrz, ale wystarczyło kilka uderzeń toporem, by z ozdobnego żelaznego zamka pozostały jedynie marne resztki.

Juliet, dzierżąc parę nabitych pistoletów, ruszyła przodem przez wąski pasaż, wiodący do kapitańskiej kajuty. Jak na większości hiszpańskich galeonów, apartamenty dowódcy zajmowały całą szerokość ruty. Dziewczyna odsunęła się na bok, gdy Crisp wyważał ciężkie dębowe drzwi. W jednej chwili objęła spojrzeniem wnętrze pełne szkarłatnych aksamitów i złoconych mebli. Potem dostrzegła dwóch oficerów stojących obok szczątków czegoś, co do niedawna było wspaniale wyposażonym sekretarzykiem z wiśniowego drewna. Kapitan, którego rozpoznała po ozdobnym napierśniku i szerokiej, karbowanej kryzje, ocierał właśnie czoło koronkową chusteczką, podczas gdy stojący obok niego oficer upychał pospiesznie dokumenty i dzienniki okrętowe do bardzo już napęczniałego worka. Pancierz Hiszpana pocięty był od ciosów, które zadano mu podczas walki, a twarz pokrywały smugi sadzy.

Juliet uniosła oba pistolety, celując prosto w pierś kapitana.

Crisp poszedł za jej przykładem, szczerząc w szerokim uśmiechu nieliczne zęby.

- Sprytna dziewczyna, zna swego wroga - mruknął, po czym znacznie głośniejszym głosem zwrócił się do Hiszpanów: - Co tu się dzieje, do stu tysięcy diabłów?! Zbieracie do kupy wszystkie ważne papiery, żebyśmy nie musieli się fatygować? A może chcieliście pozbyć się czegoś, zanim wpadnie nam w ręce?

Hiszpański kapitan był tak gruby, że z wyglądu przypominał beczkę, a nogi, podobne do pniaków, dosłownie rozsadały pończochy. Twarz miał czerwoną, zlaną potem. Pod nosem mamrotał coś do swego pierwszego oficera.

Crisp zmarszczył brwi. Liznął tylko tyle hiszpańskiego, ile trzeba, by poinformować wroga, że nakarmi nim rekiny, jeśli zaraz nie rzuci broni.

Za to Juliet uśmiechnęła się i przemówiła łagodnym głosem, w nieskazitelnej hiszpańszczyźnie, niczym rodowita Kastylijka.

- *Senor capitan-general*, jeśli pański oficer zrobi choć krok w stronę galerii, by wyrzucić worek za burtę, odstrzelę mu głowę. Najpierw jemu - dodała zmieniając nieco pozycję pistoletów, by wszystko było jasne - a potem oczywiście i panu.

Kapitan spojrział na Juliet zdumiony jej płynną wymową. Po policzku popłynęła mu kolejna kropla potu. Na czole miał ciemnofioletowego siniaka. Juliet podejrzewała, że to ślad po potężnym ciosie i Hiszpan wciąż jeszcze odczuwa jego skutki. Nie był zdolny do żadnego działania, tylko patrzył na nią bezmyślnie. Towarzyszący mu oficer znieruchomiał, pełen oburzenia. Promienie słońca, wpadające przez rozbite okno wychodzące na galerię, na chwilę oświetliły jego twarz, ukrytą dotąd w cieniu.

Jego małe, czarne, położone blisko siebie oczy osadzone były tak głęboko w czaszce, że wyglądały niczym puste oczodoły. Gniew sprawił, że usta zacisnęły mu się w wąską linię. Odpowiedział Juliet równie perfekcyjną angielszczyzną:

- Jak śmiesz nam grozić? Czy masz pojęcie, do kogo tak bezczelnie przemawiasz?!

- Bez wątpienia oświeci mnie pan w tym względzie.

Jego głos przemienił się w cichy syk.

- Stoisz przed obliczem don Diego Floresa Cinquante de Aquayo!

- Aquayo? — mruknęła Juliet, szukając czegoś w pamięci. - A więc to musi być „Santo Domingo”!

Starąła się panować nad swym głosem i oddechem, ale czuła szaleńcze pulsowanie krwi w skroniach. Usłyszała, że Nathan bezwiednie wstrzymuje oddech. Pewnie omal nie połknął prymki, którą żuł przez cały czas. „Santo Domingo” był jednym z największych i najwspanialszych okrętów wojennych, należących do Floty Jego Katolickiej Mości na terenie Nueva Espana. Jego pojemność wynosiła osiemset ton, miał na pokładzie pięćdziesiąt dwa ciężkie działa, uchodził za niezwyciężony i niezniszczalny. Co więcej, zatopił co najmniej czternaście kaperskich statków, które deptały po piętach hiszpańskiej flocie.

- Zapędziliście się zbyt daleko od Vera Cruz - zauważyła chłodno Juliet. - Spodziewałabym się raczej, że zakończywszy eskortowanie nowego wicekróla z Hispanioli do San Juan de Ulloa, zostaniecie tam, by celebrować razem z nim objęcie tej godności.

- Masz doskonałe informacje - odezwał się Aquayo, sapiąc z braku powietrza, a może ze zdumienia.

Juliet skwitowała ten komplement kiwnięciem głowy.

- Musimy za nie drogo płacić waszym urzędnikom portowym. A co do moich pogroźek, *senor maestre* - zwróciła się do oficera, którego ręka zaczęła się skradać do pistoletu leżącego na blacie biurka i częściowo zakrytego szparąkami - może pan być pewny, że to nie puste przechwałki. Z tej odległości odstrzeliłabym panu pół czaszki, choćby mi nawet w ostatniej chwili zdrzała ręka.

- A to się jej nigdy nie zdarzyło przez te wszystkie lata - ostrzegł beznamytnym tonem Crisp. - Więc jeśli nie chcesz zapaprać własnym mózgiem pięknych złotych szamerunków szanownego kapitana, radzę ci, odstaw ten worek i odsuń się od biurka.

Czarne jak węgiel oczy pierwszego oficera zwały się. Juliet była pewna, że ocenia on swe szanse na pochwycenie pistoletu i pozostanie przy życiu przynajmniej tak długo, by z niego wypalić. Hiszpan nosił niewielki wąsik i spiczastą bródkę, jak większość hiszpańskich grandów. Był sporo starszy od kapitana, co wskazywało, że obecną rangę osiągnął po wielu latach wojskowej służby, a nie na mocy królewskiego dekretu jak kapitan. Świadczyło to o tym, iż nie pochodził z bogatej szlachty.

- A ty z pewnością jesteś *la Rosa de Hierro* - mruknął. - Żelazna Róża!

- To mój statek nazywa się „Żelazna Róża”, senor. Ja zaś przywykłam, by zwracano się do mnie „kapitanie”.

- A ja będę ci mówił *puta*\* - Splunął z pogardą. - I kiedyś z największą przyjemnością rozłożę ci nogi i zachęcę moich żołnierzy, by odpłacili ci za kłopoty, jakie nam dziś sprawiłaś.

Juliet ściągnęła wargi, jakby rozważając, czy zniewaga warta jest odpowiedzi.

- Jestem pewna, senor, że ich wysiłki tylko mnie znudzą, podobnie jak pańskie.

- Odezwała się prawdziwa kurwa, z krwi i kości. Córka godna matmuśki!

Twarz Juliet nie zmieniła wyrazu, ale jej spojrzenie stało się lodowate. Kto ją znał, wiedział, co to oznacza, i włosy jeżyły mu się ze strachu.

- Zna pan moją matkę, senor?

Uśmiechnął się leniwie, z pogardą.

- My też jesteśmy dobrze poinformowani, *puta*. Tylko że informacje o takiej szmacie, jak Isabeau Dante, można uzyskać całkiem darmo.

Hiszpan nadal uśmiechał się z nieznośną arogancją, gdy Juliet wycelowała mu w twarz z obu pistoletów, niemal pieszczotliwie nacisnęła spusty i zmrużyła oczy, gdy proch zapłonął. Dwa strzały padły równocześnie. Na widok skutków podwójnej eksplozji kapitan Aquayo osłonił głowę rękami i runął z wrzaskiem na podłogę.

\* *Put*a (hiszp.) - dziwka.



— Zniosłabym zniewagi pod własnym adresem, *senor maestre* — powiedziała Juliet obojętnym tonem, przyglądając się, jak ranny oficer zatacza się i opiera plecami o grodz. - Ale nie pozwolę lżyć mojej matki!



Gdy dzienniki okrętowe i manifesty zostały przeniesione pod pokład „Żelaznej Róży”, Juliet w towarzystwie Crispa udała się na angielską fregatę, by ocenić jej stan. To, co zobaczyła, nie wróżyło „Argusowi” długiego życia. Maszty runęły, a z relingu pozostały smutne resztki. Nawet belki, które jakimś cudem ocalały na górnym pokładzie, nie miały większych szans przetrwania, gdyż ogień już się do nich dobierał. Wszędzie leżały trupy. Strumienie krwi na pokładzie zmieniały swój bieg w zależności od przechyłów statku.

- Jak długo potrwa, nim pójdzie na dno? - spytała cicho Juliet.

- Nabiera wody w szybkim tempie. Dziesięć pomp by się z tym nie uporało. Nog właśnie to sprawdza, ale jest prawie pewien, że w dolnej części kadłuba musi być duża dziura. Wygląda mi na to, że Hiszpanie nie mieli zamiaru taszczyć zdobyczy do Hawany. Ani zostawiać za sobą świadków.

Juliet posępnie skinęła głową.

- Ot, postrzelali sobie do celu. Dobre ćwiczenie dla kanonierów i muszkietierów. Ilu, według ciebie, ocalało z angielskiej załogi?

- Doliczyłem się czterdziestu, którzy pewnie stoją na nogach. W tym, niestety, tylko dwóch oficerów. Znajdzie się jeszcze ze trzydziestu lżej rannych. Ale prawie drugie tyle wyciągnie kopyta, gdybyśmy spróbowali ich stąd ruszyć. Hiszpanów na razie nie liczyłem. Za to my wyszliśmy obronną ręką - mniej niż tuzin rannych i tylko jeden zabity.

- Kto?

- Billy Crab. Dostał kulę prosto w głowę.

Ruda czupryna i mnóstwo piegów... Juliet znała dobrze wszystkich członków swej załogi i każdą stratę odczuwała jak osobistą tragedię.

- Kto tu dowodzi? - spytał Crisp, podnosząc głos, by przekrzyczeć syk płomieni i trzask palących się belek.

- Chyba ja.

Jeden z dwóch zidentyfikowanych już przez Nathana oficerów wyrzucił się z dymu i pokuśtykał w ich stronę. Był młody, miał około dwudziestu pięciu lat, ale od razu było widać, że nie po raz pierwszy brał udział w bitwie. Z jednej strony jego twarz znaczyły okrutne szramy.

Cała lewa strona głowy była jakby spłaszczona i pokryta mocno napiętą błyszczącą skórą- od czoła aż po wykruchmalony kołnierz. Zamiast ucha, widniała wypukłość z poskręcanej różowej skóry. Kiedy mówił, blizna ścigała policzek i sprawiała, że jego usta wykrzywiały się dziwnie,

Juliet widywała już znacznie potworniejsze okaleczenia, toteż interesowała ją nie tyle powierzchowność oficera, co jego charakter. Galeon był olbrzymi i niezbyt zwrotny, trudno będzie poradzić sobie z nim bez pomocy angielskich marynarzy.

Oficer zwrócił się do Nathana i przedstawił się, instynktownie stając na baczność.

- Porucznik Jonathan Beck z Królewskiej Floty.

. — A dokładnie? - spytał Crisp.

- Pierwszy oficer na „Argusie”, do niedawna pod komendą kapitana Angusa Macleoda, niech spoczywa w pokoju.

- Wolno spytać, czym tak rozwścieczyliście Hiszpanów?

Nozdrza Becka rozděły się z oburzenia.

- Niczym ich nie sprowokowaliśmy, sir! „Argus” to statek kurierski, zmierzający do New Providence. Mieliśmy minimum ładunku. Nie zrobiliśmy absolutnie niczego, co mogłoby zwrócić uwagę Hiszpanów i usprawiedliwić tę napaść. Przedarliśmy się właśnie przez sztorm i nagle na horyzoncie ukazał się jakiś okręt. Tamci również nas dostrzegli i zaczęli gonić. Potem zorientowaliśmy się...

Beck urwał, zeszytniał i otarł krew, która nieprzerwanym strumyczkiem ciekła mu po czole do oka. Kiedy widział już wszystko wyraźniej, zmierzył wzrokiem płócienne portki Crispa, bynajmniej nieprzypominające mundurowych, *jego luźną białą koszulę* i krzyżujące się na piersi skórzane bandolety, w których tkwił bogaty wybór broni palnej oraz bia-

- Mniemam, że nie pozostaje pan w królewskiej służbie, sir?

- Mniemaj sobie co chcesz. Ale jeśli ci się zdaje, że nasz kapitan pływa pod piracką flagą, to się puknij w głowę. Pirat by poczekał, aż Hiszpan was zatopi, a potem wyciągnąłby łapę po część łupu!

Beck najwyraźniej przyznał rację rozmówcy, bo uznał za stosowne okazać swą wdzięczność.

- Bardzo bym pragnął wyrazić w imieniu własnym i moich ludzi, a także, oczywiście, Królewskiej Floty, serdeczne podziękowanie za przyjęcie nam z pomocą w tak trudnej sytuacji, z narażeniem własnego statku i załogi. Pokorą i podziwem przejmuję mnie wielkoduszny postępek waszego kapitana, którego chciałbym jak najprędzej poznać. Będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Crisp przesunął językiem przeżuwaną prymkę pod drugi policzek.  
- Możesz pan mieć ten zaszczyt choćby zaraz, poruczniku... jak ci tam? Aha, Beck!

Wykonał pół obrotu i wyciągniętą ręką wskazał Juliet.

- To jest kapitan Dante.

Spojrzenie Becka nie od razu przeniosło się z Crispa na stojącą za nim wysoką smukłą postać. Ciemnorude włosy, splecione z tyłu głowy w gruby warkocz, przykryte były błękitną chustką. Twarz poznaczona czarnymi smugami, niegdyś biała koszula splamiona krwią i czarnym prochem. Szerokie skórzane bandolety, przerzucone przez ramię, zawierały cały arsenał broni palnej, sztyletów i noży oraz woreczków z prochem strzelniczym. Co prawda koszula była luźna i nie mógł rozemknąć, co się pod *niq* kryje, ale bryczesy przylegały do bioder i nóg, które okazały się nagle nad wyraz kobiece!

- Dobry Boże, sir! Kapitanie... pan jest... kobietą?!

- Ostatnim razem, kiedy się przeglądałam w *lustrze*, też *odniosłam* takie wrażenie - odparła Juliet, powstrzymując uśmiech.

- Kobieta... kapitanem?... Statku kaperskiego?!

Juliet skrzyżowała ręce na piersi i posłała porucznikowi miazdzące spojrzenie.

Beck opanował swe zaskoczenie i stanął znów na baczność.

- Porucznik Jonathan Grenville Beck z Królewskiej Floty, do usług, kapitanie Dan... Dan... - Podbródek mu zadrżał i szczeka opadła. - Dante? - szepnął. - Chyba nie... Czarny Łabędź?...

Juliet westchnęła z niesmakiem i zerknęła na Crispa.

- Doprawdy, tego *już* za wiele! Najpierw nazywają mnie żelazną różą, teraz czarnym łabędziem! Czyżby moje rysy były tak pozbawione charakteru i nic nieznaczące?

Nathan Crisp uniósł brew.

- Warto by porządnie wyszorować te twoje rysy!

- Bardzo proszę, bez urazy - wtrącił się Beck. - Imię Isabeau Dante słynie w całej flocie. Stało się niemal legendą, podobnie jak... - znowu urwał porażony kolejnym odkryciem. - Pani... Pani chyba nie jest spokrewniona z osławionym kaperem, Simonem Dante?;.

Miał taką minę, jakby błagał Juliet, by zaprzeczyła. Nie mogła tego uczynić.

- To mój ojciec.

- Pani... ojciec?... O... wielki Boże...

Porucznik zachwiał się, czując nagły zawrót głowy. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Crisp schwytał go mocno za ramię.

- Nie taka ona straszna, jak ci się zdaje, chłopcze! Chyba że ktoś jej naprawdę zalezie za skórę. Niejeden z naszej załogi mógłby ci pokazać ślady...

Usiłując lodowatym spojrzeniem ukrócić nieestosowne żarciki Crispa, Juliet ruchem głowy wskazała porucznikowi pokład.

- Powinien pan zatroszczyć się o swoich ludzi, poruczniku. Wasz „Argus” tonie, trzeba ich natychmiast usunąć z jego pokładu!

- Tak. Tak, oczywiście!... C... co zamierzacie zrobić z załogą galeonu?

- Naprawdę to pana obchodzi?

Nieokaleczona połowa twarzy Becka zeszywniała pod lepką warstwą potu i brudu, gdy niespiesznym spojrzeniem omiół to, co zostało z „Argusa”.

- Zaatakowali nas bez powodu i zatopiliby bez wahania. Czy obchodzi mnie, co się z nimi stanie? Nie. Wybacz mi, Boże, ale w tej chwili nie obchodzi mnie to ani trochę!

- Wobec tego, poruczniku, niech się pan zajmie tym, co do pana należy, a rozwiązanie tych kłopotliwych problemów pozostawi nam.

Przez chwilę wytrzymawał nieugięte spojrzenie Juliet, potem złożył sztywny ukłon i odszedł, by zająć się swoją załogą.

Juliet obserwowała Becka, gdy oddalał się, kuśtykając. Potem zaciśnęła wargi i zamyśliła się.

- Statek kurierski?... Skąd, u licha, wziął się na tych wodach angielski statek kurierski?! - mruknęła.

Crisp skierował się już w stronę kajut na rufie.

- Oficerowie Królewskiej Floty to tacy sami nudziarze jak Hiszpanie. Cały czas notują, gdzie byli i dokąd się wybierają. Poszukam dokumentów i map, a ty wracaj na „Różę”.

Zniknął za zasłoną gęstego dymu. Juliet po raz ostatni rozejrzała się dokoła... i nagle przyciągnęła jej uwagę plama niezwyklej barwy. Pośrodku szerniałych zgłiszcz, u podnóża grotmasztu, leżały dwa ciała, jedno na drugim. Człowiek na wierzchu odziany był w fiołkowy kubrak. Obok poniewierał się elegancki kapelusz, który nieznajomy tak szarmancko uchylił, żegnając się z nią na pokładzie hiszpańskiego galeonu.

Juliet niemal już zapomniała o wybawcy, który pospieszył jej na ratunek w zamęcie bitwy. Domyśliła się, że zginął w wybuchu, który zniszczył ładownię „Argusa”. Wszystko dokoła tliło się lub nosiło ślady eksplozji prochu strzelniczego. Fiołkowy aksamit także przesiąkł dymem i szerniał, zwłaszcza na ramionach i pośladkach leżącego. Z tyłu głowy widniał guz wielkości jajka mewy, z ucha ciekła strużka krwi. Ze wspianego pióropusza pozostały nędzne, zwęglone resztki, a zdobny klej-

notami sztylet, który po raz ostatni widziała w jego dłoni, połyskiwał wśród rumowiska o kilka kroków od właściciela.

Nieznajomy leżał twarzą do ziemi, z rozłożonymi ramionami. Wyglądał jak ukrzyżowany. Przyjrzała się jego barkom, zdumiewająco potężnym jak na elegancika w fiołkowych aksamitach. Pasma długich, zasłaniających twarz kasztanowatych włosów były zmierzwione. Za to strój prezentował się niezwykle wytwornie. Obcisły, haftowany złotą nicią kubrak podkreślał szerokość pleców i smukłą talię. Z przodu, jeśli dobrze pamiętała, był wycięty w szpic. Wąskie rękawy ozdobiono na ramieniu rulonikiem z aksamitu w złote pasy. Długie kształtne nogi odziane były w podwatowane spodnie do kolan i jedwabne pończochy, na widok których nawet król zzieleniałby z zazdrości!

Oczy dziewczyny powędrowały znów w kierunku sztyletu. Był to cenny łup. Niejeden przez rok nie zagrabi tyle, ile wart był ten drobiazg. Juliet biła się z myślami. Czy to wstyd zabrać go... ot tak, na pamiątkę po dzielnym obrońcy?

Wyminęła złamany maszt i już sięgała po sztylet, gdy czyjaś ręka chwyciła ją za nadgarstek.

Miłosierny samarytanin nie poległ! Był całkiem żywy i mierzył ją złym wzrokiem.

-Zawsze okradasz swych dobroczyńców, szczeniaku?!

Zacisnęła rękę w pięść i próbowała się wyrwać.

- Wyglądałeś na nieboszczyka!

Nie puszczać jej przegubu, potrząsnął lekko głową, jakby chciał zebrać myśli. W uszach zapewne dzwoniło mu na potęgę. Trzęsienie głową dało tylko tyle, że więcej krwawych kropeł kapnęło na pokład.

-Jezu Chryste!

Palce zaciśnięte wokół nadgarstka Juliet rozwarły się. Powędrowały w stronę guza na tyle głowy i zaczęły go ostrożnie dotykać. Ranny jęknął.

Niczym echo zawtórował mu osobnik leżący pod spodem.

-Beacom... ? -Nieznajomy unosił odziane w fiolety ramię, by spojrzeć na leżącego pod nim mężczyznę. - Dobry Boże! Co ty tam robisz, człowieku?...

- Czekam, aż wasza książęca mość raczy wstać - wysapał tamten. - I tuszę, że w swej nieskończonej łaskawości podniesie potem i mnie.

- Z miłą chęcią- odparł książę -jak tylko odzyskam władzę w nogach. Hej, smarkaczu! Przestań się gapić na te świecidełka i zapomnij o moim sztylecte. Lepiej nam pomóż!

Juliet uniosła brew i rozejrzała się dokoła. W pobliżu nie było nikogo oprócz niej. Nie zwracając uwagi na wyciągniętą ku niej rękę, stanęła

w rozkroku ze stopami po obu stronach jego smukłych bioder i chwyciwszy mocno w obie garści osmalony aksamit, podniosła eleganta do pozycji siedzącej i przytrzymała go tak, póki leżący pod nim mężczyzna nie wyslizgnął się stamtąd.

Kiedy się to wreszcie udało, Juliet bez ceremonii upuściła ciężkie brzemię na pokład. Tymczasem odwrócony do nich plecami Beacom otrzepywał ubranie z sadzy i kurzu, od czasu do czasu wznosząc dłonie ku niebu na znak wdzięczności.

- Stokrotne dzięki, szlachetny młodzieńcze! Stokrotne dzięki! Mój pan... jego książęca mość nie reagował na wszelkie próby ocudzenia go i zacząłem się już obawiać, że umrę z braku powietrza, zanim ktoś udzielił nam pomocy.

W odróżnieniu od barwnych szat swego pana, Beacom był od stóp do głów odziany w surową czerń. Miał długą kościstą twarz, idealnie pasującą do długiego, kościstego ciała, a jego zęby, gdy mówił, szczełykały niczym kastaniety.

- Teraz jestem już przytomny - stwierdził książę i z trudem ukląkł. - Niech cię wszyscy diabli, Beacom! Podaj mi rękę!

Juliet przyglądała się z lekkim rozbawieniem, jak Beacom zastygł w trakcie poprawiania swego kaftana. Odwrócił się błyskawicznie i pochylił nad swym panem, który był o włos od ponownego upadku.

- Co z nogami, milordzie? Czy książę pan odzyskał władzę w nogach?

- Nogi są w porządku - wymamrotał książę. - Tylko pokład kręci się jak głupi...

Beacom nie wyglądał na osiłka, ale stękając, ciągnąc i podpierając, zdołał jakoś postawić swego pana na nogi. Kiedy się przekonał, że książę może stać samodzielnie, zaczął, przez warstwy opalonego aksamitu i zwęglonych koronek, ostrożnie badać, czy nie ma jakichś obrażeń.

Juliet interesowała bardziej osoba księcia niż jego obrażenia. Był pierwszym przedstawicielem angielskiej szlachty, jakiego poznała (nie licząc ojca, nobilitowanego za zasługi przez królową Elżbietę). Gdy książę odgarnął luźne pasma włosów zasłaniające twarz, jego rysy nie okazały się ani zbyt ostre, ani zniewieściałe, czego Juliet spodziewała się po kimś takim. Nos miał długi, imponujący, a głęboko osadzone oczy osłonięte były rzęsami równie brązowymi i lśniącymi jak jego włosy. Niewielki, wypielęgowany wąsik okalał górną wargę, a starannie przystrzyżona bródka łagodziła zbyt masywny zarys szczęki. Juliet przypomniał się uśmiech księcia, ukazujący pełen komplet równych białych zębów. U ludzi morza była to prawdziwa rzadkość. I choć teraz usta miał zaciśnięte

z powodu bólu lub zawrotu głowy, na samo wspomnienie tego uśmiechu zapało jej dech.

Oprócz koronek pod szyją i przy mankietach, jedwabnych pończoch i szerokich dzwoniastych spodni, do stroju księcia należała zwisająca na pendencie wspaniała szpada; wszystko wskazywało na to, że nosił ją nie od parady. Oręż leżał teraz na pokładzie kilka kroków od Juliet. Podniosła go, chcąc zwrócić właścicielowi. Beacom tymczasem nie przestawał utyskiwać i głądzić.

- Zdaje się, że wasza książęca mość nie odniósł jakichś poważniejszych obrażeń. Zapewne dlatego, że książę pan nie zbliżył się zanadto do śródokrećcia. Bogu niech będą dzięki!

Książę skrzywił się, czując znów przeszywający ból.

- Wybacz, Beacom, ale wstrzymam się z modłami dziękczynnymi, póki to stado diabłów nie przestanie hasać i przytupywać w mojej głowie.

- Nie radzę zwlekać z tym aż tak długo - odezwała się Juliet, wręczając lokajowi szpadę i zdobny klejnotami sztylet. - I obaj, jeśli macie trochę rozumu, powinniście opuścić „Argusa”, nim nabierze jeszcze więcej wody. Poradzicie sobie z tym sami - zwróciła się do Beacoma - czy potrzebna wam pomoc?

Lokaj wydał pogardliwie nozdrza.

- Z pewnością zdołam zaprowadzić jego książęca mość w bezpieczne miejsce. Przydałby się jednak ktoś, kto zająłby się naszym bagażem. Jeśli masz wolną chwilę, młodzieńcze, znajdzie się dla ciebie trochę grosza.

- Trochę grosza? - Juliet zrobiła wielkie oczy. - W srebrze czy w złocie?

- Bardziej ci się to opłaci, niż gdybyś tkwił tu bezczynnie i...

Beacomowi przerwał ochrypły wrzask. „Argus” przechylił się nagle i jego dziób zniknął pod falami. Z wnętrza statku doleciał trzask pękających belek i huk wdzierającego się do środka morza, podobny do ryku wynurzającego się z głębin potwora. Marynarze pospiesznie wybiegali spod pokładu. Jednym z nich był Nathan Crisp, skąpany po szyję w morskiej wodzie i otoczony wielką chmurą dymu, który buchał z luku. Sternik dźwigał mapy, wykresy i grubą księgę, oprawną w skórę i przewiązaną czerwoną wstęgą.

- Tam, gdzie wybuchły beczki z prochem, jest w kadłubie dziura wielka jak dupsko Lucyfera - wrzasnął. - Łajby nic już nie uratuje. Jedna minuta, góra dwie - i pójdzie na dno jak kamień. Odetnijmy ją czym prędzej od tego cholernego galeonu, bo pociągnie go za sobą!

Juliet zwróciła się do Beacoma.

- Możesz oczywiście zanurkować pod pokład i zginać na posterunku ze srebrną miską swego pana w zębach. Ale ja na twoim miejscu skoczyłabym czym prędzej za burtę.

- Ja... no, cóż...

Dalsze słowa, być może protest, zamarły na ustach lokaja. Beacom aż się zatchnął, gdy fregata zakołysała się gwałtownie. Rozległ się stukot toporków; odcinano liny z kotwiczkami, łączące „Argusa” z hiszpańskim okrętem. Naprężone sznury pękały z głośnym trzaskiem.

- Tak. Tak, oczywiście. Za burtę. W tej chwili. Idziemy, milordzie. Milordzie!!!

Książę w dalszym ciągu opierał się o złamany maszt. Oczy miał otwarte i utkwione w Juliet z wyrazem niebotycznego zdumienia. Rozchylił ustajakby dziwić się czemuś, a jego ciało zaczęło się osuwać po gładkim drewnie.

Juliet zakłęta siarczyście i zarzuciła sobie książęce ramię na plecy. Podtrzymując we dwójkę bezwładnego i półprzytomnego księcia, zdolali z Beacomem zatańczyć go do burty, gdzie załoga „Żelaznej Róży” za pomocą sieci do transportu najcięższych ładunków pomagała tym, którzy ocalili podczas bitwy, przedostać się na „Santo Domingo”.

Wzburzone zielone fale kłębiły się w odległości zaledwie trzech metrów od pokładu angielskiego statku, ale Juliet czekała do ostatniej chwili, *nim* dała znak, by przecięto resztę lin łączących oba okręty. Zaczepiona ramieniem o jedną z nich zawisała w powietrzu, podczas gdy oswobodzony od tonącego brzemienia galeon wyszedł z przechyłu. Pozostawiona samej sobie fregata usiłowała utrzymać się na grzbietach spiętrzonych fal. Bez powodzenia. Może przez minutę powierzchnia oceanu wzdymała się i opadała z sykiem piany, a z wnętrza statku dochodziły coraz cichsze krzyki tych, których nie dało się uratować. Potem „Argus” poszedł pod wodę rufą w dół. Pozostały po nim tylko unoszące się na falach odłamki strzaskanych masztów i strzępy zwęglonych żagli.

## 2

Juliet nie traciła czasu ani energii na subtelności. Hiszpanie zostali powiązani ze sobą za nadgarstki i kostki nóg. Ponad trzystu jeńców stłoczono na dwóch pokładach. Choć sami poddali się wrogowi, a teraz czekali na decyzję o swoim dalszym losie, nadal mogli stanowić nie-



bezpieczeństwo. Dwukrotnie przewyższali liczbą połączone siły przeciwnika - załogę „Żelaznej Róży” i niedobitki z załogi „Argusa”. Gdyby Hiszpanie odzyskali chęć walki, z kaperami byłoby naprawdę krucho.

Juliet przede wszystkim sprawdziła, czy pod żadnym z pokładów galeonu nie kryją się jakieś niedostrzeżone grupki Hiszpanów. Dziesięciu przedsiębiorczych żołnierzy, uzbrojonych w muszkiety, mogło odmienić bieg wydarzeń i przemienić swą klęskę w zwycięstwo. Rozkazała więc, by zbrojne patrole przeczesaly każdy z czterech pokładów. Wywleczono stamtąd dwudziestu Hiszpanów, którzy podzielili los wcześniej pojmanyh jeńców.

Nathan Crisp stał na czele oddziału, który miał przeszukać ładownię. To, co tam znalazł, sprawiło, że połąkł swą nieodłączną prymkę. Magazyny zastawione były skrzyniami pełnymi sztab srebra. Wszystkie nosiły znak mennicy z Vera Cruz. Cztery ogromne beczki zawierały perły wielkości dużego paznokcia. Znajdowały się tam również worki nieoszlifowanych szmaragdów z Kartageny, skrzynie złota z peruwiańskich kopalń, a poza tym ogromne ilości egzotycznych przypraw oraz gumy. Początkowa euforia, która ogarnęła *Juliet* i Nathana, przerodziła się w konsternację. Przeniesienie wszystkich tych skarbów na pokład „Żelaznej Róży” zajmie Bóg wie ile dni! A poza *tym statek* kaperski nie wytrzyma takiego obciążenia i pójdzie ze swym łupem na dno.

Chociaż okręty wojenne nierzadko przewoziły złoto i klejnoty, było doprawdy zdumiewające, że „Santo Domingo” obciążono takim ładunkiem. Nasuwało to podejrzenie, że galeon wyruszy we wrześnie do Hiszpanii z tak zwanym zbrojnym konwojem.

Dwa razy do roku, na wiosnę i jesienią, obławowane skarbami galeony spotykały się w Hawanie. Przybywały tam z Vera Cruz w Meksyku, z Nombre de Dios w Panamie oraz z Maracaibo, Kartageny i Branquilla, miejscowości położonych na północnym wybrzeżu Peru i Kolumbii. W tym samym czasie do Hawany przyływały statki handlowe żeglujące po Spanish Main, czyli po podbitych przez Hiszpanów terenach Nowego Świata. Razem z galeonami tworzyły flotę, która wkrótce potem wyruszała do Hiszpanii. Jej eskortę stanowiły okręty wojenne przysłane tu specjalnie ze Starego Kontynentu, by chronić drogocenny ładunek w czasie podróży przez Atlantyckie.

Jakikolwiek kaprys losu - pomyślny czy niebezpieczny - postawił „Santo Domingo” na szlaku „Żelaznej Róży”, Juliet nie miała najmniejszego zamiaru rezygnować ani ze zdobycznego galeonu, ani ze skarbów, które miał na pokładzie. Trzeba więc było czym prędzej pozbyć się hiszpańskich jeńców i opuścić te wody, zanim pojawi się w pobliżu jakiś

ciekawski statek. Gdy tylko wieść o zdobyciu galeonu obiegnie wszystkie wyspy, podwoją się hiszpańskie patrole. Zostaną też podwyższone i tak już zawrotne nagrody za zabicie każdego, kto *nosi* nazwisko Dante.

Od ponad dwudziestu pięciu lat pirat zwany Wilkiem, Simon Dante, nękał niczym zaraza hiszpańskie statki. Walczył u boku sir Francisa Drake'a i był jednym ze straszliwych Morskich Jastrzębi królowej Elżbiety, floty, która strzegła wybrzeży Anglii przed inwazją hiszpańskiej Armady. Zdobywszy sławę, tytuły i posiadłości ziemskie, Simon opuścił ojczyznę, nie zabierając ze sobą nic oprócz podpisanego przez królową listu kaperskiego - oficjalnego zezwolenia na „nękanie, przechwytywanie i grabież statków należących do wrogich Anglii nacji”, co na Karaibach oznaczało przede wszystkim Hiszpanów.

Jego żona, Isabeau Spence Dante, była córką zwalistego, rudowłosego pirata, który nauczył swą pociechę strzelać z armaty w wieku dwunastu lat i opłynąć bez szwanku przylądek Horn przed dwudziestymi urodzinami. Wykonywane przez Isabeau mapy morskie były *cenione* przez kapitanów wszelkich narodowości, którzy żeglowali po morzach i oceanach, a każdy z angielskich kartografów znał ją pod pseudonimem Czarnego Łabędzia, gdyż sygnowała swe prace takim właśnie rysunekczkiem.

Imię to nosił także statek, który Isabeau otrzymała w ślubnym podarunku od Simona Dantego. Obdarzyła go za to w dziewięć miesięcy później synem Jonasem. Po trzech latach przyszedł na świat drugi syn Gabriel, zaś dziesięć miesięcy po nim córka imieniem Juliet. Żadne z tej trójki nie wyobrażało sobie innego życia, jak na pokładzie statku. Nic też dziwnego, że dzieci Simona i Isabeau Dante wyrosły na najbardziej dokuczliwych prześladowców hiszpańskiej floty.

Cała trójka starała się o zaszczyt dowodzenia własnym statkiem i każde z nich osiągnęło ten cel. Wyposażona w dwanaście ciężkich kolubryn, wyrzucających trzydziestodwufuntowe pociski, oraz w osiem półkolubryn, plujących dwudziestoczterofuntowymi kulami, „Żelazna Róża” została ofiarowana Juliet na jej dwudzieste pierwsze urodziny. Fakt, że kapitanem tego statku była kobieta, nie zmniejszał bynajmniej trwogi cudzoziemskich żeglarzy, gdy ujrzeli jego sylwetkę na horyzoncie. Większość z nich rozwijała wówczas wszystkie żagle i ulatniała się w błyskawicznym tempie, gdyż pojawienie się „Żelaznej Róży”, ruszającej w pościg pod komendą Juliet, oznaczało zazwyczaj, że statki jej braci, „Pogromca” i „Heros”, ukażą się niebawem. I biada zadufanemu w sobie kapitanowi, który łudził się, że bez trudu pokona trzy wilcze szczenięta. W dziewięciu przypadkach na dziesięć Simon Dante, Wilk we własnej osobie, czał się gdzieś w pobliżu, by ruszyć do ataku na swym „Mścicielu”.

Tym razem jednak Juliet była zdana na własne siły, wypłynęła bowiem na „Żelaznej Róży” tylko po to, by przetestować ster nowego typu. Ku własnemu zaskoczeniu, przebrnąwszy przez tropikalny szkwał, natknęła się na dwa walczące ze sobą okręty. W pierwszej chwili wzięła odgłos wystrzałów za zapowiedź kolejnej burzy, ale gdy deszcz przestał padać, a mgła się przerzedziła, czujki wypatrzyły galeon „Santo Domingo”, który strzelał do „Argusa” ze wszystkich dział.

Juliet zdobyła dzięki temu nieprzebrane skarby, trzystu jeńców i okręt wojenny o nośności ośmiuset ton. Nie wiedziała jednak, co z nimi zrobić i nie odczuwała w tej chwili większej satysfakcji.

- Loftus potwierdził moje przypuszczenia - powiedziała, zerkając na swego kwatermistrza. - Znajdujemy się w pobliżu wyspy Guanahana. Możemy tam dotrzeć za sześć godzin, a może i prędzej.

- Nie mamy tam żadnych przyjaciół - zauważył Crisp, marszcząc brwi.

- Rzeczywiście. Ale zwróć uwagę, że między naszą pozycją a tą wyspą znajduje się atol - stuknęła palcem w małą czarną kropkę na mapie, którą rozłożyła na szafce z busolą. - Możemy doholować do niego galeon i wysadzić Hiszpanów na brzeg. Kiedy się już ich pozbędziemy, pomyślimy, co zrobić z resztą ładunku. Gnamy z nim na Gołębią Rafę czy złożymy go w innej kryjówce i wrócimy po niego z Jonasem i Gabrielem, którzy będą nam osłaniać tyły?

Z wyrazu twarzy Juliet Nathan zorientował się, że druga możliwość nie wchodzi w ogóle w grę. Darzyła braci czułą siostrzaną miłością, ale rywalizowała z nimi zażarcie. Crisp westchnął i potrząsnął głową.

- Cóż, spróbujemy namierzyć ten atol po ciemku. Ale czy naprawdę wierzysz w znalezienie igły w stogu siana, i to po nocy?

- Już ja go znajdę! Chyba że wolisz warować przez następne czterdzieści osiem godzin, szukając w blasku dnia trochę większej igielki) Innego wyboru nie mamy.

- Możemy jeszcze wywalić to draństwo za burtę - burknął. - Oni by się z nami nie patyczkowali.

- Owszem, możemy, ale i tak pozostaje nam pewien mały kłopot.

- Tylko jeden? - Crisp prychnął pogardliwie. - Ale z ciebie optymistka, dziewczyno! Masz to po tacie.

- Co z angielską załogą? Nie możemy ich zostawić na tym samym atolu co Hiszpanów. Albo by ich wyrznęli, albo przykuli do wiosł na swych cholernych galerach! A do najbliższego portu, w którym patrzą życzliwym okiem na Anglików, jest co najmniej *tydzień drogi*. Nie możemy marnować siedmiu dni. I tak już jesteśmy spóźnieni.

- Żabojady chętnie się nimi zaopiekują i dadzą nam jeszcze kilka beczek wina za fatygę.

- Jasne! A kiedy odpłyniemy, zaraz ich przehandlują Hiszpanom w zamian za dobre rynki zbytu.

- Czy wolno mi podsunąć pewną sugestię, kapitanie?

Juliet i Crisp obejrżeli się. Za nimi stał porucznik Beck. Zauważyli, że od pewnego czasu przechadzał się nerwowo po pokładzie. Widocznie zbierał się na odwagę, by ich zaczepić.

- Ma pan jakieś życzenia, poruczniku? - spytała Juliet. - Czy moglibyśmy jeszcze coś zrobić dla pańskich ludzi?

-I tak już potraktowaliście nas wielkodusznie, kapitanie. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że tym razem to my moglibyśmy wam pomóc.

- Słucham z uwagą.

- No cóż... - Beck splótł ręce za plecami i stanął w lekkim rozkroku. - Mam wrażenie, że przychodząc nam z pomocą pochwyciliście nieoczekiwanie zbyt wielki łup, z którym nie możecie się uporać. Ot, choćby ten galeon! Według mojej oceny, do jego obsługi trzeba co najmniej siedemdziesięciu ludzi. Może i więcej, gdybyście natknęły się na jeszcze jeden nieprzyjacielski statek. Ilu majtków macie na pokładzie?... Nie, nie! - uniósł ostrzegawczo dłoń. - Proszę nie odpowiadać! Nie chciałbym być posądzony o wyłudzenie informacji. Sugerowałem jedynie, że wasza załoga, choć całkowicie wystarczająca na jednym statku, miałaby trudności z obsługiwaniem dwóch. Kapitan wspomniał o wzięciu galeonu na hol... Owszem, to byłoby możliwe przez dzień lub dwa, jeśli pogoda się utrzyma i morze będzie spokojne. Możecie również zatopić „Santo Domingo”, ale to wspaniała galeon i godna pozazdrosczenia zdobycz, która ogromnie przyda się waszej rodzinie. Przypuszczam, kapitanie, że chcielibyście za wszelką cenę uniknąć takiego rozwiązania.

Crisp skrzyżował ramiona na piersi i zmarszczył się groźnie.

- Zanadto lubisz tokować, mój chłopcze!

-Słucham?...

- O co chodzi w tym całym gładzeniu?

- O co chodzi?... Ach, tak... Oczywiście. Rzecz w tym, że proponuję usługi własne i moich ludzi, jeśli możemy wam się przydać w takim czy innym charakterze. Wszyscy, co do jednego, umiemy się obchodzić z żaglami i takielunkiem, obsługiwać działa, wypompowywać wodę, gdyby ten kolos zaczął jej nabierać. Pod tym względem my, Anglicy, bezsprzecznie górujemy nad francuską czy hiszpańską flotą. U nich kanonier jest tylko kanonierem i nie potrafiłby rozwinąć żagli, choćby od tego zależało jego życie.

- Proponuje nam pan pomoc w doprowadzeniu „Santo Domingo” do bezpiecznego portu?

- Mam pod swoją komendą pięćdziesięciu dwóch sprawnych marynarzy, z których żaden nie ma ochoty zostać pośrodku oceanu sam na sam z tymi cholernymi Hiszpanami! - Spojrzał na Juliet. - Proszę o wybaczenie, kapitanie.

Przyjrzała się uważnie jego okaleczonej twarzy i doszła do wniosku, że czuje sympatię do porucznika Jonathana Becka. Mówił serio, był oburzony nieludzkim postępowaniem Hiszpanów, jej zaś wdzięczny za uratowanie życia jemu samemu i jego ludziom. Czy można mu jednak ufać? Właśnie się przechwalał swoimi żeglarskimi umiejętnościami. Wobec tego potrafiłby chyba odtworzyć z pamięci przebytą trasę? Zapamiętał punkty orientacyjne? Określić z dość dużą dokładnością pozycję statku z położenia słońca i gwiazd? Gołębia Rafa stanowiła jedyną w swoim rodzaju kryjówkę. Mógł do niej trafić tylko ktoś doskonale znający te wody. W dodatku Juliet dobrze wiedziała, iż cena za głowę jej ojca wynosi dziesięć tysięcy złotych dublonów. Fortuna nie do pogardzenia - zwłaszcza dla kogoś, kto zarabiał szylinga miesięcznie w służbie króla.

- Kapitanie - odezwał się Beck, wyczytawszy z oczu Juliet trawiącą ją wątpliwość. - Świadom jestem, że sukcesy pani ojca wiążą się ściśle z tym, iż jego kryjówka stanowi pilnie strzeżoną tajemnicę. Ręczę słowem oficera Królewskiej Floty, że ani ja sam, ani żaden z moich ludzi nie zdradzi tego sekretu.

Twarz Juliet nie zmieniła wyrazu. Po dłuższej chwili spojrzała znacząco na Crispa. Ten w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Ty jesteś kapitanem. Ty tu rządzisz. Ja tylko robię, co mi każą.

- Lepiej, żeby tak było - odparła sucho. - W porządku, poruczniku, zawierzę pańskiemu słowu i przyjmę pańską propozycję. Co się zaś dotyczy pańskich ludzi, doskonale pojmuję, że gdy znajdą się z powrotem w Londynie, mogą odczuć wielką pokusę złamania danego słowa. I wobec tego - jedna z brązowych brwi Juliet uniosła się nieznacznie — każdy, kto z własnej woli zgodzi się przyłączyć do mej załogi, choćby okresowo, i potwierdzi to własnym podpisem, otrzyma na równi z moimi ludźmi swoją część przy podziale łupów, kiedy zostaną oszacowane.

Beck otwierał już usta, by zaprotestować, ale zamknął je z powrotem. Podpisanie zgody na współpracę z kaperem przez marynarza Królewskiej Floty równało się dezercji. Takie przewinienie karano śmiercią. W gruncie rzeczy, w chwili złożenia podpisu jego ludzie stawali się bantami, oficera zaś, który zaaprobował taki układ, dowództwo floty uznawało za buntownika, zdrajcę i wyrzutka, gdyby sprawa wyszła na jaw.

Z drugiej strony, przejście na piracki żołąd zapewniało milczenie każdego, kto by podpisał umowę. Do wszystkich dotarły pogłoski na temat skarbów w ładowniach „Santo Domingo”, a dla marynarzy Królewskiej Floty, z których połowa została wcielona do wojska podstępem albo przemocą, nawet dziesiąta część tego, na co mógł liczyć każdy z załogi „Żelaznej Róży”, stanowiła bogactwo, do jakiego nigdy by nie doszli w służbie króla i ojczyzny. Pełny zaś udział w łupach przewyższał ich najśmielsze marzenia.

- Muszę, oczywiście, uzgodnić to z moimi ludźmi - odparł porucznik, a w jego oczach zapłonął błysk podziwu dla chytrego kapitana. - Ale jeśli o mnie chodzi, to nie widzę przeszkód.

Juliet wyciągnęła do niego rękę.

- W takim razie witam nowego członka mojej załogi!

Już miał ucisnąć wyciągniętą ku niemu dłoń, gdy nagle zrobił głęboki wydech, a jego palce zacisnęły się mimowolnie w pięść.

- Przypomniało mi się, że istnieje pewna przeszkoda.

Juliet cofnęła rękę i położyła ją na rękojeści szpady.

- A mianowicie?

- Jest nią Varian St. Clare, książę Harrow. Nie mam pojęcia, co sprowadza jego książęcą mość w te strony. Wiem jednak, że wszedł na pokład „Argusa” z dokumentami opatrzonymi królewską pieczęcią. Książę nie należy do mojej załogi i nie podlega mojej komendzie, toteż nie mogę składać żadnych przyrzeczeń w jego imieniu. W tej sytuacji nie mogę też ręczyć, że moi ludzie zechcą podpisać z wami umowę. Inaczej mówiąc...

- Daruj sobie resztę, mój chłopcze - przerwał mu Crisp. - Jużeśmy się połapali, skąd wiatr wieje.

- Gdzie on teraz jest? - spytała Juliet ze znużeniem. Przeklinała chwilę, gdy po raz pierwszy mignął jej przed oczyma fiołkowy aksamit.

Crisp przechylił głowę na bok.

- Przenieśliśmy go na „Żelazną Różę”, zgodnie z rozkazem.

- Czym rozkazem?... A prawda, moim. Co z dokumentami? - zwróciła się do porucznika. - Domyśla się pan, co zawierały? I gdzie teraz są?

Beck odruchowo spojrział za burtę, jakby spodziewał się ujrzeć „Argusa” spoczywającego na dnie oceanu.

- Zapewne tam, gdzie reszta naszych dokumentów. Książę, o ile pamiętam, oddał je na przechowanie kapitanowi Macleodowi.

Juliet wymieniła dyskretne spojrzenie z Crisphem.

- Wobec tego rozwiązanie samo się nasuwa. Pan, poruczniku, i pańscy ludzie przejdziecie na „Santo Domingo” pod komendę pana Loftusa, a jego książęcą mość pozostanie w błogiej nieświadomości na pokładzie

„Żelaznej Róży”. Wystarczą nam trzy dni pomyślnego wiatru i spokojnego morza, porucznika. Potem, gdy galeon znajdzie się już w bezpiecznej kryjówce, otrzymacie przyrzeczony udział w łupach i zostaniecie przewiezieni do najbliższego brytyjskiego portu.

Porucznik Beck stanął na baczność.

- W takim razie, kapitanie, oznajmię o tym moim ludziom i od razu zabierzemy się do roboty.

Juliet uśmiechnęła się.

- Niech ktoś najpierw opatrzy panu ranę na czole. Inaczej wykrwaś się pan na śmierć i nie będzie z pana żadnego pożytku.

W odpowiedzi Beck uśmiechnął się - po raz pierwszy, odkąd opuścił tonącego „Argusa”. Od razu odmłodził o dziesięć lat i tym bardziej tragiczne wydało się Juliet okaleczenie tej chłopięcej twarzy.

Kiedy porucznik odszedł, zwróciła się do Crispa, uprzedzając wszelkie zastrzeżenia, które miał już na języku.

- Kiedy będziemy w pobliżu Gołębiej Rafy, każemy panu Beckowi i jego ludziom zejść pod pokład.

- Ale pełny udział w łupach?...

- Zasługują na to. Przyczynili się tak samo jak my do zdobycia „Santo Domingo”. Zresztą, sam widziałeś, ile tego jest w ładowniach, Nathaniel Stać nas na mały gest chrześcijańskiego miłosierdzia.

Odpowiedział burknięciem:

- Nadal uważam, że trzeba było wywalić całe to draństwo za burtę. Oszczędzilibyśmy sobie kłopotów.

Spojrzenie Juliet powędrowało w ślad za jego wzrokiem w stronę stłoczonych na pokładzie Hiszpanów. Kapitanowi Aquayo i jego oficerom oszczędzono upokorzenia, nie związane ich razem z innymi. Znajdowali się na rufie pod dobrą strażą. Prawie całkiem się już ściemniło, ale Juliet bez trudu rozpoznała parę czarnych oczu, które przesywały ją nienawistnym spojrzeniem od chwili, gdy wraz z Nathanem wspięli się na wysoki pokład dziobowy.

Oba wystrząły Juliet odstrzeliły płatki uszu *maestre* tak blisko twarzy, że pozostawiły czerwony ślad na policzkach. Koniec prawego ucha został całkowicie odcięty, lewy zwiisał na strzępku skóry, póki oficer w porywie wściekłości sam go nie oddał. Głowę spowijały mu teraz pokrważone bandaże tak szczelnie, że niewiele było widać prócz oczu płonących żądzą zemsty.

- Chyba lepiej było zastrzelić bydlaka od razu, niż tak go pohańbić - zauważył sucho Crisp.

- Ale dzięki temu będzie mnie wspominał, ilekroć spojrzy w lustro.

- Czuję w kościach, dziewczyno, że on o tobie nie zapomni nawet bez lustra!

### 3

Varian St. Clare wydał jęk godny umierającego i zmusił się do odwrócenia głowy w stronę światła, które przenikało jaskrawą czerwienią przez jego zamknięte powieki. Wnętrze ust miał obłożone jakimś kwaśnym nalotem, a język spuchnięty. W głowie mu dudniło, w uszach nieustannie były dzwony... a tego podłego bydlaka, który miał czelność głądzić i rechotać tuż obok niego, zastrzeliliby bez wahania, gdyby miał pistolet pod ręką.

Zaczął szukać go nieporadnie w okolicach pasa, ale natrafił tylko na własną skórę. Następnie wymacał kość biodrową i wyczuł pod palcami twardą płaszczyznę brzucha. Sunąc w górę, dotarł do owłosionej piersi i poczuł bicie serca pod mostkiem.

A więc żył - choć nie miał wcale pewności, czy jest się z czego cieszyć.

Był całkiem nagi, przykryto go cienkim, szorstkim kocem. Kiedy ustalił już to wszystko, jego rozkojarzone zmysły wróciły mniej więcej do normy. Zdał sobie sprawę, że lewy pośladek piecze go nieznośnie. To odkrycie w połączeniu z gryzącą wonią siarki sprawiło, że Varian zawałał się, nim otworzył jedno ciemnoniebieskie oko.

Spodziewając się, że ujrzy wokół siebie piekielne wyziewy i znajdzie się w otoczeniu szyszających z niego i szczerzących zęby demonów, zerknął ostrożnie spod rzęs.

Nie był w piekle. Nie znajdował się też na pokładzie „Argusa”. Gościł niejednokrotnie w obszernej kajucie kapitana Macleoda, ale to pomieszczenie z wielkim mosiężnym kołem zwieszającym się z sufitu było mu zupełnie nieznane.

Rozejrzał się z uwagą. Większość kajuty tonęła w głębokim cieniu. Co prawda z każdej szprychy mosiężnego koła zwiślały latarnie, ale paliła się tylko jedna z nich, powiększając czarną plamę sadzy na suficie. Nie mógł odgadnąć, czy to dzień, czy noc. Z prawej strony kajuty znajdował się szereg okien, ale wszystkie były zasłonięte ciężkimi płachtami.

Błysk metalu przyciągnął wzrok Variana do obitych ołowianą blachą półek biblioteczki, umocnionej z przodu metalową siatką. Potem



zauważył stojącą obok szafkę, która zawierała imponującą kolekcję broni palnej i prochownie. Oprócz szaf, na wyposażenie kajuty składały się jedynie ogromne biurko, jedno krzesło i przybita do podłogi niewielka umywalnia. Stały na niej miska i dzban z wodą. Łóżko, na którym leżał, zasługiwało raczej na miano półki wystającej z grodzi. Materac był stanowczo za wąski dla kogoś tak barczystego jak on, a w dodatku tak cienki, że Varian równie dobrze mógłby leżeć na gołej desce.

Nie był jedynym lokatorem tego dziwnego, spartańskiego pomieszczenia.

Na wąskiej ławce w nogach łóżka siedział Beacom. Zwiesił głowę, tak że podbródkiem dotykał piersi. Nad blatem biurka pochylało się dwóch mężczyzn, z których jeden studiował mapę i gryzmolił jakieś uwagi na marginesie, drugi zaś przyglądał się temu i od czasu do czasu kiwał głową, jakby porównywał notatki z własnymi przemyśleniami. Był niski, krępy i miał minę teriera przeżywającego rój os, który wpadł mu do pyska. Pierwszy, który notował coś na mapie, był wyższy, szczuplejszy i głowę miał owiązaną spłowiała niebieską chustką, spod której wystawał kasztanowy warkocz, sięgający połowy pleców.

Jakieś wspomnienie przebiło się przez tępy ból w czaszce Variana i nagle znalazł się znów w wirze bitwy. Tam po raz pierwszy ujrzał młokosa w niebieskiej chustce, przypartego do relingu przez trzech Hiszpanów. Chłopak dzielnie się spisywał, wywijając szpadą utalentowany i doświadczony szermierz, toteż Varian uznał, że musi interweniować, dopiero wówczas, gdy arkebuzer zaczął ładować swą strzelbę.

Ten moment pamiętał dobrze, podobnie jak to, że chwilę później zeskoczył na pokład „Argusa”, który eksplodował mu pod nogami. Potem już tylko ciemność... jakieś błyski... przelotne obrazy... Sztylet, tonący statek... i znowu ten młodzik!

Było coś szczególnego w jego głosie... I w jego wyglądzie...

Varian obrzucił doświadczonym okiem smukłą postać, zatrzymując wzrok nieco dłużej na zaokrąglonej linii bioder i obcisłych spodniach. U zbiegu ud nie było ani charakterystycznej wypukłości, ani osłaniającego męskość sączka!

Spojrzenie Variana powędrowało z powrotem do twarzy pod błękitną chustką. Upewnił się w swych pozornie niewiarygodnych podejrzeniach - to była kobieta! Pochylała się ze skupieniem nad mapami, płonąca latarnia wisiała dokładnie nad jej głową. Większość twarzy kryła się w cieniu - ale Varian wiedział już, że instynkt go nie zawiódł. To była kobieta ubrana w obcisłe spodnie i skórzany kubrak. To ją obserwował podczas walki na pokładzie galeonu!

Gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, że to ta sama osoba, rozproszyła-  
by je wytworna tolekańska szpada, wisząca u jej pasa. Dziewczyna zawadziła  
jej końcem o własny obcas, przysuwając się bliżej biurka. Była to broń równie  
wspaniała jak szpada Variana, wykonana przez mistrza płatnerskiego i wrę-  
czona mu osobiście przez króla Jakuba w dowód szczególnego uznania.

Varian zmusił się do zbadania jeszcze jednym spojrzeniem wnętrza  
kajuty. Tym razem mocniej przekrzywił głowę, chcąc zobaczyć, co kryje  
się w cieniu. Wtedy jego czaszkę przeszył tak straszliwy ból, że mimo  
woli wyrwał mu się jęk.

- O, Bogu niech będą dzięki! - W świetle latarni ukazała się postać  
Becoma, zasłaniając osoby stojące przy biurku. - Jego książęca mość  
przychodzi do siebie!

Varian usiłował coś powiedzieć, lecz z gardła wydobyło się tylko  
zdławione skrzeczenie.

- Kapitanie! - Beacom złożył ręce w błagalnym geście, zwracając  
się do kogoś w drugim końcu pokoju. - Mogę prosić o łyżeczek wina?  
Mam wrażenie, że jego książęca mość jest straszliwie spragniony!

- Stoi na kredensie. - Krępy mężczyzna wskazał butelkę machnię-  
ciem ręki. - Możesz mu sam nalać.

- Stokrotne dzięki, sir! Jest pan niezmiernie łaskawy!

Jego rozmówca burknął coś w odpowiedzi i wrócił do map.

Chwilę później na wargi księcia spłynęło kilka kropeł słodkiego czer-  
wonego wina. Napełniło mu usta... zwilżyło gardło... Zdołał jakoś po-  
łknąć to, czego nie wykrztusił w napadzie kaszlu. Gdy czarka się opróż-  
niła, nie odejmował jej od ust na znak, że chce więcej. Czekał jednak na  
próżno. Kobieta właśnie przekonywała Becoma, że podanie księciu jesz-  
cze jednej porcji trunku byłoby nierozważne.

- Chcesz, żeby wszystko zwymiotował? - perswadowała służące-  
mu. - Zaczekaj kilka minut. Jak nie zwróci tego, co połknął, dasz mu  
więcej. Oberwał mocno po głowie. Jeśli czaszka mu pękła albo dostał  
obrzęku mózgu, zmarnujesz tylko przednią malagę!

- Mojej czaszce nic się nie stało - wychrypiał Varian. - Gdzie ja  
jestem, u diabła?! I gdzie się podział Macleod?

- Kapitan Macleod nie żyje, wasza książęca mość - wyjaśnił po-  
spiesznie Beacom. - „Argus”, niestety, także jest stracony. Spoczywa na  
dnie oceanu.

- Poszedł na dno, powiadasz?

Varian zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć coś więcej.

- Zostaliśmy napadnięci przez podłych Hiszpanów - relacjonował  
Beacom. - Książę pan odniósł rany, kiedy nastąpił wybuch w prochowni

„Argusa”. Eksplozja wyrzuciła waszą książęcą mość w powietrze, a spadając, uderzył milord głową w maszt. A poza tym... - lokaj pochylił się niżej i ściszył głos do szeptu — ramię i pośladek waszej książęcej mości zostały ciężko poparzone. Spieczone niemal do kości! Kapitan zaaplikował jakąś okropną mieszaninę oliwy i terpentyny. Utrzymuje, że dzięki niej ból się zmniejszy, a rana czysto zagoi.

- Zmniejszy się? A jakże! - syknął Varian przez zęby. - Gadaj natychmiast, gdzie jesteśmy, u diabła?! I kim jest ta baba, co ośmiela się dyktować, ile mam pić wina i kiedy?!

W świetle latarni błysnęła ciemnoruda głowa. Okrywająca ją chustka jaśniała wśród mroku przejrzystym błękitem.

- Znajduje się pan na pokładzie mego statku, sir. A jako kapitan mogę tu dyktować każdemu, co ma robić, a czego mu nie wolno. Zrozumiano?

- Jako kapitan?

- Jako kapitan.

- Tego statku?

- Właśnie! - skinęła głową. - To „Żelazna Róża”.

Varian przymknął oczy i próbował zebrać myśli. Nazwa statku nic mu nie mówiła, ale w najwyższym stopniu było oburzające i nieprawdopodobne, by jakaś kobieta pełniła funkcję kapitana. Zwłaszcza że odniosła zwycięstwo nad potężnym hiszpańskim galeonem.

- Jeśli moja kajuta panu nie odpowiada - zauważyła sucho, zmuszając Variana do ponownego otwarcia oczu - obecny tu pan Crisp zawsze może rozwiesić hamak dla pana i pańskiego sługi w schowku na żagle.

Ponieważ dudnienie w głowie nie pozwalało księciu docenić w tym momencie jej zjadliwego poczucia humoru, Varian wolał pocieszyć się wspomnieniem wypitego przed chwilą wina. Był to bardzo dobry rocznik i w niczym nie przypominał kwaśnego klaretu, który wlewał w siebie beczkami kapitan „Argusa”.

- Powiada pani, że to jej kabina?

- Owszem.

- A zatem zaoferowano mi najlepsze pomieszczenie na statku. Przyjmuję z wdzięcznością.

Dziewczyna uniosła jednocześnie głowę i jedną brew. Odłożyła na biurko kawałek węgla, którym pisała, i spojrzała groźnie na Beacoma. Niemal wtopił się w ścianę pod jej wzrokiem.

- Pański służący twierdzi, że jest pan księciem.

- Dokładnie dwunastym księciem Harrow. Varian St. Clare, do usług, panno...

- Kapitanie - poprawiła go. - A ściślej „kapitanie Dante”. Aż dwunasty z kolei, powiada pan?

- Zazwyczaj nie żyjemy zbyt długo - warknął. - Dante?

Choć wypowiedział to nazwisko szeptem, przyprawiło go ono o tak gwałtowny ból głowy, iż musiał zacisnąć zęby, żeby nie dygotać.

- Chcesz mi wmówić, że osławiony rzezimieszek zwany Wilkiem jest kobietą?!

To pytanie, a zwłaszcza ton, jakim zostało zadane, sprawiło, że Juliet wyskoczyła zza biurka. Wystraszony Beacom wytrzeszczył oczy i zaczął wyczyniać jakieś straszliwe miny, starając się ostrzec Variana, by nie drażnił kobiety, która zbliżała się właśnie do łóżka. Gdy obrzuciła lokaja groźnym spojrzeniem, przerwał swą pantomimę i zapatrzył się w sufit. Skoro tylko odwróciła wzrok, Beacom splótł ręce w niemym błaganiu, by książe trzymał język za zębami.

- Niczego nie chcę ci wmówić, milordzie. Jestem Juliet Dante, a ten rzezimieszek, o którym wyrażasz się z taką pogardą, to mój ojciec Simon Dante.

- Twój ojciec?!

- Tak przynajmniej twierdzi - odparła zimno - i nie mam powodu w to wątpić.

- Ależ... nie miałem nic złego na myśli! - Varian uniósł rękę, by pomasaować skroń. - To była... naturalna reakcja na zdumiewającą wieść, że kobieta taka jak pani dowodzi okrętem bojowym!

- Książęcy umysł, jak widać, nie może tego znieść - odparła kwaśno. - Ale chciałabym wiedzieć, co ma znaczyć zwrot „kobieta taka jak pani”? Jaki rodzaj kobiet książe ma na myśli?

Varian przestał trzeć bolące czoło i wpatrywał się w nią przez chwilę. Wyraz jej oczu ostrzegł go, by nie działał pochopnie. To spojrzenie sprawiło, że jeżyły mu się włosy na karku. Niezwykłe, srebrnoniebieskie źrenice spoglądały śmiało i otwarcie, domagając się, by usprawiedliwił jakoś ów pogardliwy frazes, jeśli chce dożyć następnego dnia. Wpatrywały się w Variana sponad nosa, który widocznie był kiedyś złamany, bo przekrzywił się nieznacznie na jedną stronę. Cała twarz, choć domagała się porządnego mycia, była fascynującym połączeniem rysów, które - począwszy od ogromnych oczu po silnie zarysowaną brodę - świadczyły o tym, że z tą dziewczyną lepiej nie zaczynać!

O, nie! To nie była bezbronna, płochliwa gołąbeczka!

- Młode - odparł ostrożnie. - Chciałem przez to powiedzieć, że osobie równie młodej jak pani niełatwo udźwignąć brzemię tak wielkiej odpowiedzialności. Nie miałem na myśli nic obraźliwego, zapewniam!

Jego niezbyt zręczna wymówka wywołała cień uśmiechu na ustach Juliet.

- W takim razie powinna księciu poprawić humor informacją, że stojący obok mnie dżentelmen, który udaje, że potrafi liczyć w pamięci, to moja prawa ręka - kwatermistrz Nathan Crisp - stary jak Belzebub!

- Też coś! - zaproponował Crisp.

Varian nadal wpatrywał się w twarz dziewczyny. Przed wyjazdem z Anglii zapoznał się z każdą wiadomością i pogłoską na temat Simona Dantego. Studiował dokumenty w języku angielskim, francuskim, holenderskim, a nawet hiszpańskim z ostatnich trzydziestu lat. Wiedział, że dwóch synów Wilka poszło w ślady swego ojca. Nigdzie jednak nie znalazł wzmianki o córce, zwłaszcza takiej, która dowodziła własnym statkiem kaperskim!

Musiał skrzywić się pod ciężarem swoich myśli, gdyż nieoczekiwanie dziewczyna wyciągnęła rękę i dotknęła jego czoła. Jej palce były długie i chłodne, i choć zaraz je cofnęła, Varian czuł ich dotyk znacznie dłużej.

- Nie ma gorączki, wina pan nie zwrócił... Sadzę, że oprócz dzwonienia w lewym uchu nic księciu nie dolega.

- Skąd pani o tym wie?

Znów wyciągnęła rękę - tym razem, by zdrapać plamkę zaschniętej krwi z jego szyi.

- Znalazłeś się, milordzie, bardzo blisko miejsca wybuchu. Masz szczęście, że całkiem nie ogłuchłeś!

- Beacom powiedział, że opatrzyła pani moje rany. Czyżbyś pełniła nie tylko obowiązki kapitana, ale i lekarza pokładowego?

- Z konieczności każdy musi znać się po trosze na wszystkim. Niestety, nie możemy sobie pozwolić na własnego medyka. Ciesła okrętowy posługuje się zręcznie piłą i wiertłem, toteż jemu zwykle powierzamy najpoważniejsze obrażenia. Jeśli ktoś odniesie ranę, to zszyje mu ją żaglomistrz. A potłuczone głowy i posiniaczone zadki opatruje ja. Nie zagrażający ci i nie wymagają specjalnej troski mimo-tu zmierzyła gniewnym wzrokiem Beacoma - nieustannych biadoleń pańskiego sługi.

Varian zdobył się na uśmiech.

- Proszę wybaczyć memu lokajowi nadgorliwość! Służył memu ojcu i mojemu starszemu bratu, nim zaopiekował się mną. Ma żelazne zasady co do tego, jak każdy - łącznie ze mną - powinien się zachowywać.

Chociaż Juliet nie zadała mu żadnego pytania, wyjaśnił dokładniej:

- Prawdę mówiąc, miałem dwóch starszych braci, ale żaden nie okazał się dość przezorny i nie postarał się o syna i spadkobiercę, toteż zostałem - w braku innych kandydatów - dwunastym księciem Harrow. To

ciężki i nużący obowiązek, ale cóż? Wziąłem go na siebie i muszę wypełniać najlepiej jak potrafię. - Varian zamilkł na chwilę. Jego uśmiech stał się bardziej uwodzicielski. Widać było, że przywykł zdobywać nim kobiece serca i względy. - Czy wolno mi przyznać, kapitanie, że ogromne wrażenie sprawiła na mnie znajomość sztuki szermierczej, jaką zademonstrowała pani na pokładzie galeonu? Nie potrafiłbym wymienić nawet dziesięciu spośród moich znajomych, którzy sprawiliby się tak chwacko!

- Nie walczę dla popisu, milordzie. Walczę, żeby przeżyć.

- Być może, jednak dla kobiety...

Varian urwał, czując ostrzegawcze drgnienie w piersi, kiedy Juliet Dante znów skierowała na niego swe niezwykle oczy.

- ...dla tak młodej kobiety - poprawił się - poręczniejsza byłaby nieco lżejsza szpada. Pani lewe ramię ma tendencję do opadania, kiedy się trochę zmęczy. Bardziej spozstrzegawczy przeciwnik może to wykorzystać.

Juliet uniosła brwi.

- Mówisz jak ekspert, milordzie! Czyżbyś się znał na czymś jeszcze oprócz pióropuszy, koronkowych żabotów i innych ozdóbek?

Beacom wypuścił powietrze, które zbyt długo wstrzymywał.

- Na litość boską, madame! Jego książęca mość jest jednym z najsłynniejszych szermierzy w całej Anglii!... Co mówię, w całej Europie! A ta szpada to podarunek od miłościwie nam panującego króla Jakuba I. Wręczył mu ją osobiście! Co więcej, od wielu lat ta klinga była zawsze na usługi naszego władcy i broniła ojczyzny w każdej potrzebie. Jego książęca mość był dowódcą Gwardii Królewskiej, zawsze lojalnym i...

Varian rzucił rozgadanemu lokajowi spojrzenie, które natychmiast go uciszyło. Kilka ostatnich pochwalnych frazesów wymówił bezgłośnie szeptem.

Nie można jednak było cofnąć tego, co zostało wypowiedziane. Varian dostrzegł na twarzy Juliet Dante wyraz niesmaku, jakby doleciał ją jakiś przykry zapaszek.

- Ach, tak? - Skrzyżowała ramiona na piersi i zmarszczyła brwi. - A więc znajdujemy się w kompanii zaufanego sługi Jakuba I! Byłego przywódcy królewskich lokajów, tak?

- Ależ, madame! - zaprotestował Beacom, wymachując chudym palcem. - Wszystko się pani poplątało! Mówiłem o lojalnym dowódcy Gwardii Królewskiej!

Juliet powiedziała, nie odwracając oczu od St. Clare'a:

- Panie Crisp! Jeżeli ten nieznośny człowieczek wykrztusi choć jedno słowo więcej, wyprowadź go na galerię i wyrzuć za burzę.

- Tak jest, kapitanie. Z przyjemnością! - Crisp uśmiechnął się od ucha do ucha. — Jeśli umie szybko pływać, może jeszcze dogoni tych Hiszpanów!

Varian był wyraźnie zaszokowany.

- Wyrzuciliście hiszpańskich jeńców za burtę?...

- Coś w tym rodzaju - odparła sucho Juliet. - Wysadziliśmy ich na płyciźnie, jakieś sto metrów od atolu; spokojnie mogli dotrzeć tam na piechotę. A co sprowadza waszą księżęcą mość na Karaiby?

- Sprawy osobiste - odparł zwięźle Varian. - Nie powinny cię obchodzić, kapitanie.

Przez ułamek sekundy zdawało się, że Juliet chwyci za rękojeść szpady.

- Porucznik Beck powiedział, że „Argus” był statkiem kurierskim i zmierzał do New Providence. Dziwne, że właśnie na jego pokładzie angielski arystokrata wyruszył na spotkanie przygody! Chyba że przybył tutaj z królewskiego rozkazu, by rozdawać egzemplarze Biblii Króla Jakuba, uzdrawiać nasze pogańskie dusze i tępić grzeszne nałogi!

Crisp parsknął śmiechem, a Varian rzucił Juliet mordercze spojrzenie.

- Może ktoś uznałby za wspaniałą przygodę żeglowanie na koniec świata w przeciekającej balii, ale zapewniam panią, że dla mnie były to piekielne męki.

- Więc po co pchać się do nas, milordzie? I proszę nie obrażać mej inteligencji, zaprzeczając, że jesteś jednym z królewskich sługusów, przysłanych tu po to, by szafować frazesami o dobrodziejstwach pokoju!

- Nie jestem niczym sługusem.

- A ja nie jestem naiwną gąską! Od pięciu lat król przysyła nam tu całe chmary wysłanników i każdy z nich śpiewa na tę samą nutę. Mamy przestać napastować hiszpańskie okręty, a najlepiej wynieść się z Karaibów! Podejrzewam, że ten pomysł nie wyszedł od samego króla. Zbyt chętnie wyciąga swoją królewską rękę po przesyłaną mu do Londynu część łupów. Ale ci wysłannicy uważają widocznie, że gdy przestaniemy nękać Hiszpanów, Filip III z radością otworzy swe porty dla uczciwego handlu. Ostatni błazen, który tu przybył, wymachując ciężkim od pieczęci pergaminem, groził nawet unieważnieniem wszystkich listów kaperskich! Możesz sobie wyobrazić, milordzie, jak te pogróżki nas przeraziły. O mało nie pogubiliśmy portek ze strachu.

Choć w jej głosie brzmiała pogarda, Varian mimo woli był zafascynowany energią, z jaką wypowiadała słowa. W jasnoblękitnych oczach Juliet zapłonęły lazuruowe iskierki, nadając im zupełnie nowy wyraz. Kilka minut temu wyrażały jedynie pobłażliwe lekceważenie, teraz dostrzegł w ich głębi tyle gniewu i namiętności, że zaparło mu dech. Twarz jej się

rozpłomieniła, co wzmogło jeszcze urok lekkiej opalenizny. Skóra dziewczyny promieniała świeżością. Varian mimo woli zadawał sobie pytanie, jak też by wyglądała bez tej spłowiałej chustki, z rozpuszczonymi włosami, opadającymi na ramiona?

-I co ty na to, milordzie?

Zamrugał nieprzytomnie oczami.

- Na co?

- Czy naprawdę wierzysz, że Hiszpanie uszanują traktat pokojowy z Anglią? Czy możesz mieć co do tego jakieś złudzenia po niczym nieusprawiedliwionej napaści na wasz statek? Ha! Nie możesz być aż tak głupi! Nie było tu pokoju od stu lat! A sam fakt, że król i jego ministrowie przysyłają nam teraz księcia w fikuśnym pióropuszu, by sypał nędznymi pogroźkami, niczego nie zmieni.

Skronie Variana pulsowały znowu bólem. W słownym pojedynku ta dziewczyna miała nad nim wyraźną przewagę. Ranny, nagi, unieruchomiony w łóżku, musiał znosić to, że smaga go swą pogardą. Ale mimo zřęczności, z jaką walczyła i dyskutowała, mimo usmolonej twarzy i zakrwawionej odzieży, nie przestała przecież być kobietą... a on nigdy jeszcze nie spotkał kobiety, której nie zdołałby usidlić uśmiechem i przymilnym słówkiem. Tylko że Juliet wydawała się kompletnie nieczuła na jego urok. Nie wzbudził w niej lęku, nie zaimponował jej książęcym tytułem ani szczytną funkcją królewskiego wysłannika. Najwidoczniej nie przejęła się nawet tym, że przed chwilą zagroziła śmiercią jednemu z parów Anglii!

Wyczytała widać niektóre z tych myśli z wyrazu jego twarzy, z nagłego zaciśnięcia szczęk, bo pochyliła się ku niemu i uśmiechnęła.

-Zrozum wreszcie, milordzie, że nie jesteś w Londynie ani na królewskim dworze! Na pokładzie tego statku nie masz ani przyjaciół, ani władzy, ani autorytetu, ani wpływów. Nie imponujesz tu najnędzniejszemu z majtków! Na pokładzie „Żelaznej Róży” władzę sprawuję ja i tylko ja! Jestem tu królową księżniczką i najwyższą kapłanką. To ja zdecyduję, czy pozostaniesz tu jako nasz gość, czy staniesz się zerem pierwszego stada rekinów, na które się natkniemy. Gdybyśmy nie nadpłynęli w samą porę, Hiszpanie zatopiliby wasz statek i zadbali o to, by nie ostał się żaden świadek. Nie łudź się, milordzie. Potrafię zrobić to samo i nie spędzi mi to snu z powiek!

Varian wpatrywał się w jej oczy - nieubłagane, zimne jak lód - i nie miał wątpliwości, że dziewczyna mówi prawdę. Nie wierzył w ślepy traf. Zakrawało to na cud, że mimo wszystkich przeciwności losu, znajdował się teraz w towarzystwie córki jednego z ludzi, dla których opłynął pół



świata. Nie wątpił jednak, że ta dziewczyna przysporzy mu wielu kłopotów i nie ułatwi wykonania zadania, z którym go tu przysłano.

Osiągnąwszy swój cel i wyjaśniwszy ostatecznie sytuację, Juliet Dante odwróciła się bez słowa i powróciła do biurka. Crisp, który - jak Varian zdążył zauważyć - nie lubił dużo gadać, rzucił księciu uśmiešek, jakim obdarza się zazwyczaj przygłupów i nieznośne bachory.

St. Clare wziął głęboki wdech, żeby się opanować. Wino, które sprawiło mu początkowo taką przyjemność, teraz burczało mu głośno w żołądku i podchodziło do gardła jak kipiący kwas.

- Bardzo przepraszam, kapitanie, czy mógłbym się przynajmniej dowiedzieć, gdzie się teraz znajdujemy i dokąd zmierzamy?

Juliet odpowiedziała, nie odrywając oczu od map.

- Znajdujesz się, milordzie, w odległości mniej więcej sześćdziesięciu mil morskich od miejsca, gdzie zatonał „Argus”, a zmierzasz tam, dokąd ja i moja załoga postanowimy cię zawieźć.

- Nie chcesz mnie chyba zatrzymać dla okupu, kapitanie? Jeśli tak, winienem cię uprzedzić, że król jest wyjątkowo... oszczędny. Bardzo wątpię, by wiele zapłacił za przyjemność oglądania mnie z powrotem w Londynie.

- Gdybym miała czas, by cię odstawić do jakiegoś brytyjskiego portu, sir, pozbyłabym się takiego kłopotliwego gościa całkiem darmo!

- W takim razie, kapitanie Dante, byłbym ogromnie zobowiązany, gdyby zawiozła mnie pani do swego ojca.

- Słucham?!

- Powiedziałem...

- Słyszałam, coś powiedział, milordzie, równie dobrze jak twoje zapewnienia sprzed pięciu minut, że nie jesteś jednym z królewskich sługusów.

- Stwierdziłem tylko, że nie jestem niczym sługusem. Nie zaprzeczyłem, że zostałem wysłany do tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziury, by spotkać się z pani ojcem.

- W jakim celu?

- Nie jestem upoważniony do omawiania tej kwestii w chwili obecnej. Mogę powiedzieć tylko tyle, że gdyby „Argus” dotarł szczęśliwie do New Providence i gdyby spotkał się, powiedzmy, z kapitanem Davidem Smithem lub Frederickiem Mountsem, czy którymkolwiek z tuzina innych kaperów, mógłbym wypełnić królewskie zlecenie i wrócić do Londynu najbliższym statkiem. Sam fakt, że nasze drogi się dziś skrzyżowały i że pani ojcem jest Simon Dante - jeden z ludzi, z którymi poleciono mi nawiązać kontakt - nie ma większego znaczenia poza tym, że stanowi niezwykle zbieg okoliczności i znacznie upraszcza sprawę.

- Nie wierzę w niezwykle zbiegi okoliczności, sir.

- Ja również. Wszystko jednak wskazuje na to, że tym razem ten fenomen się wydarzył. Możemy wykorzystać tę okazję albo ją zaprzepaścić. Decyzja należy do ciebie, kapitanie.

Juliet stała znów pod latarnią. Chustka na jej głowie lśniła, jedwabiste pasemka miedzianych włosów okalały jej twarz płomienną grzywą. Powietrze było nieporuszone, zapadła cisza jak przed uderzeniem gromu. Było tak cicho, że Varian słyszał, jak drżące kolana Beacoma uderzają o siebie.

- Londyn - odezwała się po dłuższej chwili Juliet - cuchnie podobno gorzej niż ściek okrętowy. A jego mieszkańcy są tak kulturalni, że wylewają przez okno brudy na przechodniów. Słyszałam także, że król - kącki jej ust wygięły się w niewesołym uśmiechu - przedkłada nade wszystko towarzystwo ładnych chłopców strojnych w pióropusze i aksamity.

Varian nie dał się złapać na przynętę. Uniósł się nieco wsparty na łokciach i wskutek tego przykrycie zaczęło się osuwać z jego nagiej piersi i ramion. Wywołało to pierwszą czysto kobiecą reakcję Juliet. Zmierzyła wzrokiem potężną pierś, twarde mięśnie i kształtną męską postać. Wszystko to nie zasługiwało na pogardę. Jednakże St. Clare drogo zapłacił za ten niewinny popis męskiej próżności. Głowa omal nie pękła mu z bólu, a kajuta zawirowała przed oczyma. Zdołał jednak utrzymać się w pozycji siedzącej i nie przewrócił się na łóżko.

- Zabierz mnie do swego ojca, kapitanie - wykrztusił przez zaciśnięte zęby. - A jeśli on każe mnie wyrzucić za burtę... niech i tak będzie. Przynajmniej spełnię powierzone mi zadanie.

Crisp prychnął pogardliwie.

- A to się rekiny ucieszą! Taki obowiązkowy mężczyzna to rzadki specjał!

Juliet uśmiechnęła się w zadumie. Zatrzasnęła wieko szafki z busołą i zaczęła zwijać mapy.

- Doskonale, milordzie! Wyjednam ci to upragnione posłuchanie. Nie dlatego, że tak o nie zabiegasz, ale dlatego, że musimy czym prędzej wracać do domu. Jeśli utrzyma się pomyślny wiatr, do północy pokonamy następne sześćdziesiąt mil i dotrzemy do celu najpóźniej w piątek, za trzy dni. Do tego czasu może Crisp znajdzie jakąś koszulę i spodnie, żebyś nie musiał czerwienić się ze wstydu!

- Czy nie prościej zwrócić mi moje własne ubranie? Beacom!

Lokaj zbłądł jak wosk, oczy niemal wyszły mu z orbit.

- Obawiam się, że to niemożliwe, wasza książęca mość. Wszystko, co książę pan miał na sobie, albo się zwęgliło, albo trzeba było porzucić, by dotrzeć do obrażeń i opatryć je.

- Wszystko? Cały mój przyodziewek?!  
- Razem z bielizną, milordzie.  
- A co z moim osobistym bagażem? Kuframi, książkami... dokumentami?!

- Przepadły, wasza książęca mość. Wszystko poszło na dno razem z „Argusem”. Z wyjątkiem szpady... O, tu wisi! - Lokaj odsunął się pospiesznie na bok, ukazując broń, która zwisała z kołka za jego plecami. - I pańskich butów, milordzie.

- To byś dopiero zadał szyku! - zachichotał Crisp. - Ale na twoim miejscu nie paradowałbym w takim stroju po pokładzie. Zaraz by ci się ktoś dobrał do tyłka, ani byś się obejrzał!

- Nigdzie nie będzie paradował - oświadczyła stanowczo Juliet. - Tu się ciężko pracuje! Czeką nas mnóstwo roboty, nim staniemy na kotwicy. Nie życzę sobie pasażerów wywołujących ogólną sensację i odrywających moich ludzi od obowiązków!

Varian przyglądał się, jak dziewczyna chowa mapy w bocznych przegródkach biurka. Warkocz ciemnorudych włosów zsunął się jej z ramienia, kiedy się pochyliła. Książę aż palce świerzbiły, by go owinać jej wokół szyi i zaciskać, póki ta jędrza nie odgryzie sobie bezczelnego ozora! Zdławił jednak tę nagłą pokusę, a nawet zapanował nad wyrazem twarzy. Gdy Juliet zerknęła w jego stronę, zanim opuściła kajutę razem ze swym pomocnikiem, ujrzała tylko uprzejmy, choć nieco wymuszony uśmiech.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Beacom obrócił się jak fryga i wczepił palcami w przykrycie tak kurczowo, że omal go nie ściągnął z łóżka.

- O, miłosierny Boże! Myślałem, że już po nas, milordzie! Wpadliśmy w szpony straszliwych piratów! Jesteśmy zakładnikami! Jeńcami! Więźniami zdanymi całkowicie na ich łaskę i niełaskę! Będą nas smagać, przypiekać, powyrywają nam paznokcie rozpalonymi cęgami, utną nam języki, a w końcu pokroją nas na kawałki i rzucana pożarcie rekinom!... Jak wasza książęca mość mógł prosić o dalszą gościnę na ich pokładzie?! Jak książę mógł drażnić się z tą wiedźmą, nie zważając na nasze bezpieczeństwo?... Jak mogłeś, panie, nie błagać o wysadzenie nas na brzeg przy pierwszej sposobności?!!

Varian odrzucił przykrycie i spuścił nogi z łóżka. Wywołało to gwałtowny ból w całym poranionym ciele, ale zbyt był wściekły, by na to zważać.

- Będą nas smagać, przypiekać, a w dodatku rzucana pożarcie rekinom? Ładną nam przyszłość zwiastujesz, Beacom!

- I nie bez racji, wasza książęca mość! Czy od wyjazdu z Londynu nie karmiono nas przez sześć tygodni opowieściami o tym wilkołaku,

który -jak ta jędza sama powiada - jest jej ojcem?! Czyż nie stawały nam włosy na głowie, gdy słuchaliśmy o męczarniach, jakie zadawał swym jeńcom Simon Dante?! Czy nie przekonał się książę na własnej skórze, że ta piratka nie czuje żadnego respektu dla lepszych od siebie?!

- Obawiam się, że tylko potężne lanie nauczyłyby ją moresu. Gdzie się, u diabła, podziało wino?

Beacom wskazał butelkę, nie wypuszczając z rąk przykrycia. Varian pomaszerował na golasa do kredensu i z ciężkiej zielonkawej flaszki nalał sobie wina do kielicha. Opróżnił go trzema spiesznymi, hałaśliwymi łykami i napełnił ponownie.

- Opanuj się, człowieku! - rzekł, mieżąc lokaja groźnym wzrokiem. - Choć Simon Dante budzi trwogę w swoich wrogach, nadal pozostaje w królewskiej służbie. No... powiedzmy raczej, że był jednym z ludzi królowej... ale angielska flaga nadal powiewa na jego maszcie. Co się zaś tyczy córki... -Przerwał, by zaaplikować sobie nową porcję wina. - Mimo jawnie okazywanej pogardy dla Anglików, czyż nie przyszła z pomocą załodze „Argusa”, narażając swój statek na poważne niebezpieczeństwo? Widziałeś, jaki kolos z tego cholernego galeonu! Nasze kule odbijały się od jego kadłuba jak natrętne, ale nieszkodliwe komary. A teraz postaraj się o jeszcze jedną butlę wina i przestań, na litość boską, trząść się jak galareta!

W głosie Variana była jakaś nieugięta siła, która emanowała także z jego ciała o szerokich barach, płaskim, twardym brzuchu i długich, muskularnych nogach.

Choć wnętrzności Beacona skręcały się ze strachu na myśl o uszczupleniu zapasu trunków wojowniczej damy, zbyt dobrze znał temperament swego pana, który w tej chwili stanowił większe zagrożenie.

Pocieszając się myślą, że przynajmniej nie jest sam na okręcie tych straszliwych piratów, a jego pan zadziwiająco potrafi ugłaskać każdą przedstawicielkę płci przeciwnej, lokaj puścił wreszcie koc i poprawiłszy skrupulatnie pościel, ruszył w stronę szafki. Znalazł na półce tylko jedną butelkę. Gdy nalał z niej do kielicha Variana, okazało się, że zawiera jakiś bursztynowy płyn.

- O, Boże! Jakoś to... niestosownie wygląda, milordzie!

Varian uniósł kielich do nosa. Po raz pierwszy od chwili, gdy się ocknął, jego uśmiech był szczery, a oczy lśniły radością.

- Bynajmniej, Beacom! To jak najbardziej stosowny trunek. Rum - wyjaśnił, mrugnawszy wesoło i pociągnął z satysfakcją długi łyk. - Najwyśmienitszy i najbardziej krzepiący trunek pod słońcem!

- Wszelako, milordzie, należy zachować ostrożność i nie pić tak wiele naraz. Od dwunastu godzin książę pan nie miał nic w ustach!

Odrzuciwszy z pogardą ostrzeżenie lokaja, Varian wychylił kielich do dna. Przez chwilę czuł tylko miłe ciepło, gdy egzotyczny napój spływał mu do żołądka. Ostatecznie, nieraz już pijał mocne trunki! Jednak zaraz potem ciało księcia zdrtwiało od pasa w dół, a kolana załamały się pod nim. Runąłby jak kłoda i porządnie się potłukł, gdyby Beacom nie schwycił go pod pachy.

- Trzymam waszą książęcą mość - zapewnił, usiłując zachować równowagę. - Czy mam pana zaprowadzić z powrotem do łóżka, milordzie?

Varian nie był w stanie mówić, więc tylko skinął głową.

Kiedy leżał znów bezpiecznie na wąskiej koi, nabrał świeżego powietrza do płuc. Ale wówczas wszystko zawirowało mu jeszcze gwałtowniej przed oczami, a pożar w gardle nasilił się.

Beacom wylał do miednicy resztę rumu z kielicha i napełnił go wodą z cynowego dzbana. Książę opróżnił kielich dwukrotnie, nim zdołał ułożyć się na wznak. W jego głowie panował zamęt, a ciało piekło, jakby od wewnątrz trawił je ogień.

- Walczy jak mężczyzna - wychrypiał - cuchnie jak dziwka z targu rybnego i żłopie rum jak prosty majtek. Subtelna istotka z naszej kapitan Dante... kiedy wraz ze swą hołotą nie grabi hiszpańskich galeonów!

- Albo podrzyna gardła nieproszonym gościom i rzuca ich na pożarcie rekinom.

Varian przewrócił oczyma.

- Może za dzień lub dwa zdołam się dowiedzieć, jak nakłonić ją do współpracy.

## 4

Juliet wspinała się po wantach tak samo zwinnie jak każdy majtek.

Zdobyła tę umiejętność tuż po tym, jak nauczyła się utrzymywać równowagę na pokładzie statku. Bocianie gniazdo na szczycie grotmasztu było jej ulubionym schronieniem. Siedząc tam, miała wrażenie, że znajduje się na szczycie świata. Jeśli statek otaczała gęsta mgła, Juliet wydawało się, że tonie w chmurach. W pełnym blasku dnia, gdy pasma jej gładkich, ciemnorudych włosów powiewały na wietrze, czuła się jakby fruwała w powietrzu. Tej nocy po niebie płynęły chmury opalizujące błękitem w zętknięciu z sierpem księżycy. Od zachodu dał silny wiatr, zwiastując nadciągający sztorm i unosząc daleko w morze korzenne wonie wysp.

W gruncie rzeczy Juliet nie spieszyło się jeszcze do domu. Zawsze wołała potężne morskie fale od miękkich białych piasków. Unieruchomiona na łądzie, czuła się nieswojo. Nie kwapiła się też do wyjaśniania ojcu, jakim cudem zwykły rejs, mający na celu przetestowanie nowych sterów, zakończył się uratowaniem załogi jednego statku i zdobyciem drugiego. Miała jednak nadzieję, że widok galeonu „Santo Domingo”, wpływającego do przystani na holu za „Żelazną Różą”, uśmierzy choć trochę ojcowski gniew.

Martwiła się też, jak ojciec zareaguje na obecność na pokładzie „Róży” królewskiego wysłannika. Kto wie, czy Crisp nie miał słuszności? Może byłoby lepiej wpakować jego książęcą mość wraz z lokajem do tej samej szalupy co hiszpańskich jeńców? Wszystko wskazywało na to, że z księciem Harrow będą kłopoty!

Niestety, „Żelazna Róża” była już spóźniona. Ojciec z pewnością codziennie wypatrywał ze szczytu wzgórza jej zagli. W dodatku w obecnej sytuacji musieli wracać na Gołębią Rafę okrężną drogą, co tylko powiększy opóźnienie. Trzeba najpierw zapuścić się dobrze na południe i upewnić, że za linią horyzontu nie czai się żaden wrogi okręt. Zaniechanie tych środków ostrożności było nie do pomyślenia. Gdyby jakiś statek puścił się w pościg za „Żelazną Różą”, straciliby kolejnych kilka dni, by wywieść w pole przeciwnika i wrócić na właściwy szlak.

Gołębia Rafa stanowiła od trzydziestu lat twierdzę jej ojca i choć Hiszpanie od samego początku usiłowali ją wytropić, nikt nie był w stanie odnaleźć doskonale zamaskowanej kryjówki Wilka. Po zaatakowaniu lub zdobyciu przez niego kolejnego galeonu wrogowie ślęczeli nad mapami. Na żadnej z nich nie zaznaczono jednak maleńkiej wyspy, która była wilczą kryjówką. Nawet angielskie statki nie znały dokładnej lokalizacji tego atolu. Po wieści z Anglii udawano się co jakiś czas do portu New Providence w zatoce Baja Mas, gdzie docierali królewscy wysłannicy. Raz do roku do Anglii wyruszał statek rodziny Dante, wioząc na pokładzie królewski udział w zdobyczach z ich kaperskich wypraw. Podczas jednego z takich rejsów Jonas i Gabriel zwiedzili Londyn. Juliet nigdy nie była go specjalnie ciekawa. Stokroć wołała gorące słońce i słone morskie powietrze od londyńskiej mgły, węglowego pyłu i wiecznie siąpiącego deszczu.

Jej ukochany dziadek Jonas Spence sprawował pieczę nad tym przewozem aż do swej śmierci przed czterema laty. Juliet gorąco kochała tego starego grzesznika. Cały czas się przechwalał i wrzeszczał... ale wnuczka często marzyła o tym, jak cudownie byłoby żeglować z dziadkiem i ojcem w kompanii takich sław, jak sir Francis Drake, John Haw-

kins czy Martin Frobisher w czasach niezapomnianych triumfów Morskich Jastrzębi królowej Elżbiety.

Gdyby nie zuchwałe męstwo dziesiątków kaperów, Anglia nie dysponowałaby flotą, zdolną obronić kraj przed inwazją Niezwyciężonej Armady. Nie zdobyłaby także ustalonej pozycji w Nowym Świecie.

Filip II próbował dwukrotnie - dwa lata po klęsce Wielkiej Armady oraz dziesięć lat później - zgromadzić wystarczającą liczbę okrętów do ponownego zaatakowania angielskich wybrzeży. Jednak żadna z obu jego flot nie opuściła macierzystego portu. Kiedy rządy objął Filip III, po raz kolejny próbowano przetrzebić angielską flotę na Karaibach. Najbardziej widoczne zmiany wprowadzono w uzbrojeniu statków. Galeony, takie jak „Santo Domingo”, wyposażone w pięćdziesiąt cztery działa, zastąpiły poprzednie okręty patrolowe, które miały na pokładzie czterdzieści lub trzydzieści dział. Poza tym w zbrojnych konwojach stopniowo malała liczba statków handlowych, rosła zaś liczba eskorty, która gwarantowała, że cenny ładunek dotrze bezpiecznie do Hiszpanii. Kaperzy, tacy jak Simon Dante, kapitan David Smith czy kapitan Frederick Mounts, robili co mogli, by to udaremnić.

Z oryginalnego stada Morskich Jastrzębi, którym przewodził wielki „el Draque” - Francis Drake - jedynie Simon Dante nadal pływał po Karaibach i wymykał się Hiszpanom mimo ich starań, aby dostać go w swoje łapy. Nagroda, jaką wyznaczili za dostarczenie im *Pirata Lobo*, jak go nazywali, żywego czy umarłego, doszła już do takiej wysokości, że mogła skusić nie tylko hiszpańskie hieny. Juliet nie żywiła co prawda podejrzeń wobec Variana St. Clare'a. Nie wątpiła, że księżę przybył tu wyłącznie po to, by wręczyć ojcu jeszcze jeden z królewskich apeli o pokój. W dodatku było mało prawdopodobne, by płatny morderca podróżował z lokajem, który dygocze i mdleje na widok sztyletu. A jednak tajemniczość i wymijające odpowiedzi Variana irytowały ją.

Po zastanowieniu uznała, że z dwojga złego lepiej będzie zabrać księcia Harrow na Gołębią Rafę, a potem niech sobie z nim radzi Wilk. Dotrą do niego już za trzy dni. By utrudnić Varianowi opuszczenie kajuty, Juliet z premedytacją pocięła jego ubranie na strzępy podczas opatrywania ran. Leżał więc nagusieńki pod kocem, kipiąc z gniewu. W tej sytuacji powinna sobie z nim poradzić, tym bardziej że nękała go frustracja. Zdany był przecież na łaskę i niełaskę „słabej kobiety”.

Juliet wykrzywiła się i cisnęła kłębkiem paku w otaczający ją mrok.

Słabej kobiety! Od bardzo dawna nikt jej tego nie wytykał. Nie można przetrwać na wyspie w pobliżu hiszpańskich szlaków wodnych, nie umiając posługiwać się szpadą, sztyletem i muszkietem. Ojciec Juliet - tegi szermierz - nauczył ją fechtunku, gdy tylko mogła utrzymać szpadę

w dłoni. Wbijał przy tym córce do głowy, że Bogu należy powierzyć troskę o nieśmiertelność duszy i życie wieczne, ale wyłącznie od jej sprawności w posługiwaniu się bronią palną i białą zależy, czy nie zawita do Jego królestwa zbyt wcześnie.

Kolejnej lekcji udzieliła Juliet matka. Isabeau nauczyła ją błyskawicznego i sprawnego zabijania. Sekunda wahania mogła zdecydować nie tylko o jej własnym życiu, ale i o losie podkomendnych, którzy jej zaufali. Na całym oceanie nie było załogi, która poszłaby za wodzem wzdygającym się na widok krwi albo okazującym choćby cień słabości tam, gdzie niezbędna była siła i niezłomne męstwo.

Blizny na ciele Juliet świadczyły o nim dobitnie.

Musiła pozyskać nie tylko lojalność i zaufanie swoich ludzi, ale również ich szacunek. Chociaż większość załogi „Żelaznej Róży” gotowa była porąbać na kawałki każdego, kto ośmieliłby się łąpać na ich kapitana pożądlivym okiem, znalazło się kilku takich, którzy uznali Juliet za smakowity i łatwy do zdobycia kąsek, mogący umilić im chłodne noce. Wypiwszy zbyt wiele rumu, przewracali oczyma i nie panowali nad rękami, ale szybko i boleśnie przekonywali się, że Juliet nie jest łatwą zdobyczą. Minęło co prawda kilka lat od chwili, gdy utraciła swą niewinność, ale uczyniła to z własnej woli i na własnych warunkach.

Jej pierwszym kochankiem był Dominie du Lac. Wysoki, zielonoki Francuz o wymownym języku nie był może wyjątkowo piękny, ale zawsze umiał rozbawić Juliet. Zbierał polne kwiaty i wplatał jej we włosy. Uparł się, że nauczy ją ubierać się jak rodowita Francuzka. Potem, z równym zapałem i pieczołowitością pokazał jej, jak pozbyć się całej garderoby - sztuka po sztuce. Gdy lekcja się skończyła, oboje byli nadzy i pragnęli dać upust namiętności, którą tak umiejętnie rozbudził.

Miesiąc później Dominie zmarł na żółtą febrę, ale przez ten krótki czas, który spędzili razem, Juliet dowiedziała się od niego niezwykłych rzeczy o własnym ciele. Wprowadził ją w świat rozkoszy i namiętności, w którym nie mogła długo pozostać samotna.

Po Dominicu miała jeszcze trzech kochanków. Każdy z nich był niezwykły na swój sposób i choć żaden nie przypawił jej serca o romantyczne drzenie, dawali jej rozkosz, którą dzieliła z nimi bez wstydu i skrępowania. Ostatni romans zakończył się przed rokiem, nagle i definitywnie, jak to zwykle bywa wśród ludzi morza, gdy poczującego nieprzeparty zew. Prawdę mówiąc, od wielu miesięcy Juliet nie spotkała mężczyzny, który wzbudziłby w niej zainteresowanie. Może właśnie dlatego poczuła wyraźny niepokój we krwi, gdy przecięła ostatnią warstwę ubrania i ujrzała nagie ciało księcia.



Crisp z początku sprzeciwiał się przeniesieniu rannego do kapitańskiej kajuty, ale tylko tam znajdowało się prawdziwe, choć niezbyt wygodne łóżko. Juliet odstąpiła mu je bez żalu, gdyż większość nocy spędzała na hamaku rozwieszonym w niewielkiej galerii na rufie, gdzie kołysał ją do snu szum fal, rozbijających się o kadłub okrętu.

Trzeba przyznać, że wygląd księcia zaskoczył ją i zaintrygował. Słyszała, że wszyscy angielscy arystokraci to mięczaki, że są drobni i zniewieściali. Ten jednak był wysoki i potężnie zbudowany, miał mocno zarysowaną klatkę piersiową i ramiona, sprężyste ciało i twarde mięśnie. Ciemne włoski pokrywające pierś były gęste i jedwabiste, a na brzuchu tworzyły pasemko grubości palca, które u zbiegu ud rozrastało się w szorstką kępkę.

W tym miejscu spojrzenie Juliet zatrzymało się nieco dłużej niż było to konieczne, gdyż natura wyposażyła księcia niezwykle szczerze. Na pokładzie statku nagość była czymś zwykłym, toteż Juliet widywała męskie organy wszelkich kształtów i rozmiarów. Najbardziej wyróżniał się pod tym względem ogniomistrz jej ojca, Lucifer. Choć książęce przyrodzenie nie mogło równać się z mieczem tego upadłego anioła, jego widok przyprawił Juliet o miły dreszczyk.

Demonstracyjny kaszel zgorszonego lokaja skłonił ją do osłonięcia jego książęcej mości od pasa w dół. Zdażyła jednak zauważyć, że mięśnie jego ud są twarde jak dębina, co sugerowało, że książę jest zapalonym jeźdźcem i doświadczonym szermierzem, niezaniebującym codziennych treningów dla partii kart czy gry w kości.

Sińce powinny zniknąć w ciągu paru dni. Miał szczęście, że grubo watowane odzienie uchroniło go od poważniejszych oparzeń. Bardziej niepokojący był guz na głowie. Nie miała pojęcia, czy kość pod spodem nie została strzaskana. To, że odzyskał przytomność, nie wykluczało krwawienia wewnętrznego. Juliet widywała już mężczyzn z podobnymi obrażeniami, którzy pozornie wychodzili z bitwy bez szwanku, by po kilku dniach paść nagle trupem, krwawiąc z nosa i uszu.

To, że Varian St. Clare był arystokratą, nie zaimponowało Juliet ani nie przysporzyło mu popularności wśród załogi. Drzewo genealogiczne Simona Dantego sięgało korzeniami do czasów, gdy Anglia była we władaniu dzikich Saksonów. Dwunasty z kolei książę nie zrobiłby na Wilku silniejszego wrażenia niż na jego córce. Jeśli więc Varian chce zachować skórę w całości, powinien okiełznać swą arogancję i nie zadzierać nosa.

Juliet pozwoliła, by wiatr wyrwał jej z palców resztkę pakuł. Potem z kocią zręcznością przeszła po rei, sprawdzając, czy zachowuje równowagę podczas przechyłów statku. Bez żadnej asekuracji, bez czegokolwiek,

co mogłoby złagodzić skutki upadku, była to niebezpieczna zabawa. Ależ by się Nathan Crisp rozwrzeszczał, gdyby ją przyłapał na takich sztucz-kach! Co prawda większość majtków biegała po rejach od rana do nocy, jakby to była fraszka, ale żaden z nich nie był córką Simona Dantego, Gdyby któregoś z nich podniesiono z pokładu w kawałkach, najwyżej ten i ów cmoknąłby językiem lub potrząsnął głową, ubolewając nad jego głupotą.

Juliet dotarła do końca rei i wykonała wdzięczny piruet. Dwanaście metrów pod nią pokład tonął w mroku, wydawał się czymś niematerialnym. „Żelazna Róża” żeglowała po ciemku, bez żadnych świateł. Na otwartym morzu w bezgwiazdną noc nawet tak znikome światło jak błysk zapalanej fajki było widoczne na wiele mil, toteż Juliet zabroniła zapalania wszelkich lamp i świec na pokładzie, a pod nim czyniono to z największą ostrożnością. Wychodzące na galerię okna kapitańskiej kajuty zasłonięte były grubymi płachtami czarnego płótna.

Do uszu Juliet dobiegały strzępki cichych rozmów, ale przeważająca część załogi nie marnowała czasu przeznaczonego na odpoczynek. Noc była ciepła, toteż większość rozwiesiła swe hamaki na pokładzie. Z wyżyn masztu przypominali gaśienice owinięte w malutkie kokony, odcinające się bielą od ciemnych desek pokładu.

„Żelazna Róża” była szybkim statkiem, teraz jednak trzeba było drastycznie skrócić żagle, by dostosować tempo do możliwości znacznie powolniejszego galeonu. Juliet ledwie mogła dostrzec „Santo Domingo” - widmową piramidę żagli, sunącą w ślad za jej statkiem. Poza nimi powierzchnia oceanu rozciągała się we wszystkich kierunkach ciemna i pusta. Ledwie tu i ówdzie piana na grzbiecie fali załśniła słabym odbłaskiem księżycowego światła. Przymknawszy oczy, Juliet mogła wyodrębnić poszczególne odgłosy: plusk fal rozbijających się o rufę, skrzypienie knag, słaby szum wiatru w żaglach. Słyszała oddech swojego statku, wyczuwała rytmiczne bicie jego serca przez drewno masztu. Znała „Żelazną Różę” tak dobrze jak własne ciało i budziła się natychmiast z najgłębszego snu, gdy wyczuła w niej jakąś zmianę.

Statek kołysał się na falach i Juliet dla zachowania równowagi rozłożyła pełnym wdzięku gestem wzniesione do góry ramiona. Kiedy z żalem schodziła na dół po wantach, jej ruchy były szybkie i pewne. W połowie drogi zatrzymała się, by umocować obluźowany brzeg żagla. Czuła, że ktoś ją obserwuje. Gdy dotknęła stopami pokładu, usłyszała za plecami groźne pomruki.

- Chyba wiesz, kapitanie, że gdybyś spadła, wszyscy przypłacilibyśmy to życiem. Twój ojciec kazałby nas powiesić, łamać kołem i poćwiar-

tować - co do jednego. A gdyby jakimś cudem ten i ów ocalał, to twoi bracia przeciągnęliby go pod kilem, a twoja matka rozpalonymi cegami wyrwałaby mu jaja i zmusiła nieboraka, by sam je przysmażył nad ogniem!

Juliet uśmiechnęła się, widząc nachmurzoną twarz okrętowego cieśli Noga Kelly'ego, zwanego czasem Przygłupem. Swoje przewisko zawdzięczał temu, że często obrywał po głowie belką lub reją. Podobny cios rozłupałby czaszkę większości mężczyzn, ale Kelly był potem tylko zamroczony. Mimo iż Nog z wyglądu przypominał brytana i uważał się za krwiożerczego, groźnego pirata, w gruncie rzeczy był całkiem nieszkodliwy. Nawet teraz, Juliet bez trudu mogła sprawić, że straci rezon i zaczerwieni się jak burak. Wystarczyłaby jakaś brutalna riposta albo wzmianka o czekającej nań w porcie jędzowatej żonie.

- Smażone jądra - rozważała głośno - uchodzą podobno za przysmak.

- Możesz śmiać się z tego, kapitanie, ale jest tu, na pokładzie „Róży”, setka mężczyzn. Dla nas to nie żarty.

- Ależ, Nog, sam pomyśl, jak by ci było wygodnie, gdybyś się pozbył tego kłopotliwego balastu!

Zostawiła cieślę głowiącego się nad tym problemem i podeszła do Nathana, którego dostrzegła przy relingu.

- Sama wiesz, że Nog ma rację. Niepotrzebnie ryzykujesz, niczego nie musisz nam udowadniać, dziewczyno. Wszyscyśmy widzieli, jak podrzynasz wrogom gardła i jak wspinasz się na wanty podczas sztormu... - urwał i rzucił jej kpiarskie spojrzenie. - I jak tańczysz w środku nocy na rei.

- A może nie chcę niczego dowodzić, Nate? Może to po prostu sprawia mi przyjemność?

- W takim razie jesteś tak samo pomyłona jak twoja mama i tylko wstawiennictwo wszystkich świętych może cię uratować od wiecznego potępienia.

- Chcesz powiedzieć, że i mamie grozi wieczne potępienie?

- Skądże znowu! Ma przecież oparcie w twoim ojcu. On już zadba, żeby nie stało się jej nic złego. Choć, prawdę mówiąc, sam ma bzika na jej punkcie. Nie zdziwiłbym się, gdyby pobiegł za nią prosto do piekła!

Juliet roześmiała się.

- Mam nadzieję, że nie pijesz do mnie! Czyżbyś uważał, że powinienem się postarać o porządnego mężczyznę, który na siłę wciągnie mnie do rajy?

- Nie! - prychnął Crisp. - Nawet archanioł nie dałby sobie z tobą rady. Najwyżej straciłby głowę dla ciebie, jak nasz Przygłup. - Wskazał

cieśłę pustą fajką. - Wzdycha do ciebie od lat i widzisz, do czego to go doprowadziło? Jak mu rzucisz dobre słowo, to tak kołowacuje, że nie potrafi nawet siknąć z wiatrem!

W odróżnieniu od Kelly'ego, Nathanowi rzadko brakowało języka w gębie.

- Jeśli już o mężczyznach mowa - odezwała się Juliet - to co myślisz o księciu?

Podrapał się po szczeciniastej brodzie.

- No cóż... Nie wpatrywałem się w niego tak jak ty, ale założę się, że taki wielki chłop to, co trzeba, też ma nie od parady!

- Wcale nie to miałam na myśli - odparła z westchnieniem.

Crisp zachichotał.

- Nie? No cóż... uważam, że będą z nim kłopoty. Ma zbyt gładki język i potrafi znaleźć odpowiedź na wszystko. Wyszczekany, ot co! I nie zamierza nic dobrego, jeśli chodzi o twojego ojca. Zapamiętaj moje słowa, kapitan Simon nie podziękuje ci za przywiezienie go na Gołębią Rafę. - Przechylił się przez reling i splunął do morza. - I myślę, że ci stłucze tyłek na kwaśne jabłko za to, żeś w pojedynkę rzuciła się na takiego kolosa jak „Santo Domingo”.

Przez kilka sekund panowała cisza, ale uczucie triumfu, które od kilku godzin starali się utrzymać w ryzach, ostatecznie wzięło nad nimi górę. Juliet wybuchnęła śmiechem, a zaraz potem Crisp zerwał z głowy czapkę i zaczął nią walić o reling w rytm własnych „o-ho, ho!” i „ha, ha!”

- No i kto by w to uwierzył, dziewczyno? Piekielny „Santo Domingo”! Taki z niego postrach mórz i oceanów, a nam nie dał rady! Na rany Chrystusa! Nie tylko admirał ich floty i jego wystrojoni donowie będą nosić żałobę po tym statku. Założę się, że nawet ten zasraniec Filip III, że cała Hiszpania będzie się wściekać! Może wytoczą nam proces przed trybunałem Świętej, tfu, Inkwizycji, co?!

- Tak, tak... ale czy ojciec się ucieszy? Jak myślisz?

- Ucieszy? - Crisp urwał, szukając najwłaściwszego określenia. — Taki będzie z ciebie rad, że ani chybi pozwoli ci płynąć po prawej stronie „Mściciela”, kiedy następnym razem wyruszy na polowanie!

- Naprawdę tak myślisz?!

Juliet nie była w stanie pohamować swej radości. Kiedy znowu wybuchnęła śmiechem, cała jej twarz przeistoczyła się. Uparty zarys brody złagodniał, oczy błyszczały w księżycowej poświacie. Wargi wydawały się pełniejsze, bardziej miękkie. Nikt by się nie domyślił, że to usta kapitana, z których padają gromkie rozkazy.

Juliet miała ochotę rzucić się Crispowi na szyję i uściskać go z całej siły. Wiedziała jednak, że wszelkie poufałości mają swoje granice. Zamiast tego wyobraziła sobie zaskoczenie i zazdrość na twarzach braci. Podczas swoich pościgów wzdłuż wybrzeża Kolumbii obaj zdobyli zaledwie dwa stateczki, pełne śmierdzących korsarzy!

- Jonas i Gabriel zzielenieją z zazdrości. Mówię ci, że zzielenieją!

- Pewnie, będzie im głupio, że siostra sprzątnęła im sprzed nosa największą zdobycz na Karaibach. Lepiej się pilnuj i nie łaż sama po nocy.

Juliet spoważniała w jednej chwili. Zmarszczyła brwi.

- Chyba nie myślisz, że się ośmielią...

- Ostrzeżony - uzbrojony!

Juliet zbyła te słowa machnięciem ręki.

- Sezon łowów rozpocznie się lada chwila. Nie będą mieli czasu na szczeniackie wybryki.

-Ostatnim razem, jak im weszłaś w drogę, skapali cię w niebieskiej farbie. Dobrze wiesz, że tej cholерnej parce nigdy nie braknie czasu na psie figle!

Juliet wpatrywała się w oświetloną blaskiem księżycą twarz kwatermistrza.

- Teraz mamy już sześć okrętów, razem z „Santo Domingo”. Możemy się nie tylko zaczynać na zbrojne konwoje, które trzęsą portkami ze strachu przed Wilkiem! Mamy już dość sił, by zaatakować Kartagenę, Maracaibo, nawet Panamę!

- Hej, dziewczyno! Trochę się zagalopowałaś. Maracaibo? Kartagena? Panama?!

- Cały teren Spanish Main będzie nasz. Jonas i Gabriel pierwsi się ze mną zgodzą!

Crisp przerwał jej niecierpliwie.

- Wcale mnie nie zdziwi, jeśli twoi bracia pójda na takie szaleństwo. Ale co z Hiszpaniami? Myślisz, że zabraknie im okrętów, żeby nas zaatakować?

- Może przestaną wreszcie tropić ojca jak wściekłego psa.

- Nawet wtedy Simon Dante nie zrezygnuje z zemsty. Dobrze o tym wiesz! To przez Hiszpanów nosi do dziś blizny na plecach. To przez tych cholernych papistów twoja matka straciła rękę! O, nie! Wilk ma zbyt wiele powodów do nienawiści wobec donów. Ale zaatakować jakiś statek na pełnym morzu, a przypuścić z całą flotą atak na dobrze strzeżony port to są, psiakrew, dwie całkiem różne sprawy! -Przerwał, by wetknąć pustą fajkę do ust. - Coś takiego nie zdarzyło się, odkąd Drake zaatakował Maracaibo przed czterdziestu laty. Od tamtej pory Hiszpanie ulepszyli

środku obrony, wzmocnili garnizony o kilka tysięcy żołnierzy i pobudowali statki, takie jak „Santo Domingo”, by strzegły ich wodnych szlaków oraz oczyściły je z takich wyrzutków jak my.

Juliet wiedziała, że nie warto dyskutować z Crispem, kiedy zaciska zęby na swojej fajce tak mocno, że cybuch omal nie trzaśnie. Prawdę mówiąc, nie było o czym dyskutować. Simon Dante spędził pięć lat na hiszpańskiej galerze, przykuty łańcuchami do wiosł. A gdyby blizny na własnych plecach nie wzbudziły w nim na nowo nienawiści do Hiszpanów, wystarczyło mu spojrzeć na pusty rękaw żony, zwisający poniżej jej lewego łokcia.

Wydarzyło się to prawie pięć lat temu. Simon Dante z dwoma statkami, „Mścicielem” i „Czarnym Łabędziem”, wyruszył na polowanie w Cieśninie Florydzkiej. Razem z Isabeau, stojącą jak zawsze za sterem „Łabędzia”, tropili galeony ze zbrojnego konwoju i mieli oko na dwa mniejsze statki, które pozostały nieco w tyle. Osłaniał je galeon. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ma jakieś *trudności* ze sterem.

Jednak jeśli okręt nieco się zataczał, to raczej z powodu obciążenia. Miał sześćdziesiąt cztery działa na swoich trzech pokładach, z których najniższy był pomalowany na czarno dla zamaskowania rzędu zamkniętych furt armatnich. Galeon aż się rwał do wciągnięcia kaperskich statków w zasadzkę i postanowił zmierzyć się najpierw z mniejszym, „Czarnym Łabędziem”.

Isabeau nigdy nie uchylała się od otwartej walki, toteż wiedząc, że „Mściciel” tylko czeka, by zaatakować galeon od rufy, ruszyła naprzód, by odpowiedzieć na wyzwanie. Dopiero gdy znalazła się w zasięgu strzałów, furty armatnie na dolnym pokładzie galeonu otworzyły się i Isabeau zrozumiała, że wpadła w potrzask. Nim zdążyła się wyrwać, kanonierzy otworzyli ogień, który ogołocił „Łabędzia” z większości żagli, strzaskał dwa maszty i przeorał straszliwie górny pokład. Unieruchomiona Isabeau mogła tylko bezradnie patrzeć, jak potężny galeon nadciąga, by staranować jej śródokreć.

Simon Dante, nie tracąc czasu, pospieszył na ratunek. „Mściciel” niczym tarcza osłonił poszkodowanego „Łabędzia” przed wrogiem, a jego działa pokładowe waliły bez miłosierdzia w hiszpański okręt. Następujące po sobie straszliwe salwy zniechęciły hiszpańskiego kapitana do dalszego pościgu i „Czarny Łabędź” z trudem wycofał się poza zasięg wrogich dział. Kiedy i jego statek został poważnie uszkodzony, Dante przerwał wymianę strzałów i pospieszył za Isabeau, by wyprowadzić ją na bezpieczne wody. Dopiero po kilku godzinach oba statki zrównały się ze sobą i wymienili sygnały.

Wtedy właśnie Wilk dowiedział się, że jego żona jest ciężko ranna. Hiszpański pocisk, uszkodzony na skutek zbyt pospiesznego hartowania żelaza, rozleciał się w chwili uderzenia i kawałki metalu zasypały pokład dziobowy, zabijając trzech marynarzy i urywając *niemal przedramię* Isabeau poniżej łokcia. Mimo największych starań lekarzy okrętowych z obu statków, nie udało się uratować ręki. Z obawy przed gangreną musieli w końcu amputować strzaskaną kość i poszarpane ciało. W dodatku uszkodzenia „Czarnego Łabędzia” okazały się tak duże, że zanim dzień dobiegł końca, statek trzeba było opuścić.

Zagłada „Łabędzia” zabolowała Isabeau jeszcze mocniej niż utrata ręki i chociaż nigdy nie okazała niechęci do dalszych wypraw morskich, nie objęła już komendy nad żadnym statkiem. To właśnie Isabeau Dante nalegała, by „Żelazną Różę” oddać pod komendę córki, Juliet zaś robiła wszystko, co w jej mocy, by nie zawieść matczynego zaufania. Simona trudniej było przekonać o słuszności takiej decyzji. Ilekroć Juliet opuszczała port na pokładzie „Żelaznej Róży”, w ojcowskich oczach dostrzegała cień nieopisanego przerażenia, jakie malowało się na jego twarzy, gdy wnosił do domu ranną żonę.

Zdolnościami nawigacyjnymi i żeglarskimi oraz męstwem Juliet dorównywała każdemu z mężczyzn. A jeśli jej ojciec potrzebował ostatecznego dowodu, że jego nauki nie poszły w las, to był nim chyba płynący posłusznie za nią zdobyczny galeon z brytyjską flagą powiewającą na grotmaszcie.

- Ten Hiszpan... Aquayo - mruknęła w zadumie - chwalił nas, że mamy dobre informacje.

- A jakże - odparł Crisp. ~ No i co z tego?

- „Santo Domingo” przybył tu, by patrolować wodne szlaki od Kartageny po Hawanę i odstraszać takich obwiesiów jak my. To dziwne - myślała dalej głośno - że znaleźliśmy w jego ładowniach sztaby srebra z Vera Cruz, perły poławiane na Margaricie i szmaragdy z Barranquilla. Te miejsca dzieliło wiele mil. A jeszcze dziwniejsze, że takim mnóstwem skarbów obciążono okręt wojenny!

- Ano, masz rację - Crisp zrobił głęboki wydech. - Jeśli chcesz przez kilka następnych godzin ślęczeć nad manifestami ładunkowymi, jestem pewien, że rozwikłasz tę zagadkę. Ja tam ani w ząb nie rozumiem tej hiszpańskiej bazgraniny, więc nie miałabyś ze mnie żadnego pożytku. Lepiej się postaram o suchary, kawał baraniny i tyle piwa, żebym do rana nie ruszył tyłka z koi.

- Zasłużyłeś sobie na to! Cała załoga także, więc jeśli tego jeszcze nie zrobiłeś, każ wydać wszystkim dodatkowe porcje rumu.

Crisp zasalutował, przykładając palec do wyliniałego kosmyka na czole.  
- Wedle rozkazu, kapitanie! Jak tylko wyznaczę wachty i sprawdzę żagle. Czuję nadciągający sztorm. Jeśli Loftusowi nie uda się sprawić, żeby ta hiszpańska nieruchawa maciora płynęła szybciej, wpakujemy się w sam środek burzy!

## 5

Godzinę później Juliet nadal ślęczała nad manifestami, zabranymi z „Santo Domingo”. Nie znalazła w nich wyjaśnienia, jakim cudem na okręcie bojowym znalazł się cenny ładunek z trzech odległych od siebie rejonów Spanish Main. Odkryła za to nazwisko oficera, któremu niedawno przycięła uszy. Kapitan Cristobal Nufio Espinosa y Recalde, wymieniono go w spisie załogi jako *capitan del navio*, czyli dowódcę wojskowego na pokładzie galeonu. Rangą przewyższał go tylko *capitan de mar*, Diego Flores de Aquayo.

Ciekawość Juliet wzbudził fakt, że jeszcze przed miesiącem (a nie miała powodu wątpić w dokładność informacji, które Geoffrey Pitt - współnik jej ojca od lat trzydziestu - zdobywał od niezliczonych szpiegów z całego obszaru Spanish Main) Recalde był komendantem wojskowego garnizonu w Nombre de Dios. Ten największy z portów na terenie Panamy i Peru, położony w pobliżu rozległych, cuchnących bagnisk, trudno było ufortyfikować tradycyjnymi metodami. Francis Drake zdobył go i splądrował dwukrotnie w epoce swych morskich triumfów. Raz w 1572 roku, kiedy to okupował przez tydzień rezydencję gubernatora, a jego ludzie grabili i palili miasto. Za drugim razem, niespełna rok później, Drake zaczął się na lądowy konwój wiozący cenny kruszec z Peru przez przesmyk do Panamy. Zdobył wiele złota i srebra, ale połowę obładowanych zdobyczą mułów stracił na bagnach.

Od tej pory wicekról Nueva Espafia\* domagał się, by przysyłać do Nombre de Dios najlepszych-to znaczy najbardziej bezwzględnych i despotycznych - oficerów. Mieli oni pod swą komendą wyrzutków i łotrów, ściągniętych z innych garnizonów na całym obszarze Spanish Main. Im bardziej byli brutalni i krwiożerczy, tym lepiej.

\* Nueva Espafia (hiszp.) - Nowa Hiszpania, czyli tereny Nowego Świata pozostające pod panowaniem hiszpańskim, które od 1535 r. stanowiły wicekrólestwo.



Jako *capitan del navio*, Recalde ponosił odpowiedzialność za napaść na „Argusa”. Wysoko urodzony Aquayo był jedynie figurantem, który swe zaszczytne stanowisko otrzymał w dowód królewskiej łaski. Recalde jednak był żołnierzem z powołania i musiał wyróżniać się jako oficer, inaczej nigdy nie zostałby komendantem garnizonu w Nombro de Dios.

Kto wie, czy Nathan nie miał racji? Może istotnie lepiej by zrobiła, strzelając Hiszpanowi prosto w oczy?

Juliet westchnęła i ze znużeniem pomasaowała skronie. Następnie ściągnęła chustkę i otarła nią spocony kark. W kajucie było okropnie duszno. Spojrzała z niechęcią na czarne płachty zasłaniające okna i na niewyraźny zarys leżącej na koi postaci. Varian nie poruszył się ani nie odezwał od chwili, gdy wróciła do swej kajuty.

Włała do kielicha resztę rumu z butli i obejrzała się na swego drugiego lokatora. Beacom leżał na podłodze, nieruchomy jak trup. Ręce miał złożone na piersi, obcasy jego butów stykały się, noski sterczały w górę.

- Przekłęci Angole! - mruknęła Juliet.

Nie wypuszczając kielicha z ręki, odsunęła jedną z płacht, zasłaniającą wąskie drzwi prowadzące na galerię i uchyliła je. Prawie natychmiast poczuła, że gorące powietrze ucieka z kabiny. Otworzyła drzwi szerzej i wsłuchiwała się w szum fal, rozbijających się o rufę. Chmur było znacznie więcej, całkiem przesłoniły niebo. Wiatr wyraźnie się nasilił i targał złośliwie pasemkami jej włosów. Nocny mrok przesłaniał płynący za ich rufą galeon, ale w końcu dostrzegła ciemną sylwetkę „Santo Domingo” na tle zachmurzonego nieba.

Na krótką chwilę Juliet wróciła pamięcią do minionych wydarzeń. Oto hiszpański okręt naciera na okaleczonego „Argusa”, ogromne działa zioną dymem i ogniem z taką częstotliwością, że oba statki giną w żółtych siarkowych oparach... Crisp uznał, że straciła rozum, wciągając „Żelazną Różę” w wir walki. Ona jednak cofnęła się myślą o pięć lat, kiedy jej matka znalazła się w równie tragicznym położeniu - napierający galeon, dzielny „Czarny Łabędź” rozdzierany na strzępy, pokładcy w ogniu, załoga rozpaczliwie usiłuje zapobiec nieuchronnej katastrofie.

Przeznaczenie - pod postacią ohydneho czyraka na podeszwie stopy - zatrzymało Juliet na Gołębiej Rafie. Gdyby nie to, znajdowałaby się na pokładzie „Czarnego Łabędzia” podczas tej tragicznej wyprawy. Juliet wiedziała... naprawdę wiedziała, że jej obecność czy nieobecność nie miała żadnego wpływu na przebieg wydarzeń - a jednak nadal ciążyło jej na sumieniu, że zabrakło jej wówczas na pokładzie rufowym „Łabędzia”. Zamiast tego wylegiwała się na plaży, studiując mapy nieba, podczas gdy ojciec czuwał samotnie u boku rannej żony.

Juliet zamknęła oczy i starała się opanować drżenie rąk.

O tak, w ciągu kilku następnych lat dowiodła, że nie ustępuje żadnemu mężczyźnie! Załoga uważała ją za nieustraszoną i spodziewała się, że powiedzie ich do zwycięstwa, mimo wszelkich przeszkód, mimo wątpliwości, które ogarniały ją za każdym razem, ilekroć wydawała komendę: „Kanonierzy do dział!” Uchodziła za dowódcę o żelaznej woli i sercu ze stali, nieznającego strachu, podejmującego bez wahania każde wyzwanie - ze szpadą w dłoni czy u steru.

Nikt nie wiedział co się z nią działo potem, gdy siedziała samotna i milcząca. Ręce jej drżały, całe ciało się trzęsło, w piersi czuła taki ucisk, że ledwie mogła oddychać.

Podniosła kielich do ust i udało jej się utrzymać go w ręku i wypić resztę rumu. Było go stanowczo za mało! Zawsze było go za mało, gdy usiłowała pozbyć się zapachu krwi i woni prochu. Juliet wróciła do biurka w poszukiwaniu butelki. Ale gdy ją przechyliła, okazało się, że nie zostało już ani kropli. Zaklęła i skierowała się w stronę szafki po następną flaszkę. Po drodze wyrznęła kolanem o kant krzesła. Odepchnęła je na bok mocnym kopniakiem. Kiedy nie rozpadło się natychmiast, chwyciła je za tylne nogi, uniosła w górę i walnęła nim o ścianę, odrywając oparcie od siedzenia. Odłamki drewna rozsypały się po całej kajucie. W kolejnym przypływie złości zmiotła z blatu biurka manifesty i dzienniki pokładowe „Santo Domingo”. Dokumenty poszybowały we wszystkie strony.



Varian spędził cały wieczór między jawą a snem - to zapadając w drzemkę, to przytomniejąc. Ocknął się natychmiast, gdy Juliet wróciła do kajuty, ale ponieważ zasiadła spokojnie przy biurku i wzięła się do pracy, odwrócił się po cichu na drugi bok, tyłem do niej, i udawał, że nadal śpi.

Trudno jednak nie zauważyć łamania krzesła i przekleństw godnych portowej dziwki!

- Jeśli zamierzasz zdemolować całą kajutę, kapitanie, czy nie należało mnie o tym uprzedzić?

Juliet zaparło dech. Wlepiła wzrok w niewyraźny kształt leżący na łóżku. Gapiła się tak bez słowa przez dłuższą chwilę. Varian zdążył przez ten czas przewrócić się na plecy tak ostrożnie, że nie spowodowało to kolejnego zawrotu głowy.

- Myślałam, że śpisz, milordzie.
- To ma być dowód troski o moje wygody?
- Twoje wygody, księżę - odparła, mrużąc oczy - nie leżą mi specjalnie na sercu. Podejrzewam, że i tobie zakłóciłam wypoczynek? - zwróciła się do Beacoma, patrząc nań wilkiem.
- Skądże znowu, madame! Nic podobnego!
- Doskonale! Wobec tego pofatyguj się po następną flaszkę rumu, bo ktoś się dobrał do moich trunków.

Beacom zerwał się na równe nogi.

- Ależ oczywiście, kapitanie! Gdzie mam jej szukać?
- W kambuzie. Spytaj małego Johna, on ci pokaże, gdzie trzymam swoje prywatne zapasy.
- K... kambuzie?...
- Jeden pokład niżej. Na rufie.

Beacom obejrzał się na swego pana, ten zaś dyskretnie skinął głową, a potem zwrócił ją w kierunku drzwi. Kiedy zamknęły się za lokajem, Varian spojrzął z niesmakiem na szczątki połamanego krzesła, które przefrunęły przez pokój i wylądowały obok jego łóżka.

-Brawo, kapitanie! Większość kobiet nie potrafiłaby podnieść krzesła, a co dopiero rozwalić je w drzazgi!

- Ach, kamień spadł mi z serca! Zwróciłam na siebie księżęce oko i spostrzegło ono, jak dalece się różnię od subtelnych istotek, z którymi do tej pory się zadawał.

- Mości kapitanie, możesz mi wierzyć, że przyciągnąłeś moją uwagę od pierwszej chwili, jeszcze na pokładzie „Santo Domingo”.

- Mimo tego, że ramię mi opadało ze zmęczenia?
- Mimo tego.

Varian omal się nie uśmiechnął, rad z tego, że zranił jej próżność swoją krytyczną uwagą.

- Wyobraź sobie, mój panie, że i ty wpadłeś mi w oko!

Uniósł ciemną brew.

-Czyżby?

- A jakże! Jeszcze nigdy nie widziałam tak wymuskanego mężczyzny, i te fiolety!

- Miałem nadzieję, że usłyszę coś miłego na temat mojej sprawności w walce.

- Sam się wpakowałeś w centrum eksplozji, milordzie. To chyba najlepszy dowód twojej sprawności bojowej!

Żółtawe światło latarni padało na jej ramiona. Spojrzenie Variana powędrowało w tym kierunku. Juliet zdjęła ciężki skórzany kubrak i miała

na sobie fałdzistą koszulę z białego batystu tak cienkiego, że był niemal przezroczysty. Widział wyraźnie zarys jej piersi i smukłość talii.

Jak na nieokrzesanego morskiego wilka, była wręcz prowokacyjnie kobieca!

Na szczęście przesunęła się poza zasięg światła. Skrzywiła się, co było najlepszym dowodem, iż - jak każda ludzka istota - odczuwa ból i zmęczenie po wyczerpującym dniu. Z pewnym trudem przyklęknęła na jednym kolanie i zaczęła zbierać dokumenty rozsypane po podłodze.

Wpajane od dzieciństwa zasady dobrego wychowania sprawiły, że Varian chwycił już za róg koca, zamierzając wstać, ale powstrzymał go jeden rzut oka na własne nagie ciało.

- Proszę mi wierzyć, kapitanie, że z ochotą pospieszyłbym ci z pomocą, ale znajduję się w nieco kłopotliwym położeniu.

Zbyła machnięciem ręki jego przeprosiny i odłożyła na stół pierwszą garść dokumentów. Po sekundzie, chcąc sięgnąć dalej, pochyliła się do przodu, zatoczyła i podparła ręką, żeby się nie przewrócić. W końcu skuszona stabilnością twardych desek, klapnęła na podłogę i oparła się plecami o biurko. Dostrzegła kielich, zmieciony z biurka i poniewierający się wśród szpargałów. Podniosła go i z westchnieniem przewróciła do góry dnem, by pokazać, że w dalszym ciągu jest pusty.

- Powinszować mocnej głowie, kapitanie! - mruknął Varian z lekkim uśmiechem. - Zdążyłem już skosztować twojego rumu i nogi się pode mną ugięły!

Juliet zgięła jedną z nóg w kolanie, drugą wyciągnęła na całą długość.

- Nie podobają mi się twoje komplementy, milordzie! Mam wrażenie, że sobie ze mnie kpisz!

- Nie miałem wcale takiego zamiaru, przysięgam! A jeśli przedtem zachowałem się jak niewdzięcznik, raz jeszcze przepraszam. Nie mam zwyczaju budzić się w cudzym łóżku, bez ubrania, a w dodatku skąpany w olejku kamforowym!

- Doprawdy? Sądziłam, że to się często zdarza ludziom pańskiego pokroju... no, może z wyjątkiem kąpieli w olejku kamforowym.

- Nie mam nic przeciw olejkom, o ile mają słodki zapach i nie szczypią w nosie. Ale czy wolno spytać, kto to są „ludzie mojego pokroju”?

- Pompatyczni, rozpieszczeni arystokraci, nie wiedzieć czemu przekonani o własnej ważności!

- I ty się uskarżasz na moje komplementy?!

- Wzięłeś to za komplement? - Jej śmiech był cichy i gardłowy. - W takim razie nic już nie powiem!

Oparła głowę o biurko i przymknęła oczy. Varian miał znów okazję przyjrzeć się jej w świetle latarni. Po zdjęciu niebieskiej chusty okazało się, że Juliet ma twarz w kształcie serca, okoloną delikatnymi pasemkami kasztanowatych włosów. Przyzwyczajony do tego, że Angielki na samą myśl o opaleniznie i piegach chwytają za sole rtęci i puder ryżowy, uznał, że karnacja Juliet jest wystarczająco ciemna, by przyprawić o szok każdą matronę w promieniu stu mil od królewskiego dworu. Gorące słońce i morski wiatr sprawiły, że skóra Juliet miała odcień złotawego brązu - bardzo zresztą odpowiedni dla osoby o żelaznym charakterze. Varian znów przyłapał się na rozmyślaniu o tym, jak panna Dante wyglądałaby z rozpuszczonymi włosami, spowita w cienki, przylegający do ciała jedwab?

Zmarszczył brwi i zwrócił swe myśli na bezpieczniejsze tory, poszukując tematu, który nie spowoduje kolejnej utarczki słownej.

- Wspomniałaś wcześniej, że masz dwóch braci, prawda?

- Co za pamięć!

- A... męża?

Odwrociła lekko głowę, by zerknąć na niego.

- Po diabła mi mąż?!

- Dla towarzystwa? Dla wygody?

- Mam tyle towarzystwa i wygód, ile mi trzeba. A jeśli zapragnę czegoś więcej, to też nie muszę daleko szukać!

- Ach, tak?

- Ach, tak! - Doskonale sparodiowała jego ton pełen dezaprobaty i znowu wybuchnęła śmiechem. - Zawsze mnie zdumiewa męska logika! Korzystacie z każdej okazji, żeby sobie poswawolić. Uważacie to za całkiem naturalne i sumienie wcale wam nie dokucza, ale kiedy kobieta postępuje tak samo, wymyślcie jej od dziwek i ladacznic!

Varian otworzył usta i zamknął je z głośnym szcęknięciem.

Juliet uśmiechnęła się i oparła znów plecami o biurko.

- Widzę, że znowu cię zaszokowałam, milordzie! Może powrócimy na bezpieczniejszy grunt? Wspomniałaś wcześniej, że nikt nie zapłaci za ciebie okupu. Czyżbyś nie zostawił w domu stęsknionej rodziny? Ani żony, ani piszczących dzieci, przyszłych spadkobierców książęcego tytułu? Żadnych młodszych braci, którzy zajęliby twoje miejsce, gdybyś, powiedzmy... znów wyleciał w powietrze?

- Na razie nie mam żony - odparł lekkim tonem. - Przypuszczam, że wieść o mej śmierci zasmuciłaby chwilowo moją matkę, ale szybko by się pocieszyła, broniąc jak lwica swojej wdowej renty. Co się tyczy braci, miałem ich tylko dwóch. Jeden utonął, zapędziwszy się konno w nurt wezbranej rzeki, a drugiego zabili w zeszłym roku.

Prawdę mówiąc, szczegóły prywatnego życia Variana St. Clare'a niezbyt interesowały Juliet, ale nutka wyraźnej goryczy w jego głosie sprawiła, że dziewczyna odwróciła się i znów na niego spojrzała.

- Większość ludzi powiedziała by raczej „zmarł w zeszłym roku”. Naprawdę go zabili?

- Zginął w bezsensownym pojedynku. Tak zwaną sprawę honorową można było załatwić polubownie, gdyby obie strony spotkały się i wyjaśniły nieporozumienie.

- Przedkładasz pertraktacje nad działanie, sir?

- Przedkładałam logikę nad szaleństwo. Bili się o kobietę.

Kącki ust Juliet uniosły się w uśmiechu.

—Boże święty! I z tego powodu zraziłeś się do wszystkich kobiet? Opuściłeś Anglię z zadrą w sercu? Wołałeś wygnanie od ewentualności, że jakaś kusicielka w perfumowanych jedwabiach sprowadzi cię z drogi cnoty?

Ciemne oczy Variana zweżyły się nieco, gdy usłyszał to szyderstwo, ale nadal uśmiechał się niedbale.

- Wręcz przeciwnie! Przed samym odjazdem wyraziłem zgodę na zaręczyny.

- Własne?! Jak można wyrazić zgodę na coś równie osobistego? Taką decyzję podejmuje się z własnej woli!

Varian odpowiedział z ponurym grymasem.

- Wątpię, czy wytrzymałabyś choć jeden wieczór w towarzystwie księżnej wdowy. A co dopiero całe lata takiego rodzinnego szczęścia, od dnia moich dwudziestych pierwszych urodzin! To był jeden z powodów, dla których pozostałem w wojsku. Mogłem dzięki temu uniknąć wiecznego swatania!

- Ale w końcu skapitulowałeś, milordzie?

- W ubiegłym roku, po śmierci mego brata, nie miałem innego wyjścia. Poinformowano mnie nieznoszącym sprzeciwu tonem, że muszę mieć syna i spadkobiercę. Od tej chwili podczas każdego spotkania z moją troskliwą mamą czułem się tak, jakbym stał nago z wielką tarczą strzelniczą w rękach naprzeciw wymierzonych we mnie dział. Tylko amunicja była inna. Zamiast kul armatnich, młode damy w odpowiednim wieku, z odpowiednim posagiem i pozycją towarzyską.

- Pozwoliłeś matce, żeby ci wybrała żonę?!

- Aranżowanie małżeństw korzystnych dla obu stron nie jest niczym nadzwyczajnym.

- Korzystnych? Zatem twoja narzeczona... przepraszam, twoja przyszła narzeczona jest bogata?

Varian zmarszczył brwi.

- Jeśli ktoś pochodzi z równie starego rodu jak mój, pewne względy towarzyskie i wymogi wyższych sfer uniemożliwiają mu podjęcie decyzji na podstawie czysto fizycznych zalet danej panny.

- Jestem tego pewna! Ale czy ją kochasz, milordzie?

- Nie twój interes, kapitanie!

- Przecież to takie proste pytanie. Czy kochasz kobietę, z którą masz się ożenić?

- Pochodzi z dobrego rodu, ma wielu słynnych przodków...

- I zdrowe zęby? Dobry Boże! To brzmi tak, jakbyś targował się o klacz rozplodową.

- Ależ, łaskawa pani! Musiałabyś mi do reszty uszkodzić głowę, abym uwierzył, że jesteś zwolenniczką małżeństw z miłości!

Juliet wpatrywała się przez chwilę w mrok, zastanawiając się nad odpowiedzią. Komuś, kto wyrósł pod skrzydłami Simona i Isabeau, trudno było uwierzyć, że małżeństwo jest tylko korzystną transakcją handlową. Po tylu latach wspólnego życia jej rodzice nadal trzymali się czule za ręce i spoglądali na siebie pożądlivym wzrokiem.

Juliet uśmiechnęła się.

- Chcę, by mężczyzna, za którego wyjdę, odczuwał niepokój, ilekroć na niego spojrzę! A gdy wejdę do pokoju, powinien zastygnąć bez ruchu w obawie, że wystarczy lekkie tchnienie wiatru, a jego skarb rozpadnie się jak krucha porcelana!

- Nietrudno w to uwierzyć - zauważył Varian, spoglądając znacząco na smutne resztki połamanego krzesła.

- I jeśli spotkam tego jednego, jedyne, będzie mi wszystko jedno, czy to żebrak, czy król!

- Chyba lepiej, żeby to był król, sądząc po twoim upodobaniu do kosztownych drobiazgów.

Spojrzała na pusty kielich, który nadal trzymała w ręku. Wystarczył lekki ruch dłoni i klejnoty, którymi był wysadzany, zabłyśły, rzucając na przeciwległą ścianę barwną tęczę.

- To moja zapłata za dzień wytężonej pracy - odparowała ze spokojem. - Mała pamiątka z prywatnych zasobów don Alonzo Pereza, poprzedniego kapitana „San Ambrosio”. Zagarnęliśmy jego okręt ubiegłej zimy u wybrzeży Hiszpanii. Łajba okazała się tak spróchniała, że nie warto było jej naprawiać. Za to ładunek sprzedaliśmy za dwadzieścia tysięcy escudo. Zachowałam tylko ten puchar. Zatrzymuję sobie jakiś drobiazg z każdego zdobytego statku.

Niedbałym ruchem ręki wskazała stojącą obok biurka z mapami szafkę. Zawierała bogatą kolekcję wspaniałej broni. Przeważnie były to

długonose rusznice. Niektóre francuskiej roboty, inkrustowane macią perłową, ale większość wykonano w stylu włoskim i ozdobiono ciężką złotą ornamentacją. Zwłaszcza jedna para pistoletów przyciągnęła wzrok Variana. Była to niezwykła kombinacja dwóch różnych mechanizmów: lontowego i skałkowego, uruchamianych jednym spustem. Połączenie dwu odmiennych systemów zapłonu znalazło swe odbicie w ornamentacji kolby z orzechowego drewna, na której przedstawiono nagapare, złączoną w miłosnym uścisku. Varian dobrze znał ten detal, choć nie mógł go zobaczyć z tej odległości. Była to jego broń, zabrał ją ze sobą na pokład „Argusa”.

- Do wszystkich diabłów! To moje pistolety!

Spojrzenie Juliet powędrowało za jego wyciągniętym palcem.

- Nic podobnego, sir. To moje pistolety.

- Co to, to nie, moja pani! Sam Lazzarino Cominazzo wykonał je na moje zamówienie!

- O ile pamiętam, należały do korsarza nazwiskiem Jorges Fillarento. Jeśli są podobne do pańskich, widocznie rusznikarz skonstruował dwa identyczne komplety.

- Wystarczy, że rzucę na nie okiem. Poznam natychmiast, czy to moje, czy nie!

- A rzucaj sobie okiem, jeśli chcesz! - odparowała wyzywającym tonem. - Czy poznasz natychmiast, czy nie, to i tak niczego nie zmieni.

Varian, rozszierzony do tego stopnia, że nie zważał już na swą nagość, odrzucił przykrycie i zwiesił nogi z łóżka. Obrażenia na biodrze i ramieniu sprawiły, że stęknął przy wstawaniu, ale gniew - znacznie silniejszy od bólu - tak go uskrzydlił, iż w kilku krokach znalazł się na drugim końcu kajuty. Szafka nie była zamknięta, zdjął więc jeden z eleganckich pistoletów do pojedynku ze stojaka. Kiedy podniósł broń do światła, jego wściekłe spojrzenie padło natychmiast na gładką powierzchnię polowanego zamka. I tu z najwyższym zdumieniem, zamiast misternie wyrytego herbu Harrowów, ujrzał jakieś trzy nieznanne mu inicjały, wygrawerowane z mnóstwem zawijasów.

- Nie do wiary! - mruknął.

Sprawdził inkrustację na orzechowej kolbie. Istotnie, widniała na niej para złączona w uścisku. Szyja i plecy kobiety wyginały się w łuk w spazmie rozkoszy.

- Proszę o wybaczenie, kapitanie. Zapewniano mnie, że pistolety są unikalne.

Oczy siedzącej nadal na podłodze Juliet znajdowały się na poziomie książących bioder. Co prawda, widziała już wszystko, co było do zobacze-



nia, kiedy opatrywała mu rany, ale przyciągnęła jej wzrok muskulatura bioder, napięte mięśnie ud, delikatne jasnobrązowe włoski na łydkach...

- Czy wszyscy Anglicy tak się boją słońca? Nigdy jeszcze nie widziałam mężczyzny o równie bladym ciele ani takiego, kto by miał na sobie tyle zbędnych warstw odzieży. I to w pobliżu równika! Lepiej po-  
leż nago przez dzień czy dwa, milordzie. Dopływ świeżego powietrza podziała dobroczynnie na twoją wysypkę.

Varian był tak zaskoczony, że mimo woli spojrzął w dół. Wysypka, o której Juliet wspomniała, znajdowała się nieprzystojnie blisko wiadomych organów oraz pod pachami. Mydło nie zgadzało się ze słońcą wodą, o czym Beacome przekonał się z najwyższym przerażeniem. Ponieważ zaś na statku prac można było tylko w morskiej wodzie, podczas sześciotygodniowej podróży na białiznie księcia pojawił się słony osad. Podrażnienie, które powodował, jeszcze się wzmogło, gdy „Argus” wpłynął na tropikalne wody. Nie było ucieczki przed piekielnym upałem ani słonecznym żarem. Nie sprawiał też ulgi widok marynarzy, którzy zrzucali z siebie kolejne warstwy ubrania, w miarę jak rosła spiekota. Większość załogi paradowała na bosaka, w przewiewnych koszulkach i luźnych portkach.

Pozbawiony takich - niegodnych człowieka cywilizowanego - strojów, Varian chodził nadal w poręczochach, watowanych spodniach, modnie pikowanych kubrakach, kaftanach i pelerynkach. Znosił w milczeniu nieprawdopodobne świerbienie i pocieszał się myślą, że imponująco się prezentuje na pokładzie. Myśl o tym, że mógłby przechadzać się po statku w niedbałym stroju, wydawała się księciu równie absurdalna jak scena, w której uczestniczył w chwili obecnej. Oto stał nagi jak noworodek przed kobietą, która przyglądała się najbardziej intymnym częściom jego ciała z bezwstydną ciekawością, przygotowującą go o drzenie.

Ponieważ Varian St. Clare nie był przyzwyczajony do takich oględzin i nie sprawiały mu one przyjemności, odłożył pistolet na stojak i ruszył z powrotem do łóżka. Uśmiech Juliet przerodził się w chichot, potem w głośny śmiech. Na ten dźwięk Varian stanął jak wryty. Odezwąło się w nim coś zgoła odmiennego od urażonej godności. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, odwrócił się, nachylił i bezceremonialnie chwyciłszy Juliet za ramiona, chciał postawić ją przed sobą.

Nie zdążył nawet pomyśleć, co u diabła zamierza z nią uczynić, kiedy staną oko w oko, gdyż Juliet - mimo sporej ilości rumu - zachowała szybki refleks. Nim zdołał ją podnieść, zaatakowała go bezlitośnie jak kobra. Wyciągnęła sztylet i przytknęła ostrze do podbródka księcia.

- Powinam cię uprzedzić - powiedziała głosem zimnym jak stal, dotykając jego gardła - że niewielu mężczyzn ośmieliłoby się dotknąć

mnie bez wyraźnego zaproszenia. A jeszcze mniej zarzuciłoby mi kłamstwo i zostało przy życiu!

W odpowiedzi na silniejszy nacisk stalowego ostrza Varian uniósł brodę wyżej. Puścił ramiona Juliet i bez pośpiechu rozłożył ręce.

- Proszę mi wybaczyć niesłuszne podejrzenie. Te pistolety wyglądają dokładnie tak jak moje. To była instynktowna reakcja i natychmiast za nią przeprosiłem. Rzadko mi się to zdarza, zwłaszcza w stosunku do kogoś, kto jest zbyt pijany, by to docenić.

- Doprawdy? - mruknęła i oczy się jej zwięziły.

- Doprawdy. A co do ewentualnych następstw mego postępowania... - Zaciśnął zęby i opuścił brodę, nie zważając na wbijające mu się w ciało ostrze. - Biorąc pod uwagę tory, na jakie zesłała nasza konwersacja, powinienem być raczej obawiać się przykrych konsekwencji, gdybym odrzucił kapitańskie zaproszenie.

Juliet wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Co za bezczelność! Co za przypuszczenia! Ona miałaby zachęcać go do jakichkolwiek poufałości?! Nóż w jej rękę aż drżał z pragnienia, by zagłębić się w ciele tego nędznika, ale Juliet przesunęła tylko końcem ostrza po jego gardle, mostku, płaskim, twardym brzuchu. Zimna stal wędrowała coraz niżej i niżej, aż wreszcie dotknęła jego męskości.

Varian ani drgnął.

- Masz więcej odwagi, niż sądziłam, milordzie - zauważyła beznamiętnie.

- A ty więcej brawury, kapitanie. Nic dziwnego zresztą, gdy z nożem w rękę atakujesz bezbronny.

Juliet nie wierzyła własnym uszom! Odrzuciła sztylet sprawnym ruchem nadgarstka. Przeleciał przez całą długość kajuty i wbił się w drewniane odrzwia. W tejsze chwili uniosła nogę w ciężkim bucie i opuściła ją z rozmachem na nagą stopę Variana.

Nim zdążył zareagować, chwyciła go za rękę i brutalnie wykręciła przegub, odciągając przy tym kciuk z taką siłą, że wyskoczył ze stawu. Varian poczuł piekący ból w całym ramieniu i zgiął się we dwoje. Jeszcze jeden morderczy chwyt - i zwałił się przed nią na kolana.

Juliet pochyliła się nad nim i szepnęła, dotykając wargami jedwabistych włosów, zakrywających ucho.

- Nie mam już noża, milordzie. Czy nadal uważasz moje słowa za skutki pijaństwa i czczą brawurę?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, przygotowując się jednocześnie na jeszcze boleśniejszy cios. Wysunął zdrowe ramię i chwycił ją od tyłu za prawą nogę. Pociągnął i poczuł, że Juliet traci równowagę. Szarpnął jesz-

cze raz i runęła na podłogę obok niego, puszczając nadgarstek i kciuk Variana.

Ledwie zdążył nabrać trochę powietrza w płuca i zakląć, gdy Juliet rzuciła się do tyłu i uniosła na łokciach. Jej nogi zwarły się jak kleszcze i zacisnęły wokół gardła Variana, miażdżąc niemal tchawicę i uniemożliwiając oddychanie. Usiłował rozluźnić chwyt, odciągając jej uda rękoma, ale z równym powodzeniem mógłby szamotać się ze sztabami żelaza. Próbował się oswobodzić, wywinąć z jej uścisku, ale Juliet udaremniła te wysiłki brutalnym szarpnięciem. Nacisk na jego gardle tylko się wzmógł.

Gałki oczne zaszyły mu krwią, wielkie czarne płatki zaczęły wirować przed oczami. W piersi czuł ogień, całe ciało domagało się powietrza. Ręce, zacisnięte wokół ud Juliet, opadły. Nim jednak dłonie St. Clare'a dotknęły desek podłogi na znak kapitulacji, rozległo się głośne stukanie do drzwi.

Kiedy Juliet w odpowiedzi zaklęła, drzwi otworzyły się z impetem i ukazał się w nich chudy chłopiec, dwunasto- lub trzynastoletni, z wielką drewnianą tacą w jednej ręce i kamionkową butlą w drugiej.

Zawahał się przez chwilę na progu, ale jeśli zdziwił go widok kapitana leżącego na podłodze z nogami zacisniętymi wokół gardła nagiego mężczyzny, nie dał tego po sobie poznać.

- Ten śmieszny knypek przyleciał po rum i pan Crisp kazał mi przynieść coś na ząb - wyjaśnił. - Postawić żarcie na stole, kapitanie?

- Tak, dzięki, Johnny! - wysapała Juliet. - Weź sobie trochę sera za fatywę.

- Tak jest, kapitanie! Dzięki, kapitanie! Pan Crisp kazał jeszcze powiedzieć, że trzeba było refować grotżagiel, bo ta leniwa maciora znowu zostaje w tyle.

Mówiąc to, chłopiec beztrzesko wyciągnął nóż zza paska i ukroił sobie potężny kawał żółtego sera, leżącego na talerzu. Odgryzł wielki kęs, a resztę schował za pazuchę.

- Kazał też powtórzyć, że wiatr się zmienił, a morze kipi jak wszyscy diabli. Wpakujemy się w paskudną burzę, nim zaświta!

Juliet zaklęła. Odwinęła nogi z szyi Variana i zerwała się z podłogi, pozostawiając go rozciągniętego jak rozgwiazda i chwytającego z trudem oddech.

- Jak daleko w tyle został „Santo Domingo“?

- Nie trafilibyśmy w cholernika nawet lekkim nabojem z dwururki!

Oznaczało to z grubsza pół mili, może więcej. Zbyt duża odległość, jeśli zanosi się na sztorm.

- Powiedz panu Crispowi, że już idę!

Z buzią pełną sera Johnny spytał, czy kapitanowi jeszcze czegoś trzeba.

- Hamaka dla jego książęcej mości - odparła Juliet. - Od tej pory będzie spał gdzie indziej.

Chłopak przestał żuć ser i uniósł brew.

- Gdzie mam go wsadzić?

- Opróżnij któryś schowek na żagle. Będzie mu tam przytulniej.

Chłopiec zerknął na Variana, potem na Juliet, w końcu zachichotał.

- Tak jest, kapitanie.

Krokiem odchodzącego chłopca towarzyszył głuchy stukot. Varian, mimo bólu, przewrócił się na brzuch. Leżąc w tej pozycji na podłodze, mógł odwrócić nieco głowę i spojrzeć za odchodzącym. Dzieciak nie miał jednej nogi. Prawe kolano obejmował wyścielany uchwyt drewnianego szczudła. Podobny widok nie był niczym niezwykłym. Ludziom morza często brakowało opieki medycznej i operacji dokonywano za pomocą noża i piły. Wzrok Variana przyciągnęła jednak rzeźba, ozdabiająca sztuczną nogę. Drewniane szczudło wymodelowano i wypolerowano tak, że przypominało cielsko węża. Uchwyt na kolanie miał kształt otwartej paszczy o ostrych zębach, nie brakło nawet błyszczących szklanych oczu!

Książę jęknął i znów przymknął powieki. Kciuk miał wybity ze stawu, ręka paliła jak ogień i ledwie mógł przełykać.

Juliet wyciągnęła sztylet ze ściany i przykucnęła obok St. Clare'a. Nie widziała jego twarzy. Zasiała ją ciemne pasma włosów, które leciutko unosiły się i opadały w okolicy ust. Czubkiem noża rozsunała lśniąco loki.

- Może następnym razem okażesz więcej przezorności, milordzie, nim rzucisz mi *wyzwanie*. - Spojrzała na rękę, którą tuliła do piersi, i cmoknęła językiem z odrobiną współczucia. - Założę się, że boli jak diabli! Mam ci nastawić kciuk, czy sam sobie z tym poradzisz?

Zacisnęła białe zęby i syknął z bólu, szarpnąwszy *ostro* kciuk. Główna kości wskoczyła na dawne miejsce. Przez ramię przebiegł mu dreszcz, ale nie odrywał oczu od twarzy Juliet.

- Mam podobne upodobania jak ty, kapitanie - wychrypiął z gniewem. - Nie życzę sobie, byś mnie dotykała bez wyraźnego zaproszenia!

Pozwoliła włosom opaść z powrotem na twarz księcia i przesunęła wzrokiem po jego plecach i sprężystych pośladkach.

- Te słowa, milordzie, można by uznać za kolejne *wyzwanie*.

Wciągnął powietrze i wypuścił je z płuc, zanim odparł:

- To nie żadne *wyzwanie*, nie pochlebiaj sobie! Z dwojga złego wolałbym karesy bezzębnej czarownicy z obwisłym brzuchem!

Juliet uśmiechnęła się szeroko.

- Mój Boże! Jeśli takie są twoje gusta, zatrzymam przy sobie wszelkie grzeszne myśli, które mogłyby mnie nawiedzić!

- Będę ci za to wdzięczny do grobowej deski!

- Nie spiesz się tak z umieraniem. Podsunąłeś mi myśl, że warto zażądać za ciebie okupu. Może twoja przyszła żona potrząśnie kiesą? Ile też gotowa by była zapłacić za to, że wrócisz do niej zdrowy, cały i... — powtórnie obrzuciła spojrzeniem jego muskularne ciało - nieskażony grzesznym wpływem rozpustnej piratki?

Włosy Variana znowu przesłaniały mu twarz, ale mimo to Juliet dostrzegła błysk jego oczu.

- A może — powiedziała, przysuwając się bliżej i szepcząc mu uwodzicielsko do ucha - powinnam spróbować, czy nie podbiję cię moim urokiem?

- Ponieważ brakuje ci wszelkich niezbędnych atutów - niemal wypuł te słowa - szanse na powodzenie są minimalne.

Juliet zacisnęła spoczywające na kolanach ręce i wstała.

- Delektuj się swoją fałszywą pychą, póki możesz, milordzie! Cze-ka cię jeszcze przeprawa z moim ojcem. Uważasz, że jestem zbyt drażliwa? Spróbuj tylko w obecności Wilka zadzierać nosa, a odetnie ci go bez wahania!

## 6

W nocy pogoda ograniczyła swe kaprysy do mocnych podmuchów wiatru, ale o świcie niebo przybrało barwę ołowiu, morze zaś tak wezbrało, że chlustało zielonkawą pianą przez burty. Wielkie stada pomrukujących groźnie, czarnych burzowych chmur nadciągały od zachodu. Choć „Żelazna Róża” mogła bez trudu rozwinąć wszystkie żagle i uciec przed sztormem, galeon nie był do tego zdolny. Upór hiszpańskich szkutników nie ograniczał się do tego, że bezmyślnie trwali przy statkach z osprzętem rejoywym, uzależnionych od kierunku wiatru. Obstawali również przy umieszczaniu na dziobie i rufie tradycyjnych wieżyczek, czyli wysokich drewnianych pomostów, które poważnie ograniczały szybkość i sprawiały, że i tak zbyt ciężkie galeony były wyjątkowo niestabilne przy złej pogodzie.

Juliet nie zamierzała jednak pozwolić na to, by wicher i morze pozbawiły ją najwspanialszej zdobyczy.

-Umocować jak należy wszystko, co nie jest przybite gwoździami do pokładu, panie Crisp! Zanosi się na niezłą zabawę! - Odjęła od oka lunetę i zerknęła na zwały chmur. - Oboje czuliśmy, że jakoś nam za lekko idzie, nieprawdaż?

Nathan zaklął i ruszył na rufę, rzucając po drodze głośne rozkazy majtkom.

Zygzak błyskawicy przeciął burzowe chmury. Juliet zaczęła liczyć sekundy do uderzenia gromu. Doliczyła do dwunastu. A więc piorun strzelił w odległości dwunastu mil i burza szybko nadciągała. Wiatr był zimny i wilgotny. Zrywał czapki z głów i trzaskał klockami umacniającymi wanty. Zmieniał kierunek z minuty na minutę, aż zagle huczały niczym strzały armatnie.

Prócz tych, którym wyznaczono stanowiska przy linach, załoga pozostała pod pokładem. Kanonierzy sprawdzali, czy kolubryny są należycie przywiązane, furty zamknięte na wypadek, gdyby woda wdarła się na pokład, a woskowe zatyczki pasują do wylotów luf i panewek. Zabezpieczono beczki z prochem, kilkaset kul armatnich schowano w magazynie. Pompy były naoliwione i *wyznaczono* ludzi do ich obsługi. Nie zapalano latarń, gdyż największe zagrożenie dla okrętu stanowił pożar. W kambuzie wygaszono nawet ogień pod kuchnią, by przypadkiem nie sypnęły się z niej iskry.

Juliet obserwowała nadciągający sztorm z pokładu rufowego. Stała w rozkroku, co pozwalało jej utrzymać równowagę, gdy „Żelazna Róża” kołysała się i pochylała, przeskakując z fali na falę. Dziewczyna starannie owinęła głowę chustką, by włosy nie wpadały jej do oczu, ale poszczególne pasemka ciągle się wymykały, wijąc się na podobieństwo węży, toteż wyglądała jak Meduza i zdawała sobie z tego sprawę.

Nieruchoma postać, która niewątpliwie podzielała to mniemanie, tkwiła na górnym pokładzie z rękoma zaciśniętymi na relingu i twarzą zwróconą ku morzu. Juliet zdumiała się, że książe Harrow wyszedł na pokład przy takiej pogodzie. Zdziwił ją również ubiór Variana. Miał na sobie zgrzebną koszulę i płócienne szarawary, niezbyt czyste i niedopasowane do jego figury.

Koszula, zbyt obszerna dla przeciętnego majtka, niemal pękała na szerokich ramionach St. Clare'a i nie zasłaniała jego klatki piersiowej. Spodnie były również za ciasne i tak zniszczone, że Juliet zastanawiała się, czy nie puszczą w nich szwy, jeśli Varian nagle się schyli. Na nogach miał eleganckie skórzane buty, ozdobione barwnymi rozetkami. Była to jedyna część książęcego stroju, która ocalała. Całość robiła groteskowe wrażenie. Juliet podejrzewała, że tylko ośli upór zmusił księcia do ukazania się na pokładzie.

Nie widziała go od utarczki w kapitańskiej kajucie. Nie zadała sobie również *trudu*, by spytać Johnny'ego, który ze schowków przekształcił w księżęcą kajutę. Wiedziała tylko, że jej własne łóżko jest wolne, kiedy się na nie zwała dobrze po północy.

Teraz, gdy obserwowała Variana, nieoczekiwanie ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Może istotnie wypita ubiegłej nocy zbyt dużo rumu i jej reakcja była nieco przesadna? Podnosząc ją i stawiając na nogi, Varian zaskoczył Juliet, tym bardziej że przed chwilą sama zastanawiała się, jakie wywarłoby na niej wrażenie zetknięcie ich nagich ciał. Nóż znalazł się w jej ręku, *nim zdała* sobie z tego sprawę... a potem, rzecz jasna, nie mogła się już wycofać. Zwłaszcza po tym, jak księżę wytknął jej, że z nożem rzuca się na bezbronnego.

Ze swego miejsca na pokładzie rufowym Juliet nie mogła widzieć twarzy Variana. Najwyraźniej nie zamierzał spojrzeć w jej stronę, ale ostentacyjnie ją ignorował. Przypominało to przeciąganie linki z przynętą przed samym nosem rekina. Juliet stała już na pierwszym szczeblu prowadzącej pod pokład zejściówki, kiedy zahuczał grom, wiatr nagle ucichł, a ciężkie brzuszyska chmur zapłonęły niesamowitym, zielonkawym światłem.



Gdy zapadła cisza, Varian spojrzął do góry i zaparło mu dech w piersiach. Snopy iskier płonęły z trzaskiem na wierzchołkach masztów i na rejach. Jaskrawopomarańczowe maleńkie ogniki igrały na drewnianej konstrukcji statku, przeskakując z rei na reję, spływając w dół po masztach lub ulatując z cichym syknięciem w powietrze.

- Większość marynarzy odczuwa zabobonny strach przed ogniami świętego Elma - wyjaśniła stojąca za jego plecami Juliet. - Saprzekonani, że ten, kto ośmieli się wystawić twarz na ich blask, umrze tego samego dnia.

Varian z żalem oderwał wzrok od tańczących światełek. Włosy rozwiewały mu się wokół twarzy, przywierały do policzków i podbródka, pokrytego szczeciną ciemnego dwudniowego zarostu.

- Słyszałem o tym dziwnym zjawisku, choć nigdy dotąd nie widziałem go na własne oczy.

Juliet uniosła głowę, ale świetliste ogniki zaczęły już gasnąć. •

- Nie jesteś przesadna, kapitanie? - spytał Varian.

- Jak każdy marynarz. Na przykład nigdy nie wyruszam w rejs w piętek. Nie przyniosłabym też na statek czarnego kota. W mojej kajucie

wisi czepek niemowlęcia i chroni statek przed zatopieniem, a przed rozwinięciem żagli zawsze wylewam butlę dobrego wina na pokład, żeby nam los sprzyjał. Ale nie wierzę w to, że kobieta na statku przynosi nie-szczęście.

- A ja przed wyjazdem z Londynu słyszałem z bardzo wiarygodnego źródła, że wichura i nawałnica od razu się uspokajają, gdy na pokładzie stanie naga kobieta!

- Właśnie dlatego większość figur dziobowych przedstawia nagie kobiety. Niemniej jednak radzę schronić się pod pokładem, milordzie - powiedziała mrużąc oczy, gdy wielka kropla pacnęła ją w policzek. - Ja nie zamierzam się rozbierać, a ten wiatr gotów cię przewrócić, jeśli nie masz prawdziwie marynarskich nóg!

- Serdeczne dzięki, kapitanie! - odezwał się Beacom, wyglądając zza szerokich pleców swego pana. - Miałem właśnie zasugerować jego książęcej mości to samo.

- Według mnie, odrobina deszczu i rześki wietrzyk stanowią kuszącą odmianę po zaduchu panującym pod pokładem - oświadczył z uporem Varian,

- Rób, jak chcesz, milordzie - powiedziała Juliet. - Ale jeśli odrobina deszczu i rześki wietrzyk sprawią, że wypadniesz za burzę, nie licz na to, że zawrócimy, żeby cię wyłowić!

Beacom jęknął, ale Varian podziękował za ostrzeżenie lekkim ukłosem i odwrócił się, by znowu podziwiać wzburzone morze.

- Kusząca odmiana, milordzie?! - Beacom poczekał, aż Juliet wróci na pokład rufowy, nim zakwestionował poczytalność swego pana. - Równie kusząca jak sztorm, w który wpadliśmy na południe od Wysp Kanaryjskich?

Ciemna brew Variana lekko drgnęła na wspomnienie owego sztormu. Nękał ich przez cztery dni i pięć nocy. Obaj tak osłabli od morskiej choroby, że powitaliby radośnie szybką śmierć od ciosu maczugą. Jednak ta nieznośna dziewczucha znów rzuciła mu zawołowane wyzwanie! Gdyby szedł pod pokład, pulsujący bólem kciuk nieustannie by mu przypominał, że Juliet Dante raz już uzyskała nad nim przewagę, a teraz on sam uznał, że nie trzyma się na nogach równie pewnie jak kobieta!

- Zejdz pod pokład, jeśli chcesz - odparł, mrużąc oczy na deszczu. - Ja zamierzam tu zostać nieco dłużej.

Owo nieco dłużej trwało zaledwie dziesięć minut. Przez ten czas najgroźniejsze chmury mieli już nad samymi głowami, wiatr szalał po pokładzie, a krople deszczu kłuły boleśnie jak igły. Varian uznał, że udowodnił już wystarczająco, iż nie lęka się burzy.



Zęby Beacoma szczękały tak, że lokaj nie był w stanie wyrazić panu swej wdzięczności. Obaj mężczyźni skierowali się w stronę luku, lecz nim bezpiecznie do niego dotarli, deski pokładu usunęły im się spod nóg. Okręt wzniósł się w górę i niebezpiecznie przechylił na bok. Zarówno książę, jak i sługa znaleźli się - boleśnie potłuczeni - u podnóża masztu. Upadek ogłuszył ich, ale zdołali odzyskać nieco hartu, nim potężna masa morskiej wody uderzyła w nich ze strasliwą siłą, powlokła przez pokład i rozpląszczyła o grodzień. Statek wrócił do pionu, po czym przechylił się w przeciwną stronę. Beacom przejechał po mokrych deskach z powrotem do relingu.

Varian zaklął i rzucił się za nim. Zdołał pochwycić kościste ramię i powlókł lokaja w stronę bezpiecznego luku. Nad nimi na pokładzie rufowym Juliet wykrzykiwała jakieś rozkazy *do* zgiętego wespół *sternika*, którego włosy powiewały na wietrze. W jednej chwili był tam jeszcze, napierając całym ciężarem na ster, by utrzymać statek na kursie, a w następnej zarzuciło go na reling tak, że zmiotłoby go za burtę, gdyby nie lina, którą był przepasany.

- Wasza książęca mość! ~ ponaglał Beacom, czepiając się jego ramienia.

Varian stał jednak jak wryty i prawie nic nie widział. Próbował otrzeć słoną wodę, zalewającą mu oczy, ale wszystko wokół niego było zamazane. Nie mógł nigdzie dostrzec Juliet Dante. Jeśli stała nadal na pokładzie rufowym, zasłaniały ją widocznie strugi ulewnego deszczu.

O ile jeszcze się tam znajdowała.

Strasliwy huk sprawił, że spojrzenie Variana powędrowało jeszcze wyżej. Piorun uderzył w szczyt fokmasztu. Poszarpany zygzak błyskawicy zawisł na chwilę w powietrzu, po czym opadł deszczem jaskrawoczerwonych iskier na głowy trzujących się przy linach majtków. Uszkodzony podczas bitwy z „Santo Domingo” szczyt masztu złamał się pod ognistym ciosem i trzymetrowy odłamek runął, zrywając po drodze boczne *liny*. *Wielki* kawał dębowego drewna wałnął w deski pokładu *tuż* obok Variana. Wszechobecna woda chlusnęła mu w twarz.

- Wasza książęca mość! Błagam! Musimy zejść na dół!

W głosie lokaja brzmiało szaleństwo, ale uwagę Variana przyciągnął znów pokład rufowy. Ani śladu Juliet! Sternik pełzała na czworakach, krew ciekła mu z czoła, które *rozbił*, uderzając o *reling*. Varian strząsnął z siebie ręce Beacoma i podbiegł do drabinki wiodącej na pokład rufowy. Przeskakiwał po dwa szczeble naraz - i w końcu ujrzał ją. Stała przy prawej burcie, usiłując wspiąć się na wanty.

W pierwszej chwili nie mógł pojąć, czemu zamierza popełnić takie szaleństwo, ale potem spojrzał jeszcze wyżej i dostrzegł, że *chłopiec*

z drewnianą nogą zwisa głową w dół z drabinki wantowej. Wokół zdrowej kostki miał okręconą linę. Varian domyślił się, że podczas wspinaczki chłopak stracił równowagę i zaplątał się w takielunku, a gdy maszt runął, lina zacisnęła się tak mocno, że nie mógł się uwolnić. Zwisał teraz bezradnie, kołysząc się w tę i z powrotem przy każdym poruszeniu statku.

Zgięty w pół, zmagając się z wichrem, Varian dotarł na przeciwległy koniec pokładu rufowego. Kiedy znalazł się u boku Juliet, nowa spiętrzona fala przelała się z hukiem przez dziób i o mały włos nie zbiła obojga z nóg. Varian mocno objął dziewczynę w pasie, drugą ręką wczepił się w wanty i przywarł do nich, póki fala się nie cofnęła.

Zerwane liny wiły się zdradziecko pod nogami. Złamany maszt coraz bardziej naciągał takielunek przy każdym przechyle okrętu, łamiąc reje i zrywając coraz więcej lin, których końce śmigwały nad ich głowami. Varian słyszał, że Juliet krzyczy mu coś do ucha, ale nie rozumiał słów. Usta i nos miał pełne wody, mokre włosy oblepiły mu głowę, a w dodatku koniec liny śmignął go po policzku niczym rzemień dyscypliny.

Z bólu jego wzrok zamglił się. Dopiero w ostatniej chwili dostrzegł Johnny'ego, gdy oplatany liną, przelatował koło want. Varian wyciągnął rękę i starał się pochwycić wymachujące ramię chłopca, ale źle wyliczył odległość. Zdał sobie sprawę, że musi wspiąć się wyżej. Odsunął Juliet na bok, oparł się stopą o reling i podciągnął na linie. Odzyskał równowagę w samą porę, by dostrzec nową falę, nim weń uderzyła. Odwrócił głowę, by uniknąć najgorszego, ale gdy wytrząsał wodę z włosów i oczu, zerwana lina znów go smagnęła. Zaklął, chwycił za koniec i owinał ją kilkakrotnie wokół nadgarstka. Poniewczasie zorientował się, że nie mógł podjąć głępszej decyzji.

Statek wpadł w rów między dwiema falami i reja, do której przymocowany był drugi koniec liny, poszybowała do przodu, unosząc ze sobą Variana. Oderwany od want znalazł się w równie niebezpiecznym położeniu jak chłopiec, którego starał się uratować. Obaj zetknęli się na moment, przelatując w przeciwnych kierunkach. Potem St. Clare'em zarzuściło na drugi koniec wanty tak, że obrócił się wokół niego. Ponieważ był znacznie cięższy i wisiał na dłuższej linie, poszybował za burtę, gdzie wirował jak bąk przez długą chwilę, mając pod wierzgającymi nogami tylko powietrze i wzburzone morze.

Kiedy okręt cofnął się, by przeskoczyć nad następnym wodnym rowem, Varian znalazł się znów nad pokładem. Tym razem udało mu się złapać chłopca za ramię, zanim się rozdzielili. Lina wrzynała się Varianowi w nadgarstek, a chwytając Johnny'ego, niemal wyrwał sobie ramię ze stawu. Utrzymało jednak podwójny ciężar. Zanim statek znów się

zatonął, książkę zdołał popchnąć chłopca w stronę want, na których Juliet stała już dość wysoko, by go pochwycić.

Varian zdążył dostrzec, jak wciąga Johnny'ego na wanty. W sekundę później huśtał się znowu za burta. W chwili gdy lina wyprężyła się na całą długość, tak nim szarpnęło, że poczuł jak pętla zsuwa się z nadgarstka. Trzymając się rozpaczliwie liny, zaczął pociągać się na niej do góry. Wówczas runęła nań kolejna fala i uniosła go ze sobą. Gdy wodna masa wtargnęła na pokład, wzrok Variana rozjaśnił się na sekundę. Ujrzał przed sobą potężny dębowy grotmaszt, o który zaraz się roztrzaska. W ostatniej chwili poczuł, że czyjeś ręce chwytają go za stopy i odciągają. Ktoś wrzeszczał na niego, żeby puścił tę piorunską linę. Kiedy zrobił, co mu kazano, wyleciał w powietrze. Chwycono go za ramiona i uda i wrzucono do otwartego luku.

Zwalił się na podłogę jak kupa mokrych szmat obok Johnny'ego, który wylądował tam przed chwilą. Nathan i Juliet stali przez chwilę, spoglądając groźnie na przemoczona parę, po czym zatrzasnęli luk i wrócili na zalany wodą pokład, pod strugi siekącego deszczu.

Jeszcze jedna niewyraźna postać wyłoniła się z pobliskiego korytarza.

- Jezus, Maria, Józef! - wykrzyknął Beacom. - Myślałem, że już po waszej książęcej mości! Że mój pan zginął! Jakież szaleństwo kazało ci, milordzie, opuścić bezpieczne schronienie w taką burzę?!

Zęby Variana były zbyt mocno zaciśnięte, by stać go było na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Chłopiec, mimo niedawnych przejść, szybko pozbiierał się i zniknął w ciemności. St. Clare pozwolił lokajowi, by pomógł mu przykleknąć, a następnie stanąć na nogi. Potem jednak nie wsparł się na ramieniu Beacoma, tylko poczłapał o własnych siłach przez tonący w mroku i chwiejący się pod nogami pokład działowy, usiłując odnaleźć mały, duszny schowek, do którego został przeniesiony ubiegłej nocy.

Otwierał po kolei wąskie, drewniane drzwiczki. Za każdym razem leciały mu na głowę sterty żagli, bryły miękkiego piaskowca używanego do szorowania pokładów i reje. Po trzeciej nieudanej próbie Varian zaklął i kuśtykając, skręcił w wąski korytarz, wiodący na rufę. W kapitańskiej kajucie było pusto i prawie sucho. Varian zatrzymał się na progu, oczekując wodą niczym wielki, kudłaty pies. Włosy opadały mu na twarz, pożyczone ubranie przemokło i przylgnęło do ciała.

- Wasza książęca mość?

Varian nie zwrócił większej uwagi na przenikliwy ból w poparzonej ramieniu i biodrze, ale gdy spojrzął na przód swej koszuli, dostrzegł wielką krwawą plamę, która powiększała się z każdą chwilą. Przypomniał sobie, że koniec liny smagnął go po policzku, obmacał więc twarz opuszkami palców. To, co tam odkrył, zaparło mu dech.

- Wasza książęca...

Varian z groźnym pomrukiem obrócił się na pięcie i zatrzasnął za sobą drzwi. Odpowiedzią na protesty lokaja i dobijanie się do drzwi było szcęknięcie zasuwanego rygla. Bezradny Beacom pozostał na korytarzu.



Sztorm miotał „Żelazną Różą” jeszcze dwie godziny, nim złagodniał i oddalił się na wschód. Późnym popołudniem deszcz ustał, ale wiatr nadal silnie wiał, choć burza dawno już przeniosła się na Atlantyk. Z szybkością charakterystyczną dla tropików niebo wypogodziło się na tyle, że o zachodzie słońca można było zobaczyć pomarańczową kulę, zanurzającą się we wzburzonych falach.

Jeden członek załogi spadł z takielunku na pokład i zginął na miejscu, drugiego fala zmiotła za burtę. Liny były splątane, żagle podarte. Na wszystkich pokładach leżały pogruchothane reje i inne odłamki. Jednak zebrani na pokładzie rufowym nie przejmowali się tym, lecz wpatrywali się bacznie w pustą powierzchnię morza za ich statkiem.

„Santo Domingo” zaginął podczas sztormu. Zapadał zmrok, a załoga „Żelaznej Róży” nie wiedziała nawet, gdzie go szukać. Wydawało się, że w promieniu wielu mil nie ma żadnego innego statku. Juliet wysłała na bocianie gniazdo marynarzy obdarzonych najbystrzejszym wzrokiem. Sama nie tylko nie zesłała z pokładu rufowego, ale nawet nie odjęła lunety od oka, póki nie dostrzeżono słabego błysku światła na odległym horyzoncie. Poleciła wówczas skierować „Żelazną Różę” w tamtą stronę i przygotować działą - na wypadek, gdyby to były światła innego okrętu, a nie upragnionego galeonu. Kolejna godzina minęła w napięciu, nim podpłynęli tak blisko, że można było stwierdzić z całą pewnością, iż jest to „Santo Domingo”!

Galeon poważnie ucierpiał podczas sztormu, ale załoga „Argusa” pomogła Loftusowi i jego ludziom przepchnąć jakoś cenną zdobycz przez burzę. Kiedy „Róża” podpłynęła do „Santo Domingo”, na pokład galeonu zostali przetransportowani dodatkowi pomocnicy, między innymi Nathan Crisp. Morze było nadal wzburzone, a Juliet nie chciała stracić cennej zdobyczy na ostatnim odcinku drogi na Gołębią Rafę.

Dopiero wówczas, gdy okręty powróciły na dawny kurs, Juliet znalazła trochę czasu na to, by zejść pod pokład i przebrać się w suche ubranie. Nieco wcześniej rozkazała napalić pod kuchnią w kambuzie, by kok mógł przygotować gorący posiłek. Teraz jednak nie wiedziała, czy ma większą ochotę na miszkę gulaszu z baraniny, czy na potężną porcję rumu.

Musiała odłożyć wybór na później, gdyż przed drzwiami swej kajuty ujrzała znękanego Beacoma.

- Co ty tu robisz, u diabła?! Gdzie twój pan?

- On... jest wewnątrz, łaskawa pani - odparł Beacom, załamując ręce. - Robiłem co w mojej mocy, by powstrzymać go od tego. Jednocześnie... ..

- Wewnątrz? W mojej kajucie?!

- Tak, madame... to znaczy, kapitanie... niestety, tak. I obawiam się, że zamknął drzwi na klucz.

Juliet zrobiła wielkie oczy. Podeszła do drzwi i zaczęła łomotać klamką. Kiedy to nic nie dało, wzięła rozbieg i kopnęła w dolną część drzwi.

- Mości książę! Masz dwie sekundy na otwarcie tych przeklętych drzwi, nim przestrzelę zamek!

Nie otrzymawszy natychmiastowej odpowiedzi i uświadomiwszy sobie, że jej pistolety znajdują się w kajucie okupowanej przez księcia, Juliet zaklęła i znowu kopnęła w drzwi - tym razem z taką energią, że posypały się drzazgi.

Miała już naprzeć na nie ramieniem, gdy dał się słyszeć zgrzyt obracanego w zamku klucza i szczęk zasuw. Drzwi uchyliły się nieco, ale Juliet rozwarła je na oścież z taką siłą, że odbiły się od ściany.

Wtargnęła do kajuty. Jej oczy rzucały iskry gniewu.

- Jak śmiesz włączyć tu i...

Stała jak wryta. Powietrze nagle uleciało jej z płuc. Przed nią stał Varian St. Clare, chwiejąc się na nogach. Cały przód jego koszuli i spodnie były zakrwawione. Oczy pociemniały mu do tego stopnia, że przypominały puste dziury wypalone w czaszce. Policzek był rozdarty do kości.

Pusta butelka turlała się w tę i z powrotem po podłodze koło łóżka. Z kielicha, który książę trzymał w ręku, skapnęło parę kropel, gdy zrobił kilka niepewnych kroków do tyłu.

- Zbyttno ci zasmakował mój rum, milordzie — powiedziała cicho.

Varian przez chwilę nie odpowiadał, potem uniósł rękę i dotknął zwisającego z policzka płata zerwanej skóry.

- Im dalej zapuszczam się w ten tropikalny raj, tym bardziej łaknę oziępienia, które wywołuje trunk.

Juliet dyskretnie odwróciła głowę i szepnęła do Beacoma:

- Sprowadź mi natychmiast żaglomistrza! Nie, nie! Zaczekaj. Nie ma go na pokładzie, psiakrew!

Varian zachwiał się. Juliet pospiesznie chwyciła go pod pachy, ale okazał się zbyt ciężki i oboje wylądowali na podłodze. Wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i odbiło mu się rumem.

- Rzygnij na mnie, milordzie - burknęła ostrzegawczo Juliet - a nie doczekasz jutrzejszego dnia!

- To pogrożka czy obietnica?

- Jedno i drugie. - Groźnie spojrzała przez ramię na Beacoma. - Przestań się gapić! Pomóż mi przenieść go na koję.

Lokaj zatrzepotał nerwowo rękoma, nim pospieszył z pomocą. We dwójkę zdołali podprowadzić Variana do łóżka i zmusić go, by się na nim położył. Juliet wlała trochę wody do emaliowanej miednicy i wyjęła czysty ręcznik. Zapędziła Beacoma do zmywania krwi z twarzy i szyi księcia, sama zaś przetrząsnęła zawartość swego kufra i znalazła niewielkie złote puzderko z przyborami do szycia, pochodzące z jakiegoś zdobycznego okrętu. Dawno już zapomniała, co to była za łajba.

Gdy wróciła do łóżka, Varian miał zamknięte oczy i ramieniem zasłaniał czoło.

- Stracił przytomność? - spytała Beacoma.

- Jeszcze nie - odparł bełkotliwie Varian - mimo usilnych starań.

- Szkoda, że ci się nie powiodło, milordzie. Poczekamy, aż zemdlejesz, czy wzięłeś się już na tyle w garść, że wytrzymasz kilka ściegów?

- To zależy od tego, kto mnie będzie zszywał.

- Niestety, w chwili obecnej nie masz wielkiego wyboru. Żaglomistrz nadal opatruje rannych na pokładzie „Santo Domingo”, a ponieważ mnie zabroniłeś dotykać cię bez wyraźnego zaproszenia, musi się tym zająć Beacom.

Wręczyła igłę lokajowi, który zszarzał jak popiół i zaszczekał zębami tak głośno, że Varian otworzył znów oczy.

- Och, na litość boską! - westchnął. - Dotknij mnie, zabij, przyszyj mi policzek do pięty... wszystko mi jedno.

- Dajże spokój! - powiedziała Juliet. - Szrama doda ci charakteru. Miałeś zbyt ładną buźkę, milordzie!

Skinęła na Beacoma, by przysunął krzesło do łóżka. Zapaliła lampę i podała ją lokajowi do potrzymania, gdy nawlekała igłę jedwabną nicią.

- Prawdę mówiąc, kiedyś rzeczywiście zszyłam ze sobą dwa palce. Niechący, oczywiście, były tak poharatane, że nie miałam pojęcia, gdzie jeden się kończy, a drugi zaczyna.

Varian z trudem przełknął ślinę.

- Chyba napiłbym się jeszcze rumu.

-- Ależ to fraszka, byłeś się nie poruszył! A jakbyś miał ochotę wrzasnąć, to mnie uprzedź, żebym cię nie dziabnęła w oko.

Pierś St. Clare'a wznosiła się i opadała w gorączkowym oddechu. Mięśnie szyi ściągnęły się, palce zacisnęły w pięść i nie rozwierzały, pod-

czas gdy Juliet uniosła zdarty płat skóry, ułożyła ostrożnie na dawnym miejscu i zaczęła sprawnie zszywać ze sobą krwawiące brzegi.

- Takie obfite krwawienie to dobry znak, rana jest dzięki temu czysta i powinna się zasklepić bez kłopotu. W dodatku szew wypada na linii włosów i z daleka nie będzie go wcale widać.

Ciemnoniebieskie oczy znów się otwały. Varian ujrzał twarz Juliet w odległości zaledwie pięciu centymetrów od własnej twarzy.

- Słowo daję -zapewniała, przewlekając ostrożnie nic przez naciągniętą skórę. - Mogło być o wiele gorzej! Gdybyś na przykład stracił oko albo ucho...

Szyła jeszcze przez kilka minut, wysuwając koniuszek języka w ogromnym skupieniu. Ukończywszy swe dzieło, odsunęła się nieco i zmarszczyła brwi.

- Co ty na to, Beacom? Jak myślisz, czy urocza oblubienica jego książęcej mości uzna tę bliznę za atrakcyjną? Na miłość boską, człowieku! Możesz się już bez obawy odwrócić i przyjrzeć!

Jedno z piwnych oczu Beacoma otwarło się ostrożnie, w ślad za nim - drugie.

- Och... Ach! — pochylił się do przodu i niemal uśmiechnął. - Kapitan mówi szczerą prawdę, wasza książęca mość! Cięcie jest tuż pod włosami, a takie misterne ścięgi widywałem tylko na jedwabnych kreacjach pierwszorzędnej modystki!

Schowawszy igłę i nici w szkatułce z przyborami do szycia, Juliet włożyła ją z powrotem do kufra. Gdy kilka minut później podeszła znów do łóżka, miała w jednym ręku kawałek płótna, nasączonego jakąś nie mile pachnącą miksturą, w drugim zaś niewielki słoiczek.

- Jak ci się zdaje, Beacom, trafisz z powrotem do kambuza? Kok ugotował pewnie coś gorącego dla załogi, a mnie żołądek przyrósł do krzyża! Znajdziesz tam również suchary i ser. Przy okazji możesz przynieść dzbanek piwa i parę plastrów wołowiny. O ile coś z niej jeszcze zostało. Zresztą, powiedz kokowi, że kapitan umiera z głodu, on już będzie wiedział, co robić!

Beacom zerknął na Variana, ale tym razem nie zwlekał z opuszczeniem kajuty, czekając na jego zgodę. Juliet usiadła znów na krześle przy łóżku.

- Będzie trochę szczypało.

Przytknęła do policzka Variana ciepłe, wilgotne płótno i przytrzymała je tak długo, że myślał już, iż płuca mu pękną od powstrzymywanego krzyku. Po chwili straszliwe pieczenie osłabło, Varian nieco oprzytomniał. Juliet zajęła się jego lewą ręką - tą samą, której kciuk wybiła

mu ubiegłej nocy. Tym razem dłoń i nadgarstek znaczyły jaskrawoczerwone ślady wrzynających się w ciało lin.

Juliet zanurzyła dwa palce w słoiczku i wygarnęła trochę kleistej brunatnej maści. Cuchnęła jak diabelskie łajno, ale skoro tylko Juliet posmarowała nią otarcia i rany, ból zelżał.

- To nie było mądre - odezwała się w końcu Juliet. - Zwłaszcza w tych frymuśnych butach z drewnianymi obcasami!

Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz ciemnobłękitnymi oczyma, nim zadał jej pytanie.

- Czy chłopcu nic się nie stało?

- Tylko się wystraszył. Zrobiłeś na nim takie wrażenie, że nie zabraknie ci obrońcy, gdyby ktoś podniósł na ciebie rękę lub wyśmiewał cię za twoimi plecami.

- Z tobą włącznie?

- Ja śmieję ci się prosto w nos, milordzie! Czyżbyś jeszcze tego nie zauważył?

- I owszem - przytaknął sucho książę.

Z rozmysłem unikając wzroku St. Clare'a, Juliet udawała zajęta bez reszty jego kciukiem. Znów zaczerpnęła maści i okrężnymi ruchami wcierała ją delikatnie w opuchnięty staw.

- Masz szczęście, żeś go sobie znowu nie wybił.

- Miałbym większe, gdyby mi go w ogóle nie wrywano ze stawu.

Chwycała dolną wargę zębami i przygryzła ją nerwowo.

- To prawda, ostatniej nocy zareagowałem chyba trochę zbyt gwałtownie. Wybrałeś sobie złą porę, by wystawiać na próbę moją cierpliwość.

- Mój Boże! - mruknął Varian. - Czyżby to były przeprosiny?

Spojrzała w jego ciemne jak atrament oczy i poczuła niepokojące gorąco u podstawy kręgosłupa.

- Lepszych się nie doczekasz.

- Wobec tego przyjmę choćby takie, pod warunkiem że ty przyjmiesz moje.

- Twoje? Za co chcesz mnie przeproszać?

- Za to, że nie wiem, kiedy trzymać język za zębami.

Jego rozbijająca szczerłość sprawiła, że na wargach Juliet pojawił się cień uśmiechu. Wywołała również nową, jeszcze silniejszą falę gorąca, która zrodziła się u zbiegu ud, by następnie ogarnąć ją całą. Gdy Varian nie przestawał się w nią wpatrywać, rozkoszne doznanie jeszcze się wzmogło. Było jak subtelną pieśczętą, którą odczuwała równocześnie w całym ciele.



- Oszczędź mi przydługich wywodów, milordzie, ale... co właściwie sprowadza cię tutaj? Co mogło skłonić do opuszczenia przytulnej londyńskiej rezydencji dwunastego... czy którego tam z kolei księcia Harlow? Z pewnością mogłeś postarać się o zastępcę bardziej przyzwyczajonego do trudów morskiej podróży!

- Harrow, nie Harlow. Co mnie skłoniło? Przypuszczam, że rozkaz króla, który uznał mnie za godnego tak ważnej misji.

-A mianowicie?

Varian uśmiechnął się blade.

- Nie wypięłem aż tyle rumu, kapitanie.

- Cokolwiek cię tu sprowadza, z pewnością będzie omawiane w mojej obecności.

- O tym zadecyduje twój ojciec, nie ja.

Juliet sapnęła ze zniecierpliwienia.

- O, Boże! Co za sekrety! Już mnie to zaczyna nudzić.

- Właśnie widzę. A jeśli chcesz dłużej miętosić z taką energią mój kciuk, lepiej od razu wyrwij mi go znów ze stawu, z pewnością nie będzie to bardziej bolało.

Juliet zrobiła wściekłą minę i raptownie puściła rękę Variana.

- Mam nadzieję, że umiesz pływać, mój panie! Bardzo ci się to przyda, jeśli mój ojciec tak samo zasmakuje w twoich żarcikach jak ja!

Uśmiech Variana wyrażał zarówno rozbawienie, jak i ciekawość. W tej chwili brakowało mu do szczęścia tylko następnej porcji rumu. Zagłuszyłyby do reszty jego bóle, które po raz pierwszy od dwóch dni znacznie osłabły. Poza tym St. Clare'a coraz bardziej pociągała ta wyszczekana i przemądrzała mała rozbójniczka. I to nie tylko intelektem!

Dobrych kilka godzin ulewnego deszczu dokonało tego, czego nie była w stanie dokonać woda z mydłem. Spłukały z ciała Juliet cały brud, twarz miała teraz czystą i gładką. Z jej na wpeł rozplecionego warkocza zniknęła warstwa kurzu, a włosy lśniły w świetle latarni jak dojrzały kasztan. Wijące się pasma, które spływały po jej szyi, przyciągały wzrok Variana. Mimo woli spoglądał na wycięcie otwartej pod szyją koszuli. Materiał zresztą nie wysechł całkowicie i przylegał do dwóch kuszących wypukłości. Ich kształt, który wzbudził w nim poprzedniej nocy taki niepokój, teraz znowu doprowadził księżęcą krew do wrzenia. Uświadomił sobie, że Juliet olśniewa wprost pierwotną, dziką pięknnością.

Zmusił się do odwrócenia oczu. Niepokoił go bieg własnych myśli. Jeśli ta przeklęta wyprawa miała jakieś zalety, to główną z nich był brak damskiego towarzystwa na pokładzie. Z racji swego pochodzenia i bogactwa Varian przez większość życia - a miał już dwadzieścia osiem lat

- był nękanym przez pazerne baby, które przy każdej sposobności bezwstydnie mu się narzucały. We wczesnej młodości bawiło go to nawet. Miał wówczas wiele miłosnych przygód i romansów. Kiedy jednak po śmierci obu braci został dziedzicem majątku i tytułu, próby złapania go w małżeńską pułapkę przybrały na sile. Rodzona matka okazała się najbardziej nieubłaganą z prześladowczyń. Nieustannie przypominała Varianowi o konieczności ożenku i zapewnienia sobie syna i spadkobiercy.

Cóż, chyba pogarda, z jaką Juliet Dante zarzuciła mu, że w końcu jednak skapitulował, była całkowicie usprawiedliwiona. Księżna wdowa z całego stada rasowych klaczy wyselekcjonowała trzy dziewczęta. Najbogatsze i najbardziej godne zaszczytu noszenia pod sercem kolejnego księcia Harrow. Varian musiał już tylko wskazać jedną z tej trójki. Wszystkie miały nienaganne maniery i odebrały wykształcenie przygotowujące je do roli doskonałej żony księcia. W zasadzie wszystkie trzy były wierną kopią samej księżnej wdowy. Chłodne, pastelowe piękności, niezmiernie eleganckie i dziwnie bezpłciowe.

Mimo największych starań, Varian nie potrafił sobie wyobrazić swej przyszłej żony, lady Margery Wrothwell, z rozwichrzonymi włosami, w wilgotnej koszuli, przylegającej do piersi, które aż się prosiły, by zerzeć z nich ten cholerny batyst i ująć je w dłonie.

St. Clare zmienił pozycję nóg, wmawiając sobie, że ogarniające go podniecenie jest tylko skutkiem alkoholowego zamroczenia. Celibat, którym się radował od sześciu tygodni, miał jednak swoje złe strony. Jeśli zaś ludzi się, że osiągnął takie wyżyny przedmałżeńskiej czystości, iż widok jędrnej piersi nie robi na nim żadnego wrażenia, okłamywał tylko samego siebie.

Gdzie się, u diabła, podział Beacom?!

Jakby czytając w jego myślach, Juliet zerknęła na drzwi i wymamrotała to samo pytanie.

- Zdarzało mu się - zauważył Varian lekkim tonem - zabłądzić w korytarzach Harrowgate Hall, mimo że służy tam od trzydziestu lat. No, ale mamy tam sześćdziesiąt pięć sypialń i Bóg wie ile sal reprezentacyjnych. Sam raz czy drugi zmyliłem drogę.

Juliet spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby oznajmił, że wrócił właśnie z księżyca.

- Sześćdziesiąt pięć sypialń?!

- To bardzo stara rezydencja.

-I mieszkasz w niej sam, milordzie?

- Samiuteńki, nie licząc setki służby.

Juliet zmarszczyła brwi, odsunęła się z krzesłem od łóżka i schowała słoiczek z maścią do kufra. Znalazła w nim suche bryczesy i czystą

koszulę, po czym zamknęła wieko, siadła na nim i ściągnęła buty. Potem rozpięła pas, rzuciła go na podłogę i wyciągnęła koszulę ze spodni.

Varian przyglądał się jej sennym wzrokiem spod ciężkich powiek. Myśli mu się płątały, nie w pełni docierało do niego, co Juliet robi, póki nie ściągnęła koszuli przez głowę. Kiedy zaś wstała i zabrała się do rozsznurowywania spodni, zupełnie rozbudzony usiadł na łożku.

- Co ty wyprawiasz?!
- Ubranie mi przemokło, muszę się przebrać.
- Zupełnie zrozumiałe, ale...

Przerwała zdejmowanie spodni i wzięwszy się pod boki, odwróciła się do księcia. Tym razem ujrzał nie pobudzający wyobraźnię zarys kształtów, lecz ciepłe, nagie ciało. Zaskoczony otworzył usta. Juliet miała pełne, krągłe piersi, opalone na ten sam oliwkowy kolor co twarz i ramiona. Brodawki były tylko odrobinę ciemniejsze od skóry, a ich koniuszki przypominały dojrzałe jagody. Czarne obcisłe bryczesy podkreślały smukłość talii i sprężystość bioder.

Varian nieraz już widywał kobiety, które pozbywając się gorsetów, jedwabnej bielizny i innych fatałaszków, wabiły go uwodzicielsko, z fałszywą skromnością lub niby to w żartach. Ale ta naturalna, zupełnie pozabawiona kokieterii nagość zaparła mu dech.

Juliet stała bez ruchu przez dłuższą chwilę. Potem wybuchnęła miękkim, rozbrajającym śmiechem i przechyliła głowę na bok, jak kot obserwujący myszkę.

- Czyżbyś nie widział dotąd nagiej kobiety, milordzie?
- Widziałem, ale nie spodziewałem się, że zrobisz coś takiego.
- Będziesz musiał to znieść. Chyba że podpowiesz mi, jak inaczej mogłabym się przebrać.

Gdy ujrzał, że dziewczyna zabiera się do ściągania spodni, przemógł się i odwrócił twarzą do ściany. Rum i pożądanie rozpały mu krew. Kusiło go, by się obejrzeć, ale nie odważył się tego zrobić.

Słyszał szelest ściąganych bryczesów, plusk wody nalewanej do miednicy, cichy odgłos zanurzanego w niej, wyżymanego i sunącego po nagiej skórze płótna... Zamknął oczy i zacisnął zęby. Czuł, jak z każdym poruszeniem ręcznika wzbiera w nim pożądanie. I chociaż nie mógł tego zobaczyć, bardzo plastycznie wyobrażał sobie wilgotny połysk piersi i ud.

- Jeśli zdejmiesz koszulę i spodnie, milordzie - rzuciła od niechcenia Juliet - każę Johnny'emu, żeby je wyprał. Albo wynalazł ci inne ubranie. Założę się, że zdobędzie dla ciebie coś odpowiedniejszego niż płócienne portki i zgrzebna koszula, choćby musiał popłynąć na „Santo Domingo” i przetrząsnąć stopy hiszpańskich aksamitów i koronek!

Varian jęknął w duchu i przewrócił się na bok. Miał nadzieję, że ciemności skryją przyczynę jego niewygód. Ból w kroczu przewyższał intensywnością wszystkie inne obrażenia. Ledwie zdołał wykrztusić zdławionym szeptem:

- Po co trudzić chłopca? Beacom... zrobi wszystko, co trzeba, jak wróci...

Juliet wzruszyła ramionami i strzepnęła czystą koszulą.

- Jak sobie chcesz! Ale jeśli będziesz wiecznie łąził w przyciasnych portkach i nie pofolgujesz sobie, nie spełnisz oczekiwań swojej mamuski i książęcy ród gotów wygasnąć!

## 7

Przeraźliwe chrapanie Beacoma wyrwało księcia ze snu. W kajucie było ciemno, a zatem noc jeszcze się nie skończyła. Varian przewrócił się na koi i stwierdził, że przez okna galerii przenika słaba księżycowa poświata. Morze było znacznie mniej wzburzone niż poprzednio, choć „Żelazna Róża” nadal skakała z fali na falę jak żwawa klacz.

Juliet Dante widocznie znowu wyszła na pokład. Czy ona w ogóle sypia? - zastanawiał się Varian. O tym, że jadła, świadczyły dobitnie pozostawione na biurku resztki. Z obfitego posiłku, który przyniesiono na dużej tacy, pozostał niedojedzony suchar w zakrzepłej kałuży sosu, trójkąt żółtego sera z obeschniętym brzeżkiem i odrobina tłustej baraniny. Varian ostrożnie wstał z łóżka i podszedł do biurka. W żołądku burczało mu z głodu.

Przeżuwając stwardniały ser, uprzytomnił sobie, że prawie nic nie jadł od chwili, gdy znalazł się na pokładzie „Żelaznej Róży”. Za to zdążył opróżnić kilka butelek.

Ostrożnie pomacał ranę na policzku. Była opuchnięta i pulsowała bólem. Ramię także go bolało, a otarcia od lin, chociaż niezbyt mu dokuczały, ale za to cuchnęły maścią. O guzie z tyłu głowy całkiem by zapomniał, gdyby sam nie dał o sobie znać. I to jak! Varian ukrył głowę w ramionach i kołysał się do tyłu i do przodu, dopóki ból nieco nie zelżał. W takiej pozycji, nawet po ciemku, musiał zauważyć ciemne plamy na ubraniu. Szorstki samodział był przesiąknięty wodą, kiedy zaczęła na niego kapać krew, toteż każda kropla rozlewała się w wielką plamę i prawie cały przód koszuli poczerwieśniał.

Varian ściągnął ją przez głowę i starając się nie urazić przy tym dłoni ani ramienia, zwinął w kłębek. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie rzucić nim w Beacoma, którego regularne chrapanie okropnie go irytowało. Oparł się jednak pokusie i cisnął pokrwawioną szmatę na łóżko. Następnie pokuśtykał do umywalni i obmył pierś w tej samej miednicy, z której korzystała wcześniej Juliet. Obok znajdował się pokryty klapą ustęp. Widocznie bratanie się kapitana z załogą ma pewne granice i nie zmusza go, czy raczej jej, do korzystania ze zbiorowego sracza na dziobie okrętu! - pomyślał Varian złośliwie i postanowił przy okazji użyć nocnika. Okazało się, że wypełnił go niemal po brzegi. Już sobie wyobrażał minę Juliet Dante, kiedy uniesie wieko i przekona się, z jakim zapałem wykorzystał kapitańskie luksusy! Odruchowo książę odwrócił się do Beacoma.

Tym razem jednak nazwisko lokaja uwięzło mu w gardle. Varian rozmyślił się. Opróżnianie nocników było czymś uwłaczającym jego godności, ale w porównaniu z tym wszystkim, co przeszedł ostatnio, wydawało się drobiazgiem.

Wydobył nocnik spod drewnianego siedzenia, starając się dotykać naczynia tylko koniuszkami palców, i wyniósł na galerię rufową-wąski balkonik, ciągnący się przez całą szerokość kapitańskiej kajuty. Można tu było zaczerpnąć świeżego powietrza lub... drzemać pod gwiazdami.

Juliet Dante niewątpliwie spała. Leżała wygodnie rozciągnięta na płóciennym hamaku. Jedno ramię oparła nad głową, drugie podłożyła pod biodro. Rozplecione włosy powiewały jak ciemna chmura z boku hamaka, poruszającego się lekko w jedną i drugą stronę. Zgięta nogę w kolanie, drugą zaś zwiesiła z hamaka. Nagie palce stóp lśniły w blasku księżycy jak perełki. Varian zapoznał się poprzedniej nocy z piekielnym urządzeniem zwanym hamakiem i wypadł z niego dwa razy, nim zyskał jaką taką kontrolę nad tą namiastką łóżka. Tymczasem kapitan Dante czuła się w nim tak wygodnie jak kociątko w swoim koszyku. Ukołysał ją do snu łagodny ruch okrętu.

Ręce Variana zacisnęły się na nocniku. Czuł, że powinien odejść stąd, nim Juliet się obudzi i dostrzeże jego obecność. Jednak zamiast wrócić do kajuty, stał i wpatrywał się w mleczną szyję Juliet oraz zerkał w wycięcie jej koszuli, która opadła nieco podczas snu, odsłaniając jedną pierś.

Jeśli bezceremonialny sposób, w jaki przed kilkoma godzinami Juliet zrzuciła z siebie ubranie, podniecił Variana, to teraz urok skapaney w księżycowym świetle nagości sprawił, że St. Clare omal nie rzucił się na dziewczynę. Trzeba przyznać, że nie pamiętał, kiedy ostatnio widział nagie kobiece stopy, które nie skryłyby się natychmiast pod kołdrą lub

we wnętrzu pantofelka. Teraz mógł podziwiać zgrabne kostki i smukłe łydki Juliet. No i silne uda, którym już raz uległ.

- Nikt ci nie mówił, milordzie, że nie wypada tak się gapić?

Zadane cichym szeptem pytanie sprawiło, że spojrzenie Variana przesunęło się ku twarzy Juliet. Oczy miała otwarte, ciemne brwi uniesione.

- Istnieje ogromna różnica - odpowiedział z namysłem - między gapieniem się na kogoś a spojrzeniem pełnym uwielbienia.

- I to, ma się rozumieć, było takie wielbiące spojrzenie?

- Nie jestem mnichem.

- Do licha! Co by to była za strata, gdybyś nim został!

Wypowiedziała to gardłowym głosem i z niewątpliwą szczerością. W łagodnej księżycowej poświacie skóra Juliet nabierała mlecznego odcienia. To samo światło złociło szerokie ramiona Variana i uwypuklało każdy mięsień jego nagiej klatki piersiowej. Spoglądając na niego, dziewczyna czuła na swej skórze iskierki, dziwnie podobne do ogni świętego Elma, którym niedawno przypatrywali się we dwoje.

Ocknęła się natychmiast, gdy tylko wyszedł na galerię. Jej ręka odruchowo sięgnęła po zawieszony u pasa sztylet. Kiedy jednak zobaczyła, że to tylko pyszałkowaty książę Harrow wylewa za barierkę zawartość nocnika, odprężyła się. Miała nadzieję, że książę na paluszkach wróci do kajuty i położy się znów do łóżka. On jednak ciągle tu stał i pieścił ją oczyma. Pomyślała więc, że najwyższy czas zakończyć tę komedię, nim Varian zorientuje się, jak na nią działają jego bezczelne spojrzenia.

- Co by sobie pomyślała twoja oblubienica - zastanawiała się głośno Juliet - gdyby zobaczyła, jak stoisz tu, wpatrując się w piersi innej kobiety?

Nie odpowiedział od razu. Wiatr wiejący z prawej burty targał jego włosy i zakrywał nimi twarz Variana tak, że Juliet mogła dostrzec tylko niewyraźny błysk w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy jej rozmówcy.

- Nie ułatwiasz zadania komuś, kto chciałby się z tobą zaprzyjaźnić, prawda?

- Czyżbym ci dała do zrozumienia, że pragnę mieć więcej przyjaciół?

- Nigdy. Ani słowem, ani uczynkiem, madame. Możesz być tego absolutnie pewna.

- Powinieneś więc, milordzie, przekonać o tym własne ciało - odpowiedziała, spoglądając zuchwale na jego przyciasne w tej chwili spodnie. - Wyraźnie potrzebuje dodatkowego zapewnienia!

- Wolę wierzyć w to, że mój umysł góruje nad ciałem. Podobnie jak twój, bez wątpienia.

Juliet uśmiechnęła się i podłożyła sobie pod głowę ramię zamiast poduszki. Koszula osunęła się jeszcze niżej.

- Czyżbyś sugerował, milordzie, że w głębi duszy płonę z pożądania i chciałabym czym prędzej znaleźć się z tobą w łóżku?

- Nic podobnego, aczkolwiek wiem z doświadczenia, że kobieta zazwyczaj nie rozbiera się w obecności mężczyzny tylko po to, by zmienić ubranie.

- A przyrodzenie mężczyzny nie przypomina masztu, jeśli istotnie jego umysł i dusza są czyste jak woda źródłana!

- Proszę wybaczyć, że się powtarzam, ale nie jestem ani mnichem, ani eunuchem. Jeśli obnażysz pierś, będę się w nią wpatrywał. Jeżeli stanie się to w blasku księżyca, będę cię wielbił zachwyconym spojrzeniem. Możesz być jednak pewna, że mam dość sił, by okiełznać swe żądze.

Juliet roześmiała się.

- Słowo daję! Któż by nie uległ mężczyźnie zbrojnemu w nocnik!

Szybciej niż się tego spodziewała, naczynie znikło za barierką, a Varian znalazł się przy jej hamaku. Schwycił ją za nadgarstek i wyrwał jej z ręki ukryty sztylet. Potem złapał za brzeg hamaku i z pomrukiem zadowolenia szarpnął nim tak mocno, że Juliet spadła po przeciwnej stronie.

Wymachując rękoma, uderzyła o pokład. Kiedy zerwała się na równe nogi, Varian był gotów do ataku. Chwycił ją za nadgarstki i brutalnie wykręcił jej ręce do tyłu, zamykając oba przeguby w jednej ze swych żelaznych pięści. Całym ciałem napierał na Juliet, przyciskając ją do relingu. Nie zapomniał jeszcze o ranie pod brodą, którą Juliet zadała mu ubiegłej nocy, i z satysfakcją przytknął dziewczynie do gardła ostrze jej własnego sztyletu, gładząc stalową klingą napięty łuk białej szyi.

- Uprzedzam, kapitanie - powiedział ze spokojem - że uczę się na własnych błędach. Nie popełniam żadnego z nich po raz drugi.

- Odważne słowa! - syknęła, parodiując jego wczorajszą oskarżycielką przemowę. - Zwłaszcza że masz w ręku nóż!

Sztylet pofrunął za reling. Varian przysunął się do niej bliżej i chwycił za szyję w taki sposób, że palce niczym imadło objęły podbródek Juliet. Odnalazły i nacisnęły splot wrażliwych nerwów poniżej ucha. Było to tak bezlitosne, że ciało dziewczyny zwiotczało, a z rozchylnych ust wydobył się jęk bólu.

- Nie mam już żadnej broni - syknął.

Zakłęta zdławionym szeptem. Varian wykorzystał sytuację. Odwrócił jej głowę i brutalnie pocałował w usta. Gdy nie chciała rozchylić warg, zacisnął mocniej palce. Juliet krzyknęła z bólu i ze strachu. Varian wtargnął językiem między usta i zdobył pocałunek, którego mu odmawiała.

Kiedy wreszcie zdołała się oswobodzić, schwycił ją i znów przywarł do jej warg. Kopała i wrywała się z jego uścisku, ale udem, niby klinem, wdarł się pomiędzy jej nogi i uniósł Juliet do góry. Nie dotykała już stopami pokładu i o mały włos nie wypadła za reling.

Język Variana panoszył się we wnętrzu jej ust, udaremniając wszelki opór. Był tak natarczywy, że Juliet trudno było złpać oddech. Udało jej się jakoś wyswobodzić ręce i w jednej sekundzie wściekły opór przerodził się w chęć pokonania przeciwnika jego własną bronią. Odpowiadała ciosami pięści na próby obezwładnienia jej rąk. Wczepiła się we włosy Variana, ale zamiast go odepchnąć, przytrzymała go, by na każdą brutalną pieszczotę jego języka, zębów i warg, na każdy żarłoczny pocałunek odpowiedzieć tym samym.

Varian zbity z tropu nagłą i całkowicie nieprzewidzianą zamianą ról próbował się uwolnić, ale Juliet nie pozwoliła na to. Podobnie jak on, posłużyła się własnym ciałem jako narzędziem walki, napierając piersiami na jego pierś, udami na jego udo. Do niedawna Varian uważał się za zwycięzcę, co jeszcze bardziej rozpałiło jego zmysły. Teraz jednak oboje wyteżali wszystkie siły w walce i żadne już nie wiedziało, kto tu jest napastnikiem, a kto ofiarą.

Ta niepewność sprawiła, że Juliet przerwała pocałunek i odepchnęła Variana. Uczyniła to z niechęcią, gdyż od dawna nie czuła przy sobie rozpalonego męskiego ciała. Wiedziała jednak, że ten mężczyzna nie jest dla niej odpowiedni. Był zbyt pociągający, zbyt groźny. I jak na kogoś, kto zaklinał się, że nie zamierza jej uwieść, radził sobie z tym całkiem dobrze! Usta Juliet były rozpalone i wilgotne, a wewnątrz pozostał jeszcze smak pocałunków Variana. Czuła, że ciało wymyka się jej spod kontroli. Drżały jej ręce i nogi, a gdyby ręka pieszcząca zuchwale jej biodro posunęła się niżej, z pewnością rozdygotałoby się w niej wszystko i nie mogłaby nad tym zapanować.

Z drugiej strony Varian - mimo niewątpliwego podniecenia i błysku wściekłości w oczach, widocznego, gdy go ostatecznie odtrąciła - nie próbował przełamać oporu Juliet ani pochwycić jej znowu w ramiona.

- Rozczarowałeś mnie, milordzie - powiedziała szorstko. - Uważasz się za mistrza w tej grze, a przecież nawet nowicjusz wie, że lepiej nie próbować zbyt finezyjnych sztuczek, jeśli *nie ma* się dość sił albo sprytu na doprowadzenie sprawy do końca.

Oczy nadal błyszczały mu gniewem, palce rąk to zaciskały się, to rozluźniały.

- To było niewybaczalne. Mogę tylko najpokorniej przeprosić. Jeśli zawiodłaś się na mnie...



- Nie zawiodłam się! - poinformowała go bez ogródek. - Od pierwszej chwili uważałam cię, milordzie, za aroganckiego, egoistycznego bydlaka i nic, co się wydarzyło, nie zmieniło mojej opinii!

Przeciagnęła grzbietem dłoni po wargach, jakby chciała zetrzeć z nich pocałunki. Odsunęła się od balustrady, wyminęła księcia i odeszła bez pożegnania. Była zbyt wściekła na siebie i na niego, by pozostać choćby chwilę dłużej w jego towarzystwie. Usta miała opuchnięte, piersi obolałe. Kolana ugiwały się pod nią, a kończyny trzęsły się jak galareta. Całe ciało pulsowało namiętnością i żądzą odwetu. Kusiło ją, by wyjść na pokład i rzucić się na pierwszego napotkanego mężczyznę. Zedrzyć z niego ubranie, zajeździć bez litości, a potem pozbyć się go. Wyrzucić za burtę wraz z odpadkami z kambuza.

Ponieważ było to niewykonalne, chcąc jakoś rozładować swe napięcie, Juliet zerwała z kołka kubrak, schwyciła buty i opuściła kapitańską kajutę. Resztę, niekończącej się, bezsennej nocy spędziła w swej ulubionej samotni na szczycie grotmasztu.

## 8

Dawno już minęło południe, gdy okrzyk „ład na horyzoncie!” sprawił, że Juliet pobiegła na pokład rufowy. Zamazana fioletowa smuga widoczna za lewą burtą przekształciła się w niewielki, sterczący guz na gładkiej linii horyzontu. Gdy podpłynęli bliżej, przeobraził się on w pięć *oddzielnych* wysp, na widok których cała załoga „Żelaznej Róży” uśmiechnęła się radośnie. Po godzinie padł rozkaz „skrócić żagle, ograniczyć szybkość do sterowniczej!” *Płynący za nimi* galeon wykonał *ten sam* manewr.

Przyczyna takiego postępowania stała się jasna, gdy minęli pas jasnoniebieskiej wody. Rzucono sondę i okazało się, że głębokość pod kilem wynosi jedynie sześć *sążni*. Niewiele w porównaniu do *stu sążni* ciemnej jak atrament wody, którą mieli pod kilem przez cały ranek. Niespełna trzy mile dalej morze znów zmieniło kolor i błyszczało jak turkus, który w odległości niespełna dwustu metrów przemienił się w delikatny lazur. Ogółem siedem wodnych pierścieni w różnych odcieniach błękitu otaczało grupkę wysp migotliwą otoczką. Najjaśniejsze, bladoniebieskie pasmo miało zaledwie trzy sążnie głębokości. Woda była tutaj tak czysta i płytka, że załoga „Róży” wyraźnie widziała ławice żółtych prądkowanych ryb, które żerowały wśród koralowców.

Widoczne były również połamane żebra wraków, spoczywających w wodnym grobie. Bóg wie, ilu powodowanych ciekawością kapitanów zbliżyło się niebacznie do rafy i osiągnęło tylko tyle, że poszycia ich okrętów zostały rozplątane od dziobu po rufę. Zwłaszcza jeden statek wyróżniał się wśród nich. Spoczywał na dnie prawie nieuszkodzony, jedynym masztem wskazując południowy zachód. Wrak ten stanowił punkt orientacyjny. Majtek z bocianiego gniazda dostrzegłszy go, oznajmiło tym podnieconym krzykiem.

Juliet poleciła skierować „Żelazną Różę” na kurs wskazany przez zatopiony maszt. Sprawdziwszy szybkość i kierunek wiatru, odwróciła specjalnie oznakowaną klepsydrę. Teraz przy sondach znajdowało się już dwóch ludzi. Jeden, znajdujący się na dziobie, nieustannie podawał głębokość, drugi zaś—na rufie - spuścił do wody log i obliczał prędkość, z jaką się poruszali. Reszta załogi stała w milczeniu. Połowa zajęła stanowiska na rejach, gotowa spełnić niezwłocznie każdy rozkaz. Inni obserwowali z dołu swego kapitana. Juliet stała na samym końcu bukszprytu, przekazując stamtąd polecenia sternikowi. Choć znała te wody równie dobrze jak własną kieszeń, nie lekceważyła ich nigdy. Rafę można było przebyć tylko wąskim korytem głębszej wody. Było ono tak kręte, że biada zbyt pewnemu siebie kapitanowi, który przepływając ten trudny odcinek, nie skoncentrował się należycie.

Niemal w tym samym momencie, gdy sternik dał znak, że w klepsydrze przesypało się ostatnie ziarnko piasku, Juliet oznajmiła, że dziób statku znalazł się znów na głębokiej wodzie. Wymijając naprężone liny wantowe, dziewczyna przemierzyła bukszpryt i zeskoczyła lekko na pokład dziobowy, gdzie czekał już na nią Johnny z lunetą. Rozłożyła ją z trzaskiem i niespokojnie obserwowała znacznie większy od „Róży” galeon, który właśnie rozpoczynał przeprawę przez rafę.

- Rusza się toto jak prośna maciora - burknęła pod nosem. - Założę się, że Nathan ze złości pogryzł swoją prymkę w drobny mak.

- A ja się założę, że kapitan Simon też zaciska zęby! - powiedział Johnny.

Juliet zatoczyła krąg lunetą i skoncentrowała wzrok na wyspach. Cztery z nich były dokładnie tym, na co wyglądały z daleka - wierzchołkami starych wulkanicznych skał, sterczącymi z morza. Pokrywały je splątane chaszczce, nad którymi górowało kilka rozsianych tu i ówdzie palm. Żyły tam jedynie żółwie i jaszczurki. Wyspy te nie mogły skusić przepływających obok statków niczym - prócz widoku spienionych fal, które rozbijały się z niezwykłą gwałtownością o nagie skały.

Na piątej wyspie, usytuowanej w samym środku i wznoszącej się znacznie wyżej niż pozostałe, znajdowała się najbardziej niedostępna

kryjówka na Karaibach. Łąd miał z grubsza kształt litery C, niemal stykającej się ramionami. Stanowił niegdyś górną krawędź wulkanu. Część dna morskiego podniosła się, a brzeg krateru uległ wyszczerbieniu i w ten sposób powstała naturalna przystań o głębokim dnie, otoczona ze wszystkich stron skalnymi ścianami, które sprawiały wrażenie niedostępnych. Simon Dante odkrył tę wyspę przypadkowo przed mniej więcej trzydziestu laty. Rozszalał się wówczas straszliwy sztorm. Fale o wysokości piętnastu metrów przeniosły okręt Wilka ponad ostrymi jak brzytwa zębami koralowej rasy i osadziły pośrodku atolu. Naprawa uszkodzonego kilu ukochanej „Bohaterki” oraz znalezienie drogi poprzez rafy zajęły Dantemu niemal pół roku. Zdążył przez ten czas zbadać dokładnie wszystkie wyspy. Największą z nich nazwał Gołębią Rafą - od stadka szarych gołębi, które jego sternik zabrał na pokład. Ptaki, wypuszczone z klatek, pofrunęły prosto ku nieprzebytej ścianie skalnej i wskazały marynarzom drogę do wnętrza krateru.

Mimo że Juliet obdarzona była bystrym wzrokiem i znała te strony od dziecka, nie potrafiła wypatrzeć ukrytego przejścia, póki nie minęli dwóch pierwszych wysp. Oczywiście duszy widziała za to wyraźnie stojących na grani wartowników, potrząsających dzwonkami alarmowymi. Na ten dźwięk mężczyźni pędzą do baterii ciężkich dział, które bronią wstępu na wyspę. Nigdy dotąd - przez całe dwadzieścia jeden lat swojego życia - Juliet nie słyszała, by wystrzelono z którejś z armat w obronie Gołębiej Rasy. Uśmiechnęła się mimo woli na myśl o popłochu, jaki odmaluje się na niektórych twarzach, gdy zobaczą, jak potężny hiszpański galeon toruje sobie drogę przez koralową rafę.

- Gdyby to Jonas znalazł się na moim miejscu, nie odmówiłby sobie przyjemności i posłałby salwę burtową - ot tak, dla rozgrzewki!

- Ale ty, kapitanie, wywieś lepiej pokojową flagę - doradził Nog Kelly, pochylając się nad jej ramieniem - bo jeśli mnie wzrok nie myli, to ci tam, na stanowiskach, już się nastroszyli i szykują nam gorące spotkanie!

Juliet skierowała lunetę na półki skalne leżące mniej więcej w połowie zbocza. Istotnie, dostrzegła błysk słońca odbitego w metalu i wiedziała już, że lufy czterdziestu ciężkich dział oczyszczono z maskujących je pnączy i gałęzi. Czujki musiały dostrzec dwa zbliżające się okręty z odległości wielu mil. Co prawda „Żelazna Róża” była wszystkim doskonale znana, ale widok płynącego za nią hiszpańskiego galeonu - zwłaszcza tak potężnego i tak uzbrojonego jak „Santo Domingo” - sprawił, że woleli zachować ostrożność.

— Kapitan Simon będzie rad ze zdobyczy, co?

Juliet odjęła na moment lunetę od oka i uśmiechnęła się do Johny'ego.

- Ojciec z pewnością się ucieszy na widok „Santo Domingo”. Za to inne niespodzianki, które mu wieziemy, mogą go przyprawić o ból głowy!

Spojrzała na pokład w dole i zobaczyła Variana St. Clare'a stojącego przy relingu. Uśmiech Juliet przerodził się w niemły grymas.

- Skąd on się wziął na pokładzie?! Rozkazałam przecież wyraźnie, żeby został na dole!

Johnny prychnął pogardliwie.

- On tyle wie o morzu co nic, kapitanie! Nawet za tysiąc lat nie umiałby tu wrócić!

Juliet obrzuciła chłopca gniewnym wzrokiem.

- Skąd ta pewność?

- Jakem mu dziś rano zaniósł suchary i piwo, to mnie spytał, gdzie teraz jesteśmy. No to mu pokazałem na mapie wyspy Tortuga i Cabecas de los Martyres, a on kiwnął głową, jakby wiedział, na co patrzy. A jak mu powiedziałem, że jesteśmy o dziesięć stopni od równika, to znowu kiwnął głową, i tyle.

- To, że powiedziałeś księciu, iż znajdujemy się o sześćset mil morskich dalej na północ niż w rzeczywistości, nie świadczy wcale o jego ignorancji. Jeśli się pomyliłeś, to będziesz się tłumaczył przed kapitanem Simonem!... A to nowe ubranie? Pewnie to ty się o nie wystarałeś, co?

- Znalazłem je w jednej z tych skrzyń, cośmy je zabrali z galeonu. Tak sobie pomyślałem, że jakoś by mu było głupio stanąć przed kapitanem Simonem w podartych portkach i pokrławionej koszulinie... Teraz wygląda na prawdziwego księcia, no nie?

W tej właśnie chwili Varian St. Clare odwrócił się i spojrzał w górę, na pokład dziobowy. Książę był znowu gładko ogolony i miał starannie przystrzyżone wasy oraz bródkę. Miejsce splamionej krwią koszuli zajęła inna, z cienkiego hiszpańskiego płótna, z koronkowymi mankietami i krezą u szyi. Zamiast postrzępionych portek założył ciemnozielone weneckie spodnie, przewiązane tuż nad kolaniem złotą jedwabną wstążką. Ciemne pończochy i duży, strojny kapelusz osadzony nieco na bakier oraz zadziwiająco dobrze dopasowany kubrak z szmaragdowego aksamitu dopełniły cudu - nieszczęsny rozbitek przeobraził się znów w królewskiego wysłannika. Gdyby nie drobne siniaki i otarcia oraz rządęk szwów z lewej strony twarzy, Juliet mogłaby pomyśleć, że książę przybył tu prosto z uczty na królewskim dworze.

Spojrzenie szafirowych jak nocne niebo oczu splotło się na dłuższą chwilę z jej wzrokiem. Potem Varian głębokim ukłonem podziękował za

okazane mu zainteresowanie. Juliet przez całe rano nie widziała go ani nie rozmawiała z nim. Teraz też nie miała na to najmniejszej ochoty. Już i tak czuła pod skórą nieustannie żarzący się ogień wściekłości i wiedziała, że gdyby podeszła bliżej do tego eleganta, nie oparłaby się pokusie wyrzucenia go za burtę. Niechby sobie popłynął do wyspy!

- Arogancki bydlak! - mruknęła pod nosem. — Ale jeszcze zobaczymy, kto wygra!

Z pewnym wysiłkiem zwróciła znów oczy na „Santo Domingo”. Minęła niemal wieczność, nim ociężyły galeon przebrnął przez rafę. Kiedy mu się to udało, oba okręty - z „Żelazną Różą” na przedzie - skierowały się ku piątej wyspie. Gdy dopłynęły do Gołębiej Rafy, Juliet podniosła lunetę do oka i zdołała zidentyfikować kilka kropeczek, które ustawiły się w grupkach wokół armat.

Obok największego z dział stała wysoka, majestatyczna postać - jej ojciec. Czuł się tak samo swobodnie na pokładzie ruszającego do walki okrętu jak przy armacie, gotowy do obrony swej twierdzy. Tuż przy Simonie znajdował się, jak zawsze, Geoffrey Pitt, nieoceniony dzięki swej rozległej wiedzy. Potrafił omamić cały świat swoją pozorną łagodnością, choć w rzeczywistości był bezwzględny jak nikt, z wyjątkiem Dantego.

Za plecami tej dwójki - górując nad wszystkimi wzrostem, z połykającą w promieniach słońca łysiną - stał ogromny, czarnoskóry Cima-roon, zwany przez wszystkich Luciferem. Niedyś, skuty łańcuchami, tkwił u boku Wilka we wnętrzu hiszpańskiego galeasa. Nienawiścią do dawnych ciemieżców dorównywał niemal Simonowi. Ten zaś pozyskał sobie przed trzydziestu laty zaufanie czarnoskórego olbrzyma i mógł od tamtej pory liczyć na jego niezłomną lojalność. Lucifer był głównym ogniomistrzem Dantego. Nie odlano jeszcze takiego działa ani nie skonstruowano pistoletu, z których nie potrafiliby oddać strzału z morderczą precyzją.

W pobliżu tej trójki stała jeszcze jedna postać, drobniejsza i smuklejsza, z pustym rękawem związanym poniżej lewego łokcia. Isabeau Dante potrafiła się pogodzić z utratą ręki, nie pozwoliła jednak, by w znaczący sposób zmieniło to jej życie. Miała zamiar spędzić je na morzu. Odkryła nowe sposoby utrzymania w ryzach męża i dzieci. Od nikogo nie oczekiwała współczucia a gdyby ktoś je ofiarował, nie doceniłaby tego daru. Prawdę mówiąc, kiedy Juliet wyruszała w rejs, jej matka wraz ze swym niemłodym już pierwszym matem Spitem McCutcheonem pracowała nad urządzeniem, które po dopasowaniu do kikuta ręki pozwoliłoby utrzymać w niej szpadę lub pistolet.

- Chorągiewki, kapitanie? - przypomniał gromko Kelly.

Juliet skinęła głową. Jeden z majtków pobiegł po chorągiewki sygnałowe. Na pierwszej z nich widniał szkarłatny wilk i błękitne lilie na czarnym tle - herb Simona Dantego, hrabiego de Tourville. Druga, czarno-szkarłatna, wycięta na kształt jaskółczego ogona, przedstawiała wilka ze złotą różą w zębach. Jako trzeci wywieszono kwadrat zielonego jedwabiu. Ten ustalony sygnał powinien usmierzyć wszelkie obawy obrońców twierdzy. Oznaczał, że Hiszpanie nie zawładnęły „Żelazną Różą” ani nie zdołali jej zmusić do wskazania im drogi na Gołębią Rafę.

Kilka minut po tym, jak chorągiewki załopotały na wietrze, potężne działa oblężnicze znów były ukryte i zamaskowane, kanonierzy zaś pędzili na przystań, wymachując rękami i wrzeszcząc, chociaż statki nadal znajdowały się zbyt daleko, by można było coś usłyszeć. Geoffrey Pitt zdjął nawet kapelusz i uniósł go w powitalnym geście. Juliet uznała to za dobry znak, mimo że jej ojciec nie ruszył się z miejsca. Stał na szeroko rozstawionych długich nogach, z rękoma założonymi za plecy i mierzył wzrokiem nadpływające statki.

Choć dobrze po pięćdziesiątce, Simon Dante nadal był przystojnym mężczyzną. Ciało miał muskularne, a twarz nie uległa przez te wszystkie lata większym zmianom. Przybyło najwyższej kilka zmarszczek, które świadczyły o problemach z wychowaniem trójki dzieci i utrzymaniem w ryzach zbyt impulsywnej żony. Przejrzyste, srebrnoniebieskie oczy Simona nadal budziły trwogę w sercach wrogów. Stanowczy, pewny siebie głos Wilka potrafił zmusić do milczenia choćby i tysiąc osób. Simon umiał też jednym zgrabnym powiedzonkiem doprowadzić wszystkich do niepohamowanego śmiechu. Wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych uczuć i chociaż Juliet wiedziała, że ojciec kocha ją całym sercem, nadal drżała ze strachu przed nim. Jedno gniewne słowo ojca mogło odebrać jej całą odwagę, a błysk rozczarowania w jego oczach ranił Juliet boleśniej niż ostrze noża. Podobnie rzecz się miała z matką.

Isabeau Dante była niemal równie surowa co jej mąż.

- Wprowadź nas do przystani, panie Anthony - powiedziała Juliet spokojnym tonem, zwracając się do sternika.

- Tak jest, kapitanie! Chłopaki rwą się do domu. Tak im spieszno pochwalić się naszym wyczynem, że chyba spuszcza szalupy, nim staniami na kotwicy!

Juliet nie odwzajemniła radosnego uśmiechu sternika.

- Będzie dość czasu na przechwałki, kiedy każdy zrobi, co do niego należy. Nie chcę widzieć na pokładzie ani kawałka zerwanej liny, ani jednego niezabezpieczonego luku! Wszystkie beczki z prochem mają być odtoczone na miejsce, działa pokładowe naoliwione i zaszpuntowane,

zanim któryś z was wypije choćby kroplę rumu! Panie Kelly - zwróciła się do cieśli - oczekuję, że jutro do południa nowy grotmaszt zostanie zamontowany na pokładzie „Róży”. Proszę też sporządzić szczegółową listę wszelkich niezbędnych napraw na „Santo Domingo”. Jestem pewna, że nie zabraknie nam pomocników przy wyładunku tego wszystkiego, co się znajduje w ładowniach galeonu. Życzę sobie także, by przy okazji został on gruntownie przeszukany a zbędne obciążenie usunięte. Jeśli będzie trzeba, zostawcie tylko gołe deski, ale szybkość musi wzrosnąć o pięć węzłów.

- Mogę porąbać to, co zostało z tych sakramenckich wieżyczek na dziobie i rufie. Zyskamy na tym dwa rumbly przy bezwietrznej pogodzie. Zmniejszy się też zanurzenie.

Juliet potrząsnęła głową.

- Zobaczmy, jak galeon sobie radzi z nowymi urządzeniami i żaglami, o których mówiliśmy. Nie zmieniamy mu całkiem wyglądu! Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać koń trojański.

- Po cholere nam konie, kapitanie?! Na statku?

Juliet westchnęła i machnęła ręką, rezygnując z wszelkich dalszych wyjaśnień.

- Nog, po prostu uwierz mi, kiedy mówię, że to się może przydać.

- Kapitanowi Simonowi pewnie się to nie spodoba. Konie to paskudne bydłaki. Jakem był mały, jeden mnie ugryzł w dupę. Do dziś mam ślad!

Juliet spojrzała przez lunetę.

—No, cóż... O ile sławny Wilk nie wprowadzi oficjalnych zmian do umów kaperskich, które wszyscy podpisaliśmy, „Santo Domingo” należy do mnie. Ja zdobyłam ten galeon. Ja wróciłam z nim na Gołębią Rafę. Mogę z nim zrobić, co mi się podoba!

Kelly uniósł ręce do góry, z jego miny widać było wyraźnie, co myśli na ten temat.

- Ja się tam nie będę z tobą kłócił, kapitanie. Powiem tylko, że można by opylić tę fajbę Portugalczykom za okragłą sumkę.

- Uzbierałam już okragłą sumkę, starczy mi do końca życia.

Juliet po raz ostatni rzuciła okiem na fale rozbijające się u podnóża klifów. Na skupiska piany i fontanny pyłu wodnego, znaczące się podwodnych prądów płynących wokół sterczących z morza skał. O tej porze ruch fal był bardziej korzystny dla statków, które chciałyby opuścić ukrytą przystań niż dla jednostek wpływających do niej. Należało mieć baczenie zwłaszcza na wiry u podstawy klifów. A kiedy okręt znajdzie się już poza cyplem, broniącym wstępu na wyspę, trzeba będzie zwrócić uwagę

na utrzymanie szybkości, by nie pochwyliła ich wsteczna fala i nie wlokła z powrotem. Po obu stronach przesmyku stały w pogotowiu łodzie, a na nich mężczyźni z linami zakończonymi hakami lub kotwiczką, by w razie potrzeby doholować statek do nabrzeża. Juliet tylko raz pozwoliła wziąć się na hol, kiedy ster uległ uszkodzeniu. Co prawda, naprawiono go naprędce, ale nie była pewna, czy ta prowizorka wytrzyma walkę z prądem. Bracia Juliet przeważnie wracali na holu, ale dla niej punktem honoru było utrzymanie szybkości „Róży” do ostatniej chwili.

Większość załogi wiedziała o skrytej rywalizacji między rodzeństwem i wstrzymywała dech na ostatnim odcinku drogi. Najmniejszy błąd mógł spowodować roztrzaskanie się okrętu o skały, więc gdy Juliet wkroczyła na pokład rufowy, wszyscy wlepili wzrok w potężne klify i tryskające u ich podnóża fontanny białej piany.



Varian St. Clare spędził dziewięć lat w armii. Jako jeden z najmłodszych oficerów dosłużył się stopnia kapitana i doczekał wielu pochwał za męstwo i odwagę na polu bitwy. Przez trzy lata był dowódcą Królewskiej Gwardii - niemałe osiągnięcie, biorąc pod uwagę liczbę papistów, którzy przeklinali dzień, gdy Szkocja i Anglia zjednoczyły się pod rządami jednego władcy. Nie złąkł się Guya Fawkesa, fanatyka, który zamierzał zabić króla i wszystkich jego ministrów, wysadzając w powietrze gmach parlamentu\*. Wkroczył śmiało do piwnicy zastawionej trzydziestoma beczkami czarnego prochu i przeciął płonący już lont. Nawet wtedy okiem nie mrugnął! A teraz przyłapał się na tym, że odsuwa się trwożnie od relingu i krople potu spływają mu po plecach, kiedy „Żelazna Róża” mknęła prosto na spotkanie śmierci. Wydawało się nieuniknione, że statek roztrzaska się o skalną ścianę.

Choć Varian wypatrywał sobie oczy, nie mógł dostrzec w niej żadnej szczeliny, przez którą zdołałby przepłynąć żaglowiec o dwunastometrowych masztach. Raz po raz spoglądał w stronę wariatki na pokładzie rufowym, ale wydawała się bardziej zainteresowana lotem krążącej nad nimi mewy niż szaleńczą furią morskich bałwanów, piętrzących się przed statkiem. Zignorowała nawet niepokój sternika, gdy ten zaczął przestępować z nogi na nogę i odejmować co kilka sekund to jedną, to drugą spoconą rękę od steru, by otrzeć ją o spodnie.

\* Chodzi tu o tzw. spiszek prochowy, udaremiony 5 listopada 1605 roku.



- Teraz, panie Anthony - powiedziała dobitnie. - Wciągnij grotzagię, jeśli łaska, i przymocuj dobrze do sterburty. Zostaw mi bezan do sterowania i daj znak chłopakom na rejach, żeby byli w pogotowiu!

Varian podniósł wzrok, gdy donośnym krzykiem przekazywano rozkazy. Stojące na rejach postacie ożyły. Zwijano wielkie płachty płótna tak szybko, jak to było w ludzkiej mocy, i przywiązywano je do rej niczym monstrualne kiełbasy. Na pokładzie marynarze zajmowali pozycje wzdłuż obu burt. W rękach trzymali grube dębowe kije. Varian nie miał pojęcia, do czego mogły im być potrzebne.

Prędkość statku nie zmalała. Zdawało się raczej, że nabiera on rozpędu przy zwrocie. Zagarnęły ich przybrzeżne fale, opływające wdzięcznie cypel... i wtedy właśnie Varian wypatrzył przejście. Pomyślał, że może zdołają jakoś wyminąć skalną zaporę. Wpatrywał się bacznie w fale rozbijające się w odległości niespełna dwustu metrów od lewej burty statku. Były tak blisko, że czuł na twarzy unoszący się ponad nimi wodny pył.

Przejrzał się marynarzom stojącym na masztach i rejach i dostrzegł, że żaden z nich nie wygląda na przerażonego. Niektórzy śmiali się w głos, upojeni szybkością.

- O, miłosierny Boże! - szlochał Beacom, zasłaniając twarz rękoma. - Jesteśmy zgubieni! Już po nas! Rozbijemy się o skały! Pójdziemy na dno... po tym wszystkim, co musieliśmy wycierpieć!

- Na litość boską, Beacom! Nie ma mowy o utonięciu. Otwórz oczy, człowieku - przekonywał go Varian, który doznał właśnie olśnienia - i podziwiał niezrównany wyczyn!

St. Clare przysunął się znów do relingu. Zwrot wykonano precyzyjnie i statek mknął teraz bez przeszkód między dwiema skalnymi ścianami, pozostawiwszy za sobą ryczące wściekle bałwany. Księżę zrozumiał, do czego potrzebne były mocne kije, kiedy rufa okrętu przybliżyła się zbyt blisko do skał, a nawet otarła o nie. „Żelazna Róża” zareagowała jednak na pierwsze drgnienie steru. Wyprostowała się i płynęła majestatycznie samym środkiem toru wodnego, tak że nie trzeba było odpychać jej od skalnych ścian.

Po obu stronach przesmyku wznosiły się strome zbocza, porośnięte bujną zielenią. U góry zbliżały się ku sobie, tak że światło słoneczne, przenikając przez splecione pnącza, nabierało zielonej barwy. Na stokach, za palmami i pnączami kryły się niewidoczne ścieżki. Członkowie załogi wymieniali gromkie pozdrowienia z ludźmi biegnącymi po skalnych półkach, a ich echo niosło się po wodzie. Okręt nieprzerwanie parł naprzód, choć jego prędkość trochę zmalała. Varian zdumiał się, ujrawszy światło u wylotu porośniętego zielenią tunelu. Jeszcze trzydzieści metrów

- i wypłynęli na czyste wody pod słonecznym niebem. Tym razem widok, który roztoczył się przed nim, był doprawdy oszołamiający.

Znajdowali się w wielkiej, osłoniętej ze wszystkich stron przystani, która w najszerszym miejscu miała około trzech i pół kilometra. W odróżnieniu od zdeformowanego i niegościnnego pierścienia rzadko porośniętych zielskiem skał-zewnętrznej maski, którą Gołębia Rafa prezentowała całemu światu - wewnątrz wyspy mogło się poszczycić bujną zielenią stoków i mnóstwem palmowych gajów. Pomiędzy drzewami rozsiądane były niewielkie skupiska krytych strzechą chat lub kamiennych domków. Wyżej, na zboczu, znajdowały się pastwiska, na nich zaś stada owiec i bydła. Wszędzie rosły drzewka cytrusowe, a po przeciwnej stronie zatoki wielka skalna niecka, w której osadzały się kryształki soli powstałe z wody morskiej, odcinała się połyskliwą bielą od zieleni dalekiego brzegu. Słońce znikło właśnie na zachodzie za krawędzią krateru, pograżając niemal całe zbocze w gęstniejącym mroku. W niektórych domkach u podnóża skał migotały już światła. Zapewne budziły się do nocnego życia tawerny i tancbudy przy głównym nabrzeżu.

Mogło się ono z powodzeniem równać z rojną i gwarną przystanią na Tamizie. Stały tu portowe magazyny i długie, niskie budynki z drewna. Były doki przeładunkowe i ogromne wyciągi, obwieszane sieciami do przenoszenia ciężarów. Przy końcu nabrzeża znajdował się kościół z wynurzającą się z mroku białą wieżą.

Były również trzy wielkie okręty stojące na kotwicy. Dwa z nich przypominały rozmiarami i tonażem „Żelazną Różę”, trzeci był większy i miał dwa razy więcej otworów działowych.

- To statek kapitana Simona - objaśnił mary Johnny, podchodząc do Variana od tyłu. - „Mściciel”.

Varian był zbyt przejęty, by zdobyć się na coś więcej niż potakujący ruch głowy. Uświadomił sobie, że zalicza się do bardzo nielicznej grupy uprzywilejowanych, którzy ujrzeli ów słynny statek kaperski z bliska... i nie zginęli od salwy z jego burty. Kiedy „Żelazna Róża” mijała „Mściciela”, książę nie odrywał oczu od kształtnej sylwetki okrętu, który od z górą dwudziestu lat budził trwogę w sercach hiszpańskich kapitanów. Wreszcie spojrzenie Variana zatrzymało się na niezwyklej figurze dziobowej.

Twarz jej była zdumiewająco podobna do twarzy Juliet. Z obu stron otaczała ją uwydatniona jeszcze przez artystę burza rzeźbionych loków, sięgająca bukszprytu. Wyglądało to tak, jakby rozwiane wiatrem fale włosów płynęły za dziewczyną. Cienka szatka, w którą była odziana, osunęła się w dół, odkrywając rzeźbioną w dębie pierś, równie doskonałą jak ta, której Varian dotykał ubiegłej nocy. Na tym jednak podobień-

stwo się kończyło, gdyż reszta posągu przedstawiała ciało łabędzia. Pióra wydawały się tak realne, jakby oskubano żywego ptaka i oklejono nimi rzeźbę, a rozpostarte czarne skrzydła niemal łopotały na wietrze.

- To żona kapitana, pani Jsabeau - powiedział z wielkim szacunkiem Johnny. - Tylko ją zdążył uratować z „Czarnego Łabędzia”, zanim ten zatonął. Znaczący się, uratował nie tylko rzeźbę, ale i żonę. A pod wodę poszedł „Łabędź”, a nie kapitan Simon. A tamta ślicznotka-chłopiec wskazał elegancki dwumasztowiec, częściowo zasłonięty przez większy od niego statek kaperski - to „Christiana” pana Pitta. Sam ją zaprojektował. To najszybsza sztuka, jaka od początku świata pływała po morzu! Znaczący się, będzie najszybsza, jak ją pan Pitt wykończy. A te tam dwa za panem, milordzie! To „Postrach” i „Heros”. Statki kapitana Jonasa i kapitana Gabriela.

Blżej brzegu stało jeszcze na kotwicy około tuzina lżejszych stateczków, służących przede wszystkim do przewozu żywności. Johnny wyjaśnił, że nie mają one własnych kapitanów. Są tak skonstruowane, że można je rozebrać na części i schować jako balast w ładowni większego statku. Minęli również całe stado łodzi zapełnionych ludźmi, wiosłami i linami, które czekały przy przesmyku, by wypłynąć po „Santo Domingo” i wziąć galeon na hol. „Żelazna Róża” nie dała się prądom ani wiorom, ale hiszpański okręt potrzebował holownika.

Varian od czasu do czasu kiwał głową w odpowiedzi na paplaninę chłopca, ale jego uwagę przyciągnęło coś innego. Na wschodnim zboczu krateru, które złościły jeszcze ostatnie promienie słońca, znajdował się porośnięty trawą taras. Wzniesiono tam obszerną, dwukondygnacyjną rezydencję. Był to dwór równie duży i piękny jak te, które można spotkać na angielskiej prowincji. Zbudowany z białego kamienia i kryty czerwoną glinianą dachówką budynek miał okratowane werandy biegnące wokół górnego i dolnego piętra. Droga prowadząca z dworu do przystani wiła się wśród zieleni niczym wstążka. Kiedy okręt stanął i zagrzecgotał łańcuch opuszczanej kotwicy, wzbiły się nad nią dwa obłoczki kurzu unoszące się za plecami jeźdźców, którzy pędzili w stronę doków.

- To ani chybi kapitan Jonas i kapitan Gabriel - domyślił się Johnny. - Ludziska mówią o nich Piekielne Bliźniaki. I nie bez powodu! Lepiej z nimi nie zadzierać. Nie mają cierpliwości do szczurów lądowych. Zwłaszcza kapitan Jonas. To ten z włosami czerwonymi jak same ognie piekielne. I wściekać się potrafi jak wszyscy diabli!

- Obiecuję, że się będę grzecznie zachowywać.

Chłopiec uśmiechnął się kpiąco.

- Obiecanki-cacanki! Z kapitan Juliet też miało być grzecznie, ale się nie udało...

Varian spojrział na niego spod oka i nastroszył się na widok szerokiego uśmiechu Johnny'ego.

- Ile ty masz lat, chłopcze?

- Na świętego Michała skończę dwanaście - odparł pośpiesznie Johnny. - Mama mówi, że się urodziłem pod szczęśliwą gwiazdą, a pan Crisp, że to nie była wcale gwiazda, tylko ktoś zapalił lampę na wzgórze.

- Pan Crisp wygląda mi na praktycznego człowieka.

Chłopiec wzruszył chudymi ramionkami.

- To mój tata, więc trza go słuchać, ale ta historia o szczęśliwej gwieździe bardziej mi się podoba.

- Pan Crisp jest twoim ojcem?

- Jużem to mówił, no nie?

- Nie chciałem cię urazić, tylko... - Varian spojrział na misternie rzeźbione szcudło, które zastępowało chłopcu nogę. - Wydaje mi się dziwne, że ktoś naraża własnego syna na ustawiczne niebezpieczeństwo, zwłaszcza że tyle złego już go spotkało.

- Chodzi o moją nogę? Ano, zapłaciłem gapowe. To moja wina. Niosłem ładunek prochu i położyłem za blisko płonącego lontu. Ledwie się obejrzałem i buch! Już po nodze. Pan Kelly zrobił mi to - dorzucił z dumą, stukając palcem w głowę drewnianego węża. - Kapitan Juliet dała mi szmaragd na oko, pani Beau - perły na łuski, kapitan Simon coś... O, ten to mi dopiero dał łupnia za moją głupotę! Ale miałem wtedy tylko sześć lat, to co się dziwić? Teraz mam już dwanaście i kapitan Juliet uczy mnie czytać mapy i wytyczać kurs.

- Jestem pewien, że będziesz kiedyś świetnym nawigatorem.

- Chcę być prawdziwym postrachem mórza. Jak sam kapitan Dante!

Chłopiec rozpromienił się i zasalutował. Od steru padł jakiś rozkaz.

Johnny odsunął część relingu w miejscu, gdzie zwykle zarzucano trap. Z nabrzeża *odbiło* kilka szalup. Wszystkie gromadziły się wokół „Żelaznej Róży” niczym opiłki przyciągane magnesem. Pierwsza dotarła do celu łódź wioząca braci Juliet. Varian odsunął się dyskretnie na bok, kiedy kładka stuknęła o kadłub okrętu. Bracia wspięli się po wręgach i pokonali kładkę, wzywając gromkim głosem kapitana, zanim jeszcze ich noga dotknęła pokładu. Obaj byli tego samego wzrostu i budowy, na tym jednak kończyło się ich podobieństwo. Dzięki opisowi Johnny'ego Varian rozpoznał Jonasa Spence'a Dantego po grzywie kędzierzawych, ognistorudych włosów, które opadały mu na krzepkie ramiona. Kwadratową szczękę Jonasa pokrywała szczecina tycjanowskiej barwy. Tego samego koloru były jego brwi i rzęsy. Miał rzucającą się w oczy bliznę po lewej stronie brody, inna widniała na karku, nad kołnierzem podniszczonego skórzanego kubraka.

W przeciwieństwie do niego, młodszy z Piekielnych Bliźniaków miał wygląd upadłego archanioła. Włosy o barwie ciemnego mahoniuka okalały piękną twarz, w której uwagę przyciągały ogromne, wyraziste oczy i zmysłowe usta. Gdyby Gabriel wkroczył do któregoś z tłocznych londyńskich salonów, gromady kobiet mdlałyby z zachwytu. O ile Jonas czuł się najswobodniej w odzieży ze skóry i zgrzebnego płótna, to koszula Gabriela została uszyta z najcieńszego białego batystu, haftowany kaftan z brokatu, a długie nogi okrywał miękki zamsz.

- No, gdzie ona się podziewa?! - grzmiał Jonas. Jego oczy, koloru starego złota, spod szerokiego ronda kapelusza obiegały szeroko uśmiechnięte twarze majtków. - Gdzie jest kapitan tej załosnej parodii żaglowca?!

Przedni luk otworzył się i wyszła z niego Juliet Dante.

Na odgłos hucznych wiwatów załogi Varian zwrócił oczy w tamtym kierunku i aż zamrugał, sądząc, że wzrok go myli. Juliet zmieniła się nie do poznania. Była ubrana w obcisłe czarne spodnie z irchy i białą jak śnieg jedwabną koszulę. Jej kołnierz i mankiety zdobiły kaskady koronek. Na dopasowanym kubraku z czarnej skóry, podkreślającym smukłość talii, lśniły pasy drobnych perełek. Krótką aksamitną pelerynkę udrapowano zręcznie na jednym ramieniu tak, by widać było szkarłatną podszewkę. Odrzucone do tyłu poły pozwalały w każdej chwili chwycić za broń. Włosy Juliet opadały gęstwiną kasztanowych loków na plecy spod zawadiackiego kapelusza z wywiniętym szkarłatnym rondem. Wysokie czarne buty kończyły się powyżej kolan szerokimi mankietami. U pasa miała niezrównaną toledońską szpadę.

Varian niemal zapomniiał, kogo ma przed oczyma, obserwując dumnie krocącego poprzez pokład pięknego korsarza.

- Kto wpuścił na mój okręt tych dwóch dziwkarzy?! - rzuciła groźnie. - Dwa złote dublony dla tego, kto ma dość ikry, by wyrzucić ich za burtę!

Szmer podniecenia przebiegł wśród załogi, ale nikt nie był na tyle nierozważny, by zadzierać z braćmi Dante. Juliet z westchnieniem wyciągnęła szpadę z pochwy.

- Widzę, że będę musiała sama czynić honory domu - oznajmiła. - Który pierwszy? Kundel czy szczeniak?

Jonas Dante uśmiechnął się szeroko i dobył szpady.

- Kiedy z nią skończę, braciszku, możesz jej przyłożyć raz czy dwa w ten kształtny tyłeczek... o ile się przedtem nie posika ze strachu!

- A ja ci pozwalam, drogi Gabrieli - odparowała Juliet, wyginając cienkie ostrze szpady w lśniący łuk - przyciąć mu ten uszyty na wyrost sączek do właściwych rozmiarów... o ile sama tego przedtem nie zrobię!

Załoga „Żelaznej Róży” nagrodziła te słowa hałaśliwymi wiewatami. Marynarze opierali się o *reling* pokładu dziobowego, obiegli reje, tłoczyli się na rufie. Robiono hałaśliwe zakłady, trącano się w plecy, rozstępowano na boki, żeby brat i siostra mieli jak najwięcej miejsca. Oni zaś bez pośpiechu zaczęli okrażać się nawzajem. Klingi ze świstem przecinały powietrze, gdy gotowali się do pojedynku.

— Boże wszechmogący... Milordzie! - szepnął Varianowi na ucho stojący za nim Beacom. - Czy oni naprawdę chcą się pozabijać?!

Ale Varian gestem ręki nakazał lokajowi milczenie. Był zafascynowany sceną, która rozgrywała się przed jego oczyma. On również często próbował się ze swymi braćmi, ale nigdy ostrą bronią. Nie okazywali też przy tym tej straszliwej zjadłości, jaką błyszczały oczy obojga przeciwników.

Jonas zaatakował pierwszy, pozorując cięcie, by zmylić przeciwniczkę. Juliet odparowała bez trudu każdy z początkowych ciosów i odpowiedziała pięknym za nadobne z taką drapieżną zręcznością, że zmusiła do spiesznej rejterady o wiele od niej wyższego i silniejszego brata.

Kolejne starcie trwało znacznie dłużej. Oboje z kocią zręcznością uwijali się wokół kabestanów, robili wypadki zza skrzyń i beczek albo wskakiwali na nie. Szczękowi stali uderzającej o stal towarzyszyły snopy błękitnych iskier oraz przyspieszone oddechy walczących, którzy wyteżali wszystkie siły, by zwyciężyć. Ciosy padały coraz częściej i celniej.

Wysoki wzrost i silna budowa dawały przewagę Jonasowi, ale wkrótce stało się jasne, że Juliet znacznie go przewyższa zręcznością. Jej lewe ramię - pomocne w utrzymaniu równowagi - rzadko odrywało się od biodra. Na każdą próbę przełamania jej obrony, na każdy brutalny atak Jonasa odpowiadała zręcznym obrotem lub akrobatycznym skokiem, dzięki któremu znajdowała się nagle za nim, nad nim lub u jego boku i dźgała go końcem klingi w pośladek. Gdy Jonas odwracał się raptownie, wybuchała śmiechem, pozornie odsłaniając się, i przechodziła do natarcia z taką szybkością, że brat atakował jedynie powietrze tam, gdzie jeszcze przed sekundą znajdowała się Juliet.

W Varianie odezwała się zraniona męska duma. Ogarniało go oburzenie, ilekroć Jonas Dante nie wykorzystał sposobności lub cofał się w niezdarnym odwrocie.

Męki księcia nie trwały długo. Jonas został zapędzony nakładką. Sączek, który Juliet obiecała mu przykroić, wisiał już tylko na strzępie materiału. Przyszła więc pora na dobiecie skazańca. Energicznie popchnięty Jonas przeleciał z wrzaskiem nad balustradą i klnąc wylądował w morzu.

Wszyscy na pokładzie ryknęli gromkim śmiechem, a Juliet - nie bardzo nawet zasapana - okręciła się jak baletnica i ostrzem lśniącej

szpady dotknęła podbródka Gabriela. Odpowiedział na to wzruszeniem ramion i uniósł ręce do góry na znak, że nie jest uzbrojony.

- Nie masz dziś ochoty na pływanie?

- Woda jest trochę za zimna jak na mój gust - odparł z westchnieniem - a poza tym to całkiem nowy pióropusz. Nie zmarnuję go, psiakrew, dla brata zarozumialca!

- Ja też bym go nie zmarnowała - przytaknęła Juliet, oglądając pióropusz z zainteresowaniem. - Ale mam ochotę wyrwać ci te piórka, jeśli się ze mną nie przywitasz jak należy!

Gabriel opuścił ręce, wytwornym ruchem wysunął nogę do przodu i zgiął się we dwoje w pełnym szacunku ukłonie. Prostując się, skorzystał ze sposobności i wyciągnąwszy ramiona, objął mocno biodra Juliet. Z triumfalnym wrzaskiem przerzucił ją sobie przez ramię i skoczył ze swym brzemieniem ku burcie. Już miał wrzucić siostrę do wody, żeby sobie popływała, ale znieruchomiał na widok dwojga przybyszów, którzy pojawili się na trapie.

Groźniejsza z dwóch wyraźnie zgorzonych twarzy należała do Simona Dantego de Tourville, który stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi i z uniesionymi brwiami. Równie chmurne było oblicze Isabeau Dante, która potrząsała głową z dezaprobatą na widok wygłupów swoich dorosłych pociech.

- Puszczaj, diabelski pomocie! - darła się *Juliet* - *Puszczaj* albo własnymi zębami odgryzę ci jaja i...

Gabriel uśmiechnął się szeroko do siostry i obrócił się, by Juliet mogła zobaczyć, co wywołało nagły przypływ braterskich uczuć.

Juliet podniosła głowę i odrzuciła opadającą jej na twarz grzywę włosów.

- O!... Dobry wieczór, ojczec. Dobry wieczór, mamoc. Witajcie na pokładzie!

## 9

Wracasz z tygodniowym opóźnieniem, ciągnąc za sobą sakramencki galeon i tylko tyle masz nam do powiedzenia? Witajcie na pokładzie?!

Juliet dyskretnie wywinęła się Gabrielowi i ześlizgnęła z jego ramienia. Podniosła leżący na pokładzie kapelus, wetknęła szpadę do pochwy. Potem zwróciła się *do rodziców* z szerokim uśmiechem.

- Ojcie i matko, witajcie na pokładzie „Żelaznej Róży”. Jestem ogromnie rada, że was widzę.

- Niepokoiłiśmy się o ciebie, moja panno - powiedziała Isabeau. - Wiedz, że swym ciętym językiem nic tu nie zwojujesz. Gdzieś ty się podziewała? I jak, na litość boską, weszłaś w posiadanie tego okrętu?!

- To bardzo długa historia...

- Mamy czas - przerwał jej Simon głosem ostrym jak brzytwa.

Juliet знаła dobrze ten nieznoszący sprzeciwu ton, ale mimo to zmusiła się do uśmiechu.

Skrzyżowała ramiona na piersi, wcale udatnie naśladowując groźnąminę ojca. Zwięźle i rzeczowo zrelacjonowała przebieg wypadków, włącznie z zatonięciem „Argusa” i własnym atakiem na „Santo Domingo”.

- Korzystając z tego, że pochłonięci walką Hiszpanie *nie* zwrócili na nas uwagi, podpłynęliśmy do galeonu z drugiej strony, weszliśmy na pokład i przejęliśmy dowodzenie.

Zakończyła swą opowieść w takiej ciszy, iż można by pomyśleć, że załoga „Róży” słyszy o tym wydarzeniu po raz pierwszy.

- Weszliście na pokład? - Bursztynowe oczy Isabeau Dante zwięźli się. - To hiszpański bojowy galeon, trzy razy większy od „Żelaznej Róży”, a wy wmaszero wal iście na jego pokład? Ot tak sobie?!

- Ależ skąd, kapitanie Beau! - odezwał się z tłumu jakiś głos. - Przedtem dobrze im przysoliliśmy! Zmiotliśmy z łajby tych wszystkich smoluchów w fikuśnych pancerzykach i zarzuciliśmy haki. Potem kapitan dała rozkaz: W górę i na pokład! Tośmy poszli, co do jednego. Jakby nam kazała, zrobilibyśmy to jeszcze raz!

Szmer ogólnej aprobaty przeleciał po pokładzie, ale o tym, że Isabeau go usłyszała, świadczyły jedynie wyraźniejsze bruzdy koło jej ust. Dobrze wiedziała, na jakie niebezpieczeństwo narażony jest nie tylko kapitan statku, ale każdy uczestnik bitwy morskiej. Najlepszym tego dowodem był pusty rękaw jej sukni. Beau znała również - aż za dobrze - własną córkę i była pewna, że każda relacja Juliet lub kogokolwiek z jej wiernej załogi nie będzie nawet w dziesiątej części tak przerażająca jak autentyczny przebieg wydarzeń.

Simon Dante także wpatrywał się bacznie w twarz załogi, zatrzymując wzrok dłużej na tych, z których nie znikł od razu zadziorny uśmiech. Potem odchylił nieco głowę do tyłu, zerknął na maszty, dostrzegając świeże belki wzmacniające złamany grotmaszt, nowy takielunek i naprawione żagle.

- Złapał nas wczoraj sztorm - pospieszyła z wyjaśnieniem Juliet - i trochę pokolebał.



Kryształowo błękitne oczy Simona spoczęły na córce.

- Rozpoznałaś „Santo Domingo” - spytał bez pośpiechu - nim zdecydowałaś się *przystąpić* do walki, nieprawdaż? Znałaś ładowność i *siłę* bojową tego galeonu? Wiedziałaś, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zaatakowałby go w pojedynkę, bez względu na to, czy jego załoga była pochłonięta zabijaniem Anglików, czy nie!

Odpowiedź Juliet była spokojna, a jej spojrzenie niezłomne.

- Oburzyło mnie, że Hiszpanie nie cofnęli dział, chociaż „Argus” się poddał. Mieli wyraźny zamiar podziurawić angielską fregatę i zatopić ją wraz z załogą, pozbywając się wszystkich świadków.

-I z powodu tego oburzenia podjęłaś niczym nieusprawiedliwione ryzyko, narażając na zgubę siebie, swoją załogę i swój statek?

-Nie. Zrobiłam tylko to, co ty byś uczynił na moim miejscu, ojcze!

Simon Dante zmrużył oczy. Minęło dziesięć sekund, nim odpowiedział córce.

- Zgadza się. Tylko że mnie uważa się ogólnie za szaleńca. Miałem lepsze mniemanie o własnych dzieciach.

- Jeśli istotnie tak było, kochanie - mruknęła pod nosem Isabeau - to szkoda, żeś nie przyjrzał się baczniej Jonasowi i Gabrielowi. Pozbył się złudzeń, zanim Juliet postawiła nogę na pokładzie.

Czarne brwi słynnego pirata zmarszczyły się groźnie. Spojrzał spod łba na żonę. Zapadła znów pełna napięcia cisza... i wreszcie z gardła Wilka wydobył się jakiś pomruk. Przeszedł on w chichot, a następnie w gromki śmiech. Simon odrzucił głowę do tyłu, równocześnie przeklinając i błogosławiąc los, który obdarzył go taką rodzinką!

*Jego* potężne ramiona trzęsły się nadal od śmiechu, gdy zerwał córce z głowy kapelusz i podrzucił go w powietrze. Na ten sygnał powstrzymane dotąd wiwaty wyrwały się z ust marynarzy i powtarzały się raz za razem, aż cały statek napełnił się radosnym rykiem. Juliet znalazła się w kręgu ojcowskich ramion. Simon uniósł ją do góry i wirował z nią tak długo, że oszołomiona i osłabła ze śmiechu protestowała. W tym momencie dwóch krzepkich majtków wtoczyło na pokład wielką beczkę rumu. Odszpuntowano ją i złocisty trunek popłynął do ochoczo podstawianych kubków i czarek.

Zepchnięty na bok i całkiem zapomniany podczas tej radosnej uroczystości, Varian St. Clare stał przy relingu w towarzystwie swego lokaja.

- Co ty na to, Beacom? Według mnie, wszelkie określenia w rodzaju niezrównany czy niepowtarzalny wydają się zbyt blade dla członków *tej* rodziny.

- Moim zdaniem, wasza książęca mość, to kompletni szaleńcy, co do jednego! Nieuleczalni szaleńcy... więc im wcześniej wyrwiemy się ze szponów tych podłych korsarzy, tym lepiej dla nas.

- Jeśli już musisz nas znieważać, mój panie, mógłbyś przynajmniej używać właściwych określeń!

Cała krew odpłynęła z twarzy Beacoma. Z trudem odwrócił głowę i ujrzał stojące tuż przy nim Simona Dantego.

- Korsarze to Saraceni, uprawiający swój proceder w basenie Morza Śródziemnego - wyjaśnił od niechcienia Wilk. - Tutaj, na Karaibach, można spotkać piratów, flibustierów i kaperów, ale nigdy korsarzy! W obrębie naszego bractwa istnieją ścisłe podziały terytorialne, pojmuje pan?

Usta Beacoma drżały, potem zaczął gwałtownie chwytać nimi powietrze jak wyrzucona na piasek ryba. Z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Po chwili oczy uciekły mu w głąb czaszki i osunął się na pokład.

Dante spojrział na niego i zacisnął wargi.

- Często mu się to zdarza?

- Regularnie - westchnął Varian.

- To pański człowiek?

- Mój służący.

Do tej chwili Varian zadowalał się rolą obserwatora. Rzeczywiście, mężczyzna zwany Wilkiem budził grozę. Wydawał się bezlitosny jak prawdziwy wilk i miał potężnie umięśnione ciało, którego mógłby mu pozazdrościć ktoś o połowę młodszy. Nie ulegało również wątpliwości, po kim Juliet Dante odziedziczyła swoje niepokojące oczy. Spojrzenie Simona niczym ostrze igły przenikało przez czaszkę i docierało do najgłębiej ukrytych myśli.

Tylko kilka srebrnych pasemek widniało w czarnych jak atrament włosach Dantego. Opadały mu one lśnącymi falami na ramiona, na skroniach zaś spleciono je w mnóstwo cienkich warkoczyków, by nie przesłaniały oczu. Gruby złoty kolczyk w uchu sprawiał, że Simon wyglądał jak pirat. Widać jednak było, że ten mężczyzna posiada niewzruszone zasady moralne i nie trudniłby się zwykłą grabieżą. Jego żona z obfitością swych ciemnorudych włosów i oczyma tygrysicy wywierała nie mniejsze wrażenie. Odkrycie, że Isabeau nie ma jednej ręki, zaskoczyło Variana. Widać jednak było, że nie poddała się kalectwu. W Anglii skazałoby ono przedstawiciela wyższych ster- a Isabeau jako żona Simona Dantego była przecież hrabiną- na wieczne odosobnienie.

Jedna z czarnych brwi Simona uniosła się w górę.

- Moja córka powiada, że jest pan królewskim wysłannikiem. Jak się miewa ten zakłamaný szkocki świętoszek? Juliet wspomniała, że w na-

dziei ocalenia naszych dusz przysłał nam skrzynię pełną egzemplarzy Biblii, ale zatoneły wraz z okrętem.

Varian zerknął w *stronę* Juliet. Stała kilka kroków od niego, usta jej drżały ze śmiechu. Patrząc równocześnie na ojca i córkę, Varian stwierdził, że dziewczyna odziedziczyła po Wilku nie tylko niezwykłą barwę oczu.

- Jego królewska mość zapewnia o swej nieustającej życzliwości, kapitanie.

- Oczywiście!

Książę czekał aż ktoś go przedstawi, ale ponieważ nikt się z tym nie kwapił, uczynił to sam.

- Varian St. Clare, do pańskich usług, sir.

Schyłał się właśnie w dwornym ukłonie, gdy Juliet ujęła ojca pod ramię.

- Straszny z niego skromniś, ojczu! - stwierdziła. - To książę i o ile się nie mylę, członek Izby Lordów przysłany tu przez króla, by tupnął swą arystokratyczną nogą i zażądał, abyś przestał wreszcie nękać hiszpańskie niewiniątka, trudniące się jedynie handlem!

Simon odpowiedział z krzywym uśmiechem:

- Cóż, nie powinno nas to dziwić. Ileż to czasu upłynęło? Cztery, może pięć miesięcy, odkąd ostatni królewski wysłannik próbował nas zawrócić z błędnej drogi. - Przerwał i przyjrzał się twarzy Variana, dostrzegając siniaki i rząd szwów obok linii włosów. - Mam nadzieję, że nie potraktowałaś zbyt okrutnie tego biedaka.

- Skądże znowu, ojczu! Byłam uosobieniem gościnności. Nakarmiłam go, odziałam, a nawet zaprosiłam do swego łóżka.

Wzrok Dantego przesunął się po obojgu młodych. Zaszokowany Varian aż jęknął.

- Zapewniam, panie hrabio, że nie wydarzyło się nic nieprzystojnego! *Po prostu...*

Wilk uciszył go gestem ręki.

- Proszę mnie tak nie tytułować. Od wielu lat nikt nie nazywa mnie hrabią de Tourville. A gdybyś się ośmielił na coś niestosownego, moja córka rozpłatałaby ci głowę... i nie tylko! Ach, otóż i mały Johnny z trunksami. Wychylish ze mną kieliszek rumu, St. Clare, by uczcić szczęśliwy powrót „Żelaznej Róży”?

Varian wzniosł toast uroczystym tonem:

- Za niezaprzeczalne męstwo „Żelaznej Róży”, jej załogi i kapitana!

- Dobrze powiedziane! - Dante kiwnął głową z aprobatą i wychylił kielich do dna.

- Co się zaś tyczy tego, co mnie tu sprowadza, kapitanie Dante...

Wilk po raz drugi uniósł rękę, przerywając mu.

- Porozmawiamy o tym w odpowiedniejszej porze.

- Kapitanie, to rzecz najwyższej wagi! Dalsza zwłoka może mieć poważne konsekwencje dla pana i dla waszego bractwa na Karaibach.

Dante obejrzał się na Juliet, która wzruszyła ramionami.

- Książę pan nie raczył mnie oświecić.

- Wobec tego sprawa nie może być aż tak nagła.

- Najjaśniejszy Pan i jego pierwszy minister nalegali, bym przekazał królewski edykt bez zwłoki.

- Edykt? No, no! - Simon spojrział w dół, jakby się spodziewał, że Varian naprawdę tupnie nogą. - Zwlekałeś z tym tak długo, St. Clare, że jeszcze jeden dzień albo dwa nie zrobią większej różnicy. Znalazłeś się na drugiej półkuli, sir. Tutaj życie toczy się znacznie wolniej niż na królewskim dworze i w Whitehall\*. Nie spiesz się. Korzystaj z uroczego tropikalnego klimatu. Jako gość mojej córki jesteś tu mile widziany. Ale nie szafuj królewskim imieniem i nie oczekuj, że wszyscy będą drżeli przed nim ze strachu. Znajdujemy się daleko od angielskiego dworu i kaprysy zniewieściałego władcy miłującego pokój niewiele tu znaczą. - Odstawił kielich i objął ramieniem talię Juliet. - A teraz, córko, masz nam z pewnością mnóstwo do opowiedzenia i chcesz się pochwalić przed braćmi. Może z tym zaczekamy, póki nie znajdziemy się na wyspie? Będziemy tam mogli pić za zdrowie wszystkich bez obawy, że potonimy w drodze do łóżka! Aha, byłbym zapomniiał... panie Kelly!

Cieśla odwrócił się zbyt szybko i huknął głową reję. W oczach mu zawirowało, ale po chwili otrząsnął się z zamroczenia.

- Tak jest, kapitanie?

- Chyba nie zapomnieliście o zasadniczym celu tej wyprawy?

Nog drapał się przez chwilę w szczeciniasty podbródek, nim w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Ale skąd, kapitanie! Podziałało jak jakie czary! Wyprobowaliśmy stery przy szybkości sześciu, ośmiu i dwunastu węzłów i „Róża” za każdym razem szła jak złoto! Sztormowi też się nie dała!

Dante skinął głową.

- To dopiero jest nagła i pilna sprawa - nowy typ steru, który zwiększa szybkość statku, ułatwia manewrowanie nim podczas złej pogody i zapewnia większą stabilność przy zwrocie - wyjaśnił na użytek Variana. - Jak prędko mógłbyś zamontować go na pozostałych statkach, Nog?

\* Siedziba rządu w Londynie.

Cieśla przyłożył palec do czoła.

- Kapitan Juliet kazała mi odciążyć ten hiszpański galeon, ale jak już się z nim uporam... Jakby to montować na wszystkich trzech statkach po kolei, to potrwa co najmniej dwa tygodnie. Chyba żeby zabrać się za wszystkie naraz, to bym się uwiął w *tydzień* albo i wcześniej.

- Przemyślę to jeszcze. A na razie - uściśnął ramię córki - musimy coś uczcić dziś wieczorem! Dobrze się spisałaś. Ani się obejrzymy, jak zaczniesz projektować całe statki i pan Pitt będzie się musiał strzec konkurencji!

- Nie ma go chyba na pokładzie? - spytała Juliet, dostrzegając dopiero teraz nieobecność Geoffrey a Pitta.

- Obawiam się, że zatrzymały go ważniejsze sprawy. Ma jeszcze jednego syna. Urodził się wczoraj.

Twarz *Juliet* rozjaśniła się *szersokim* uśmiechem.

- O, Boże! To już ósmy... a może dziewiąty?

- Dziewięciu chłopaków, cztery dziewczyny. Muszę go chyba częściej wysyłać w rejs. Najwyraźniej ma za dużo wolnego czasu! Ale dość o tym. Dziś świętujemy zdobycie największego łupu - Dante podniósł głos, by mógł go usłyszeć każdy na statku, od steru po rufę - przez najdzielniejszą załogę na całym Karaibach!

Rozległy się ponownie chrapliwe okrzyki, wiwaty i tupanie nogami. Pochwała z ust samego Wilka to nie byle co! Niektórzy nie skrywali łez radości i dumy. Triumfalne okrzyki towarzyszyły Simonowi *do* trapu, na którym spotkał się z Isabeau, Gabrielem i ociekającym wodą Jonasem. Upomniawszy Juliet, by nie zabawiła zbyt długo na pokładzie „*Róży*”, cała czwórka zeszła do czekającej na nich szalupy i powróciła na ląd, by przygotować wszystko do wielkiej uczty.

Gdy wiosła zanurzyły się w wodzie i łódź oddaliła się od „*Żelaznej Róży*”, Isabeau oparła się o ramię męża i wydała drżące westchnienie.

- O Boże, Simon! Co myśmy narobili?!

Ledwie mógł dosłyszeć jej szept; zagłuszał go plusk wody pod kilem.

- O czym ty mówisz, kochanie?

- Oboje zachęcaliśmy ją by wstępowała w nasze ślady... ja chyba jeszcze bardziej niż ty! Chciałaś ją wysłać na pensję do Francji, żeby z niej zrobiono prawdziwą damę... To ja cię przekonywałam, byś pozwolił jej decydować o własnym życiu.

Dante wtulił usta w gęstwinę włosów żony.

-Z wyjątkiem ciebie, mój śliczny Czarny Łabędziu, Juliet jest najprawdziwszą damą, jaką znam. Ma serce, odwagę, poczucie honoru... i zna uczucie strachu. Wie o nim znacznie więcej niż te dwa łotrzyki - dodał, wskazując ruchem głowy na dwóch synów, siedzących na dziobie łodzi. -I właśnie dzięki temu będzie bezpieczna.

- Krzepki chłop też by jej się przydał - rzucił przez ramię Gabriel. - Byłe się znalazł jakiś dureń, co by ją chciał wziąć!

- O czym gadacie? - odwrócił się do nich Jonas.

- O zbyt długich uszach twojego brata - warknęła łsabeau. - Niech przestanie nimi strzyc, bo ktoś go po nich trzepnie!

## 10

Varian znów czuł się jak intruz. Beacom oprzytomniał na tyle, by otrząpać ubranie z kurzu i udać się pod pokład po niewielką skrzynkę, którą Johnny podwędził gdzieś i podarował im. Nie było w niej wiele: zapasowa koszula i pończochy, trochę bielizny i szczotka z końskiego włosia, ale dzięki temu lokaj miał znów zajęcie, które odciągało go od ponurych rozmyślań o poderżniętych gardłach i wypatroszonych wnętrznościach.

Jeśli chodzi o Variana, to nie przywykł do tego, by zbywano go machnięciem ręki lub ignorowano. Toteż podobne traktowanie rozsierdziło go do tego stopnia, że pospieszył za Juliet do jej kajuty, gdy hulanka na pokładzie dobiegła końca.

Wahał się przez sekundę z ręką na kłamce, zanim jego palce same zacisnęły się w pięść. Zastukał do drzwi z wyraźną urazą.

- Wejść!

Juliet stała przy biurku. Zbierała dzienniki pokładowe, mapy, manifesty ładunkowe oraz inne ważne dokumenty z „Santo Domingo” i „Argusa”. Zdjęła kapelusz i światło latarni padało na jej ramiona, rozjaśniając ciemne fale włosów pasemkami o barwie ognia i złota.

Kiedy Varian wszedł do kajuty, Juliet podniosła na niego oczy i westchnęła.

- Widzę z twojej miny, że znów masz o coś pretensję, milordzie. Ostrzegam, że moja cierpliwość jest na wyczerpaniu, a pistolety mam pod ręką.

Varian zacisnął w pięści ukryte za plecami ręce.

- Należy zwracać się do mnie „wasza książęca mość”. Wiesz o tym doskonale, kapitanie, choć nie raczysz się do tego stosować.

Skończyła przeglądanie dokumentów i wyprostowała się.

- Jestem pewna, że nie zjawiłeś się tu, nadęty jak paw, by mnie uczyć dobrych manier!

- Obawiam się, że byłaby to syzyfowa praca, kapitanie. Przyszędłem tu, by się dowiedzieć, co miały znaczyć słowa twojego ojca: Jako gość mojej córki jesteś tu mile widziany”.

- Według mnie, to całkiem jasne, milordzie - odparła, z rozmysłem używając znów niewłaściwego tytułu. - W gruncie rzeczy jesteś zdobywcą wojenną, podobnie jak galeon. Częścią łupu, jeśli wolisz takie sformułowanie. Wynika stąd, w najczystszy rozumieniu zasad kaperskiego fachu, że stałeś się moją własnością i wobec tego ponoszę za ciebie odpowiedzialność. Możesz mi wierzyć - nie odpowiada mi to tak samo jak tobie, ale nie ma rady. Nawet wśród piratów obowiązują pewne reguły. - Przez chwilę nie odwracała od niego wzroku, potem znów pochyliła się nad biurkiem. - Sądzę jednak, że powinienes być wdzięczny memu ojcu. Gdyby nie to, że uznał cię za mojego gościa, Jonas zastrzeliłby cię bez namysłu.

Varian nadal nie był w stanie zaakceptować niemiłego faktu, iż stał się czyjaś własnością.

- Twój brat? A cóż on ma z tym wspólnego?!

- Jonas nienawidzi Hiszpanów chyba jeszcze bardziej niż ojciec. Więc jeśli przybywasz tu z kolejnymi irytującymi żądaniami jego królewskiej mości, byśmy żyli z nimi w pokoju... No, cóż...

Uniosła głowę, gdy Johnny, postukując szczudłem, wszedł przez otwarte drzwi do kajuty, by oznajmić, że „Santo Domingo” wpłynął już do przystani na holu.

- W porządku. Dziękuję, Johnny. Możesz to zabrać na górę. - Wtknęła ostatni plik dokumentów do wypchanej papierami płócienną torby i wręczyła ją chłopcu. - Każ przygotować szalupę. Schodzimy na ląd jak tylko pan Crisp da sygnał.

- Tak jest, kapitanie.

- Chwileczkę! - zatrzymała go, kiedy był już przy drzwiach. - Co z twoją nogą?

Johnny odwrócił głowę, by spojrzeć na ciemną plamę krwi na nogawce spodni tuż nad uchwytem rzeźbionego szczudła.

- To nic takiego, kapitanie! Wpadłem na lawetę i trochę się podrapałem o drzewo.

- Oczyszczyć ranę, nim zejdziemy na ląd. Wcale bym się nie ucieszyła, gdybyśmy musieli odciąć kawałek kikuta przez twoje niedbalstwo!

- Tak jest, kapitanie! - Chłopiec uśmiechnął się szeroko. - Wyszoruję do czysta i będę na nią siusiał dwa razy na dzień.

Kiedy chłopca już nie było, Juliet dostrzegła zdumienie na twarzy Variana.

- To najlepszy sposób, by oczyścić skaleczenie i zapobiec zakażeniu, sir! - Musnęła wzrokiem policzek księcia, lecz zamiast przyprawić go o jeszcze większy szok, wyjawiając skład piekającej mikstury, którą okładała jego ranę, włożyła swój zawadiacki kapelusz i sięgnęła po leżące na biurku rękawiczki. - Idziemy na pokład, milordzie? Muszę jeszcze zatroszczyć się o kilka drobiazgów, nim zjedziemy na ląd.

Sfrustrowany tym, że choć przyszedł tu w nadziei uzyskania wyjaśnień, zwiększyła się tylko liczba pytań bez odpowiedzi, chwycił Juliet za ramię, gdy przechodziła obok niego. Cokolwiek zamierzał jej powiedzieć, zamarło mu na ustach, gdy obrzuciła wściekłym spojrzeniem najpierw jego rękę, a potem twarz. Natychmiast puścił jej ramię, ale we wzroku Juliet nadal była nienawiść, a jej głos miał stalowe brzmienie.

- A zapewniałeś, że uczysz się na własnych błędach!

- Staram się rozpaczliwie, możesz mi wierzyć! Niestety, reguły gry zmieniają się za każdym razem, gdy odwrócę głowę.

- No to musisz kręcić nią szybciej, nieprawdaż?

- Wiruje jak bąk, słowo honoru! - wymamrotał, ale Juliet była już w połowie schodków wiodących na pokład rufowy.

Godzinę później Juliet była wreszcie gotowa do zejścia na ląd. „Santo Domingo” stał bezpiecznie na kotwicy, czterdzieści pięć metrów za rufą „Żelaznej Róży”, i przyciągał jak magnes roje łódek. Dawno już zapadł mrok, więc na takielunku zawieszono latarnie, dzięki którym na pokładzie było jasno jak w dzień. Marynarze montowali wyciągi, które posłużą nazajutrz rano do wyładowania hiszpańskich skarbów.

Juliet zmierzała w stronę trapu, gdy dostrzegła, jak bacznie książe Harrow obserwuje to, co się dzieje na pokładzie galeonu. Mrużył oczy, by zobaczyć jak najwięcej mimo oślepiającego blasku latarni. Juliet omiotła wzrokiem pokład „Santo Domingo”, chcąc się przekonać, co wzbudziło takie zainteresowanie księcia. Ujrzała angielskiego porucznika, Jonathana Becka, który poruszał się swobodnie wśród ludzi z jej załogi, a nawet dyrygował tymi, którzy spuszczaali wielkie sieci do wnętrza galeonu.



- Jeśli chcesz zejść na ląd, milordzie - powiedziała Juliet, starając się odwrócić uwagę Variana od „Santo Domingo” - to właśnie ruszamy. Upprzedzam jednak, że jeśli będziesz sprawiał kłopoty, zostaniesz odstawiony z powrotem na pokład „Róży” niczym worek zboża!

Varian nie zareagował ani jednym słowem. Tylko mięsień w policzku zaczął mu lekko drgać.

W odróżnieniu od swego pana, Beacom nie był tak powściągliwy. Raz tylko spojrzął za reling i zbladł. Zejście na dół po zewnętrznej ścianie kadłuba było strome i nie posiadało żadnego wsparcia dla stóp oprócz wąskich wręg, osadzonych między belkami. Nad głową mieli mroczne niebo, w dole - morze oraz upiorną płataninę niewyraźnych kształtów czających się w głębinie. Światło latarni zwabiło całe ławice ryb. Niektóre z nich pływały tuż pod powierzchnią, śmigając tu i tam jak opalizujące smużki. Jakieś cienie przesuwały się przy dnie. Były to wielkie, okrągłe i płaskie stwory z długimi, podobnymi do bicia ogonami, które wiły się za nimi.

- O mój Boże!... Wasza książęca moc... - Beacom odsunął się od burty. - Wolałbym zaczekać, aż mnie opuszczą na dół w krzesło...

Varian przyglądał się, jak Juliet zarzuca sobie połę pelerynki na ramię i znika za burcią.

- Wątpię, czy tu znają podobne udogodnienia, Beacom - odparł sucho. - Brat naszego kapitana opuścił pokład „Róży” jedną drogą, skokiem za burtę. Alternatywę masz przed oczami. To wszystko.

- Ej, wy tam! - zawołała z dołu Juliet. - Nie będziemy czekać na was przez całą noc! Jeśli który wpadnie do morza, niech da barakudom parę tęgich kopniaków, a zaraz zejść mu z drogi.

Beacom zakwilił.

- Może wolisz zostać na pokładzie? - westchnął Varian. - Jestem pewien, że załoga „Żelaznej Róży” zrobi wszystko, żebyś się rozerwał!

Błada dłoń lokaja uniosła się do gardła.

- Nie opuszczę waszej książęcej mocy. Prowadź, mój panie!

- Trzymaj się blisko mnie. Pokażę ci, gdzie stawiać nogi, i podtrzymam, gdybyś się potknął.

Beacom nerwowo kiwnął głową. Zaczekał, aż Varian pokona trzy stopnie, nim ostrożnie przełożył nogę przez burtę. Do pokonywania kolejnych szczebli popychał go raczej strach niż upodobanie do przygód. Nie zatrzymywał się jednak ani nie otwierał oczu, póki nie poczuł, że ktoś chwytą go za kostki nóg i wciąga do chyboczącej się szalupy.

Skoro tylko Beacom i Varian zajęli miejsca, jeden z wioślarzy odepchnął łódź od kadłuba „Żelaznej Róży”. Statek oglądany z morza prezentował się całkiem odmiennie. Varian czuł się karzełkiem w porównaniu

z tym drewnianym kolosem, którego wysokie maszty strzelały w nocne niebo. Mógł dostrzec rysy na drewnianej powierzchni - ślady dawnych walk. Liczył też otwory działowe i uświadomił sobie, jak potężny i groźny był okręt, na którym odbył podróż. Gdy opływali dziób „Róży”, uwagę Variana przyciągnęła zdobiąca go rzeźba. Była to naga kobieta - jeśli nie liczyć kawałka pofałdowanego materiału zasłaniającego biodra. Posąg wyciągał ręce, jakby chciał pochwycić ciężkie ramię bukszprytu. Nogi były proste i kształtne, palce stóp skierowane w dół jak u tancerki.

Dotarli do olbrzymiego kadłuba „Santo Domingo” i czekali przez chwilę, póki Nathan Crisp i porucznik Jonathan Beck nie zeszli do nich po wręgach kadłuba. Obaj mężczyźni śmiali się z jakiegoś żartu starego morskiego wilka. Kiedy jednak Beck dostrzegł siedzącego w szalupie Variana, od razu spowaźniał i skłonił się uprzejmie.

- Witam waszą książęcą mość! Słyszałem, że rany księcia okazały się niezbyt groźne. Jestem z tego ogromnie rad.

- Ja również, poruczniku. Nie mieliśmy okazji porozmawiać ze sobą od katastrofy. Proszę więc teraz przyjąć wyrazy mego głębokiego żalu z powodu zagłady statku oraz śmierci kapitana i tylu dzielnych członków załogi.

- Serdeczne dzięki, sir! Kapitan Macleod był prawym człowiekiem i wspaniałym żeglarzem. Będzie nam go bardzo brakowało.

- W każdym razie wyszkolił swoich ludzi jak się patrzy! - oznajmił Crisp przede wszystkim na użytek Juliet. - Loftus powiada, że gdyby nie załoga „Argusa”, która czuwała przy linach, galeon jak nic zabmałby w sam środek burzy i zniosło by go na Atlantyk! A co do porucznika, to wielka szkoda, że nie jest pazerny na forszę... Zaraz bym go postawił przy sterze. Przeprowadził „Santo Domingo” przez rafę leciutko, jakby to robił setki razy!

- Wychowałem się w Kornwalii, sir, gdzie podwodne prądy i sterzące skały przetrąciły krzyż niejednego pięknego statku.

- Takie słowa z ust pana Crispa należy podwójnie cenić, poruczniku - odezwała się Juliet. - Nate skąpi komplementów jak stara panna pocałunków!

Wzięto się znów do wiosł i w ciągu kilku minut łódź przepłynęła przez zatokę i zbliżała się do świąteł na brzegu. Wyżej, na zboczach, wielki biały dom lśnił jak szkatułka pełna klejnotów. Kiedy szalupa przybiła do brzegu, Juliet i Crisp wyskoczyli z niej pierwsi. Stali, rozmawiając ze sobą po cichu, podczas gdy inni wysiadali z łodzi.

Po kilku pierwszych krokach na stałym lądzie Varian zorientował się, że mdli go i kolana załamują się pod nim tak samo, jak podczas pierwszych dni na morzu. Z niesmakiem wspominał, jak większość cza-

su spędzał wówczas zgięty nad wiaderkiem i wcale się nie cieszył na myśl, że historia się powtórzy po zejściu na ląd.

Powóz już czekał, by zawieźć ich do dworu. Na wyboistej drodze grzechotał niczym rozpadający się szkielet. Varian omal nie połamał sobie zębów, tak mocno je zaciskał, by nie okazać bólu, który znów zaczął pulsować w jego głowie, biodrze i ramieniu. St. Clare chciał już wyskoczyć z pojazdu, ale na szczęście powóz dotarł właśnie do celu i zatrzymał się.

- Chciałabym przez chwilę porozmawiać z księciem sam na sam - oznajmiła Juliet, dając pozostałym znak, by wysiedli. - Zanieś to do domu - powiedziała, wręczając Crispowi płócienną torbę pełną map i manifestów, która leżała na siedzeniu obok niej. - I niech ktoś zaprowadzi porucznika i pana Beacoma do pokojów, gdzie przygotowano czystą pościel i gorącą kąpiel.

Powóz zatrzymał się przed frontem wielkiego domu. Lampy zwieszały się z każdej kolumny i słupa wokół szerokiej, trzydziestometrowej werandy; wszystkie okna na obu kondygnacjach były rześście oświetlone. We wnętrzu powozu pozostał tylko jeden mroczny kąt, do którego nie docierał blask z zewnątrz. Siedziała w nim Juliet. Ze swego miejsca widziała wyraźnie twarz Variana, podczas gdy on ledwie mógł dostrzec krezę z białej koronki udrapowaną wokół szyi dziewczyny.

Varian zauważył absurdalność sytuacji. Ta, która zawsze wykpiwała jego elegancję, sama tym razem wystroiła się w aksamit i koronki. Musiał jednak przyznać, że w czerni i szkarłacie było jej bardzo do twarzy. A poza tym Juliet wybrała te barwy nie ze względu na modę, ale dlatego, że były symbolem jej potęgi, wiary w siebie i drapieżnego wdzięku.

Siedziała z dłońmi złożonymi na kolanach, postukując palcem o palec. Po chwili, chcąc zająć ręce czymś innym, zaczęła ściągać bez pośpiechu skórzane rękawiczki.

- Kiedyś się poparzyłam - powiedziała lekkim tonem. - Koszula zajęła się od ognia i straciłam sporo skóry, nim zdołano mnie ugasić. Od tej pory nieraz byłam ranna - to od szpady, to od kuli z muszkietu - ale żadna rana nie była równie bolesna jak tamto oparzenie. Podziwiam hart porucznika Becka. Musiał znosić straszliwe męki. Czy wiesz, milordzie, jak do tego doszło?

- Obawiam się, że nie zasięgałem informacji na ten temat.

- Płynęliście przez sześć tygodni tym samym statkiem i nigdy ci nie przyszło do głowy, żeby go o to spytać?

- To nietaktowne wypytywać kogoś, jak okaleczył sobie twarz.

- Nietaktowne? Jestem wobec tego zupełnie pozbawiona taktu, gdyż od razu go o to spytałam. Był podobno zaręczony i wracał do domu, by

poślubić swą ukochaną, kiedy jego okręt natknął się na holenderski statek u wybrzeży Wysp Kanaryjskich. Doszło do wymiany strzałów. Jeden z żagli stanął w płomieniach i spadł na pokład. Porucznik miał na policzku szczyptę prochu, gdyż wielokrotnie ładował muszkiet i strzelał z niego. Zapłonęła na nim koszula, włosy, skóra na twarzy... Kiedy wrócił do Anglii, jego ukochana spojrzała tylko raz i wrzasnęła z przerażenia. Natychmiast wrócił do marynarki. Wiedział, że łatwiej będzie mu żyć na statku niż w rzekomo delikatnym, a w gruncie rzeczy brutalnym i wulgarnym wielkim świecie!

- Przyznaję, że niektórzy zbyt pospiesznie osądzają bliźnich na podstawie ich powierzchowności, ale oskarżać cały wielki świat o wulgarność?!

- Czyżbym się aż tak pomyliła? Czy naprawdę wierzysz, że moja matka byłaby mile widziana na królewskim dworze? Zapraszano by ją do tańca, znalazłaby partnerów do gry w kręgle? Nie zabrakłoby jej sąsiadów podczas uczty, kiedy musi przytrzymywać mięso kikutem, by je pokroić?

Varian usiłował przebić wzrokiem ciemności.

- Czy umyślnie starasz się mnie zaszokować, kapitanie? A może po prostu chcesz mnie zmusić do tego, bym przyznał, jacy z nas wszystkich zarozumiałcy? *Jeśli* tak, to zgoda, potwierdzę to... o *ile* sama przyznasz się do podobnych wad. Po prostu spoglądamy na wszystko z różnych stron. Ty również pysznisz się - swoimi bliźniami i nieustraszonym charakterem. Ty także okazujesz pogardę - każdemu, kto nie ma odcisków na dłoniach i nosi buty ozdobione rozetkami. Masz słuszość przypuszczając, że jednoręka żona pirata nie zrobiłaby kariery na królewskim dworze, ale czy ktoś taki jak Beacom czy ja mógłby zasiąść przy waszym stole i być traktowany na równi z resztą biesiadników? Podczas naszej pierwszej rozmowy zażądałaś kategorycznie, by zwracać się do ciebie „kapitanie”. A jednak przy każdej sposobności drwisz z mojego tytułu. Tak nie można, *Juliet!* Nie masz prawa obwiniać kogoś, kto postępuje tak samo jak ty!

Była tak nieruchoma i cicha, że Varian słyszał niemal trzepot jej rzęs. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Zapewne nie spodobało jej się to.

- Nie zatrzymałam cię tu, byś mi udzielił lekcji dobrego wychowania, wasza książęca mość! Chciałam tylko oszczędzić ci dalszych upokorzeń, doradzając - w najlepszej wierze - byś nie wkroczył do tego domu z gębą pełną rozkazów i żądań w imieniu króla. Nie spotkałoby się to z ogólną aprobatą!

- Czy wolno spytać, dlaczego?

W odpowiedzi prychnęła z pogardą. Varian rozłożył ręce na znak, że udowodnił swoje racje.

- Karcisz mnie za to, że nie zadałem porucznikowi prostego pytania... ale kiedy zadaję je tobie, odpowiadasz bolesnym ciosem.

- Nie zadałam ci żadnego ciosu, sir!

- Tak sądzisz? Gdyby można było zabijać spojrzeniem, ociekałbym krwią *od głów do stóp!*

Znów zaczęła bębnić palcami. Odwróciła głowę, usłyszawszy chrzęst żwiru pod stopami. Spojrzała takim wzrokiem, że intruz - kimkolwiek był - pospiesznie zrejterował.

Palce Juliet znieruchomiały. Ręce zacisnęły się na rękawiczkach. Odwróciła się i spojrzała *na* swego towarzysza.

- Nasz dziadek Jonas Spence zginął na pokładzie „Czarnego Łabędzia” w tej samej bitwie, podczas której matka straciła rękę. W ciągu pięćdziesięciu lat spędzonych na morzu dziadek odniósł wiele podobnych obrażeń. Miał tylko jedną nogę i jedno ramię, całe jego ciało pokryte było bliznami. W porównaniu z nim nawet porucznik Beck całkiem nieźle się prezentuje. A jednak dziadek nigdy z własnej woli nie pozostał na łądzie, gdy poczuł zew przygody. Nigdy nie uchylał się od pojedynku, nigdy nie zmykał przed wrogiem, nie robił nic połowicznie, gdy trzeba było zebrać wszystkie siły. Mój brat Jonas był zawsze u jego boku. Naśladował jego serdeczny, zaraźliwy śmiech, podpierał dziadka, kiedy się zataczał wypiwszy zbyt wiele rumu. - Juliet urwała, uznawszy widać, że i tak powiedziała za dużo. Na koniec dodała z nutką zniecierpliwienia w głosie: - Gdybyś ujrzał twarz mojego brata w chwili, gdy znoszono z pokładu ciało dziadka, nie musiałbyś pytać, czemu Jonas nigdy nie wyraził zgody na pokój z Hiszpanami. Mój ojciec ani matka także tego nie uczynią. Ani ja, jeśli o to chodzi.

Varian potrząsnął głową.

- Czy takie przeżycia nie zwiększają jeszcze tęsknoty za pokojem?

- Za pokojem? Tak. Za kapitulacją? Nigdy!

- Nikt was nie zmusza do kapitulacji!

- Doprawdy? Hiszpanie nigdy nie uszanują traktatu pokojowego, który umożliwi obcym statkom żeglugę na ich wodach! Zbyt wiele mają do *stracenia*. *Zagarnęli* cały Nowy Świat *pod* swoje panowanie, utrzymują supremację na morzu. Kiedy na angielskim tronie zasiadała Elżbieta I, ojciec otrzymywał od niej oficjalne pisma z żądaniem niezwłocznego powrotu do Anglii na audiencję u władczyni oraz zaniechania wszelkich ataków na hiszpańskie statki. Królowa czyniła mu wyrzuty, groziła straszliwymi karami w razie nieposłuszeństwa. Równocześnie

jednak przychodziły od niej inne listy, doręczane potajemnie, pisane szyfrem, zrozumiałe tylko dla mego ojca. W tych pismach chwalono go za sukcesy, zachęcano do nasilenia ataków, nakazywano za wszelką cenę wdrzeć się na handlowe szlaki Hiszpanów i zadać im najboleśniejszy cios. Uszczuplić ich skarb. Stara królowa dobrze wiedziała, że gdy strumień złota i srebra ze Spanish Main przestanie zasilać Hiszpanię, jej królowi zabraknie pieniędzy na budowę statków, na żołd dla armii, na utrzymywanie garnizonów wojskowych w portach odległych o tysiące mil od Sewilli. Po tamtych wodach uwijały się dziesiątki statków kaperskich. Większość kapitanów otrzymywała od Elżbiety takie same podwójne instrukcje jak mój ojciec, a ich wysiłki nie poszły na marne. Kiedy w hiszpańskim skarbcu pokazywało się dno, angielski powiększał się o jedną dziesiątą każdego łupu. Pokazna część angielskiej floty została zbudowana za brudne pieniądze Morskich Jastrzębi!

Potem jednak królowa umarła, a na tronie zasiadł Jakub Stuart. Nie miał pojęcia o prywatnej umowie pomiędzy królową a ludźmi żyjącymi na drugim końcu świata albo wolał udawać, że nic o niej nie wie. Miał swoją flotę, jego skarbiec był pełny, więc zapragnął udobruchać hiszpańskiego monarchę swymi dobrymi intencjami i rozkazem skierowanym do ludzi pokroju mego ojca, by zaniechali zbrojnych działań. Nie miał oczywiście żadnej władzy nad kaperami z Holandii czy Portugalii, ale większość angielskich kapitanów wolała się wycofać, niż żyć z piętnem pirata. Wzbogacili się i uznali, że minął już dla nich czas wielkich przygód. Wielu z nich wróciło do Anglii, jak im król przykazał, i udało się do swoich posiadłości ziemskich, by w spokoju obrastać tłuszczem i hodować owce.

- Ale twój ojciec odmówił wykonania rozkazu?

*Juliet westchnęła.*

- Nie zgodził się porzucić wszystkiego, o co tak ciężko walczył. Teraz tu właśnie jest nasz dom. Czy nie mamy prawa go bronić?

- Bronić tak, oczywiście, ale...

- Znasz powiedzenie: „Za tą linią nie ma pokoju”?

- Masz na myśli fikcyjną granicę, którą papież Aleksander VI nakreślił pośrodku Atlantyku, dzieląc świat na tereny podległe Hiszpanii i Portugalii?

*Juliet skinęła głową.*

- Została nakreślona w rok po odkryciu Nowego Świata przez Kolumba, w czasach gdy Anglicy potrafili zaledwie przebyć kanał La Manche. A jednak Hiszpanie obstają przy tym, że owa granica nadal obowiązuje. W ten właśnie sposób Hiszpania usprawiedliwia swe poczynania.

nia, ilekroć napada na któryś z naszych okrętów i niszczy go, choćby to był statek handlowy, działający zgodnie z prawem, czy nawet statek badawczy.

- Władcy Anglii, Francji i Niderlandów dążą do zmiany tej sytuacji, podobnie jak Filip III, król Hiszpanii - odezwał się Varian. - Ale negocjacje w sprawie pokoju i wolnego handlu nie mogą zakończyć się sukcesem, póki nie zamilkną działa po obu stronach.

- Zdumiewasz mnie! Jak możesz mówić coś podobnego, i to z takim przekonaniem, po tym wszystkim, co zrobili z „Argusem”! Jedno jest pewne. Mój ojciec nigdy nie przyłoży ręki do zawarcia pokoju z Hiszpanią!

Varian pochylił się ku niej. Skórzane siedzenie cicho skrzypnęło.

-Zdaję sobie sprawę z tego, że nie orientuję się w tutejszej sytuacji, Juliet. Przyznaję otwarcie, że nie pojmuję waszego sposobu życia, że zginałbym marnie w ciągu tygodnia tam, gdzie ty zapewne przetrwałabyś rok. Chciałbym jednak podkreślić, że jestem żołnierzem - i to całkiem dobrym - więc nie podobają mi się zarzuty gołosłowności i niechęci do czynu. Postawcie mnie na polu bitwy, powierzcie mi dowództwo artylerii lub kawalerii, a wygram za was wojnę! Ale bitwa morska... to coś sprzecznego z wszelkimi regułami, ze wszystkimi pewnikami, które uznaję! Nie ma tu miejsca na naprawienie błędów. Składasz broń, a przeciwnik mimo to zatapia twój statek! Przegrywasz jedną bitwę i nie masz już szansy na następną, bo toniesz. Oceniając sytuację pod tym kątem, nie pojmuję, jak można znaleźć w sobie dość siły i odwagi, by w ogóle wypłynąć z portu, wiedząc, że jest mnóstwo większych statków z większymi armatami na pokładach, które czają się za horyzontem, by rozszarpać cię na strzępy. Nie dostrzegam też żadnych konkretnych argumentów, niepozwalających na udzielenie królowi poparcia w jego wysiłkach pokojowych. - Przerwał i wyprostował się na ławeczce. - Jak już mówiłem, staram się zrozumieć, ale... jakby to najdelikatniej określić?... Nie ułatwiasz mi tego.

Lampa za oknem rzucała przyćmione światło na boczną ścianę powozu, kołysząc się lekko na gałęzi w podmuchach wiatru. W pewnej chwili jej blask oświetlił oczy Juliet. Zniknęła... znów się pojawił i nie ustępował, aż musiała odwrócić głowę.

- Prawdę mówiąc, czasami sama tego nie rozumiem - przyznała w końcu. - Ale wystarczy mi spojrzeć na pusty rękaw matki i puste miejsce przy stole, gdzie dawniej siadywał dziadek, i nie muszę już dłużej zastanawiać się nad tym. To dla mnie dostateczny powód do walki!

Varian przyglądał się jej w milczeniu. Splótł dłonie i oparł brodę na zgiętych wskazujących palcach.

- Masz swoje upragnione wyjaśnienie! Chyba już rozumiesz, że twoja misja spali na panewce, a ty wyjdiesz na durnia!

- Może zmienisz zdanie, kiedy ci powiem, że król i jego ministrowie zamierzają unieważnić listy kaperskie. A ci, którzy nie podporządkują się królewskim rozkazom, zostaną oskarżeni o piractwo i zdradę stanu. Co stanie się z twoją rodziną i z załogami waszych statków? Gdyby schwytano twojego ojca, zginąłby na szubienicy jak pospolity złodziej!

Juliet uśmiechnęła się.

- Niech go najpierw schwytają!

- Czy muszę ci przypominać - spytał cicho - że każdy człowiek jest omylny?

- Może to ja powinnam ci przypomnieć, że w twoim położeniu lepiej nie rzucać pogroźek i nie wytykać słabości? Omal nie wylądowałeś na tej samej wysepce co Hiszpanie!

- A jednak nie pozbyłaś się mnie, tylko zabrałaś na swój pokład. - Powoli unióśł brodę. - W charakterze jeńca? A może zakładnika?

Wzruszyła ramionami.

- Tak czy owak, wasza książęca mość, możesz uznać, że pokojowe orędzie, z którym cię wysłał król, spoczywa na dnie morza wraz z „Argusem”.

Uniosła rękę i dała znak z okna powozu. Varian usłyszał znów kroki na żwirze. W chwilę później dwóch zwałistych mężczyzn stanęło u drzwi.

- Radzę ci, bez żadnych głupstw! Jesteś tu pod moją opieką i będziesz traktowany z całym należnym szacunkiem. Ale pamiętaj, że znajdujesz się na wyspie, z której nie ma ucieczki. I nie *łudź* się. *Ci ludzie* zabiją cię, jeśli tylko kiwnę palcem!

Drzwi się otworzyły.

Juliet wysiadła pierwsza. Wydała szeptem jakieś polecenie obu mężczyznom i weszła do domu, nie obejrawszy się ani razu.

## 11

Juliet weszła do domu. Przy każdym gniewnym kroku szpada obijała się o obcas jej buta. Rodzina zebrała się w wielkiej sali. Dziewczyna usłyszała głosy swoich najbliższych i zmusiła się do zwolnienia kroku oraz przybrania miłszego wyrazu twarzy. Ostatecznie, dziś wieczorem



miano świętować jej triumf! Prawie zapomniała o tym przeklętym sterze. A przecież majstrowali przy nim z Nogiem od kilku miesięcy i odnieśli niewątpliwy sukces. Zwiększona prędkość i zwrotność statku pozwoliła podpłynąć o wiele bliżej i szybciej do „Santo Domingo”, niż zrobiłyby to inny okręt. Toteż „Żelazna Róża” była już przy burcie galeonu, nim Hiszpanie zdążyli skierować na nią ciężkie działa.

Juliet dotarła do wielkiego pokoju i na chwilę zatrzymała się w progu - tu właśnie przenikały się dwa światy - kraina rodzinnego ciepła i królestwo morskiej przygody. Piżmowy zapach książek w skórzanej oprawie i trzaskanie ognia na kominku kojarzyły się dziewczynie z długimi godzinami, które spędzała tutaj na nauce. W tym pokoju uczyła się czytać mapy mórz i nieba, obliczać szybkość wiatru i morskich prądów, mieszać proch strzelniczy i sporządzać najlepsze naboje.

Gdy miała dziesięć lat, lekcje połączono z praktyką na pokładzie „Mściciela”. Tam Juliet nauczyła się łączyć książkową mądrość ze zdrowym rozsądkiem. W szesnastym roku życia umiała już nanieść kurs na mapę i sterować statkiem na określonym odcinku w granicach dopuszczalnego błędu. Mając lat osiemnaście, dowiodła swego męstwa podczas bitwy, gdy przedarłszy się przez stos trupów, objęła komendę przy obsłudze ciężkiego, trzydziestodwufuntowego działa. Dwa lata później stała już za sterem własnego statku - „Żelaznej Róży”.

Jej brat Jonas terminował na pokładzie „Czarnego Łabędzia”. Tak naprawdę to pod czujnym matczynym okiem uczył się tam przede wszystkim panowania nad sobą. Był bardzo podobny do dziadka, a zatem skłonny do spektakularnych wybuchów gniewu, z których słynęła od kilku pokoleń rodzina Spence'ów. Gabriel natomiast wiele skorzystał, będąc pod opieką Geoffreya Pitta. To on nauczył chłopca doceniać rolę racjonalnego, logicznego myślenia.

W tej chwili ojciec i Pitt stali przy kominku, na którym nie płonął jeszcze ogień. Bez wątpienia rozważali, jakie zamieszanie na terenie Spanish Main wywoła wiadomość, że ktoś z rodziny Dante zawładnął najsztywniejszym z hiszpańskich okrętów wojennych.

Isabeau, Gabriel i żona Pitta, Christiana, siedzieli w pobliżu francuskiego okna wychodzącego na werandę. W całym swym życiu Juliet zaledwie kilka razy widziała matkę w kobiecym stroju. Na palcach jednej ręki mogła wyliczyć okazje, kiedy to matka z własnej woli zamieniała bryczesy i kubrak na babskie fatałaszk. Gdy więc ujrzała ją wystrojoną w suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu, była równie zdumiona i zachwycona, jak na widok ojca w kompletnym stroju dworskim, włącznie z ozdobnym, pozłacanym pendentem i szpadą.

Gabriel był jak zawsze wytworny i nonszalancki. Włosy spływały mu w lśniących falach na kołnierz, długie nogi wyciągnął przed siebie i skrzyżował w kostkach. Jonas przebrał się w suche ubranie, ale ponieważ rzadko wkładał na siebie coś innego niż brunatne bryczesy, skórzany kubrak i obszerną koszulę z miękkiego białego kamlotu, jego wygląd nie uległ zmianie.

Ostatnią dobrze znaną postacią, na której widok lekki uśmiech przemknął po twarzy Juliet, był Lucifer. Mimo upływu, lat nie nabrał upodobania do bardziej kompletnego stroju i nosił tylko to, co mógł zrzucić z siebie w jednej chwili. Stał teraz za plecami Simona Dantego niczym groźny brytan, czarny jak grzech, odziany tylko w krótkie spodnie i pasiasty kubrak. Od trzydziestu lat stanowił ochronę Wilka i teraz pierwszy odwrócił łysą głowę i spojrzał w kierunku drzwi, w których stała niezauważona dotąd Juliet.

Chociaż twarz Lucifera nie postarzała się przez te wszystkie lata, pokrywające ją desenie i spirale tatuażu rozmnożyły się i powiększyły. Kropkowane wzory panoszyły się już nie tylko na policzkach, lecz także na szyi, połyskującej jak czarny marmur piersi i ramionach. Nie zabrakło ich nawet na najbardziej intymnych organach, co stanowiło dowód jego niezwyklej wytrzymałości na ból.

Lucifer pochylił się i szepnął coś do kapitana, po czym uśmiechnął się szeroko. Na ten widok przeciętny człowiek truchlał z trwogi, ponieważ wielkie białe zęby zostały opiłowane tak, że przypominały kły. Kiedy byli jeszcze dziećmi, Jonas powiedział siostrze, że Murzyn specjalnie je sobie zaostriżył, by rozrywać wrogów na kawałki i wydierać im wnętrzności. Prawda była mniej makabryczna. W wiosce, w której Lucifer się urodził, tak spiłowane zęby były oznaką wielkiego wojownika.

Odrobina krwiożerczości, jaką mu przypisywano, czaiła się w drapieżnym uśmiechu, z którym skierował się ku drzwiom. Stanąwszy przed Juliet, uczynił coś, co zdarzało mu się niesłychanie rzadko. Skłonił się głęboko, by uczcić wielkie zwycięstwo „Żelaznej Róży” i odwagę jej kapitana.

- Jesteśmy z ciebie dumni, mała Jolly - powiedział uroczyście, zwracając się do Juliet tym samym przezwiskiem, jakim nazywał ją w dzieciństwie. - Nie tylko dogoniłaś braci, ale ich prześcignęłaś! Nic dziwnego, że dają się i patrzą spode łba jak miauczące kociaki!

- Wcale się nie dąsamy! - zaprotestował Gabriel. - Staję na baczność przed naszą małą siostrzyczką, pełen szczerego podziwu - dodał, wstając - i nie wątpię, że z czasem sprowadzi tu całą hiszpańską flotę. Piekło i szatani! Gdybyśmy ją posłali do Hiszpanii, przytaszczyłaby nam samego Filipa... i to razem z tronem!

Geoffrey Pitt podszedł do Juliet i ujawszy jej dłoń, złożył na niej szarmancki pocałunek.

- Nie zwracaj uwagi na tego błazna. Jest równie zazdrosny i dumny z ciebie jak reszta z nas. Pięćdziesiąt dwa działa, wielki Boże! A ty go zdobyłaś prawie bez strat. Same armaty są warte dwa razy tyle co srebrne sztaby tej samej wagi. Hiszpanie ogromnie dbają o jakość brązu, z którego odlewają działa.

- Słyszałam, że i tobie należą się gratulacje. Jeszcze jeden chłopiec, co? Skompletujesz niebawem całą załogę dla nowego statku!

Kiedy się zaczerwienił, uściskała go z całej siły i wycłowała. Zaraz potem podeszła do Christiany. Kobieta była ciemnowłosą kruszynką z buzią anioła i figurą zabiedzonej sierotki.

Juliet sięgnęła za pazuchę i wydobyla małą paczuszkę. Był to owinięty w kawałek atłasu ogromny szmaragd z prostokątnym szlifem -jedno ze znalezisk Nathana na „Santo Domingo”.

- Dla maleństwa - powiedziała, całując ciotkę w oba policzki. - Wybraliście już imię dla niego?

Christianą roześmiała się i potrząsnęła głową.

-Niestety, nie! Wyczerpał nam się zapas ojców, dziadków, wujków i kuzynów, których należało uhonorować. Musimy po prostu poczekać i przekonać się, jakie imię najlepiej do niego pasuje.

Juliet uśmiechnęła się. Wyraźnie jednak peszyło ją to, że nikt poza nimi dwiema nie rozmawia. Oczy wszystkich zwrócone były na nią z lepiej lub gorzej skrywaną nadzieją i ciekawością.

Zerknęła na płócienną torbę, którą Crisp postawił tuż za drzwiami. Nikt jej dotąd nie otworzył.

- Co za zdumiewająca powściągliwość, kochani braciszku - mruknęła, po czym dodała od niechcienia: - Przede wszystkim srebro. Znaleźliśmy w ładowniach galeonu pięćdziesiąt kilka skrzyń ze sztabami tego kruszcu i drugie tyle pełnych złota, pereł, korzeni. Są nawet nakrycia z pozłacanego brązu. Na razie zdążyłam tylko przejrzeć manifesty ładunkowe, ale bardzo proszę, nie krępujcie się, możecie sami sprawdzić, co w nich jest.

Jonas i Gabriel w dwóch susach byli już przy worku. Zdążyli go rozwiązać i wysypać jego zawartość na biurko, nim jeszcze przebrzmiało echo tubalnego śmiechu ich ojca.

Następna godzina zbiegła im na przeglądaniu manifestów ładunkowych. Każdą nową zdobycz należało uczcić odrębnym toastem. Niektóre pozycje stanowiły niespodziankę także dla Juliet. Na poczekaniu obliczano z grubsza wartość zdobyczy. O szczegółowej wycenie nie było

nawet mowy. Należało przedtem wyładować każdą skrzynię, zważyć i dokładnie zbadać jej zawartość. Jednakże według niesłuchanie ostrożnych prognoz Geoffrey a Pitta, całość była warta przeszło dwieście tysięcy angielskich funtów. Oszołamiająca suma w porównaniu z przeciętną wartością przewożonych na galeonie towarów, która wahała się pomiędzy trzydziestoma i pięćdziesięcioma tysiącami funtów.

Zapadło milczenie, gdy Pitt raz jeszcze sprawdzał swe obliczenia. Gdyby nawet, co było mało prawdopodobne, przecenił wartość ładunku, i tak była to najwspanialsza zdobycz od czasu, gdy Drake złupił podobne skarby w Nombre de Dios.

Wrodzony rozsądek Pitta skłonił go do wyrzeczenia się kolejnej porcji wina. Potem obaj z Simonem wymienili niespokojne spojrzenia.

- Skąd na okręcie wojennym takie mnóstwo towarów? - zastanawiał się Pitt.

-I w dodatku tak różnorodnych? - dodała Juliet, rada, że nie tylko ona dostrzegła niezwykłość tego ładunku. - Sztaby złota z mennicy w Barranquilla, srebro z Vera Cruz, szmaragdy z Margarity, a korzenie bez wątpienia z wodnych szlaków floty handlowej z Manili. Wygląda na to, że „Santo Domingo” wybrał się w objazd po hiszpańskich Karaibach i proponował każdemu napotkanemu statkowi, że mu ulży, zabierając część ładunku!

- Co wiemy o kapitanie... jak mu tam... Aquayo? - spytał Simon.

Pitt pogrzebał w pamięci, pełnej niezliczonych detali i liczb.

- Diego Flores Aquayo pochodzi z Sewilli. Jego wuj, książę Medina-Sidonia, był głównodowodzącym Niezwyciężonej Armady. Dowództwo nad galeonem, w dodatku tak potężnym i cennym jak „Santo Domingo”, to dowód najwyższej łaski królewskiej... ale zgadzam się, że Aquayo raczej by nie brał tak wielkiego ładunku. Chyba że zamierzał wrócić do Hiszpanii. Zdumiewa mnie jednak, że zaatakował angielski statek handlowy, który nie szukał z nim zwady.

- Podejrzewam, że atak nastąpił z inicjatywy pierwszego oficera - powiedziała Juliet. - To bez wątpienia doświadczony żołnierz. Nazywa się Recalde - dodała spoglądając na Pitta. - Don Cristobal Recalde.

- Komendant garnizonu w Nombre de Dios?

Juliet skinęła potakująco głową.

- W pierwszej chwili nie uświadomiłam sobie tego, niestety. Mieliśmy zbyt wiele kłopotu z trzema setkami jeńców. On jednak znał mnie... a przynajmniej o mnie słyszał. Nazwał mnie *la Rosa de Hierro* i stwierdził, że ze mnie taka sama dziwka, jak z mojej matki. Uznałam to oczywiście za komplement - dodała, uśmiechając się do Isabeau.

Beau zmarszczyła brwi.

- Powiedziałaś, że „Argus” się poddał, ale kapitan Recalde nadal kazał go ostrzeliwać?

Juliet znów przytaknęła.

- Nie zauważyliśmy pierwszych salw. Tego ranka była gęsta mgła, a my w dodatku ledwie uciekliśmy przed sztormem. Ale angielski porucznik powiedział nam, że galeon z rozmysłem zawrócił z kursu, by pogonić za ich statkiem. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, „Argus” był już w strzępach, załoga wołała., że się poddaje, a ten Hiszpan kazał arkebuzerom strzelać do nich z bocianiego gniazda jak do kaczek! Nie mieli zamiaru brać jeńców. Znaleźliśmy pociski zapalające w niektórych z hiszpańskich dział. Wygląda na to, że chcieli puścić z dymem wszystko to, co nie zatoneło. Zupełnie jakby...

- Jakby co?

Juliet wzruszyła ramionami i tyknęła wina.

-Jakby nie chcieli zostawić świadków swego pobytu w tej okolicy. I jeszcze coś! Tej samej nocy, tylko później, moje czujki z bocianiego gniazda dostrzegły jakieś światła tuż nad linią horyzontu. Według nich, było co najmniej siedem okrętów. Obrwały kurs na północ—północny wschód. Wdrapałam się na maszt, ale albo dali nurka do morza, albo spostrzegli nas wcześniej i pogasili światła, bo niczego nie zobaczyłam. Nie odważyłam się podpłynąć bliżej. To było zbyt ryzykowne, zwłaszcza że wlokłam za sobą galeon.

- To zdaje się potwierdzać pogłoski, które do nas dotarły w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Zbrojny konwój ma podobno wyruszyć do Hiszpanii wcześniej niż zwykle - powiedział Geoffrey Pitt. - Niektórzy ze stałych informatorów zaczęli okazywać dziwną niechęć do naszego złota. Wysłaliśmy jednak zwiadowcę, żeby się rozejrzał.

- A co z drugim „skarbem”, który nam przywiozłaś? - Jonas wziął się pod boki. - O co chodzi królewskiemu wysłannikowi? Czyżby ojciec miał powrócić na dwór i pocałować naszego najjaśniejszego w rączkę? A może król sobie życzy większej części z każdego łupu?

Juliet potrząsnęła głową.

-Z tego, co zdołałam wycisnąć z księcia, wynika, że królowi zależy na zawarciu traktatu pokojowego między Hiszpanią i Anglią. Przystał nam pyszałkowatego pawia w wytwornych piórkach, żeby prośbą i groźbą zniechęcił wszystkich członków naszego bractwa do dalszych akcji zbrojnych, dopóki władcy Anglii i Hiszpanii nie ustalą warunków pokojowego współżycia. Księżę twierdzi, że w razie odmowy zostaniemy napiętnowani jako piraci i zdrajcy.

Jonas prychnął pogardliwie.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie dostrzegałem różnicy między piratem i kaperem, oprócz tego nędznego skrawka papieru z królewskim pozwoleniem na „prowadzenie handlu nawet przy użyciu siły, jeśli nie ma innego wyjścia”. Dziwię się, że od razu nie wyrzuciłaś tego pawia za burtę!

- Bywa rzeczywiście irytujący i chyba bym to uczyniła, gdyby nie uratował mi życia na pokładzie „Santo Domingo”.

Niczym psy myśliwskie na świeżym tropie wszyscy nadstawili ucha. Juliet poczuła, że gorący rumieniec oblewa jej policzki i szyję.

- To właściwie drobnostka, niewarta wzmianki. Zresztą, odwzięczyłam mu się wystarczająco, ocaliwszy jego nędzne życie po zatonięciu „Argusa”.

- Wobec tego, po co go przywlokłaś aż tu? - spytał Gabriel.

- Przed wszystkim dlatego, że potrzebowaliśmy pomocy angielskiej załogi w holowaniu galeonu, a dziwnie by wyglądało, gdybym zboczyła z kursu tylko po to, by wysadzić na jakiejś wysepce jedynie księcia wraz z lokajem!

- Ja tam rozwiązałbym cały problem znacznie prościej! - mruknął Jonas.

Simon Dante uniesieniem ręki przerwał dyskusję.

- Nie zaszkodzi posłuchać, co ten Anglik ma do powiedzenia. Ale nie dziś wieczorem. Dzisiaj świętujemy zwycięstwo naszej *la Rosa de Hierro*. Chodźmy! Uczta już czeka w jadalni. Niech nic nie mąci naszej radości!



Minęło kilka godzin, nim Juliet mogła wstać od stołu i ociężale polec się na górę, do swej sypialni. Za dużo zjadła i zbyt wiele wypła. A potem, gdy Jonas przestał się dąsać z powodu królewskiego wysłannika, którego diabli przynieśli do ich domu, za głośno śpiewała. Wszyscy ludzie, których kochała najbardziej w świecie, byli wraz z nią, w tym samym pokoju. Spoglądając na ognistą brodę Jonasa i słysząc jego chrapliwy śmiech, Juliet miała wrażenie, że duch dziadka również znajduje się w pobliżu.

Chociaż była strasznie zmęczona, kazała przygotować gorącą kąpiel i zmyła z siebie słony osad, który sprawiał, że włosy miała sztywne jak druty, a skórę suchą jak pergamin. Kiedy rozwiały się ostatnie obłoczki pary znad wanny, Juliet wytarła się do sucha i założyła tylko wygodną męską koszulę, zbyt obszerną i trochę za krótką. Nie zamierzała spać u siebie. Wiedziała z doświadczenia, że choć przed chwilą jej bracia ro-

bili wrażenie kompletnie zamroczonych, nie przeszkodzi im to zakraść się do jej pokoju za jakiś czas, by splątać idiotyczny kawał. Gdyby ją dopadli, mogłoby się to dla niej źle skończyć. Ostatnim razem, kiedy się im naraziła, Piekielne Bliźniaki wrzuciły ją nagą do kadzi z ciemnoniebieską farbą. Minęło dobrych kilka tygodni, nim błękitne plamy ostatecznie znikły!

Na wszelki wypadek Juliet ułożyła na swym łóżku stos poduszek w taki sposób, że przypominały zwiniętą pod kołdrą postać. Zgasła lampę i podreptała na paluszkach do przeciwległego skrzydła domu. Nie zabrała ze sobą świecy i uważała, by nie zostawić żadnych śladów. Przy odrobinie szczęścia Piekielne Bliźniaki, przeszukawszy jej sypialnię, dojdą do wniosku, że siostra wróciła na pokład „Żelaznej Róży”.

Wszystkie meble w pokoju, na który się zdecydowała, osłonięte były białymi pokrowcami, okna zaś szczelnie zamknięte. Spragniona powietrza Juliet otworzyła francuskie okno, za którym znajdował się szeroki balkon. Wyszła na zewnątrz i czekała, aż się w sypialni ochłodzi. Większość latarni oświetlających górną kondygnację budynku była już zgaszona. Z kilku okien na ścianie frontowej bił jeszcze blask, ale reszta tonęła w mroku. Ich dom nie mógł się co prawda pochwalić sześciodzięcioma pięcioma sypialniami jak Harrowgate Hall, ale na piętrze mieli z pół tuzina wolnych pokoi, przygotowanych na przybycie gości, którzy się jakoś nie zjawiali.

Cykanie świerszczy nie ustawało. Po kilku tygodniach na morzu minie dzień lub dwa, zanim Juliet oswoi się z tym natarczywym dźwiękiem. Za to wiatr szumiący w koronach palm przypominał jej szum fal pod kilem statku. Dzięki temu nie tęskniła tak bardzo za swoją kajutą na okręcie. W dole migotały światła przystani, pozwalając zobaczyć statki stojące na kotwicy. Z tej odległości nie wyglądały imponująco. Przypominały dziecięce łódeczki w sadzawce.

Juliet nie była pewna, kiedy uświadomiła sobie, że nie jest sama na balkonie, ani jak rozpoznała ciemną sylwetkę opierającą się o ścianę. Być może ostrzegło ją mrowienie w piersi lub lekki dreszcz, który przebiegł wzdłuż kręgosłupa.

- To nie jest odpowiednia noc na skradanie się po ciemku, wasza książęca mość!

- Wyszedłem tylko ze swego pokoju... o, tutaj! - odpowiedział i odwrócił się lekko, by wskazać na uchylone drzwi - żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Zresztą, i tak nie było mowy o spaniu. Te wszystkie krzyki i śpiewy dolatujące z dołu...

Juliet odgarnęła kosmyk włosów, który opadł jej na twarz.

- Nie mamy zwyczaju zmieniać swego trybu życia stosownie do kaprysów gości.

- A tym bardziej jeńców?

- Tak się składa, że mamy niezłe zachowaną chatę na brzegu morza z zakratowanymi oknami i rygłem w drzwiach. Jeśli bardziej odpowiada ci taka kwatery...

- *Mea culpa*\* ~ przytknął rękę do piersi. - To była głupia odzywka. Biorąc wszystko pod uwagę, okazałaś się więcej niż wielkoduszna.

- *Benedicamus Domino*\*\* - odparła z szyderym ukłonem.

- *Et hoc nunc et usque in seculum*\*\*\* - mruknął. - Znasz liturgię katolickiej mszy?

- Uważam za punkt honoru poznanie wszystkich słabych i mocnych stron nieprzyjaciela - odparła po hiszpańsku. - Znam ich błędy - dodała po francusku. - I słabostki - dorzuciła po holendersku. - I potrafię wykorzystać je przeciwko nim! - zakończyła po łacinie.

- Takie zdolności językowe! - rozważał głośno. - A oprócz tego potrafisz jeszcze przeprowadzić statek przez wzburzone odmęty!

Jedna z brwi Juliet uniosła się na sekundę.

- Uważasz pewnie, że kobieta powinna ucześcić się męskiego ramienia i myśleć tylko o fatałaszkiach?

- Uchowaj Boże! Jestem pełen podziwu dla każdej niewiasty, która potrafi rozmawiać nie tylko o strojach i pogodzie.

Juliet mruknęła coś sceptycznie, po czym wymamrotała z lekceważeniem po portugalsku.

- Byle była miękka, pulchna i oplatała cię w łóżku jak oswojona rozgwiżdża!

- Miękkie kobiece ciało może być niekiedy wielką pociechą- przytaknął z całym spokojem.

Jego portugalski nie był tak płynny jak jej, ale sam fakt, że Varian rozumiał tę uwagę, zbił Juliet z tropu.

- Czy zawsze doprowadzasz swoich rozmówców do szału?!

—Nie zawsze - przyznał.

- Tylko wtedy, kiedy rozmawiasz ze mną?

Uśmiechnął się krzywo.

- Ty również mnie prowokowałaś... i to nie raz, Juliet!

- A ty zawsze odpłacasz mi pięknym za nadobne, Varianie!

Zaśmiał się cicho.

\* *Mea culpa* (łac.) - Moja wina.

\*\* *Benedicamus Domino* (łac.) - Bogu dzięki.

\*\*\* *Et hoc nunc et usque in seculum* (łac.) - Teraz i na wieki.



- Korzystam z każdej okazji, bo nie dajesz mi ich zbyt wiele. Twój język jest równie cięty, jak twoja szpada. Przyznam, że twoja biegłość w słownym i zbrojnym pojedynku fascynuje mnie. Mogę stwierdzić z całkowitą szczerością, że nigdy dotąd nie spotkałem kobiety takiej jak ty. W jednej chwili aż ręce świerzbią, żeby cię udusić, a w następnej...

Znowu uniosła brew.

- Tak? A w następnej?...

Varian zacisnął zęby i zaklął w duchu. Dostrzegł pułapkę, a jednak w nią wpadł! Co gorsza, nie mógł się powstrzymać od łakomego spoglądania na Juliet. Zamiast skupić się na twarzy dziewczyny, jego oczy rozpoczęły ryzykowną, acz niespieszną wędrówkę wzdłuż jej szyi do miesca, gdzie zbyt obszerna koszula rozchyłała się niepokojąco.

Znalazł się w tej niezręcznej sytuacji tylko dlatego, że nie był w stanie zasnąć. Do sypialni doprowadziło go dwóch osiłków, którzy przykazali stanowczo, żeby się z niej nie ruszał. Beacoma nie było nigdzie w pobliżu. Pewnie go trzymali pod kluczem w innym pokoju. Nie mając nic innego do roboty, Varian postanowił skorzystać z luksusów gorącej kąpieli i obfitego posiłku, który mu dostarczono. Kiedy jednak wyciągnął się na puchowym piernacie, znów poczuł mdłości, które złapały go na przystani. Co prawda pokój nie wirował wokół niego, ale za to on sam wiercił się, miotany wyimaginowanymi falami. Żeby opanować nieprzyjemne skurcze żołądka, przechadzał się przez chwilę po pokoju. Potem usiadł z głową wspartą na rękach i rozważał swe położenie. Przysłuchiwał się stłumionym odgłosom hulanki, dolatującym z dołu. W końcu otworzył francuskie okno i wyszedł na werandę. Był prawie pewny, że inna para strażników zastąpi mu drogę i każe wracać do pokoju.

Znalazł się jednak na szerokim, całkiem pustym balkonie, biegnącym wzdłuż całego budynku. Przemaszerował więc przez całą długość wschodniego skrzydła, skręcił za róg i powędrował wzdłuż frontowej ściany. Zrobił ponad sto kroków, nim dotarł do jej końca i natknął się na pokrytą bluszczem kratę, wzbraniającą wstępu do zachodniego skrzydła. Doszedł do wniosku, że znajdują się tam prywatne apartamenty właścicieli tej posiadłości - między innymi pokoje Juliet Dante.

Pozostał tu przez chwilę, podziwiając przystań. Z tego miejsca wyglądała szczególnie malowniczo! Kiedy jednak dobroczynne skutki gorącej kąpieli zaczęły słabnąć i rozliczne obrażenia dały o sobie znać, doszedł do wniosku, że warto zaryzykować niewielki atak mdłości, by znaleźć się znów w wygodnym łóżku z czystą pościelą. Wrócił więc tą samą drogą, którą tu dotarł, i przekonał się, że nie jest już sam na werandzie. Na jej przeciwległym końcu stał ktoś ukryty w cieniu. Ktoś ubrany

w batystową koszulę, zakrywającą jedynie uda. Ktoś o długich, ciemno-rudych włosach powiewających na wietrze...



- A w następnej...? - powtórzyła Juliet, wrywając go z zamyślenia.

Oczy Variana powędrowały ku jej twarzy, a zwisające wzdłuż boków ręce zacisnęły się w pięści. Ubiegłej nocy omal nie uczynił czegoś urągającego wszelkiej logice. Nie mógł sobie pozwolić na powtórzenie tego błędu!

- W następnej - odparł niedbale - mam przemożną ochotę przerzucić cię przez kolano i złoić ci skórę, aż posiniejesz od krzyku!

Brwi Juliet były nadal uniesione. Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrywała się w twarz Variana. Potem kąci jej ust zadrgały i nie była już w stanie powstrzymać śmiechu. Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się z całego serca, donośnie i szczerze. Ten wybuch radości sprawił, że maska obojętności opadła z twarzy Variana.

- To szczerza prawda - powiedział. - J pewien jestem, że doskonale wiesz, jak działasz na ludzi. Musiałeś całymi latami doskonalić te zdolności! Spójrz choćby na biednego Beacoma, wystarczy, że rzucisz okiem w jego kierunku i trzęsie się jak galareta.

- On się boi własnego cienia! Dziwię się, jak możesz z nim wytrzymać.

- Dorobiłem się Beacoma wraz z tytułem, niestety! A teraz nie potrafię odesłać go na zieloną trawkę. Nie ma rodziny ani żadnych innych zainteresowań poza swoją pracą. Przyłapałem go kiedyś o czwartej rano, jak pucował moje buty, gdyż -jego zdaniem - książęcy czyścibut nie przyłożył się do roboty jak należy.

- Masz osobistego czyścibuta?

Zadała mu to pytanie z taką samą ironią, jak wówczas, gdy sarkastycznie rozpytywała go o sześćdziesiąt pięć sypialni w Harrowgate Hall.

- Odziedziczyłem rodową posiadłość - wyjaśnił z westchnieniem - i bardzo stary tytuł. Czy mi się to podoba, czy nie, wiążą się z nim i wielka odpowiedzialność, i liczne obowiązki. Należy do nich konieczność zapewnienia pracy setce wieśniaków, którzy od wielu pokoleń pozostają pod opieką naszego rodu. Ten układ przypomina trochę społeczność, którą tutaj stworzyliście - dodał, wskazując ruchem głowy zatokę. - Gdyby nie wasza rodzina, co by się z nimi stało? Gdzie by teraz byli?

- Nie wiem, gdzie, ale z pewnością żłopałiby rum i uganiali się za dziwkami. Mało mnie to obchodzi.

Ciemnobłękitne jak nocne niebo oczy spojrzały jej prosto w twarz.

- To ci się niezbyt udało, kapitanie - powiedział spokojnie Varian. - Silisz się na obojętność, a jednak bardzo cię obchodzi los tych, z którymi stykasz się na co dzień. Ot, choćby mały Johnny. Gdyby wcale ci na nim nie zależało, nie dostrzegłabyś zadrapania na jego nodze. Nie spytałabyś też porucznika Becka o to, jak sobie poparzył twarz, ani nie schodziłabyś codziennie pod pokład sprawdzać, jak się miewają ranni w czasie bitwy z Hiszpanami.

- Kapitan, który nie dba o swoją załogę, to skończony dureń!

- Podobnie jak właściciel dóbr ziemskich, który pozwala swoim poddanym umierać z głodu podczas ciężkiej zimy. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie cieszę się tu zbyt wielką popularnością. Wypominasz mi to przy każdej okazji. Mój tytuł nie robi na nikim wrażenia, moja pozycja jest bez znaczenia, nie posiadam żadnego autorytetu. Choć przebywam w twoim towarzystwie zaledwie od trzech dni, pojmuję, że z moją arogancją i pretensjami mogłem zrobić na tobie wrażenie skończonego błazna. Proszę tylko o szansę udowodnienia ci, że wcale nim nie jestem. Proszę również, byś wybaczyła mi podobną omyłkę w ocenie twojego charakteru.

Ta propozycja, a raczej sposób, w jaki została przedstawiona, i błagalny gest rąk Variana sprawiły, że Juliet przechyliła głowę na bok. Nie była już nieufna, tylko zaciekawiona.

Jedno nie ulegało wątpliwości - mówić to on potrafił! Podejrzewała, że w Varianie St. Clare jest coś więcej, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka. Chociażby ogromna siła fizyczna, którą ukrywał pod aksamitnym strojem eleganta.

W tym momencie spojrzenie Juliet ześlizgnęło się wzdłuż szyi na potężne barki Variana. Miał na sobie tylko krótkie spodnie i koszulę. Była rozpięta na piersi, co pozwalało dojrzec bogactwo porastających tors gładkich włosów.

- Mam wrażenie, że okazałam się aż nazbyt skłonna do wybaczenia... - mruknęła - zwłaszcza po ostatniej nocy.

- Moje zachowanie było niewybaczalne. Może mógłbym je usprawiedliwić nadmiarem rumu, ale nie! To tylko marny wykręt. Powinieniem nad sobą panować. I, na Boga, wezmę się w garść! A to, że świecił księżyc i gwiazdy... a ty byłaś na wpół naga...

Głos mu się załamał. Zdał sobie sprawę, że obecne spotkanie odbywa się w identycznej scenerii. Światło księżycy padało na jej włosy, migotało na wilgotnych lokach. Nie pachniała już morską wodą ani żaglowym płótnem. Kołnierz jej koszuli przekrzywił się, pozwalając dostrzec gładką krągłość ramienia w blasku gwiazd.

- W każdym razie - kontynuował - nie powinienem być stracić poczucia przyzwoitości.

- Chcesz powiedzieć, że dzisiaj zdołasz poskromić swoje żądze? Rada jestem, że to słyszę, bo nie mam ochoty walczyć z tobą.

Powiedziała to tak miękko, że dostał gęsiej skórki. Ta cholerna koszula opadła jeszcze niżej i pewnie ześlizgnęłaby się całkiem z piersi Juliet, gdyby nie zawadziła o sterczącą brodawkę.

- Ja też nie mam ochoty walczyć z tobą - powiedział.

- Czym się zajmiemy zamiast tego? - spytała z nutką zadumy w głosie.

Jeśli nawet miał jeszcze jakąś szansę, by oprzytomnieć, przeprosić i odejść, to została ona zaprzepaszczona w chwili, gdy Juliet odsunęła się od balustrady, stanęła na palcach i przycisnęła usta do jego ust. Jej wargi były miękkie, a pocałunek bardzo delikatny, ale gdy dobiegł końca, Varian czuł się tak, jakby poraził go grom z jasnego nieba. Zaraz po pierwszym trafił weń następny, kiedy dziewczyna objęła go za szyję i przyciągnęła jego usta ku sobie w o wiele dłuższym i bardziej zuchwałym pocałunku.

Kiedy i ta pieszczota dobiegła końca, zapatrzył się w stalowe iskierki w oczach Juliet. Czuł, jak narasta w nim podniecenie.

- Czemu to zrobiłeś?

- A ty dlaczego mnie pocałowałaś ubiegłej nocy? Jeśli powtórzysz, że to była pomyłka i że będziesz tego żałował do końca życia, to przysięgam, że skończy się ono raz-dwa, i to w bardzo niemiły sposób!

Ze zdziwienia otworzył usta, ale zaraz odzyskał rozum.

- Chyba najlepiej przyznam to od razu. Pocałowałem cię, bo miałem na to ochotę.

- A dlaczego przestałeś mnie całować?

- Doprawdy, kapitanie...

Juliet roześmiała się cicho i odsunęła od niego.

- Ręka nadal ci dokucza?

- Co takiego?...

- Twoja ręka. Pokaż mi ją.

Odetchnął z trudem i ukrył obie ręce za plecami, zaciskając je mocno.

- Oparzenia goją się znakomicie, dzięki za troskę. Kciuk nadal po-bolewa, ale mogę nim poruszać, nie krzycząc z bólu.

Juliet uśmiechnęła się, chwyciła go za nadgarstki i wyciągnęła oporne ręce z ukrycia. Zauważyła już wcześniej, że dłonie Variana są duże i zręczne - zbyt silne na to, by je marnować na takie głupstwa jak tasowanie kart czy rzuty kośćmi. Palce miał długie, wąskie i nieco stward-

niałe, jakby nie zawsze pamiętał o tym, by wkładać rękawiczki. Były to ręce szermierza o przegubach z żelaza.

Juliet mocniej uchwyciła zranioną dłoń i położyła ją sobie na piersi. Varianowi znów zabrakło tchu, ale nie cofnął się. Palce mu nawet nie drgnęły. W innej sytuacji dziewczyna roześmiałaby się w głos, ujrawszy jego zastygłą w szoku twarz. Teraz jednak liczyło się jedynie to, by zaspokoił dręczące ją pragnienie.

Od wczorajszej nocy czuła dziwny niepokój, a przecież nie miała ku temu żadnych powodów, wręcz przeciwnie, powinna czuć się szczęśliwa. Wróciła do domu. Doprowadziła oba statki do przystani i obwołano ją bohaterką! Pół nocy spędziła z rodziną i przyjaciółmi, wyśmienicie się bawiąc. A potem wzięła gorącą, odprężającą kąpiel, po której wciąż jeszcze przyjemnie mrowiła ją skóra. Mimo to przez cały czas towarzyszył jej jakiś lęk. Miała wrażenie, że coś ją opętało i tylko czeka na sprzyjający moment, by zawładnąć nią całkowicie. A teraz sam dotyk ręki Variana na jej piersi sprawił, że całe jej ciało zapłonęło ogniem -jakby na powitanie demona, który już przeniknął do jej krwi. Była niepokojąco świadoma zapachu skóry Variana i bliskości jego muskularnej piersi. Uległa pokusie, wsunęła rękę w wycięcie jego koszuli i dotknęła ciepłej skóry. Koniuszkami palców wyczuwała bicie serca mężczyzny, jego mięśnie, twarde i gładkie. Kiedy jej dłoń zaczęła po nich wędrować, poczuła, że przeniknął go dreszcz.

- Unikasz odpowiedzi - wymruczała.

-Ja... nie bardzo pamiętam, o co pytałaś.

Głos miał szorstki, silił się na obojętny ton. Juliet uśmiechnęła się i śmiało przesunęła rękę jeszcze głębiej. Porastające pierś Variana sprężyste włoski łaskotały jej dłoń, gdy końcami palców rozgarniała kędzierzawe kosmyki w poszukiwaniu brodawki. Wystarczyło raz zatoczyć krąg wokół wrażliwego sutka, by zmienił się w mały, twardy stożek.

- Pytałam, czy będziesz dziś lepiej panował nad swymi żądzami.

Na te słowa krew zaczęła mu tętnić w skroniach i zapłonęła żywym ogniem w żyłach. Ręce Juliet dotykały sprężystych mięśni klatki piersiowej i brzucha. Zaszokowany własną bezradnością i jej zuchwalstwem, wpatrywał się w pochyloną ku niemu dziewczynę. Dotknęła jego piersi koniuszkiem języka, który następnie powędrował śladem jej palców. Wargi Juliet zacisnęły się na jego sutku. Delektowała się nim jak egzotycznym przysmakiem. Delikatnie szczypała zębami skórę. Czuł gorąco jej ust i dręczącą pieczętę języka.

Ciało Variana stwardniało jak żelazo. Gwałtownie chwycił dziewczynę za ramiona, nie po to, żeby się uwolnić, ale by przyciągnąć ją

bliżej. Drżały mu palce, miał ściśnięte gardło, oddychał z coraz większym trudem.

Zaintrygowana zmianą w jego zachowaniu, zaczęła ostrożnie wyciągać mu koszulę ze spodni. Gdy się z tym uporała, zabrała się do rozpinania guzików przy spodniach.

- Dobry Boże!... - wychrypiał zdławionym głosem. - Czy ty nie uznajesz żadnych granic, dziewczyno?...

- Nie dziś - odparła, muskając wargami jego rozpaloną szyję i podbródek. - Nie tu i nie teraz... Chyba że się uprzesz, by nie robić tego... albo tego... czy tego... - mówiła, pieszcząc kolejne fragmenty jego ciała.

Varian jęknął. Drżał na całym ciele pod dotykiem jej rąk. Przesunął ręce na szyję Juliet. Wtargnął językiem między wargi dziewczyny i zdusił jej kpiący uśmiech. W gnieniu oka przejął inicjatywę. Jego wargi i język atakowały Juliet bez cienia delikatności, z której sobie przed chwilą pokpiwała. To była żądza, płomienna i gwałtowna. Juliet poczuła mrowienie u zwińczenia ud i drzenie całego ciała.

Pragnęła jednak czegoś więcej. Uniosła koszulę i przyciągnęła go do siebie, by mógł wtulić się w jej ciało. Zareagował z niezwykłą gwałtownością. Oderwał usta od jej ust, z trudem łapał dech.

-Przestań, na litość boską, zanim skompromituję ciebie... i siebie!...

Przez moment myślała, że ją odepchnie, ale zgłodniałe ciało zwyciężyło nad zdrowym rozsądkiem. Porwał ją w ramiona i w kilku susach przebiegł przez werandę. Przedarł się przez przezroczyste, wzdymające się na wietrze zasłony u drzwi sypialni i ruszył prosto do łóżka. Rzucił dziewczynę na pościel i ściągnawszy spiesznie ubranie, położył się obok niej.

Juliet ochoczo wzięła go w ramiona. Była gotowa. Mój Boże, więcej niż gotowa! Roześmiała się z radości, gdy chwycił jej koszulę i rozdarł materiał od góry do dołu. Przez chwilę klęczał pochylony nad nią. Jego ramiona lśniły w blasku świecy, oczy mu pociemniały.

Powoli, niemal z czcią, położył ręce na jej piersiach, gładził talie i biodra, wreszcie dotknął kępki miedzianych loczków u zbiegu ud. Schylił głowę i Juliet aż się zwinęła pod palącym dotknięciem jego ust i języka, które pieściły jej piersi i brzuch. Kiedy posunął się jeszcze dalej, sprężyła się w łuk.

- Co ty wyrabiasz?...

- Sama powiedziałaś, że dziś nie ma żadnych granic, kapitanie!

-Tak, ale...

- Czyżbyś nagle zakazywała mi tego... albo tego..., czy może tego... ?

Łagodne pieszczoty przemieniły się w zuchwały atak, który zaparł jej dech w piersiach. Opadła bezsilnie na łóżko.

Varian pieścił i poznawał dotykiem każdy zakątek jej ciała, każde wrażliwe miejsce, aż zrezygnowała z wszelkiego oporu. Poczuł, że ją przeszywa dreszcz. Rokosz potęgowała się. Juliet nie broniła się już przed nowymi doznaniem, otwierała się na nie jak kielich kwiatu.

Zdała sobie sprawę, że jej ręce zaciskają się na pościeli. Miała wrażenie, że wrywa się z własnego ciała, że uleci, jeśli się czegoś nie przytrzyma. Wyciągnęła ramiona nad głową i chwyciła za słupek baldachimu, ale było już za późno.

Uniosła się nad łóżkiem, napięta jak łuk, i osiągnęła szczyt, zanim jeszcze Varian zagłębił się w niej. Delikatność, z jaką się poruszał, sprawiała, że puściła słupek i zacisnęła kurczowo ręce na ramionach Variana, potem na jego biodrach. Nie mogła zaczerpnąć tchu. Istniała tylko rozkosz - gwałtowna, niepowstrzymana, niekończąca się.

Varian wyteżał wszystkie siły, by nie ulec pokusie i nie zatracić się w jej słodkim cieple. Pragnął zaspokoić Juliet, zanim sam osiągnie szczyt. Wpatrywał się w jej srebrzyste oczy - zamglone teraz i pełne zdumienia. Głowa dziewczyny, otoczona chmurą ciemnych włosów, miotła się na poduszce. Trzymał ją w ramionach, drżącą i nieprzytomną, póki i jego nie wessał ciemny, rwący nurt rozkoszy.

Siła namiętności sprawiła, że ich ciała stopiły się w jedno. Czuł, że nogi Juliet owijają się wokół niego niczym pnącze. Odrzucił głowę do tyłu i przelewał swe żywotne siły w spragnione biodra Juliet - aż do całkowitego wyczerpania. Ostatni skurcz ekstazy osłabił go do tego stopnia, że osunął się bezwładnie w jej ramiona, zlany potem i bez tchu.

Juliet czuła się wyczerpana. Krew huczała jej w żyłach, serce tłukło się w piersi jak szalone. Każdy dreszcz, przeszywający ciało kochanka, odzywał się echem także i w jej ciele. Czuła na szyi oddech Variana. Dotykała piersiami włosków porastających jego klatkę piersiową. Leżąc przy nim, czuła się dziwnie naga i bezbronna. Chciała go odepchnąć... a jednocześnie korciło ją, by zagłębić palce w jego włosach, przyciągnąć jego głowę do siebie i zakosztować znów smaku tych gorących, jedwabistych ust.

Varian leżał jak ogłuszony. Namiętność Juliet, wolna od wszelkich zahamowań, była dzika i pierwotna. Nie powinno go dziwić, że ta młoda, pełna życia istota traktowała akt miłosny jako rodzaj wyzwania - podobnie jak pojedynek na szpady czy dowodzenie okrętem bojowym.

Co więcej, w tym momencie Varian czuł się jak niedoświadczony młodzik, choć wcale nim nie był i dzielnie sobie poczynał w damskich sypialniach. Jednak do tej pory po akcie miłosnym nie spodziewał się niczego prócz czysto fizycznego zaspokojenia. Przez te wszystkie lata

nigdy nie odczuwał tak gwałtownej potrzeby zatrącenia się w kobiecym cielesie, oddania się bez reszty wzajemnej rozkoszy.

Nie wiadomo, które z nich poruszyło się pierwsze. Może Varian sam uniósł głowę przytuloną do jej ramienia, a może to Juliet, wierząc się pod nim, skłoniła go do zmiany pozycji. W każdym razie w jednej chwili oboje byli pogrążeni we własnych myślach, a w następnej ich ramiona szukały się nawzajem, spojrzenia zwały ze sobą, czuli na spoconych twarzach powiew swych oddechów. Jemu włosy opadły na czoło, rzucając cień na twarz. Juliet natomiast spoczywała na poduszce splecionych loków, jak na zwojach ciemnego jedwabiu, a jej twarz była wyraźnie widoczna w blasku świecy.

Jak mogłem dotąd nie zauważyć tego maleńkiego znamienia w kącie jej ust? - głowił się Varian. Znajdowało się *tuż nad* łukiem górnej wargi i miało barwę ciemnego różu - taką samą jak jej sutki. Poza nim skóra Juliet była bez skazy, gładka jak jedwab, w kolorze złocistego miodu. Przy jej opaleniznie ciało Variana wydawało się jeszcze bledsze.

Kontynuując swe oględziny, dostrzegł na jej ramieniu błyszczący ślad po oparzeniu, o którym wspomniała, oraz mnóstwo maleńkich blizn i cienkich białych rys. Pamiątki walk na sztylety, rapiery i Bóg raczy wiedzieć, jakie jeszcze mordercze narzędzia!

Spojrzał znów na twarz Juliet - naprawdę prześliczną, gdy nie udawała groźnej i nieprzystępnej. Wysokie kości policzkowe, szerokie czoło, ogromne, świetliste oczy. Jej usta - jeśli nie krzywiła ich w pogardliwym grymasie - były pełne, zmysłowe i pobudzały wyobraźnię Variana do tego stopnia, że niemal rzucił się na nią.

- Co cię tak bawi? - spytała ostrożnie.

Nie próbował nawet ukryć uśmiechu.

- Chyba moje grzeszne ciało.

- To może byś je stąd zabrał i pozwolił mi odetchnąć?

- Co takiego?! Mam się wyrzec przewagi zdobytej z takim trudem?

Chciała się wyslizgnąć spod niego, ale chwycił ją za nadgarstki i przycisnął do łóżka, unieruchamiając równocześnie nogi.

- Co ty znowu knujesz?!

- Niczego nie knuję, kapitanie. Przyznam jednak, że chciałbym się dowiedzieć, czy to była dla ciebie przelotna rozrywka? A może miałaś inne powody, by wypróbować na mnie siłę swoich wdzięków?

- Nie pochlebiaj sobie! - Wydała przesadne westchnienie. - O, Boże! Nie sądziłam, że mężczyźni potrzebują specjalnego powodu, by zaciągnąć kobietę do łóżka! Myślałam, że wypatrują tylko okazji. A teraz, kiedy już to sobie wyjaśniliśmy, złaż ze mnie, mój panie!



- Wszystko we właściwym czasie... jeśli naprawdę tego chcesz.

- A czego innego mogłabym chcieć?!

Ledwie udało jej się wymówić te słowa. Prawdę mówiąc, ostatnie zamarło jej na wargach, gdy poczuła, jak Varian napiera na nią i delikatnie popycha na poduszki.

Znowu jej pragnął!

Poczuła, że wszystko w niej topnieje. Była pewna, że już po wszystkim. Żaden z jej czterech kochanków, nawet niezrównany Francuz, nie miał ochoty na powtórkę. A mieli oni przecież znacznie mniej powodów do tego, by ją wykorzystać i odepchnąć, niż Varian St. Clare. Traktowała go szorstko, sarkastycznie lub z jawną wrogością od momentu, gdy ocknął się na pokładzie „Żelaznej Róży”. Oszukała go, pozwoliła mu wierzyć, że zabiera go na *spotkanie* ze swoim ojcem, podczas gdy w *rzeczywistości* był dla niej zwykłym jeńcem, a ojciec mógł z nim zrobić, co tylko zechce. Irytował ją, więc starała się odpłacić mu pięknym za nadobne i zachowywała się tak, by go rozżłościć. Prawdę mówiąc, kiedy pocałowała Variana na balkonie, była prawie pewna, że wyśmieję tę niezręczną próbę uwiedzenia go.

Tymczasem Varian nie tylko jej nie odtrącił, ale jedną pieszczotą odmienił wszystko. Dał jej rozkosz i jeśli sądzić z wyrazu jego płomienych oczu, teraz znów zamierzał tego dokonać.

Bez wątpienia, rano wszystko będzie wyglądało całkiem inaczej. Varian przywdzieje maskę królewskiego wysłannika, a ona stanie się znowu córką pirata. Ale do rana było jeszcze kilka godzin i Juliet nurtowały teraz całkiem inne problemy. Na przykład, jak to się dzieje, że ręce i nogi, które przed chwilą ciążyły jej jak ołów, same się teraz unoszą i oplatają Variana? Jaki cudem jej ciało, tak przed chwilą bezwładne, nagle ożyło, drży, zbiera siły i czeka z utęsknieniem na kolejne zmagania z jego ciałem?

Varian puścił nadgarstki Juliet i zerwał z niej podartą koszulę. Zanim przylgnął ustami do jej piersi, rzucił wyzywająco:

- Strzeż się, kapitanie!

Juliet przygryzła wargę zębami, by stłumić jęk wyjątkowo grzesznej rozkoszy, kiedy przewróciła ją na brzuch i rozsunął jej uda. Wyprężyła się i uchwyciła słupka baldachimu, gdy tęsknie wyczekiwanie piekielne ognie zawładnęły znowu jej ciałem.

# 12

Ciągnąć, do cholery! Przyłóżcie się do tego!

Zirytowana Juliet przeskoczyła przez reling i dołączyła do marynarzy., którzy mocowali się właśnie z ciężką kolubryną na pokładzie „Żelaznej Róży”. Dokładne oględziny ujawniły cieniutkie jak włos pęknięcie na jednej z luf, które mogło mieć fatalne skutki, gdyby przegrzane działo eksplodowało. Załoga rozebrała lawetę na części. Uszkodzoną lufę owinięto linami, by wyciągnąć ją z kołyski i przerzucić osobno przez burtę.

Juliet włożyła rękawice i chwyciwszy za linę, przyłączyła się do grupy majtków, którzy starali się podźwignąć działo i umieścić je w drewnianej kołysce. Wymagało to tak wielkiego wysiłku, że Juliet już po kilku sekundach była bez tchu, złana potem i zaciskała zęby, żeby utrzymać się jakoś na nogach. Choć wołała o tym nie myśleć, dobrze wiedziała, co ją do tego stopnia pozbawiło energii. Uświadamiała to sobie za każdym razem, gdy chodziła, siadała czy choćby dotykała językiem warg tak opuchniętych i obolałych, że z pewnością na ich widok wszyscy mężczyźni na pokładzie „Róży” uśmiechali się znacząco!

Sama nie pojmowała, co się jej stało ostatniej nocy, ani jak wylądowała w łóżku Variana St. Clare’a. Wszystko przez to, że nie mogła usiedzieć w miejscu. Czuła się taka ważna i była zbyt upojona winem oraz triumfalnym powrotem na Gołębią Rafę... Jakimś sposobem rozpierająca ją energia przerodziła się w żądzę. Nawet teraz, w bezlitosnym świetle dnia, ilekroć podmuch wiatru przyklejał jej koszulę do ciała, sutki Juliet prężyły się. Za każdym razem, gdy włosy musnęły jej szyję lub policzek, wyobrażała sobie, że to usta Variana - ciekawskie, pieśczołliwe, szepczące jej coś do ucha.

Także niewielka bolesność u zbiegu ud przypominała jej nieustannie o przeżyciach ostatniej nocy. Czuła ból w miejscach, o których nie wiedziała dotąd, że mogą boleć! Ilekroć zaś spojrzała w kierunku wielkiego kamiennego *domu na* wzniesieniu, oczyma duszy widziała tylko łóżko, w którym leżeli obok siebie, ciemną głowę kochanka na poduszce, jego nagie ciało na pościeli... Ten obraz z kolei sprawiał, że ożywały wspomnienia ostatniej nocy. Ramiona Variana ozłoczone blaskiem świecy, gra sprężonych mięśni i ścięgien, gdy pochylał się nad nią...

To było głupie i ryzykowne sprowokować Variana. Cóż jej przyszło z tego, że przeleżała pół nocy w jego ramionach? Nie pora teraz zawracać sobie głowę czyjaś piękną twarzą, zmysłowymi ustami czy niebez-

piecznie uwodzicielskim ciałem. Dobry Boże! Wystarczyło, by przesunął palcem po jej biodrze, a ona już pchała mu się w ramiona!

Co gorsza, wymknęła się z łóżka przed świtem, jak złodziejka. Pognęła na pokład „Żelaznej Róży” i pracowała wraz z załogą w nadziei, że fizyczny wysiłek odpędzi głupie myśli.

Lina wyślizgnęła się z osłoniętych rękawicami rąk i Juliet musiała schwycić ją ponownie. Działo ważyło ponad dwie tony, toteż metalowe krążki protestowały przeciągłym skrzypieniem. Nagle rozległ się głośny trzask. Pękła śruba wyciągu. Juliet poczuła, że napięta lina wiotczeje jej w rękach. Trzymający ją marynarze zatoczyli się do tyłu i upadli na pokład. Równocześnie runęła w dół lufa działa. Trafiła w lawetę i strzaskała drewnianą obudowę, po czym stoczyła się z niej i spadła z hukiem na pokład. Jeden z matów, który wskazywał, jak doholować lufę do relingu, znalazł się na drodze spadającego ciężaru. Jego stopa została zmiażdżona przy uderzeniu. Lufa armatnia przetoczyła się po nodze mata aż do kolana, rozdzierając skórę i rozpryskując krew po pokładzie. Podbiegli dwaj marynarze i podparli lufę drągami, by nie przetoczyła się dalej. Kilku innych odciągnęło rannego w bezpieczne miejsce. Pospiesznie owinięto płótnem przerażające strzępy ciała, które zwiślały z kostki, a krzyczącego z bólu mężczyznę zniesiono do infirmerii.

Juliet siedziała na pokładzie, z trudem łapiąc dech. Wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie, że w pierwszej chwili nie *zdawała* sobie sprawy z tego, co zaszło. Przewróciła się na pokład wraz z innymi. Nie miała podstaw do szukania innej przyczyny wypadku poza pęknięciem śruby, ale była wściekła na siebie i zła na wszystkich mężczyzn, którzy tłoczyli się dokoła, drapali w głowy i zerkali na krążek linowy, jakby to on zawinił, a nie ludzkie niedbalstwo.

- Do jasnej cholery! Czy nikomu nie przyszło do łba, że warto sprawdzić krążki, nim zaczniemy windować armaty?!

Juliet zerwała się na nogi, strzepując ze spodni drewniane drzazgi.

- Wyciąg został sprawdzony - odparł spokojnie Nathan. - Był w całym dobrym stanie. Śruba trzasnęła, i tyle.

- Trzasnęła i tyle?! - *Juliet* odwróciła się z szybkością błyskawicy. - Porządny człowiek stracił stopę, może nawet całą nogę; a ty mi mówisz: „trzasnęła, i tyle”?!

Nathan przesunął czapkę daszkiem do tyłu i nie zważając na to, że rozmawia z kapitanem, chwycił Juliet za ramię i odciągnął na bok, gdzie nie mógł ich usłyszeć nikt inny z załogi.

- A co ci mam powiedzieć? Że ktoś tam wlaźł, przeciął piłą metal, stanął z boku, żarł banany i tylko czekał, aż to wszystko rąbnie i przywali

któregoś z chłopaków?! A przybij mnie do masztu, piekielnico, jeśli ci to ulży! I tak będę powtarzał, że to był wypadek. Nic innego, tylko nieszcześliwy wypadek! Ciesz się, psiakrew, że nie tobie zmiażdżyło nogę... choć i wtedy nie mogłabyś pokazywać gorszych humorów niż teraz!

- O to niech cię głowa nie boli. Jestem w doskonałym humorze.

- Ano pewnie, jak na taką jędzę! Od samego rana nic tylko szczekasz i warczysz! Chłopaki już zaczynają główkować, czy ci nie nadstawić tyłka? Jak wszystkim przyłożysz dyscyplinę, to ci chandra przejdzie, i po krzyku! Nic tu po tobie, dziewczyno. Twoje ryki i tupanie nie ułatwią nam roboty. Wracaj na brzeg. Jakbyś była potrzebna, przyślę po ciebie jednego z chłopaków. Ani słowa! - Uniósł ostrzegawczo palec, uprzedzając jej ripostę. - Jeśli sama się nie wyniesiesz, przerzucę cię przez burtę i płyn do brzegu!

Przez minutę mierzyli się złym wzrokiem. W końcu Juliet zakłęta siarczyście i wbiegła na trap. Spuściła nogi z pomostu i zeskoczyła do jednej z łódek, które kołysały się na falach. Wystarczyło jedno warknięcie i osiem wioseł równocześnie zanurzyło się w wodzie. Po chwili przecinali już zatokę.

Juliet dosiadła pierwszego napotkanego konia, który stał uwiązany w pobliżu doków i kopnąwszy go w bok, pogalopowała po zboczu do domu. Nie miała wcale ochoty na spotkanie z rodziną, więc pospieszyła wzdłuż dolnej werandy do wiodących na górę tylnych schodów. Przeskakując po dwa, trzy stopnie i nie oglądając się na boki, ruszyła prosto do podwójnego francuskiego okna sypialni Variana St. Clare'a. Otworzyła je na oścież i przez chwilę stała na progu. Krew waliła jej w skroniach.



Varian obudził się i raptownie siadł na łóżku. Ciemne włosy opadały mu kosmykami na uszy i zasłaniały czoło. Obudził go jakiś dźwięk lub hałas, ale cokolwiek to było, nie powtórzyło się i nie zdołał tego zidentyfikować. Był sam w pokoju. Przekonał się o tym, obrzucając sypialnię szybkim, badawczym spojrzeniem. Nie było nic, nawet wgłębienia w poduszce, które świadczyłyby o rym, że w nocy *spoczywał obok niego ktoś drugi*.

Przegarnął włosy ręką i zmarszczył czoło. Zmarszczka przerodziła się w grymas bólu, gdy uraził się w zraniony policzek. Dziwnym trafem rana wcale mu nie dokuczała tej nocy! W ogóle nic mu wtedy nie dolegało. Za to teraz, w świetle dnia, czuł się tak, jakby go wleczono pod kilem statku grubo obrośniętego twardeymi pąklami!

Raz jeszcze zmarszczył czoło i bez pośpiechu obiegnął wzrokiem pokój. Czy możliwe, żeby to był tylko sen? Czyżby spędził noc samotnie i tylko przyśniło mu się, że Juliet Dante dzieli jego łóżko?

Nie, to nie był sen. Dziwna ociężałość, którą odczuwał w całym ciele, usuwała wszelkie wątpliwości. Woń ich miłosnych zmagowań zachowała się jeszcze na poduszkach, których nie zrzucili na podłogę albo nie zepchnęli w nogi łóżka.

Varian jęknął i opadł na wezglowie. Owszem, wypił trochę wina, ale dwa kieliszki nie wprawiłyby go przecież w taki szzał! Gorąca kąpiel — pierwsza od dwóch miesięcy — mogła spowodować zawrót głowy, ale żeby zamiast zasnąć jak noworodek, włóczyć się po balkonach jak kot w marcu?! Widok Juliet, odzianej w kusą batystową koszulę, dopełnił miary szaleństwa. Gdyby, ku jego zaskoczeniu, nie zabrała się pierwsza do uwodzenia go, pewnie i tak przerzuciłby ją sobie przez ramię i zniewolił!

Już wcześniej doszedł do wniosku, że Juliet Dante różni się od wszystkich kobiet, z którymi miał do czynienia, toteż nawet to, że zdołała tak go rozpalić, iż w mgnieniu oka znaleźli się w łóżku, nie powinno go zdumiewać. A jednak go zdziwiło. Znał aż za wiele kobiet, które rwały się do podbojów, ale potem względy przyzwoitości paraliżowały je do tego stopnia, że ostatecznie nie miały wiele uciechy ze swego występku. Z Juliet było wręcz odwrotnie. Od razu dała jasno do zrozumienia, że nie interesują jej żadne podboje. Po prostu pragnęła czegoś, więc sięgnęła po to ochoczo i bez oporów.

Na samo wspomnienie krew w nim zawrzała. Przewrócił się na bok. Do poduszki przyłgnął jeden ciemnorudy włos. Wpatrywał się weń przez chwilę, zanim ujął go w palce. Długi i połyskliwy, stanowił cząstkę kędzierzawej grzywy, której końce łaskotały Variana, kiedy Juliet pochylała się nad nim. Jakaż to była ogromna rozkosz, gdy siadła na nim okrakiem i przejęła stery! Niczym genialny nawigator przeprowadziła ich szczęśliwie przez istny huragan, wśród trzasku sprężyn i dygotania słupków od baldachimu...

Dopiero potem, gdy zelżał ucisk w gardle, a łopot serca nieco się uspokoił, Varian pomyślał z ulgą: jakie to szczęście, że jej rodzina śpi w przeciwnym kierunku!

Chociaż poznał ciało *Juliet*, nadal nie wiedział, co kryje się za tymi jasnymi, szaroniebieskimi oczyma. Z wyjątkiem chwil wspólnie przeżywanej rozkoszy nie chciała mieć z nim nic do czynienia. Kiedy nie obejmowali się namiętnie, natychmiast odsuwała się tak, by ich ciała nie stykały się ze sobą - nie lada wyczyn na łóżku niewiele szerszym niż rozpiętość jego ramion! Dopiero pod koniec, kiedy żadne z nich nie miało

już siły unieść ręki czy nogi, a tym bardziej wymieniać pieśczęt, Juliet wtuliła się w jego rozgrzane ciało i zapadła w sen.

Varian wpatrywał się w plamki słoneczne, tańczące na suficie. Nie miał pojęcia, która teraz jest godzina ani o której Juliet go opuściła i jak zdołała wymknąć się niepostrzeżenie z jego ramion. Nie próbował się nawet domyślić, jak zareaguje na jego widok, kiedy się dziś spotkają. Czy będzie zmieszana? Zła? A może pełna urazy za to, że ujawniła przy nim swoje drugie „ja” - wrażliwsze i bezbronne - które z takim wysiłkiem ukrywała pod maską obojętności?

Albo jeszcze gorzej. Może będzie się zachowywać tak, jakby nic się nie wydarzyło? Jakby miała zwyczaj brać każdego z jeńców do łóżka i upominać się o należny jej funt ciała\*, nim wyda go na łaskę i niełaskę reszty rodziny!

Varian westchnął, energicznie przegarnął rękami włosy i zwiesił nogi z łóżka.

Mniejsza o nią! - pomyślał cierpko. Jak on sam zareaguje na jej widok? Zaprzedał duszę diabłu, który niewątpliwie upomni się o swoją własność. A przecież był księciem Harrow i niemal się już wyrzekł grzechów młodości, kiedy wyraził zgodę na małżeństwo z lady Margery Wrothwell. Niewielka pociecha, że zaręczyny nie zostały oficjalnie ogłoszone, gdyż obie strony uzgodniły, iż ogłosi się je zaraz po jego powrocie do Anglii. A tymczasem ugrzązł tutaj i rozpiera go żądza z powodu kobiety, którą zna zaledwie od trzech dni. I to takiej, która znacznie lepiej włada szpadą niż igłą do haftu! Ona i cała jej rodzina żywią jedynie pogardę dla króla, Anglii i opinii wielkiego świata, czyli tego wszystkiego, co dla niego, Variana St. Clare'a, miało największą wartość.

Zamienił ledwie kilka słów z Simonem Dante, ale był już niemal pewien, że -jak to z pewnością wyraziła Juliet -jego misja spali na panewce, a on sam wyjdzie na durnia. Dante wzniosł tu własną twierdzę, więc czemu miałby się przejmować rozkazami króla, który wymachuje berłem z drugiego końca świata? To raczej Jakub Stuart powinien się zastanowić, dlaczego słynny Wilk nadal zadaje sobie tyle trudu i odsyła do królewskiego skarbcza dziesięcinę ze swych łupów. Z pewnością po tylu latach nie potrzebuje już listu kaperskiego, zapewniającego mu prawo do tego rodzaju „handlu”. Z tego, co Varian zdążył się dowiedzieć na temat siły bojowej zakotwiczonej na przystani flotylli, rodzina Dante stanowiła olbrzymie zagrożenie dla każdego hiszpańskiego lub jakiegokolwiek innego portu.

\* Aluzja do *Kupca weneckiego* Szekspira, gdzie lichwiarz Shylock żąda od dłużnika gwarancji w postaci funta ciała, który ma otrzymać w razie jego niewypłacalności.

Król Jakub za wszelką cenę powinien zapewnić sobie lojalność Wilka, choćby po to, by nadal pływał pod angielską flagą!

Varian wstał i ostrożnie wyprostował się, żeby rozluźnić zbyt napięte mięśnie ramion i nóg. Przez otwarte francuskie okno widział oślepiająco błękitne niebo. Rześką bryzę, która w nocy chłodziła rozpalone ciała, zastąpiły duchota i skwar. St. Clare rozejrzał się za swoim ubraniem. Pamiętał jak przez mgłę, że ściągał je z takim pośpiechem, iż omal nie przewrócił nocnego stolika. Koszuli ani spodni nie było nigdzie widać, ale jego kubrak zwiślał z oparcia krzesła. Varian obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Nie miał ochoty wkładać na siebie tego niewygodnego, wielowarstwowego stroju z pikowanego aksamitu i skóry. Co więcej, poprzedni właściciel kubraka nie dorównywał księciu ani wzrostem, ani szerokością ramion, toteż - mimo pospiesznej przeróbki, dokonanej przez Beacoma - rękawy były za krótkie, a krezy z hiszpańskiej koronki nie można było dopiąć. Wełniane pończochy drapały, a pantalone były tak grubo wypchane końskim włosiem, iż Varianowi wydawało się, że nosi na udach dwie tykwy.

W nagłym odruchu buntu podszedł nago do drzwi balkonowych i stał tak z zamkniętymi oczyma, trzymając się obiema rękami framugi i pozwalając, by tropikalne słońce pieściło jego skórę. Przypomniał sobie uwagę Juliet na temat wstępu Anglików do słonecznego światła. Musiał przyznać, że po raz pierwszy stanął tak twarzą w twarz z matką naturą. Promienie słońca rozkosznie pieściły jego piersi i ramiona. Całe ciało reagowało życzliwie na nowe doświadczenie.

- Ostrzegam, że za dziesięć minut będziesz czerwony jak rak i dostaniesz bąbli!

Varian raptownie otworzył oczy i zakrył rękami krocze.

Na balkonie siedziała Juliet, opierając obutą stopę o balustradę. Miała na sobie białą koszulę i czarne bryczesy. Odgarnięte do tyłu włosy związała na karku rzemyczkiem. Obok niej stało drugie krzesło i drewniany stolik, a na nim wielka taca z chlebem, serem, nieprawdopodobną górą mięsa w plastrach oraz miskami jakichś nieznanym Varianowi, egzotycznych owoców.

Spojrzenie Juliet powędrowało za jego wzrokiem.

- Pomyślałam, że jesteś pewnie głodny... i chciałam ci podziękować za ostatnią noc.

- Podziękować?... Mnie?!

- Za zapewnienie mi azylu. Bracia szukali mnie po całym domu. Mieli zamiar wywlec mnie z łóżka i uraczyć nowym dowcipem. Podobno przygotowali w tym celu klajster z mąki i kogucie pióra. W mojej sypialni znaleźli tylko kukłę z pościeli, którą zostawiłam na wszelki

wypadek. Ale mnie nie dopadli. Jakoś im nie przyszło do głowy zajrzeć do twego pokoju. Tak więc nie doszło do egzekucji i muszę ci za to podziękować. - Zmrużyła oczy i uniosła kąciki ust w uśmiechu. - A ty myślałaś, że za co?

Varian poczerwieniał z zażenowania. I to jak! Spłonął szkarłatem aż po uszy.

- Ależ z ciebie zarozumialec! - powiedziała cicho.

Ich spojrzenia zwały się ze sobą; po kilku sekundach Juliet odwróciła wzrok.

- Naprawdę nie powinieneś zbyt długo wystawiać nagiej skóry na słońce. Nie chcesz chyba zostać takim czarnuchem jak ja?

Odchyliła głowę, pozwalając słońcu pieścić swą i tak już opaloną twarz.

- Z przyjemnością posłuchałbym twego rozkazu, kapitanie, ale moje ubranie gdzieś się zawieruszyło.

~ Przyniosłam ci nowe. Znajdziesz je w nogach łóżka. Wołałabym, żebyś nie paradował po wyspie w hiszpańskim stroju. To mogłoby skutzić niejednego do użycia noża.

Varian miał już podejść do łóżka, ale się zatrzymał.

- Mogę spytać, co się stało z Beacomern?

- Czyżbyś wolał jego towarzystwo od mojego?

- Tego nie powiedziałem.

Juliet otworzyła przymknięte oczy i popatrzyła na niego.

- Ubieraj się, wasza książęca mość, raz-dwa! Południe już minęło, a cierpliwość mego ojca też ma swoje granice.

-Południe...?-Zdumiony spojrzął na słońce i przekonał się, że nie stoi już w zenicie. -Dobry Boże! Czemu nikt mnie wcześniej nie obudził?!

- Próbowałam... Ale tylko jedna część twojego ciała miała ochotę wstać. Wątpię, byś chciał się nią pochwalić memu ojcu przy pierwszym spotkaniu.

Varian zacisnął szczęki i pospiesznie skrył się w sypialni. Znalazł w nogach łóżka porządną złożoną zwykłą koszulę i krótkie skórzane spodnie. Obie części garderoby pasowały nadspodziewanie dobrze, a wysokie buty do kolan uszyto z tak miękkiej skóry, że układały się na nodze niczym pończocha. Koszulę trzeba było zasznurować z przodu. Gdy tylko się z tym uporał, wyszedł znowu na balkon.

Krzeseł Juliet było puste.

Rozejrzał się, ale nigdzie jej nie dostrzegł.

- Pomyślałam, że mój ojciec i ty jesteście podobnej postury. Widzę, że się nie pomyliłam.



Varian odwrócił się gwałtownie. Juliet stała oparta o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Stopy również skrzyżowała i balansowała teraz na nosku jednego buta. Kiedy znów obrzuciła go spojrzeniem, w jej oczach zamigotał jakiś błysk. Znikł jednak, zanim Varian zorientował się, mógł oznaczać.

- Ser jest wyśmienity - oznajmiła, wskazując na tacę. - Zdobyliśmy go niedawno na Holendrach. Baranina z naszej własnej hodowli, a i piwo całkiem niezłe.

- Nie bardzo chce mi się jeść - skłamał Varian. - Zresztą, jeśli twój ojciec czeka...

Wzruszyła lekko ramionami.

- Niestety, przed chwilą udał się na przystań. Możesz go jeszcze zobaczyć... o, tam... między drzewami!

Varian spojrział w kierunku, który wskazała ruchem głowy, i ujrzał Simona Dantego kłusującego na grzbiecie wielkiego gniadego ogiera.

- Nie pojechałaś razem z nim? Myślałem, że masz dziś co najmniej sto spraw do załatwienia!

- Raczej tysiąc - stwierdziła posepnie. - Ale byłam już na statku i... dano mi do zrozumienia, że tylko im zawadzam. Moja matka zna hiszpański znacznie lepiej niż ja, toteż zamknęła się w gabinecie i ślęczy nad manifestami, które zabraliśmy z „Santo Domingo”. Braciom nie udało się wczoraj psikus, więc pocieszają się, licząc beczki pereł i złotych monet, wyładowywane z galeonu. Geoffrey Pitt dotrzymuje towarzystwa porucznikowi Beckowi, a reszta załogi „Argusa” korzysta z takich luksusów, jak gorąca kąpiel, dobre jedzenie i mocny słodki rum. Co się tyczy twego Beacoma, to posłałam go w towarzystwie Johnny’ego do składów na przystani. Niech przeszukają nasze zapasy aksamitów i koronek. Może uda się zrekonstruować książęcą garderobę? I w ten oto sposób tylko ty, mój panie, i ja musimy sobie znaleźć jakieś zajęcie na kilka najbliższych godzin.

Ostatnimi czasy Varian nieustannie czuł wewnętrzne napięcie, a krew szybciej krążyła mu w żyłach. Nie umiał sobie z tym poradzić. Jego namiętność jeszcze wzrosła po wczorajszej nocy, kiedy przeżył to, o czym przedtem tylko marzył. Zanim jednak ośmielił się przedstawić swą propozycję Juliet, w jej kryształowych oczach pojawiły się wesołe błyski. Zaśmiała się lekko.

- No, chodź! Jeśli ci nie zależy na jedzeniu, pójdziemy na spacer. Chcę ci coś pokazać!

Odwróciła się i skierowała ku schodom na końcu werandy. Promienie słońca odbijały się od jej szpady. Varian obrzucił tęsknym, zgłodniałym

wzrokiem tace z jedzeniem. Złapał kawał sera i pajdę chleba, nim pośpieszył za Juliet.

U podnóża werandy biegła kamienista ścieżka. Można nią było dotrzeć albo do frontowych drzwi, albo — idąc w przeciwnym kierunku — do ogrodu i niewielkiego gaju cytrusowego. Tam właśnie się skierowali. Juliet kroczyła przodem, Varian trzy kroki za nią. Maszerowała w takim tempie, jakby to były wyścigi, a nie spacer dla przyjemności. Po pięciu minutach wyłożona kamykami ścieżka zmieniła się w polną dróżkę i zaczęła piąć się niemal pionowo. Varian poczuł, że mięśnie jego ud gwałtownie protestują przeciwko wysiłkowi, jaki wkładał w tę wspinaczkę.

Dróżka od czasu do czasu wiła się, zwracała lub omijała skalne występy, ale - generalnie rzecz biorąc - biegła pod górę. Porastające ją paprocie muskały ich plecy i ramiona. Roślinność była tu bujna, aromatyczna, pokryta rosą. Po przebyciu kilkuset metrów Varian wbił wzrok w kształtne pośladki Juliet i zaczął się zastanawiać, czy ta dziewczyna nigdy się nie męczy. Wydawało się, że posiada niewyczerpane zasoby energii. Nie zasapała się ani trochę, nie powłóczyła nogami nawet wówczas, gdy zostawili za sobą wierzchołki drzew i odtąd musieli posuwać się porośniętym zielskiem, kamienistym szlakiem, by dotrzeć na sam szczyt.

- Jest także łatwiejsza, okrężna droga - oświadczyła Juliet z niejaką złośliwością- ale pomyślałam, że docenisz wspaniały widok, jaki się roztacza właśnie stąd!

Podczas całej wspinaczki Varian z rozmysłem nie spoglądał w dół ani na boki. Nie przepadał za zdobywaniem szczytów i wiedział, że jeśli droga pod górę jest stroma, to oglądana z góry droga powrotna wyda się karkołomna.

Potknął się o wystający kamień i skorzystał z tej sposobności, by zaczerpnąć tchu. Krople potu spływały mu po czaszce pod włosami, ściekały z karku i tworzyły wielkie mokre plamy na koszuli. Owady - które na szczęście pozostały w cieniu drzew daleko za nimi - zdążyły mu pokasać szyję i ramiona. Zerknął na niebo, z którego bez przerwy lał się słoneczny żar i skrzywił się paskudnie. Kiedy jednak Juliet obejrzała się przez ramię, uśmiechnął się do niej i pomachał ręką.

- Nic, nic! Tylko się potknąłem.

- To już niedaleko. Mogę cię tam zanieść, gdybyś chciał!

Wyśmiewała się z niego! Varian znowu się skrzywił. Kiedy ponownie spojrzął w jej kierunku, dziewczyna zniknęła za występem skalnym. Został sam na koziej ścieżce, a w dodatku ociekał potem.

Mamrocząc jakieś przekleństwa, zmusił się do zrobienia jeszcze kilku kroków i wtedy ujrzał Juliet. Stała na krawędzi wulkanicznego krateru.

ru. Pośpiesznie rozejrzał się dokoła i *to, co* zobaczył, rzeczywiście zaparło mu dech. Znajdowali się w najwyższym punkcie wyspy. Bezkreśny, migotliwy błękit oceanu rozciągał się wokół nich zaczarowanym kręgiem. Tam, gdzie słońce odbijało się od fal, powierzchnia morza lśniła metalicznie. Wyspę otaczały pierścienie wodne w różnych odcieniach błękitu - od lazuru po turkus. Mielizny i rafy koralowe tworzyły ciemniejsze smugi i pręgi na tym niebieskim tle. Cztery zewnętrzne atole przypominały kamienne stożki, które jakiś olbrzym cisnął tu, by fale miały się czym bawić. I rzeczywiście, nawet na odległym szczycie słychać było huk fal uderzających o klify Gołębiej Rafy.

Obracając się bez pośpiechu dokoła własnej osi, Varian mógł również zajrzeć do wnętrza dawnego krateru. Podziwiał soczystą zieleń pastwisk i rozkołysane wierzchołki palm, które wyglądały jak ludzie o zielonych włosach, kiwający głowami w takt jakiejś bezgłośnej pieśni. Doszedł do wniosku, że wyspa w najszerszym miejscu ma jakieś szesnaście, może dziewiętnaście kilometrów i że wznosi się mniej więcej trzysta metrów nad *poziomym morza*. *Z miejsca*, w którym się znajdowali, nie można było zobaczyć wielkiego dworu, za to przystań była doskonale widoczna. Wyglądała jak wnętrze ogromnej muszli. Ciemny błękit pośrodku przechodził w perłową szarość przy brzegu.

To było królestwo Simona Dantego, tajemna kryjówka Wilka. W księgach i dokumentach, które Varian przestudiował, zanim wyruszył na tę wyprawę, było wiele zawołanych aluzji do tego owianego legendą miejsca. St. Clare jednak nigdy nie przypuszczał, że istnieje ono naprawdę.

- Powiedz mi, wasza książęca mość, czy kiedy przebywałeś w swoim angielskim zamku, masz tuż za progiem równie wspaniały widok jak ten?

Juliet była zwrócona twarzą do słońca, a włosy powiewały za nią na wietrze jak zwoje jedwabiu w kolorze gorącej czekolady. Rozpostarła szeroko ramiona, jakby chciała ulecieć z wiatrem. Koszula przyłgnęła do jej piersi, uwypuklając ich doskonały kształt i kuszącą sprężystość sutków.

- Nie - przyznał po cichu. - Ale dzięki temu nie dręczy mnie obawa, że *to* piękno spowszednieje przez codzienne obcowanie z nim.

- Kiedy byłem mała, wspinałem się tu codziennie. I zawsze znajdowałem coś nowego, czego przedtem nie widziałam. Kolor wody morskiej, sylwetka ptaka szybującego z wiatrem, płynące po niebie obłoki... Wszystko to zawsze było nowe, inne niż poprzedniego dnia.

- Nigdy nie miałaś ochoty zobaczyć, co kryje się za horyzontem?

- „Tam dalej grasują smoki” - zacytowała szeptem. - Starożytni żeglarze, którzy wierzyli, że ziemia jest płaska, zamieszczali to ostrzeżenie

na mapach wszystkich mórz. Mój ojciec zapuścił się kiedyś za linię horyzontu. Pewnego dnia i ja tam popłynę. Ojciec powiada, że na drugim końcu świata są wyspy tak różne od naszych jak dzień od nocy. A na nich wulkany, które tryskają pod samo niebo szkarłatną fontanną roztopionej lawy. I korzeni jest tam takie mnóstwo, że ich woń towarzyszy żeglarzom jeszcze przez tydzień, kiedy wypłyną na morze.

Varian nie odezwał się. Wytężał wszystkie siły, by nie chwycić jej w ramiona i nie pocałować. Juliet odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Opowiedz mi o tej swojej Anglii! Czy jest tam tak zimno i mokro, jak opowiadają?

- No, cóż... Przypadła nam istotnie większa niż innym porcja deszczu i mgły. Ale kiedy słońce wreszcie zaświeci, bywa u nas tak zielono, że aż serce boli z zachwytu.

- Z pewnością nie w miastach!

- Nie - uśmiechnął się Varian. - Nie w miastach. Nie sądzę również, by miejskie wonie choć trochę przypominały zapach korzeni! Ale wielkie mocarstwo nie mogłoby przetrwać bez tętniących życiem miast. A żeby one się rozwijały, musi powstać coraz więcej domów dla ludzi, którzy będą tam mieszkać, pracować i robić zakupy.

- Nie umiałabym żyć w mieście! Nie znoszę murów ani tłoku.

- Za to Harrowgate z pewnością by ci się spodobało. Znajduje się na wsi, pośrodku zielonych, łagodnych wzgórz. Niektóre części naszego domu liczą sobie trzysta lat. Komnaty są tam tak wielkie, że musimy krzyczeć, by nas usłyszał ktoś na drugim końcu sali. W dzieciństwie nie pozwalano moim braciom i mnie buszować po całym domu w obawie, że się zgubimy albo że porwą nas duchy.

- Macie tam duchy?

Na twarzy księcia pojawił się łobuzerski *uśmiech*.

- Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Beacoma! Opowie ci o wszystkich nocnych hałasach i o niezwykłych wydarzeniach, których nie da się wytłumaczyć. Jest przekonany, że jeden z naszych grzesznych antenatów zakradał się po nocy do jego pokoju i złośliwie przestawiał znajdujące się tam przedmioty, kiedy ich właściciel spał snem sprawiedliwego. Zaczął od szcotek i butów, ale potem przyszła kolej na biurko i krzesła. Pewnego razu wszystkie meble zostały tak poprzestawiane, że kiedy Beacom się obudził i chciał sobie ulżyć, przez pomyłkę nasusiał do szafy. O mało wtedy nie oszalał! Groził nawet, że opuści Harrowgate Hall i poszuka innej pracy, ale ojciec stwierdził, że nie zamierza tracić dobrego lokaja... i zamiast tego wysłał mnie do szkoły z internatem.

Oczy Juliet rozbłysły wesołością.

- A więc to ty byłeś tym duchem?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak łatwo nabrać Beacoma!

Juliet wyobrażała sobie znacznie więcej, niż przypuszczała. Na przykład jego samego w takiej pozycji, w jakiej go zastała, gdy kipiąc gniewem, wróciła z przystani do domu. Nadal obejmował ramionami poduszkę, którą mu podsunęła na pociechę, wymykając się z łóżka wczesnym rankiem. Na ten widok Juliet uświadomiła sobie, że to ją tuliłby tak czule, gdyby mu nie uciekła. Odkrycie to zupełnie ją rozbroiło. Zapomniała o gniewie i stanęła jak wryta na progu sypialni, dziwnie bezradna i samotna.

Poczucie własnej bezbronności powróciło, gdy spojrzała w oczy kochanka, ciemnobłękitne jak niebo o północy. Nie mogła wyczytać niczego z jego twarzy ani odgadnąć jego myśli. Czy Varian wie, że pod jego spojrzeniem krew gwałtownie pulsuje jej w żyłach? Skąd mógłby o tym wiedzieć? Ani razu nie próbował jej objąć, nawet nie wspomniał o tym, co zaszło między nimi ostatniej nocy. Co prawda, ona również nie poruszyła tego tematu, przynajmniej nie bezpośrednio... ale tylko dlatego, że nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Varian uśmiechnął się. Po króciutkim wahaniu Juliet odpowiedziała mu uśmiechem.

- Możemy wrócić łatwiejszą drogą, jeśli chcesz - rzuciła od niechcienia.

- Zdaję się całkowicie na ciebie, kapitanie.

Varian skłonił się lekko. Kiedy znów podniósł głowę, Juliet zabrakło tchu. Z jego oczu zniknęła wymuszona obojętność, jej miejsce zajęła rezygnacja. Zupełnie jakby poddał się uczuciom i zdecydował, że nie zdoła dłużej odmawiać sobie czegoś, czego tak bardzo pragnie.

Juliet jak przez mgłę widziała, że Varian przysuwa się bliżej. Odgarnął jej z twarzy pasemko włosów. Czowała dotyk jego palców na swym policzku. Sprawilo to jej taką rozkosz, że dreszcze przebiegały jej po plecach, a nogi omal się pod nią nie ugięły.

Mijały sekundy, odmierzone uderzeniami serca, a on nadal trzymał ją na odległość ramienia. W chwili, gdy wziął ją pod brodę, by przybliżyć jej twarz do swojej, Juliet potrząsnęła ostrzegawczo głową i odsunęła się od niego.

- Na każdym wzniesieniu dokoła stoją warty. W tej chwili obserwuje nas sześć czy siedem par oczu.

Z trudem oderwał wzrok od Juliet i rozejrzał się po skalnych szczytach. Z ruchu głowy i błysku w oczach Variana zorientowała się, że zlokalizował co najmniej dwóch strażników.

Pogładził ją pieszczotliwie kciukiem po podbródku.

- Chyba będę musiał skorzystać z twojej pomocy, kapitanie. Wątpię, czy bez niej zdołam dojść do podnóża - szepnął, nie patrząc na nią.

Juliet spuściła oczy. Po raz drugi gwałtowne dreszcze wstrząsnęły całym jej ciałem. Z wyraźnym trudem cofnęła się o krok, odwróciła i ruszyła ścieżką w dół.

Ręka Variana zamarła w powietrzu na długą chwilę. Cofnął ją wreszcie, gdy ucichł chrzęst kamyków pod stopami Juliet. Zwiesił głowę, przeklinając własną głupotę. W końcu wziął się w garść i ruszył w ślad za dziewczyną.

Ścieżka, którą tym razem obrała Juliet, biegła po zewnętrznej stronie skalnego pierścienia. Rosło tu mniej drzew i wiał ostrzejszy wiatr, ale zejście było znacznie *mniej strome*. Varian *odczuł* wyraźną ulgę, *jego* napięcie osłabło. Dwukrotnie mignęła mu przed oczyma idąca przed nim Juliet, ale potem musiał pokonać zakręt i przebrnąć przez piarg, więc dziewczyna znikła mu z oczu. Nadal wymyślał sobie w duchu od ostatnich i przez to omal nie przegapił wąskiej dróżki biegnącej w bok od głównego szlaku. Jednakże jego uwagę zwróciło coś leżącego na niej. Przystanął.

Był to pendent, na którym Juliet nosiła szpadę.

Podniósł go z ziemi. Przebiegł go dreszcz grozy, gdy wyciągał klingę z pochwy i rozglądał się dokoła.

Omiótł wzrokiem ścieżkę i otaczające ją krzewy.

Tam!... Tuż przed nim było coś jeszcze...

But. Wysoki czarny but do kolana... a dziesięć metrów dalej drugi, do pary.

Varian nie szedł już, tylko biegł. Z początku myślał, że jakieś dzikie zwierzę szło za nimi, a potem wypadło z krzaków i rzuciło się na Juliet. Jednak bardziej prawdopodobna, choć nie mniej przerażająca, była druga ewentualność - czający się w krzakach napastnik mógł być istotą ludzką. Zwierzę nie zdejmowałoby z ofiary pasa, butów i...

W zasięgu wzroku mignęło coś białego. Varian zboczył ze ścieżki i zaczął się przedzierać przez gąszcz paproci i pnączy, by wreszcie zerwać z gałęzi koszulę Juliet. Tuż przed sobą zobaczył otwór, a raczej głęboką szczelinę w ścianie skalnej. Raz jeszcze rozejrzał się dokoła. Jego palce zacisnęły się na rękojeści szpady.

W pobliżu nie było nikogo. Nie słyszał odgłosów walki, żadne połamane gałęzie nie świadczyły o tym, że ktoś włókł tędy dziewczynę wbrew jej woli. Varian raz jeszcze spojrzął na koszulę i uświadomił sobie, że porzucono ją z całym rozmysłem i ułożono tak, że rękaw wyraźnie wska-

zywał na rysę w skalnej ścianie. Książę popatrzył na buty i pas... Wszystko to były znaki wskazujące mu drogę do szczeliny.

Pochylił głowę i wszedł w rozpadlinę. Po chwili znalazł się w jaskini o wysokości dziewięciu, a szerokości piętnastu lub więcej metrów. Kłęby pary wodnej unosiły się nad niewielkim jeziorkiem, zajmującym prawie całe dno pieczary. Nie było płonących pochodni na ścianach ani otworów w sklepieniu, przez które mogłyby tu wpadać promienie słońca, a jednak woda lśniła opalizującą zielenią. Była tak przejrzysta, że Varian mógł dostrzec biały piasek na dnie i jakiś ciemny kształt, sunący tuż pod powierzchnią.

Wystarczył jeden energiczny ruch, by Juliet wypłynęła na powierzchnię jeziorka. Z jej twarzy i włosów spływały strumienie wody. Dostrzegła Variana i podpłynęła do miejsca, gdzie było tak płytko, że mogła dosięgnąć stopami dna. Kiedy się wynurzyła, wyglądała jak olśniewająca bogini wyrzeźbiona z marmuru. Na jej wilgotnej skórze błyszczała zielona poświata, a mokre włosy okrywały lśniącą draperią plecy i ramiona. Podeszła prosto do Variana, naga jak nimfa morska, i dotknęła wargami jego ust.

Pocałunek był krótki, zmysłowy, pełen grzesznych obietnic. Juliet uśmiechnęła się i bez pośpiechu zanurzyła w parującej wodzie, która pieśczośliwie objęła jej biodra.

- Wybaczysz mi tę zwłokę, prawda? W ciągu godziny cała wyspa wiedziałyby już, że mnie pocałowałeś, a ja ci na to pozwoliłam!

Varian machnął bezradnie szpadą.

- Złąkłem się, że jakieś drapieżne zwierzę porwało cię i zaciągnęło w chaszczę.

- Nie tak łatwo złapać kogoś z naszej rodziny!

Roześmiała się, zanurkowała i odpłynęła.

Varian bez słowa wsadził szpadę do pochwy i odłożył na bok. Zdjął koszulę, pozbył się butów i rzucił je na kamienie, a potem ściągnął bryczesy.

Juliet była już na drugim końcu jeziorka. Unosiła się na wodzie, a włosy rozsypały się wokół jej ramion. Kiedy dostrzegła Variana brodzącego przy brzegu, wykonała nagły zwrot i znikła w ciemnej głębinie.

Silne ciało Variana zanurzyło się w wodzie. Wystarczyło kilka uderzeń ramion, by dotarł do miejsca, gdzie przed chwilą widział Juliet. Przez parę sekund usiłował przebić wzrokiem toń, w miejscu gdzie mogła się ukrywać Juliet, ale jej nie dostrzegł. Dopiero głośny plusk zdradził mu, że dziewczyna wróciła na przeciwległy brzeg.

Jeszcze dwukrotnie mijali się w wodzie. Juliet starała się płynąć pod powierzchnią, aby trudniej mu było ją znaleźć. Otarła się raz o nogę

Variana i zdołała umknąć, ale za drugim razem schwycił ją za kostkę i pociągnął na płyciznę, gdzie mógł stanąć na dnie. Juliet wywijała się jak węgorz. Wyrwała mu się i zapewne znów uciekłyby daleko, gdyby Varian nie krzyknął gniewnie:

- Stój! Nie ruszaj się, psiakrew!

Wpatrywała się w niego, gdy podchodził do niej, wzbijając stopami chmury piasku. Jego ziarenka skrzyły się w wodzie jak odłamki szkła, odbijając światło, które nie wiadomo jak przenikało do wnętrza jaskini.

Kiedy znalazł się obok niej, nie było już mowy o kolejnych żartach ani długich pieszczotach. Varian podłożył ręce pod pośladki dziewczyny, uniósł ją i z jakąś pieszczotliwą drapieżnością przycisnął do swego pobudzonego, zbolałego ciała. Wpił się żarliwie w usta Juliet, a jęk, który wyrwał jej się z gardła, zmienił się po chwili w cichutkie westchnienia.

Objęła go nogami w pasie z taką siłą, że podtrzymywał ją teraz tylko jedną ręką. Drugą otoczył szyję dziewczyny. Jego usta były gorące i żarłoczne, ręce silne i zdecydowane.

Juliet krzyknęła i odrzuciła głowę w tył, jakby błagała o litość cienie unoszące się wśród obłoków pary. Woda wokół nich zafalowała, rozkołysana ruchem bioder Juliet. Kochankowie stopili się ze sobą, by nie ominął ich ani jeden dreszcz, ani jeden spazm rozkoszy.

Varian tulił ją do siebie, póki gwałtowne skurcze orgazmu nie osłabły, a potem wyniósł drżącą jeszcze Juliet na brzeg jeziora i położył na chłodnej pościeli piasku. Nie zważając na słabe protesty kochanki, uniósł jej nogi i położył je sobie na ramionach. Całował całe rozedrgane ciało Juliet, a kiedy jego głowa znikła między jej udami i krzyki dziewczyny odbiły się echem od ścian pieczary, zatracił się bez reszty w swej namiętności. Przez zamknięte powieki ujrzał eksplozję światła i zanurzył się w mroku najdoskonalszego zaspokojenia.

## 13

Juliet obudziła się z uczuciem, że nie są już sami w jaskini.

Otworzyła oczy i spojrzała prosto na uśmiechniętą twarz swego brata Gabriela. *On* z kolei zerknął z niemiłym grymasem na nagie ciało Variana St. Clare'a i mruknął:

- Rozumiem teraz, czemu ubiegłej nocy nie mogliśmy z Jonasem nigdzie cię znaleźć!



Juliet ziewnęła, przeciągnęła się, a potem uniosła na łokciach.

- Jakim cudem udało ci się tym razem?

- Nathan mi opowiedział, co zaszło na pokładzie „Róży”, a że nie było cię w domu, pomyślałem, że być może znajduję cię tutaj. Nie przewidywałem jednak - dorzucił po chwili - że będziesz miała towarzystwo.

Juliet zerknęła na niego, wykrzywiła się, wstała i weszła do wody. Gdy zmywała z siebie piasek, Gabriel z iście braterską obojętnością odwrócił od niej wzrok i skoncentrował się na osobie Variana St. Clare'a.

Rozmowa rodzeństwa obudziła księcia. Kiedy rozpoznał w nieproszonym gościu Gabriela Dantego, zaczął rozglądać się za porozrzucanymi częściami garderoby. Koszula odcinała się jasną plamą od ciemnych kamieni, ale Gabriel dostrzegł ją pierwszy i nadział *na ostrze* swego rapiersa.

- Chyba nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni - powiedział, podsuwając mu pod nos ubranie. - Moja siostra, niestety, często zapomina o dobrych manierach.

Juliet wynurzyła się z wody.

- Jego książęca mość Varian St. Clare. Mój brat Gabriel Dante, bardzo nietaktowny jegomość!

Gabriel złożył oficjalny ukłon, którego Varian w obecnej sytuacji nie mógł odwzajemnić. Kurczowo trzymał zmiętą sztukę odzieży, zasłaniając nią nagie biodra.

Tymczasem Juliet założyła koszulę i odnalazła bryczesy.

- Na myśl o twojej trosce robi mi się ciepło na sercu, kochany braciszku!

- Nadal potrzebujesz rozgrzewki? - Spojrzał od niechcenia na Variana, który zastygł bez ruchu na brzegu jeziorka. - Czy on w ogóle potrafi mówić? Masz pociąg do kalek, siostrzyczko?

- Owszem, potrafię mówić - odpowiedział chłodno Varian. - Zjawiliśmy się tu dość nieoczekiwanie, Dante...

- I teraz umierasz ze strachu, że przytknę ci ostrze do gardła i zaciągnę do ołtarza, co?

Mięsień w policzku Variana zaczął drgać. Książę nie zdobył się na ripostę, gdyż brat Juliet trafił w sedno. Wizja takiego właśnie ożenku przemknęła przez jego skołatany umysł.

Gabriel nie czekał, aż Varian odzyska rezon. Uniósł brwi i spojrzał na siostrę.

- Dobry Boże, Jolly! Gdybyś wyszła za niego, zostałąbyś księżną, co?

- A niech cię diabli porwą - odparła z westchnieniem - i przy okazji *utną ci oźór!* Wolałabym, żeby mnie wytarzali w smole i pierzu... Lepsze

to od wysłuchiwania twoich kiepskich dowcipów! Zwłaszcza że i ty nie-  
raz dałeś się przyłapać bez portek, kochany braciszku!

-A jakże! Tylko że wszyscy mężczyźni to pożądlive bestie i nikt się  
po nas niczego innego nie spodziewa, podczas gdy ty... - Przyłożył pa-  
lec do nosa. - Chytra z ciebie sztuka! Wmówiłaś w tych wszystkich dur-  
niów, że jedyne ostrze, jakie cię interesuje, należy do twojej szpady, a nie  
do mężczyzny.

Oczy Juliet zwięziły się.

- Jeśli nie chcesz się na nią nadziać, lepiej trzymaj język za zębami.  
Ani słowa o tym, co tu widziałeś. Nikomu!

- Ach, tak?... A czym mi się zrewanżujesz za dyskrecję w tej deli-  
katnej materii?

- Nie podbiję ci oczu i nie połamię nóg.

Gabriel wydał w zamyśleniu kształtne usta. Po chwili rozchylił war-  
gi w uśmiechu.

- Biorąc wszystko pod uwagę, to całkiem niezły interes. Pomóc  
w szukaniu portek, wasza książecka mość?

- Sam sobie poradzę! - warknął cicho Varian.

Dante wzruszył ramionami i wetknął rapier do pochwy.

- Jak sobie życzysz. Zaczekam na zewnątrz, zgoda? Będziecie mieli  
chwilę na pożegnalne buzi.

Juliet rzuciła w niego butem, ale uchylił się i pośpieszył w stronę  
wyjścia. Kiedy spojrzała na Variana, wciągał właśnie spodnie. Sądząc ze  
zmarszczki na czole, nie był w najlepszym humorze. W innym oświetle-  
niu pewnie by dostrzegła białą obwódkę wokół ust. Patrycjuszowskie  
nozdrza były rozdęte, szczęka zaciśnięta. Gdy niecierpliwym ruchem  
odgarnął włosy, ujrzała nabrzmiałe żyły na jego skroniach, odcinały się  
równie ostro jak żyłki na liściu.

- Powiedz mi, pytam z czystej ciekawości, co by się wydarzyło  
w Londynie, gdyby nagą parę zaskoczył na gorącym uczynku ktoś z ro-  
dziny tej panienki?

- O ile jedno z nich nie byłoby królem, a drugie dojarką, pobraliby  
się w ciągu tygodnia.

- Nawet gdyby to był książę?

Varian unikał jej wzroku.

- Gdyby był księciem, hrabią czy nawet baronem, pewnie starałby  
się wykupić od grożących mu więzów. Chyba że miałyby choć odrobinę  
honoru.

- A co z twoim honorem, wasza książecka mość?

Varian podniósł oczy.

-Zapewniam cię, że gotów jestem ponieść wszelkie konsekwencje własnych czynów.

-I ożenić się ze mną?

Wyprostował się powoli. Głos miał suchy.

- Z przyjemnością omówię wszelkie szczegóły z twoim ojcem, kiedy tylko zechce się ze mną spotkać.

- Nie spytasz przedtem, co ja o tym sądzę?

Było tak ciemno, że zdołała tylko dostrzec błysk w jego oku. Zgasł zresztą natychmiast, jakby Varian zacisnął powieki w nagłym przypływie obrzydzenia. Do siebie samego za to, że dał się tak głupio złapać, a może i do niej - że zastawiła na niego pułapkę.

-Oczywiście! Panno Dante, czy wyświadczy mi pani ten zaszczyt...

Juliet roześmiała się i przerwała mu, zanim powiedział coś więcej.

- Prędzej ujrzę o poranku dwa słońca na niebie, niż dam się namówić na małżeństwo! A gdybym się kiedyś na to zdecydowała, to z pewnością nie dlatego, że spędziłam z kimś parę godzin nago. Wbij sobie do głowy, wasza książęca mość, że to był uroczy, mały epizod, i niech już tak zostanie! Chyba że zwracałeś mi głowę w nadziei pozyskania sojusznika dla swej sprawy?...

- Moje ewentualne układy z pani ojcem nie miały z tym nic wspólnego - odparł z cichą urazą.

-Doprawdy? Zrezygnowałbyś z wykonania swej misji i powiedział: „Nie, nie! Nie zwracajmy mu głowy w takiej chwili!”, gdybym dziś rano, rozentuzjasmowana i przymilna jak mały psiak, chciała cię zaprowadzić do ojca i skłonić go, by wysłuchał twych pokojowych planów?

Varian potrząsnął głową. Jedna groteskowa scena po drugiej! Nie mógł już nadażyć za tym bezsenssem.

- Wątpię, czy zdołałbym dziś rano stawić czoło twojemu ojcu, a tym bardziej przekonać go, że warto podporządkować się królewskiemu edyktowi. Niech to wszyscy diabli, kobieto! - Chwycił się za włosy w przypływie frustracji. - Miałaś słuszość! Po tym, co się wydarzyło na „Argusie”, nie jestem już pewien, czy powinienem go przekonywać. Mam wręcz ochotę namawiać twojego ojca i każdego innego pirata czy kape-ra, który grasuje na tych wodach, by wystąpili przeciwko temu traktatowi i uniemożliwili jego zawarcie. Niech tłuką tych cholernych Hiszpanów i to tak, by nigdy już nie podnieśli głowy!

Przez kilka dłużących się niemiłosiernie sekund jedyną odpowiedzią na tę niespodziewaną deklarację było zdumione milczenie. Dał się słyszeć tylko cichutki plusk wody, spływającej kroplami ze skalnych ścian.

- Problem w tym, że nie mogę tak postąpić - odezwał się znów St. Clare, oddychając z trudem. - Jestem związany przysięgą i muszę przedstawić twojemu ojcu niemiłe konsekwencje odrzucenia przez niego warunków aktu łaski.

- Aktu łaski?

- Amnestii, jeśli wolisz. Każdemu kaperowi, który zgodzi się powrócić do Anglii do czasu, aż przez króla Anglii i innych władców Europy zostaną ustalone zasady wolnego handlu, obiecano całkowite zmażenie poprzednich win.

Juliet miała ochotę walnąć go z całej siły w głowę, ale zapanowała nad sobą i tylko wzięła się pod boki.

- Więc to jest ta ważna sprawa? Ten sekret, którego nikomu nie chciałeś zdradzić?! Akt łaski?!

- Związałem się przysięgą...

- Do diabła z twoją przysięgą! Czy nie dotarło do ciebie ani jedno moje słowo?! Z Hiszpanami można negocjować dopiero wówczas, gdy im się przyłoży nóż do gardła. Drake'owi się to udało! Wpłynął do zatoeki Maracaibo, jakby nigdy nic, i zażądał pięćset tysięcy dukatów, bo inaczej salwy z jego dział obrócą miasto w perzynę. A miał ich o połowę mniej niż my teraz! Wiedziałeś, że mój ojciec wyruszył z Drakeiem na tę wyprawę?

- Chcesz powiedzieć, że Wilk planuje kolejny atak na Maracaibo? - spytał sarkastycznym tonem. Ujrzawszy jednak wyraz twarzy Juliet, urwał i wlepił w nią wzrok. - Juliet?

- Nie, nie! - zaprzeczyła. - Ale mógłby tego dokonać, gdyby chciał! - dodała z większym przekonaniem.

Przemknęła obok Variana, by odzyskać but, którym cisnęła za Gabrielem, i zdumiała się na widok kryjącego się w mroku brata.

- Miałeś podobno zaczekać na zewnątrz!

- I nie być świadkiem jedynej propozycji małżeńskiej, jaka cię w życiu spotka?! Byłbym żalosnym durniem, nieprawdaż? A poza tym płonę z niecierpliwości, by usłyszeć z książęcych ust, co jeszcze przemawia za pokojem! Książę wie oczywiście, że król nie po raz pierwszy składa nam tę wspaniałomyślną ofertę? Niecałe dwa lata temu - perorował, zbliżając się do brzegu jeziora - inny jego wysłannik przybył do nas z tak zwanym aktem łaski. Niektórzy z naszego bractwa potraktowali go tak poważnie, że wpłynęli do portu na Hispanioli, gdzie obiecano im gorące powitanie ze strony naszych hiszpańskich sojuszników. No i było gorące! Gdybyś przypadkiem dłużej pożył, książę, i zdołał się spotkać z kapitanem Davidem Smithem, możesz go spytać, jak się czuł po tej uroczy-

stości, z której tylko on uszedł z życiem. Cztery inne statki wpadły w pułapkę przygotowaną na przystani. Strzelano do nich z dział, podpalono je, a ich załogi zakuto w kajdany. Ścinają teraz trzcinę cukrową na jakiejś plantacji, jeśli jeszcze żyją.

Zapadło znów pełne napięcia milczenie. Niesamowite zielone światło, odbite od powierzchni wody, podkreślało wydatne rysy Gabriela i sprawiało, że jego oczy błyszczały w ciemności jak ślepia wielkiego kota. Podobnie jak siostra, młody Dante był w stanie ukrywać swe emocje jedynie do momentu, gdy ktoś niechcący potracił najwrażliwszą strunę. Wówczas następował wybuch.

- Nie wiedziałem o żadnym wcześniejszym akcie łaski - przyznał Varian.

- Ale teraz już wiesz! Czy nadal chcesz przedstawić memu ojcu królewski edykt? Nie spalisz się ze wstydu za tego fałszywca i durnia?!

- Król Jakub nie jest durniem, choć często go udaje. Podziela pogardę naszej poprzedniej władczyni do Hiszpanów i nie w smak mu hiszpański monopol handlowy na tych wodach. Rozumie jednak, że otwarte wypowiedzenie wojny w chwili obecnej zablokowałoby dopływ pieniędzy do skarbcza obu państw. Dwadzieścia pięć lat temu Hiszpania miała jedyną w swych dziejach szansę podboju Anglii i zaprzepaściła ją. W ubiegłych latach niejednokrotnie docierały do nas pogłoski, że hiszpańscy donowie szykują nową Niezwykłą Armadę, by pomścić klęskę swych przodków. Ale Filip III nie jest takim fanatykiem jak jego ojciec, a hiszpańska flota nigdy nie odzyskała dawnej świetności po utracie tylu ludzi, okrętów i uzbrojenia. Z nami jest odwrotnie. Siły morskie Anglii ciągle rosną i niebawem będziemy dysponowali flotą zdolną do przełamania supremacji Hiszpanów na morzu. Jeśli teraz wybuchłaby wojna, oddaliłaby tę szczęśliwą chwilę o dobrych kilka lat.

- Wcale nie zamierzamy wywoływać wojny - odparł Gabriel tak ugrzecznionym tonem, iż nie ulegało wątpliwości, że chce zmylić przeciwnika. - Zadowolimy się kilkoma bardziej zasobnymi okrętami, gdy zbrojny konwój wyruszy za miesiąc z Hawany.

- I tak tego nie dokonacie - perswadował mu ze znużeniem Yarian. - Nikt z was nie ujdzie z życiem.

Gabriel pochylił się do siostry.

- Do licha, Jolly! Mogłaś sobie wybrać kochasia z większym zaufaniem do naszej rodziny!

- Darzę was ogromnym zaufaniem - odparł Varian. - Ale przypadkiem wiem, że flota, która ma odpłynąć z Hawany za cztery tygodnie, nie jest zwykłym konwojem. Doszło do znacznych zmian w hiszpańskim

rzędzie i wielu wysokich urzędników odwołano do kraju. Tym razem przeprowi się przez ocean niespotykana liczba statków-dwukrotnie albo trzykrotnie większa niż zazwyczaj. I to nie tylko statków handlowych!

- O czym ty mówisz? - spytała Juliet.

- Jak wam z pewnością wiadomo, pięćdziesiąt lat temu Hiszpania miała zwyczaj wysyłać na drugą stronę Atlantyku konwoje złożone ze stu albo i więcej okrętów. Kursowały one w tę i z powrotem, i nikogo to nie dziwiło. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat liczba statków gwałtownie zmalała. Po części dlatego, że podobne konwoje nie przynoszą już takich zysków jak niegdyś. Przybrzeżne kopalnie zostały wyeksploatowane, amatorzy złota i srebra muszą się zapuszczać w głąb ładu. Nie wolnicy wymierają! trzeba ich zastąpić innymi, albo buntując się i wzniesając pożary. Prawie połowa towarów przybywa do Europy w ładowniach statków z Manili, które płyną innymi szlakami, leżącymi między Panamą a Dalekim Wschodem.

-I to ma być rewelacja? Wiemy o tym od dawna! - rzuciła Juliet, niecierpliwie zapinając skórzany pas.

- Wiecie więc zapewne i to, że wielka flota została z konieczności zredukowana do dwóch znacznie mniejszych konwojów - flotyli z Tierra Firme, która przybywa do Hawany w ostatnich dniach kwietnia, oraz floty Nueva Espana, przypływającej pod koniec lata. Obie są eskortowane od Kadyksu do Hawany przez galeony, które zaopatrują się tam w wodę i zapasy żywności, po czym niezwłocznie ruszają znów w drogę -jako eskorta konwojów powracających do domu. Przeciętnie co roku przybywa do Hawany około trzydziestu statków handlowych, napełnia swe ładownie różnymi skarbami i odpływa po sześciu miesiącach pod eskortą piętnastu okrętów bojowych.

- Raczej dwudziestu - poprawiła sucho Juliet. - Jeśli chcesz, mogę ci podać ich nazwy, tonaż, liczbę dział...

- Nie wątpię, że posiadacie bardzo dokładne informacje. Ale czy zwróciliście uwagę na to, że mniej więcej raz na dziesięć rejsów następuje rzekomo przypadkowe opóźnienie? Statki przybywające do Hawany pozostają w porcie znacznie dłużej niż zazwyczaj, czy to z racji niezbędnych napraw, czy z powodu kaprysów pogody. Na przykład, niektóre z tych, które powinny odpłynąć w kwietniu, opuszczają port dopiero z wrześnieym konwojem i na odwrót.

Juliet uniosła brwi.

- Tak? I cóż z tego?

- Kiedy się to zdarzyło ostatnim razem, w konwoju, który odpłynął wreszcie z Hawany, było siedemdziesiąt pięć statków.

- Chcesz powiedzieć, że sytuacja się powtórzy? - spytał Gabriel. W jego głosie nie było już lekceważenia.

- Powtórzy się z całą pewnością - potwierdził Varian - i to na większą skalę. Z raportów naszych informatorów z Sewilli oraz z przejętej przez nas korespondencji hiszpańskiego ambasadora w Londynie wynika, że konwój będzie składał się ze stu statków wiozących cenny ładunek - a więc z trzech znacznie mniejszych, „spóźnialskich” konwojów, które łączą się w Hawanie, by odbyć razem podróż powrotną.

- Sto statków? - Gabriel gwizdnął z cicha. - Wiedzieliśmy, że na morskich szlakach panuje większy ruch niż zazwyczaj, ale...

Juliet spojrzała na brata.

- W swoich raportach Holender Van Neuk wspomina, że w Maracaibo stoi na kotwicy niezwykle dużo statków. O ile dobrze pamiętam, wyraził się tak: „o mało się nie zeszcząłem w portki na widok tuzina galeonów, ukrytych od zawietrznej za małą wysepką, gdzie dotąd spotykali się tylko przemytnicy”. Odpłynął stamtąd w pośpiechu, ale odnotował, że statków patrolowych było w tych stronach więcej niż kiedykolwiek przedtem.

- To jeszcze niczego nie dowodzi - odparł Gabriel. - Van Neuk lubi bujać. Jak powie, że widział tuzin statków, to było ich może trzy, może cztery. - Obrzucił Variana twardym spojrzeniem. - A jeśli powątpiewamy w to, co on mówi, to z jakiej racji mamy wierzyć tobie?

- Po cóż miałbym was okłamywać? Nic mi z tego nie przyjdzie i nic na tym nie stracę.

- Owszem, możesz stracić życie - ostrzegł go Gabriel.

Juliet uciszyła brata machnięciem ręki.

- Nadal nie pojmuję, czemu miałyby to nas powstrzymać od zaatakowania zbrojnego konwoju. Twoje informacje raczej sprawią, że całe nasze bractwo rzuci się na flotę jak stado zgłodniałych rekinów!

- Mówię przecież, że wzrośnie nie tylko liczba statków handlowych. Do konwoju dołączy też wiele okrętów bojowych. Według naszych informacji, Hiszpanie wycofują ponad połowę statków patrolujących wybrzeża Karaibów dla uzupełnienia zwykłej eskorty podczas powrotnego rejsu przez Atlantyk. Oznacza to, że powiększy się ona, z grubsza licząc, o następne trzydzieści okrętów bojowych, każdy o pojemności minimum czterystu ton. Załadują je po brzegi działami i żołnierzami.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Zapominasz, że nie zawsze byłem księciem. Tylko kaprys losu i zasady majoratu sprawiły, że nim zostałem. Osiem lat spędziłem w wojsku, w tym trzy jako dowódca Gwardii Królewskiej. Zdradzę ci jednak

coś, co zapewne kosztowałyby mnie życie, gdyby doszło do publicznej wiadomości. Otóż, choć odziedziczyłem książęcy tytuł i wszystkie związane z nim zaszczyty, nie zrezygnowałem ze stanowiska w armii. Zmieniłem co prawda szamerowany złotem mundur na fioletowe aksamity i srebrne koronki, ale tylko dlatego, że w takim przebraniu było mi znacznie łatwiej podróżować po całej Europie.

- Zostałeś szpiegiem?

- Wolę to sformułować w inny sposób. Udałem się do Sewilli, by zgłębiać tajniki szermierki pod kierunkiem Alejandro de Caranca, jednego z najsłynniejszych hiszpańskich fechtistrzów. Wielbicieli jego kunsztu jest mnóstwo, nawet wśród wysokich urzędników państwowych, między innymi w admiralicji. Przekonałem się, jakie z nich niedyskretne samochwały, zwłaszcza gdy chcą zaimponować Anglikowi, który przyłączył się do ich grona.

- I na tej podstawie król uznał, że nadajesz się do tej misji? Tylko dlatego, że udało ci się pociągnąć za język kilku Hiszpanów lubiących szermierkę?!

- Prawdę mówiąc, zgłosiłem się na ochotnika. W dalszym ciągu przesłuchania, z ostrzem na gardle, może przyznam się nawet do tego, że chciałem przeżyć jeszcze jedną szaloną przygodę, nim całkiem się ustakuję i zajmę wyłącznie ściąganiem czynszów od dzierżawców oraz polityką. Ale jeżeli powtórzysz to Beacomowi, zaprę się tego i będę zaprzeczał do upadłego!

Juliet uśmiechnęła się krzywo.

- Wygląda na to, że los zgotował ci więcej atrakcji, niż przypuszczałeś.

- Istotnie - mruknął zgryźliwie Gabriel. - Może teraz wrócić do domu i opowiadać na prawo i lewo, jak to się zabawiał z córką słynnego Wilka!

Cierpliwość Variana była już na wyczerpaniu. Brutalna uwaga Gabriela przepełniła czarę. Pięść Variana uderzyła z siłą i szybkością żelaznego młota. Cios w podbródek sprawił, że głowa Dantego odskoczyła do tyłu, a on sam zwałił się na ziemię. Po pierwszym nastąpił błyskawicznie drugi cios w brzuch, a po nim trzeci, tuż pod mostkiem, który odrzucił młodzieńca na sam brzeg jeziora. Gabriel zerwał się na równe nogi i chwycił za rapier. Szczęknęła stalowa klinga wyjmowana z pochwy. Varian cofnął się natychmiast, ale tylko po to, by podnieść leżącą na piasku szpadę Juliet.

—Nie rób tego, bo pożałujesz! - ostrzegł przeciwnika.

- Jeszcze się okaże, kto pożałuje! - odciął się Gabriel, ocierając krew z ust.



Brzęk stali uderzającej o stal odbił się echem od wilgotnych ścian jaskini i sprawił, że Juliet przezornie uskoczyła w bok. Znała możliwości swojego brata i podejrzewała, że książę mu nie ustępuje, więc choć dotykała niemal dłonią rękojeści sztyletu, cofnęła się pod ścianę i obserwowała obu przeciwników, którzy zataczali wokół siebie kręgi jak walczące koguty.

Gabriel odsunął się przezornie od rozmiękłego brzegu jeziora. Wyprostowana ręka, w której trzymał rapier, ani razu nie zdrząła. Varian był nieco wyższy i mocniej zbudowany, ale pod eleganckim strojem Gabriela kryły się solidne mięśnie i ścięgna. Zwinnością ruchów zaś znacznie przewyższał swego zwałistego brata, którego Varian miał okazję podziwiać w starciu z Juliet. Uśmiechał się ze szczera radością, rozpoczynając pojedynek z St. Clare'em serią błyskawicznych pchnięć. Ostrze jego rapiera przecinało powietrze, miotając srebrne iskry.

Skalne ściany rozbrzmiewały echem, ilekroć klingi krzyżowały się ze sobą. Obaj mężczyźni walczyli, ani na chwilę nie wypadając z rytmu. Każdy wypad był zuchwały i skuteczny, każdy krok do tyłu zaplanowany tak, by zwabić przeciwnika w mniej korzystne dla niego miejsce. Tu i ówdzie ziemia nieco rozmiękła i można się było poślizgnąć. Jeden z przeciwników źle obliczył wypad i ostrze wbiło się w ścianę. Na ziemię posypały się skalne okruchy.

Mężczyźni zwarli się, a ich wysoko uniesione szpady skrzyżowały się w powietrzu. Na twarzach obu szermierzy pojawił się grymas. Obydwaj byli już zmęczeni. Uświadomili też sobie, że siły są bardziej wyrównane, niż przypuszczali. Stalowe klingi zderzyły się z przeraźliwym zgrzytem i odskoczyły od siebie. Varian zaczął ostrzem swej szpady o ostrze rapiera i potężnym młyncem omal nie wytrącił Gabrielowi broń. Zaskoczony w pierwszej chwili przeciwnik błyskawicznie oprzytomniał, uskoczył w lewo i przeszedł do kontrataku, wskutek czego książę skapał się po kolana w wodzie. Na jego policzku pojawiła się nowa ryna, właściwie tylko zadraśnięcie. Jednak ręka, gdy odjął ją od twarzy, była śliska od krwi.

Varian tak długo stał wpatrzony we własne palce, że Gabriel zerknął na siostrę i uśmiechnął się szeroko. Usłyszał świst stalowego ostrza tuż przy uchu i uświadomił sobie swój błąd zbyt późno, by ocalić kosmyk ciemnych włosów, który przeciwnik obciął mu tuż przy skroni. Rozzłoszczony rzucił się znów do ataku, chcąc pomścić zniewagę. Odpowiedzią była seria zjadłych i tak szybkich, że niemal niedostrzegalnych pchnięć, przed którymi musiał się wycofać do najciemniejszego kąta jaskini.

Juliet śledziła przebieg wydarzeń, wsłuchując się w zdyszane oddechy, stęknienia i przekleństwa walczących. W pewnym momencie Gabriel

przeskoczył jak gazela z jednego stalagmitu na drugi i przez chwilę balansował na jednej nodze. To broniąc się, to znów atakując, zmuszał Variana do nieustannej wymiany ciosów, nim zeskoczył na ziemię.

- Do licha! Ależ ty masz zręczną rękę, człowieku! - wykrzyknął. - Kto by się tego spodziewał po takim wytwornym arystokracie?!

Varian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dzięki za uznanie! Może teraz uwierzysz, kiedy ci powiem, że nie przyszedłem tu z twoją siostrą, by zyskać temat do przechwałek. Nigdy nie miałem takiego zamiaru. Przez myśl mi to nie przeszło!

- Doprawdy? Ani razu? - otwarcie szydził Gabriel. - Twoje intencje od początku były szlachetne, cnotliwe i honorowe? I nie odczułeś wcale ulgi, kiedy ci Juliet dała kosza?

Varian odsłonił się tylko na sekundę, ale to wystarczyło stojącemu na brzegu Gabrielowi. Tym razem nie stalowa klinga, ale pięść ugodziła księcia w szczękę z taką siłą, że okręcił się wokół własnej osi, stracił grunt pod nogami i wpadł w opalizującą głębię.

Gabriel przyglądał się z satysfakcją, jak jego przeciwnik idzie na dno. Potem odwrócił się do siostry z miną triumfatora i roześmiał się głośno. Ale śmiech szybko zmienił się w krzyk, gdy przeciwnik złapał go za kostki, przewrócił i wciągnął do wody.

Juliet usłyszała głośny plusk. Obaj równocześnie dotknęli dna, wzbijając ogromną chmurę białego piasku.

Na litość boską! Oni nadal walczą! - pomyślała Juliet, podchodząc do brzegu. Woda spowolniła ich ruchy, ale stalowe ostrza nadal błyskały, a pięści młóciły w pełnym wdzięku podwodnym balecie. Wreszcie obu przeciwnikom zabrakło powietrza i musieli wynurzyć się na powierzchnię.

Dwie ciemne głowy wyłoniły się z topieli, plując i rozsiewając dookoła lśniące krople wody. Varian znieruchomiał na kilka sekund, ale Gabriel odwrócił się i skierował na płyciznę. Wyszedł z wody mokry i roześmiany, ale zaraz zgiał się wpool, próbując złapać dech.

Varian człapał za nim na płyciznę, na wszelki wypadek nie wypuszczając szpady z garści.

- Remis - wysapał Gabriel. - To musi być remis, mój panie! Za nic bym nie chciał przebić cię na wylot po tak udanej walce!

- Zgoda, ale tylko wtedy, jeśli przyznasz, żeś się pomylił co do moich intencji.

Gabriel obmacał ostrożnie szczękę i poruszył brodą w prawo i w lewo, by przekonać się, czy funkcjonuje jak należy.

- Przyznaję, że masz celną pięść. O mało sobie nie odgryzłem języka! Co się zaś tyczy reszty, to nie do mnie należy ocena twoich intencji.

Obaj mężczyźni zerknęli w mroczny ką, gdzie przed chwilą widzieli Juliet. Ale dziewczyny już tam nie było.

## 14

Varian klepnął się po szyi, zabijając jednego z maleńkich bzykających prześladowców. Podczas niedawnej wspinaczki na szczyt owady były jedynie utrapieniem, ale teraz, po zachodzie słońca, zmieniły się w krwiożerczych kanibali. Kłębiły się wokół jego głowy i ramion żywą czarną chmurą.

Juliet nie czekała na nich. Gabriel obrał ścieżkę, która wiodła w dół wschodniego zbocza. Minęli kilka baterii czarnych, długonosych dział. Każdego z nich strzegło dwóch ludzi, ale -jak zauważył od niechcenia młody Dante - ta liczba w ciągu kilku minut mogła wzrosnąć do pół setki, gdyby odezwał się dzwon alarmowy.

Kiedy minęli stanowiska ogniowe i znaleźli się na półce skalnej, która biegła równoległe do przesmyku, roślinność stała się o wiele bujniejsza. Przez gęstwą palmowych liści i splecione oleandry Varian dostrzegł przebłyski wody odnotowując równocześnie, że znajdują się nadal wysoko na litej ścianie skalnej. Widok rozpościerający się stąd różnił się znacznie od tego, co książę ujrział z pokładu statku. Mógł teraz dostrzec, że droga, którą podążał, rozszerza się wielokrotnie, tworząc rodzaj tarasów. Stojący na nich strzelcy, uzbrojeni w muszkiety i niewidoczni za zasłoną zieleni, mogli bez przeszkód ostrzeliwać każdy statek, który przedostałby się poza zasięg armatnich kul. Spoglądając w dół na przejrzystą wodę przesmyku, St. Clare zauważył również leżące płasko na dnie sieci z grubych lin. Na dany znak można je było podciągnąć i umocować do słupów po obu stronach kanału, unieruchamiając nieproszonego gości w połowie drogi.

Varian zabił kolejnego komara i wykrzywił się za plecami Gabriela. Młodsze z braci Dante najwyraźniej nie odstraszała chmura kaśliwych owadów. Maszerował dziarskim krokiem i zwalniał tylko wówczas, gdy mijali któregoś z wartowników. Ubranie Gabriela było równie mokre jak jego ciemne loki, a pełne wody buty poskrzypywały przy każdym kroku. Mimo niewątpliwego poczucia humoru, którego nie ukrywał podczas spotkania w jaskini, w drodze powrotnej brat Juliet nie miał wiele do powiedzenia i odzywał się tylko wówczas, gdy Varian zadał mu konkretne pytanie.

- Twój statek... - zaryzykował w pewnej chwili książę - to „Pogromca”?

- „Heros”.

- Dumne miano!

Gabriel zatrzymał się tak raptownie, że Varian omal nie wszedł mu na piętę.

- Pod koniec walki, tuż przed tym, jak się obaj skapaliśmy, zrobiłeś coś z nadgarstkiem. Klingi się zwały i zaraz potem wykonałeś ćwierć obrotu... Gdybyś napał jeszcze mocniej, mógłbyś mi bez trudu wytrącić szpadę z ręki. Miałeś przewagę, książę, ale jej nie wykorzystałeś.

Varian nie mógł *odpowiedzieć*. Ledwie otworzył usta, *komar* wleciał mu do środka pomiędzy wargi.

- Jeśli chciałeś mnie w ten sposób przeciągnąć na swoją stronę, to ci się nie udało. Miałbym dla ciebie więcej szacunku, gdybyś uczciwie wykorzystał szansę, przyłożył mi szpadę do gardła i zażądał, żebym wszystko odszczerkał.

- Na przyszły raz będę wiedział - odparł spokojnie Varian. - Chciałem tylko...

- Oszczędzić mi upokorzenia na oczach siostry? Możesz mi wierzyć, ona i tak z pewnością zauważyła, co się święci. Niczego mi nie oszczędziła, nieraz mnie ukłuje zjadliwym słówkiem! Łebska dziewczyna z naszej *Jollyj Ostrzegam*, jeśli kiedykolwiek skrzyżujesz z nią szpady, zrób wszystko, żeby ją pokonać, bo inaczej pokroi cię na kawałki z samej urazy, że ją lekceważysz! — Urwał i uśmiechnął się lekko. - Jest przewrażliwiona na tym punkcie.

- Już to zauważyłem.

- Pokażesz mi tę sztuczkę? Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego!

Varian skinął głową.

- Oczywiście! Choć i bez tego nieźle atakujesz. Czuję się zagrożony znacznie częściej, niż chciałbym się do tego przyznać.

Dante uśmiechnął się z satysfakcją.

- Miło *to* słyszeć. A propos, naprawdę byłeś uczniem Alejandro de Caranca?

- Gdybyś znał mnie lepiej - rzucił obojętnie Varian - wiedziałbyś, że nie rzucam słów na wiatr. Niejeden, kto ośmielił się wątpić, przypłacił to życiem.

Gabriel skrzyżował ramiona na piersi.

- A gdybyś ty znał lepiej moją siostrę, wiedziałbyś, że niełatwo zawrócić jej w głowie ładną buzią i parą mięśniowych ramion. Choćbyś jej

nie wiem co szeptał do ucha w łóżku, i tak najnędzniejszy majtek z załogi „Róży” będzie jej zawsze bliższy niż ty! Od siebie natomiast powiem ci tyle: Jeśli dowiem się, że zamierzasz ją skrzywdzić, rozpruję cię od góry do dołu i zostawię gdzieś na słońcu. Będę się przyglądał, jak mewy szarpiać dziobami, a ty wrzeszczysz i wrzeszczysz. W końcu ból sprawi, że oszalejesz. Założę się, że Jonas okazałby się jeszcze bardziej pomysłowy... A co dopiero ojciec! Żebrałbyś o śmierć, gdybyś wpadł w jego ręce. Przemyśl to sobie, zanim następnym razem ściągniesz portki.

Rzuciwszy Varianowi jeszcze jeden olśniewający uśmiech, Gabriel Dante dał nurka w zielony gąszcz i ruszył dalej. Resztę drogi przebyli w milczeniu. Nim znaleźli się u *podnóża, zapadł fioletowy zmierzch*. Z okien wielkiego białego dworu padał blask. Jeszcze więcej światła migotało w dole, na przystani.



Juliet nie miała zamiaru czekać przed wyjściem z jaskini na Variana i Gabriela. Kiedy była już pewna, że obaj głupcy nie pozabijają się nawzajem, odeszła czym prędzej. Była tak wściekła, że miała ochotę własnoręcznie zamordować ich obu!

Częściowo wyładowała swój gniew na palmowych liściach, które zagradzały jej drogę. Mimo to policzki nadal ją piekły, gdy wróciła do domu. Krążyła to tu, to tam, ciągle marząc o skręceniu karku, najpierw Gabrielowi - za to, że stanął w jej obronie, kiedy wcale sobie tego nie życzyła - a potem Varianowi, ponieważ... ponieważ był taki chytry i podstępny... a ona nie mogła przestać o nim myśleć.

Przyznał, że jest szpiegiem, że wyruszył na Karaiby, aby przeżyć ostatnią przygodę, zanim osiadzie na dobre w swoim zamku i odda się małżeńskim rozkoszom. A może Gabriel się nie mylił i była dla Variana tylko atrakcją w podróży?

Nawet jeśli tak, to cóż w tym złego? Ona przecież gotowa była w każdej chwili wyznać, że powodowało *nią* wyłącznie *pożądanie*. *Po co* komplikować sprawę, doszukując się jakichś ukrytych motywów lub proponując małżeństwo? Dlaczego, do stu diabłów, ludzie uważają że nie dzieje się nic złego, gdy mężczyzna folguje swoim żądzom, ale jeśli uczyni to kobieta, musi zostać niezwłocznie wydobyta z otchłani grzechu. Okrywa się ją płaszczykiem przyzwoitości, choćby się przed tym broniła ze wszystkich sił! W momencie oświadczyń Varian wyglądał jakby mu kość utkwiała w gardle i ledwie zdołał wykrztusić właściwą formułkę. Ciekawe, czy

gdyby odpowiedziała mu „tak”, padłby zemdlony jak ten jego okropny służyący?

Juliet zakłęta i mocnym kopnięciem odrzuciła na bok donicę z kwiatami, która niebacznie zastąpiła jej drogę. Najgorzej wyszły na tym jej własne palce u nogi. Pokuśtykała na werandę i usiadła na jej brzegu.

Usłyszała dalekie kroki i podniosła wzrok. Obaj mężczyźni ukazali się właśnie na końcu ogrodu. Gabriel szedł pierwszy, St. Clare kilka kroków za nim. Czuli się całkiem swobodnie w swoim towarzystwie. Nic też nie wskazywało na to, by po jej odejściu kontynuowali zmagania. Ubrania na nich prawie wyschły, ale wiatr nadal targał włosy Variana. Spadały mu na ramiona dzika, spleciona grzywa.

- Jeśli chcesz, możesz sprawdzić, czy w jego koszuli nie przybyło dziurek - odezwał się pogodnym tonem Gabriel. - Przekonasz się, że chłopak nadal jest w jednym kawałku. Nie wiesz, czy ojciec już wrócił?

- Nie widziałam go, ale kilka minut temu słyszałam, że jakieś konie zatrzymują się przed frontowym wejściem.

- Ach, tak? Wobec tego od razu naleję sobie dużą porcję rumu. Z pewnością mi pomoże na bolącą szczękę. A przy okazji, jego książęca mość obiecał mnie nauczyć tego młynka, którym się popisał pod koniec pojedynku. - Gabriel zamilkł na chwilę i przeciął powietrze niewidzialną klingą. - A ja mu powiedziałem, że może karmić mewy, jeśli tak się do tego rwie.

Złożył elegancki ukłon, przykładając palce do ciemnego loka na czole, i odszedł. Juliet zmarszczyła brwi i spojrzała na Variana.

- Karmić mewy?

- Własnym ciałem - wyjaśnił zwięźle. - Jeśli nadal będę ściagał portki bez zastanowienia.

Juliet westchnęła i potrząsnęła głową. Była wyraźnie przygnębiona.

- Jest starszy ode mnie raptem o dziesięć miesięcy. Chyba właśnie dlatego udaje wielkiego obrońcę!

- Moim zdaniem wykazał zdumiewającą powściągliwość. Gdybyśmy zamienili się rolami i ja przyłapałbym go in flagranti z moją siostrą. .. - głos mu się załamał. - Juliet, moja propozycja jest nadal aktualna.

Nachmurzyła się.

- Masz w tej chwili równie przerażoną minę jak przedtem! Daruj sobie te szlachetne gesty, wasza książęca mość! Nikt ich tu nie chce i nie potrzebuje. Nasze spotkania dały mi wiele przyjemności, słowo daję, ale jeśli będziesz nadal zdręczał mnie oświadczynami, sama chwycę za szpadę! A jeśli już o tym mowa...

Wyciągnęła rękę. Varian w pierwszej chwili zawahał się, ale zaraz oddał jej szpadę i pendent.

- Pomyśl tylko, cóż to za cios dla mojej matki! Od lat wierci mi dziurę w brzuchu, żebym się wreszcie komuś oświadczył, a kiedy się na to zdobywam, dostaję kosza. A nawet dwa!

- Szkoda, że się bardziej nie przyłożyła do twojego wychowania! Lubię szczerłość, i tyle.

Varian westchnął i usiadł obok niej.

- Byłem z tobą bardziej szczerzy, Juliet, niż z kimkolwiek innym.

- A kiedy zamierzałeś mnie poinformować o tym, że byłeś szpiegiem?

Wydał wargi.

- Ponieważ moja kariera szpiegowska była krótka, nieefektowna i zakończyła się dawno temu, nie sądziłem, że muszę ci o tym opowiadać. Nie przybyłem w te strony w żadnym ukrytym i niegodnym zamiarze. Wyjaśniłem już, co mnie tu sprowadza. Nie zamierzam spisywać nazwisk innych członków waszego bractwa. Dobrze je znamy. Nie mam zamiaru oceniać skrycie waszych wpływów i siły bojowej. Zostało to już wystarczająco udokumentowane. Przyznam, że dokładna lokalizacja tej wyspy była dla mnie zaskoczeniem, ale - choć orientuję się z grubsza, że jesteśmy oddaleni mniej więcej o dzień żeglugi od Windward Passage - możecie być spokojni. Nie ujawnię waszej kryjówki.

Juliet odwróciła się i napotkała wpatrzona w nią ciemnobłękitne oczy.

- A Johnny był taki pewny, że nie znasz się na mapach! - mruknęła.

- Na mapach rzeczywiście niewiele, ale dobrze znam układ konstelacji nad równikiem. Nie ulega wątpliwości, że znajdujemy się na północ od niego.

-I tym chcesz zdobyć moje zaufanie?

- Może moje szanse wzrosną, jeżeli przyznam, że wiem o zbliżającym się spotkaniu na wyspie New Providence? O ile daty mi się nie pomyliły, to chyba w ciągu najbliższych dwóch tygodni zbiorą się tam, jak co roku, kapitanowie statków kaperskich..

- Gabriel ci o tym powiedział?

Varian potrząsnął głową.

- Wiedziałem o tym jeszcze przed wyjazdem z Londynu. Właśnie dlatego „Argus” zmierzał do New Providence.

- Zamierzałeś wpłynąć do przystani pełnej kaperskich statków?! Pewnie zażądałbyś, żeby wszystkie schowały działa i pośpieszyły jak potulne baranki za tobą do Anglii?

-Zostałem upoważniony do przedstawienia, oprócz całkowitej amnestii, innych godnych uwagi środków zachęty.

-Tytuły? Dobra? Posiadłości ziemskie? Tytuł szlachecki dla kogoś, kto jest władcą mórz, to jak mizerny grosik rzucony bogaczowi, który ma kufry pełne cennych monet i nie bardzo wie, gdzie je pomieścić!

Varian pochwycił jej spojrzenie, a potem rozłożył ręce w bezradnym geście.

- W takim razie nie mam do zaoferowania nic oprócz prawdy. Nie przybyłem tu po to, by szpiegować twoją rodzinę. Nie mam zamiaru gapić się w gwiazdy, ślęczyć nad mapami i wypatrywać znaków orientacyjnych po to tylko, by zdradzić komukolwiek, gdzie kryje się wasza wyspa. Nie mam też żadnych ukrytych, niskich motywów, kiedy... -pochylił się *ku Juliet* i pocałował ją tak gwałtownie, że zabrakło jej tchu - robię właśnie to. A jeśli miałaś wrażenie, że w moich oświadczeniach pobrzmięwa strach, to tylko dlatego, że ty sama budzisz we mnie lęk, kiedy widzę, jak wywracasz do góry nogami cały mój świat. Przy tobie wszystko, co dotąd wydawało mi się trwałe, rzeczywiste i niezmienne, zmienia się w coś, co ledwie mogę poznać.

Wplótł palce we włosy dziewczyny, ale choć nie cofnął ręki i uparcie wpatrywał się w Juliet, nie próbował pocałować jej po raz drugi.

Nie wiedziała sama, czy odczuwa rozczarowanie, czy ulgę. Nie miała też pojęcia, jak zareagowałaby, gdyby chwycił ją znów w ramiona. Oddałaby mu pocałunek? Odepchnęła go? Wcale nie pocieszała jej świadomość, że nie tylko ona zupełnie się pogubiła, spodziewała się przecież... Nie, do wszystkich diabłów! Była tego pewna, że co jak co, ale wrodzone księciu poczucie tego, co wypada, a co nie wypada, pozwoli im uniknąć wszelkich komplikacji.

A tymczasem on lada chwila zacznie zapewniać ją o swej miłości! I co ona ma na to odpowiedzieć?!

Zerwała się na równe nogi.

-Musimy wreszcie wejść do środka! Jestem głodna jak wilk i mam wstrętny posmak w ustach.

Varian nie miał ochoty przerywać tej rozmowy. Podniósł się jednak i przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Jeśli mam się niebawem spotkać z twoim ojcem, chciałbym najpierw nieco się odświeżyć.

-Tylko nie wkładaj tego stroju, który miałaś na sobie wczoraj! Wyglądasz w nim na aroganta. Prawdę mówiąc, znacznie lepiej się prezentujesz w spodniach z cielecej skóry i w batystowej koszuli!

- Chylę czoła przed twą mądrością i nieomylnym sądem, o pani!



- Doprawdy? Wobec tego lepiej weź się w garść. Teraz dopiero stಾನiesz przed prawdziwym sądem!



Varian nie zawarł dotąd znajomości z Luciferem ani z Geoffreyem Pittem, choć niejednego już się o nich dowiedział. Cimaron był chyba najwyższym i najpotężniej zbudowanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widział. Istna góra czarnych muskułów, spoglądająca groźnie z drugiego końca pokoju. Jego oczy przypominały dwie bezdenne studnie. Kiedy zaś rozchylił wargi w uśmiechu, spiłowane zęby zabłysły jak białe ostrza.

Pitt wydał *mu* się równie niebezpieczny. Nie był co prawda tak wysoki i dobrze zbudowany jak inni mężczyźni znajdujący się w zatłoczonej wielkiej sali, ale Juliet uprzedziła Variana, że współnik jej ojca dysponuje znacznie groźniejszą siłą - nie mięśni, lecz umysłu. Geoffrey był rówieśnikiem Simona Dantego, miał pięćdziesiąt pięć lat, mimo to na jego twarzy niewiele było zmarszczek, a w spłowiatałych od słońca włosach ani śladu siwizny. Jasnozielone, nefrytowe oczy spoglądały niezwykle przenikliwie. Tylko skończony głupiec mógł się łudzić, że okłamię Geoffreya Pitta. Jego uśmiech był zwodniczo dobroduszny, ale reakcje szybkie i celne jak cios stalowej klingi. Można to było poznać po domyślnym uśmieszku, z jakim spoglądał to na Variana, to znów *na Juliet*, gdy przedstawiała mu księcia.

- Napijesz się z nami koniaku, St. Clare? - spytał Simon Dante. - A może wolisz spróbować naszego rumu?

- Poproszę o koniak. Obawiam się, że mój żołądek nie przywykł jeszcze do czegoś tak mocnego jak rum.

Podobnie jak jego przyjaciel, Dante zmierzył wzrokiem potargane włosy księcia, jego wilgotne ubranie i świeżą rysę na skroni. Nalał kieliszek koniaku i wręczył go Varianowi.

- Wygląda na to, że przeżyłeś ciężkie chwile, młodzieńcze! Jakim to nowym torturom poddała cię moja córka?

Na szczęście Juliet nie piła w tej chwili wina. Nie zaksztusiła się więc, a jedynie zakasłała, by pokryć zmieszanie.

- Obiecała, że mi pokaże zapierającą dech panoramę wyspy i zechciała osobiście wprowadzić mnie na najwyższy szczyt - odparł bez zająknięcia Varian. - Muszę przyznać, kapitanie, że jestem pod ogromnym wrażeniem pańskiego królestwa. Roztaczasz stąd kontrolę na cztery strony świata. Szkoda tylko, że nie zdołałeś ujarzmić insektów. Zaatakowały

nas, gdy wspinaliśmy się na szczyt i dołożyły drugie tyle w drodze powrotnej.

- Złośliwe potworki, nieprawdaż? - poparł go Gabriel, podnosząc kielich do ust. - Musiałem torować nam drogę szpadą!

- Ty także wybrałaś się na szczyt góry?

Simon spojrzął na młodszego syna ze zdziwieniem. Takie forsowne ćwiczenia fizyczne nie były w jego guście.

- Ot, przelotny kaprys - wzruszył ramionami Gabriel. - Diabli wiedzą, co mnie napadło! A poza tym ktoś powinien pilnować tej pary. Jolly gotowa stracić ze skał naszego gościa, zanim wygłosi śliczną mowę w imieniu króla!

Dante spojrzął wymownie na ciemniejący już siniak na policzku syna. Potem odwrócił się do Variana i z uśmiechem wznosił kielich w górę.

- Pańskie nieustające zdrowie, sir!

-I pańskie, kapitanie!

Spełnili toast, spoglądając na siebie znad pucharów.

- A więc przybyłeś tu, by przedstawić naszemu bractwu królewski akt łaski. Przebaczenie wszelkich grzechów i wykroczeń dla tych, którzy będą przestrzegali warunków traktatu z Hiszpanią. Dobrze to ująłem?

- Istotnie, dokument można streścić w tym jednym zdaniu.

- Czy Jakub własnoręcznie podpisał akt? A może posłużył się którymś z ministrów, by wykonał za niego brudną robotę?

- Król podpisał dokument osobiście, co widziałem na własne oczy.

Odbyło się to w obecności hiszpańskiego ambasadora, który przesłał kopię aktu swemu monarsze.

- Książę ma ten dokument przy sobie?

-Niestety, nie. Poszedł na dno wraz z „Argusem”.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! - rzucił ironicznie Jonas z drugiego końca pokoju.

Varian odwrócił się i spojrzął w bursztynowe oczy.

- Taka jest prawda. Mógłbym powiedzieć, że miałem przy sobie dokumenty stwierdzające, iż jestem cesarzem Chin, tylko — niestety — zatoneły w katastrofie, więc nie mogę ich przedstawić.

- Jeśli już o to chodzi, to nawet ten rzekomy tytuł książęcy musimy przyjąć na wiarę - dorzucił Jonas. - Mamy na to tylko twoje słowo.

- Nie mam powodu kłamać - odparł spokojnie Varian. - A moje słowo w zupełności wystarczy każdemu, kto mnie zna.

- Rozejrzyj się dokoła! Ilu tu widzisz swoich przyjaciół?

- O, na litość boską! - Juliet, która siedziała dotąd na fotelu z nogą przerzuconą przez poręcz, wstała i podeszła do kredensu, by dolać sobie

wina. - Czemu od razu nie przynieść kociołka z wrzącą iwią i nie kazać księciu, by wydobył kamień leżący na dnie? Doskonały sprawdzian prawdomówności. Jeśli ciało odejdzie od kości, będzie wiadomo, że skłamał. O ile wyjdzie z tej próby cało, upewnście się, że mówił prawdę.

Jedyną odpowiedzią na jej sarkastyczną uwagę był szeroki uśmiech Lucifera. Kiwnął przy tym głową, jakby spodobał mu się ten pomysł.

Simon obracał kielich w rękach, wpatrując się w resztę trunku.

- Jestem skłonny okazać naszemu gościowi nieco zaufania, przynajmniej na razie, chyba że ktoś ma konkretny powód, by mu nie wierzyć?

Jonas prychnął gniewnie.

- Nie mam do niego zaufania, i tyle! To dla mnie wystarczający powód.

Przez otwarte drzwi weszła Isabeau.

- Gdyby miał piwne oczy zamiast niebieskich, uznałbyś to również za wystarczający powód, drogi synu, zwłaszcza że wypieł już sporo rumu.

Skierowała się prosto do ogromnego biurka z wiśniowego drewna, które stało w rogu pokoju, i położyła na blacie stos dokumentów. Leżące na wierzchu zwiły się w rulon. Tu i ówdzie widoczne były resztki skruszonych pieczęci.

Następnie Beau podeszła do stojącej obok kredensu córki i nalała sobie pełny kielich wina. Wypiła je, nim zwróciła się do reszty rodziny.

- Większość dnia spędziłam na czytaniu - oznajmiła. - Oprócz manifestów ładunkowych i dzienników pokładowych, którymi zajmujemy się za chwilę, znalazłam ogromną ilość powierzonej kapitanowi prywatnej korespondencji. Hiszpanie są... bardzo wylewni, żeby użyć najłagodniejszego określenia. Bez końca uzalają się na złe jedzenie, robactwo, bagna, na warunki życia w portowym mieście, hałasy dolatujące z koszar... Biadola, jak pragnęliby wrócić do ojczyzny, jak tęsknią za skąpanymi w słońcu równinami Sewilli, za wiatrem od Pirenejów, śniegiem, gajami oliwnymi... Niezliczone strony rozmytych łzami, prawie nieczytelnych bazgrołów, w których wypłakują swe udręki przed kochankami, żonami lub innymi bliskimi osobami. Zgrzytałam zębami za każdym razem, gdy czytałam nagłówek: *mi amor!*- Isabeau przerwała i podsunęła swój kieliszek Juliet, by dolała jej wina. - Potem przyszła kolej na oficjalne raporty komendantów, gubernatora, nawet lokajów odpowiedzialnych za należyte wyposażenie oficerskiej mesy w lniane obrusy. A kucharz! Dobry Boże! Jakiego ten kretyn narobił szumu z powodu niedostatku czegoś, co określa jako *vessie!* Całe trzy strony na to zmarnowa! Trzy strony zabazgrał jak kura pazurem na temat braku *vessie!* Co to takiego, na miłość boską?!

Ponieważ nikt inny nie potrafił tego wyjaśnić, Varian odważył się zabrać głos.

- Jeśli mogę... O ile mi wiadomo, jest to świński pęcherz, używany do odparowywania różnych mięs i gęstych zup.

- Może dałoby się odparować w ten sposób ból z głowy i zmęczenie przekrwionych oczu? Jeśli tak, to sama chętnie bym zamówiła skrzynię *vessie!* Ale nie miałam jej pod ręką, więc musiałam wyładować się na liście. Póty dźgałam weń szczyrzykiem, aż zostały same strzępy! Znajdziecie je tutaj, obok szczątków drugiego listu tego samego żalostnego durnia. Tym razem ubolewa nad tym, że choć z Barranquilla ponad dwadzieścia okrętów odpływa niebawem do Hawany w celu przyłączenia się do najwspanialszej armady, o jakiej w życiu słyszał, dla niego nie znalazło się miejsce na żadnym z nich.

- Bóg z pewnością czuwa nad kucharzem o duszy bohatera! - skomentował głośno Gabriel.

- Prawdę mówiąc, on nie zawsze był kucharzem - wyjaśniła Isabeau. - Jego rodzina życzyła sobie, by został księdzem, ale on wolał składać ofiary na ołtarzu własnej chciwości i łakomstwa, więc został karnie przeniesiony do Nueva España. Możecie mi wierzyć, znam dokładnie historię wszystkich jego męczarni, włącznie z dolegliwościami żołądkowymi! Mam przyjemność z księciem Harrow, nieprawdaż? - spytała żywo, podchodząc do Variana.

- Najniższy sługa, hrabino - odparł, składając ceremonialny ukłon.

- Hrabino?! Strzeż się, żebym i ciebie nie posiekała na kawałki! Nigdy więcej nie zwracaj się do mnie w ten sposób. Możesz mi mówić Isabeau, a ja będę cię nazywała...

- ... Varianem? - St. Clare był zaskoczony tym brakiem formalności tak dalece, że omal nie popełnił straszliwego faux pas. Mało brakowało, aby schylił się i pocałował damę w rękę... której nie miała. - To dla mnie ogromny zaszczyt i wielka przyjemność.

Zmrużyła oczy i popatrzyła mu w twarz.

- Widzę, że moja córka znów wzięta igłę do ręki. Robisz postępy, moja droga! - uśmiechnęła się przez ramię do Juliet. - I Bogu dzięki, szkoda by było okaleczyć takie piękne rysy!

Varian dotknął koniuszkami palców blizny na policzku. Nie licząc przelotnego zerknięcia do lustra przy wczorajszym goleniu, umyślnie unikał widoku rany na policzku. Określenie „piękne rysy” nie pasowało do szwów i siniaków, które ujrział w zwierciadle.

- Co się zaś tyczy dziennika pokładowego - powiedziała Isabeau, tym razem zwracając się do męża ~ to czyta się go niczym powieść pod-

różniczą! Kapitan udał się z Hawany do Nuevo Leon w Meksyku, potem na południe do Vera Cruz, skąd zabrał ładunek srebrnych monet. Stamtąd przez cieśninę do Nombre de Dios, gdzie zgodził się zabrać skrzynie korzeni, które nie mogły się już pomieścić na galeonach z Manili. Tam również na pokład galeonu wsiadł kapitan Recalde z setką żołnierzy z garnizonu. Tydzień po opuszczeniu Nombre de Dios pierwszy oficer na „Santo Domingo” miał straszny wypadek, podczas sztormu spadł z pokładu dziobowego i złamał sobie kręgosłup. Wówczas jego stanowisko objął Recalde. Następnie galeon zatrzymał się w Porto Bello, Barranquilla, w Kartagenie i na wyspie Margarita. Wszędzie brali na pokład ładunki i żołnierzy zmierzających do Hawany. Na ostatnim postoju, gdy skierowali się już na północ w stronę Hispanioli, kapitan stwierdził z ulgą, że w porcie stoi na kotwicy wiele okrętów. Dokładnie mówiąc, było ich osiemnaście. Udało mu się przetransportować na nie część wojska, którego miał już zbyt wiele na pokładzie, niemal siedmiuset żołnierzy.

- Siedmiuset? - zdumiała się Juliet.

- Nie licząc marynarzy. Miałeś zatem więcej szczęścia, niż sądzisz, kochanie. Gdybyś natknęła się na „Santo Domingo” tydzień wcześniej, Hiszpanów byłoby nie trzy, ale sześć razy więcej niż was!

Geoffrey Pitt zmarszczył brwi.

- Osiemnaście okrętów u wybrzeży Hispanioli? Zazwyczaj bywało ich sześć albo siedem.

- I nie zapominaj o raporcie Holendra. On też widział więcej niż zwykle statków w pobliżu Maracaibo - dorzucił Gabriel. - Może jednak lepiej spytać o to naszego gościa? Ma w zanadru intrygującą historyjkę o połączonych ze sobą trzech konwojach i o stu galeonach wypełnionych skarbami, które czekają w Hawanie na wspólny powrót do Hiszpanii.

- Sto galeonów?! Takiego konwoju nie było od...

- ..dwudziestu lat - zakończył Varian, wyręczając Pitta.

- Chyba nawet od trzydziestu - odezwała się spokojnie Isabeau. - Wówczas po raz ostatni wezwano z powrotem do Hiszpanii wszystkie okręty wojenne, a zwłaszcza galeony bojowe - i to nie z powodu jakiejś zmiany terminów. Było to preludium do inwazji na Anglię. Błogosławiona Niezwyciężona Armada, jak ją nazywano, największa flota, jaką widziano od początku świata, uderzyła na Anglię wiosną następnego roku. Umiesz czytać po hiszpańsku, Varianie?

- Czemu...? Oczywiście, umiem.

- Doskonale! To powinno cię specjalnie zainteresować.

Wróciła do stosu papierów, które pozostawiła na biurku. Wzięła do ręki leżący na wierzchu dokument. Była to pojedyncza karta grubego

pergaminu, opatrzona resztkami dwóch woskowych pieczęci i zamasy-  
stym podpisem gubernatora Nueva Espana.

- Oto dowód, że król Hiszpanii odwołał stąd wszystkich wyższych  
urzędników i wydał rozkaz, by większość wojsk i floty bojowej powró-  
ciła ze Spanish Main do Kastylii. Gubernator pozwala sobie również na  
przechwałki. Jak to udało się uspić wszelkie podejrzenia króla Anglii  
i utwierdzić go w przekonaniu, że Hiszpanom zależy na trwałym poko-  
ju. Jak po powrocie floty z Indii Zachodnich do ojczyzny, Hiszpania bę-  
dzie dysponować wystarczającą liczbą wojska, okrętów i pieniędzy, by  
w ciągu roku powołać do życia nową Niezwyciężoną Armadę, pomścić  
wreszcie hańbę dostojnych przodków, raz na zawsze uwolnić Anglię od  
heretyków i przywrócić ją na łono jedyne prawdziwego Kościoła. -  
Isabeau podeszła do Variana i wręczyła mu dokument. - O ile wiem,  
przysłano cię tutaj, żebyś skłonił mego męża i jego towarzyszy do pozo-  
stania ze swymi statkami w portach. Czy jesteś pewien, Varianie, że na-  
dał chcesz ich do tego namawiać?

## 15

Variana zaproszono, by wraz z Simonem Dantem i Geoffreyem Pit-  
tem przeszedł do sali map. Okazało się, że jest to największy pokój na  
parterze i że zawdzięcza swą nazwę zdumiewającym, olbrzymim malo-  
widłom na dwóch ścianach o wysokości niemal pięciu metrów. Łądy  
i linie brzegowe wymalowano bezpośrednio na murze. Na pierwszej ze  
ścian widniały podbite przez Hiszpanię obszary Nowego Świata, czyli  
Spanish Main. W najdrobniejszych szczegółach przedstawiono linię brze-  
gową, poczynając od cypla Florydy, przez obszar nad Zatoką Meksykań-  
ską do Nowego Królestwa w Leon i niżej, do Jukatenu, Panamy i wzdłuż  
północnego wybrzeża Ameryki Południowej - od Kartageny do Pari i.  
We wnętrzu ogromnej zatoki nie zabrakło archipelagów Wielkich Anty-  
li, Baja Mas oraz Wysp Karaibskich. Każde miasto, port, atol, a nawet  
wysepka zostały starannie oznakowane. Na mapę naniesiono także szła-  
ki morskie i przesmyki. Cienka błękitna kreska symbolizowała zwirotek  
Raka.

Na drugiej ścianie widniała Anglia, zachodnie wybrzeża Europy  
i Morze Śródziemne. Trzecia zapełniona była półkami książek, poniżej  
których znajdowały się stojaki pełne map, wykresów i tablic astrologicz-

nych. W czwartej ścianie było dwoje drzwi prowadzących na taras, pomiędzy nimi zaś stał ogromny stół, a na nim makietka Spanish Main. Starannie odwzorowano na niej wszystkie wyspy z charakterystycznymi punktami orientacyjnymi, kanałami, rafami, linią brzegową i rzekami. Niewielkie kamienne kostki symbolizowały garnizony wojskowe. Powiewały nad nimi miniaturowe flagi państw, które sprawowały władzę na danej wyspie czy w porcie. Najczęściej była to - oczywiście - flaga hiszpańska, ale zdumiewająca liczba chorągiewek w barwach Francji i Holandii wskazywała, że po części przełamano już hiszpański monopol, zwłaszcza we wschodniej części Karaibów.

Na obu końcach pokoju ustawiono biurka, stoły kreślarskie, kilka krzeseł i niewielkie stoliki do czytania. Nad wszystkim zaś - jak stwierdził Varian, podnosząc zdumione oczy na sklepienie - górowała mapa nieba, na której przedstawiono wszystkie konstelacje, jakie można było zobaczyć z dachu, gdyby ktoś nocą obserwował tutejsze rozgwieżdżone niebo.

- To dzieło mojej żony - wyjaśnił Simon Dante, odczekawszy dłuższą chwilę, by Varian mógł zaznajomić się z zapierającymi dech malowidłami i zamknąć otwarte z podziwu usta. - Podczas każdej ciąży miotła się niespokojnie jak pirania, więc miałem tylko dwa wyjścia. Albo znaleźć jej interesujące zajęcie, albo uwięzić ją na kilka miesięcy na jakiejś odciętej od świata wysepce.

- Doprawdy, brak mi słów. Nigdy jeszcze nie widziałem równie wspaniałych malowideł, nawet w kościołach i katedrach. Każdy z królewskich admirałów zaprzedałby duszę diabłu, byle mieć podobną salę map!

Dante podziękował uśmiechem za komplement i nalał rumu do trzech kielichów. Do wieczornego posiłku podano trunki w doskonałym gatunku i w wielkim wyborze. Do zupy mocne wina reńskie, krewetki i homara zapijano krzepką maderą, natomiast wytrawny, aksamitny burgund towarzyszył baraninie i wołowinie. Francuski koniak zjawił się przy deserze, kiedy wniesiono owoce i sery, potem na tarasie delektowano się rumem z trzciny cukrowej i grubymi cygarami. Varianowi powinno się od tego wszystkiego kręcić w głowie, ale, o dziwo, umysł miał niezwykle jasny i skupiony. Do zachowania trzeźwości przyczynił się niewątpliwie gniew. To on pozwolił mu odczytać z zimną krwią nie tylko dokument podsunęty przez Isabeau Dante, ale szereg innych listów. Każdy z osobna mógł stanowić odbicie jakiejś pogłoski czy plotki. Wszystkie razem krzyczały wielkim głosem o zasadzce, podłym podstępie i zdradzie. W myślach Variana panował taki chaos, że z najwyższym trudem włączył się do ożywionej konwersacji przy stole. Zauważył, że Pitt i Dante po cichu wymieniają między sobą jakieś uwagi i obserwują go bacznie,

jakby chcieli zgłębić jego charakter. Nic więc dziwnego, że z pewnym zainteresowaniem i niepokojem przyjął ich zaproszenie do sali map.

- Słyszałem, że jest pan doświadczonym żołnierzem.

- Służyłem w armii przez dziewięć lat.

- Musiał pan bardzo wcześnie otrzymać patent oficerski?

- Miałem wtedy szesnaście lat. I dwóch starszych braci, których znacznie bardziej niż mnie pociągały interesy rodzinne. Służba w wojsku była dla mnie idealnym rozwiązaniem.

- Pańscy bracia...?

- Najstarszy, Richard, zmarł przed pięcioma laty. Lawrence zginął w pojedynku.

- A panu przypadł tytuł książęcy? Ale mimo to pozostał pan nadal w służbie króla, nieprawdaż?

Varian wzruszył ramionami.

- Na królewskim dworze wszczęły się niesnaski, walki o władzę. Nie była to najodpowiedniejsza chwila, by zapomnieć o lojalności. Zawszad nadciągały zgłodniałe wilki.

- Lojalność, nawet źle ulokowana, jest zawsze godna podziwu - stwierdził Pitt. - Musiał pan doprawdy wyróżniać się męstwem, jeśli w tak młodym wieku mianowano pana dowódcą Gwardii Królewskiej!

- Przede wszystkim wyróżniałem się głupotą! Pewnego razu dotarła do mnie wieść o planowanym spisku. Miano nazajutrz dokonać zamachu na króla, wysadzić gmach parlamentu w chwili, gdy będzie otwierał obrady. Wtargnąłem do budynku, przeszukałem piwnice, odkryłem źródło zagrożenia i w ostatniej chwili wyrwałem z beczki z prochem tłący się lont.

Dante roześmiał się.

- Nic dziwnego, że król czuje awersję do parlamentu! Wątpię jednak, by awansował cię tylko dlatego, że zdażyłeś wyciągnąć płonący lont z beczki, St. Clare! Stara Gloriana miała oko na takich młodych gladiatorów. Umiała wśród dziesięciu równie krzepkich zapaśników bezbłędnie rozpoznać zwycięzcę - po samym spojrzeniu! A poza tym człowiek, który potrafił zaimponować memu synowi znajomością szermierki, z pewnością nosi kapitański mundur nie od parady. A propos, musisz i mnie pokazać tę sztuczkę z nadgarstkiem, o której Gabriel nieustannie gada... Nie powierza się też byle komu misji na drugim końcu świata. Trudno uwierzyć, by zdołał przekonać kilka tuzinów piratów do złożenia broni ktoś, kto nie cieszy się szacunkiem i zaufaniem swoich zwierzchników. Dodam, że owo zaufanie wydaje mi się w pełni uzasadnione, gdyż radzisz sobie całkiem nieźle. Mam wrażenie, że gdybyśmy zagrali w szachy, okazałbyś się groźnym przeciwnikiem. Ale dość tych pochlebstw!



Opowiedz mi o królu. Jakie nastroje panują w Anglii, odkąd na tronie zasiadł Szkot?

- Ręczę, że naród woli Szkota od Hiszpana - odparł spokojnie Varian. Dante uśmiechnął się.

- A ty, książę? Kogo byś wolał?

- Wolałbym nie być zmuszony do wyboru w takiej sytuacji.

Przenikliwe srebrzyste oczy zwięzły się.

- Ani ja! Niech Anglia sama rozstrzyga o własnym losie, nieprawdaż? Możesz wrócić do Londynu i puszyć się jak paw, że spotkałeś się z Wilkiem i celnymi, nieodpartymi argumentami przekonałeś go, by nie mącił pokoju. Ja tymczasem, ostrzeżony o grożącym niebezpieczeństwie, lękając się strasznych konsekwencji w razie nieposłuszeństwa wobec króla, zatrzymam swą flotyllę w porcie i pozwolę, by najbogatszy konwój ostatniego dziesięciolecia opuścił Hawanę bez przeszkód.

Varian czuł coraz silniejszy ucisk w piersi. Spoglądając w oczy Simona Dantego miał wrażenie, że otwierają się przed nim okna innego świata - słonej morskiej wody, bezkresnych horyzontów, łopoczących żagli, dymiących luf armatnich i mrozącej krew w żyłach przemocy. Mógł się tylko domyślać, ile męstwa, chytryści i inteligencji wymagało utrzymanie się przez trzydzieści lat na najbardziej niebezpiecznych morskich szlakach. Miał jednak absolutną pewność, że ani tchórzostwo, ani oportunizm nie odegrały żadnej roli w kształtowaniu jego życiowej drogi.

- Gdyby jednak trzeba było dokonać wyboru - spytał cicho - jak wyglądałaby alternatywa?

Oczy Dantego zabłyśły.

- Moim zdaniem, są tylko dwie możliwości. Albo nie zrobimy nic, albo spróbujemy przeszkodzić Hiszpanom. Pierwsze to łatwizna. Za to druga ewentualność wymaga namysłu. Może kosztować więcej, niż jesteśmy gotowi zapłacić.

- Jeśli usiłujesz mnie nastraszyć, kapitanie - powiedział Varian - wiedz, że nieźle ci się to udaje.

- Doskonale! Tylko ostatni głupiec zeskakuje z skały, nie sprawdzwszy, co znajduje się u podnóża.

Pitt przeszedł na drugą stronę pokoju i zaczął studiować mapę Anglii.

- Najbardziej logiczne i praktyczne wydaje się następujące rozwiązanie: odeślemy waszą książęcą mość do kraju z jak największym pośpiechem, a przede wszystkim z mnóstwem niepodważalnych dowodów przewrotności rzekomego sojusznika. Pańską zaś rzeczą będzie przekonanie admiralicji, że Hiszpanom nigdy nie zależało na zawarciu pokoju.

Wręcz przeciwnie, Filip III zamierza stworzyć nową flotę bojową i wypowiedzieć otwartą wojnę Anglii. — Przerwał i obejrzał się przez ramię. — Proszę wybaczyć, jeśli się powtarzam, ale po prostu głośno myślę, takie powtórki ułatwiają mi rozumowanie. — Odwrócił się znów do mapy. — Najszybszy statek przy idealnej pogodzie, wspierany silnym, północno-wschodnim wiatrem może przepłynąć Ocean Atlantycki w pięć tygodni. Zaraz po przybyciu do Londynu cała dokumentacja dostanie się w ręce dwudziestu doświadczonych królewskich doradców, którzy zaczynają drobiazgowo sprawdzać i wdawać się w dyskusje. Z pewnością owi mędracy podadzą w wątpliwość, czy należy ufać zapewnieniom jakiegś tam garstki flibustierów, którzy najpewniej sami sfałszowali owe dokumenty dla usprawiedliwienia własnych postępów. Powiedzmy, że dzięki pańskiej umiejętności przekonywania, wasza księżęca mość, znajdzie się jakiś ostrożny admirał, który być może wyśle statek zwiadowczy, by powęszył u brzegów Hiszpanii, ale jest to bardzo wątpliwe. Proszę nie uważać tego za krytykę pod pańskim adresem! Jestem pewien, że będzie pan walczył do upadłego z najwyższym zaangażowaniem. Nie da się jednak ukryć, że rady królewskie składają się przeważnie z czcigodnych starców. Mamy króla, którego więcej obchodzi nowe wydanie Biblii niż stan królewskiej floty i armii. Będzie się wahał i kluczył, a jeśli mu nie dostarczymy innych dowodów, prócz korespondencji zgorzkniałego kucharza z Nombre de Dios, podziękuję księciu za poczynione spostrzeżenia, a potem odeśle na wieś, żeby sobie postrzelał do bażantów.

Tymczasem hiszpańska flota odpłynie z Hawany i bez przeszkód dotrze do Kadyksu. Nowa armada powiększy się o czterdzieści okrętów bojowych wielkości „Santo Domingo” oraz kilka tuzinów galeonów po generalnym remoncie. Będą mieli całą zimę na przygotowania do inwazji i wysyłanie do Londynu kwiecistych oracji na temat przyjaźni i pokoju. Wiosną zaś zwodują nową flotę. Znajdą się na niej synowie, bratanekowie i siostrzeńcy szlacheckich oficerów i dzielnych żołnierzy poległych podczas pierwszej nieudanej inwazji. Wypłyną z żądzą odwetu w sercach, pokrzepieni świadomością, że Anglia nie ma co liczyć na pomoc groźnych kaperskich statków, gdyż sama im przykazała nie wdawać się w żadne bijatyki.

- To raczej ponura wizja - zauważył Varian.
- Sądzi pan, że nierealna?

Prawdę mówiąc, przewidywania Pitta były jak najbardziej trafne, z czego Varian doskonale zdawał sobie sprawę. Król czuł się niesłychanie dumny i puszył się jak paw, kiedy hiszpański ambasador wspominał o umożliwieniu Anglikom legalnego handlu na Karaibach. W dodatku

był uparty jak każdy Szkot i nawet siedząc na becze z prochem, nie przyznałby się do tego, że został okpiony!

- Jest jeszcze jedna możliwość - odezwał się cicho Dante, odciągając Variana od niemiłych rozmyślań na temat monarchy i jego rady. - Musiałbyś jednak całkowicie zmienić swe stanowisko, co naraziłoby cię na oskarżenie o zdradę stanu, spisek i znowę z bandytami. No i wymagałoby niewiarygodnej wprost odwagi!

Varian spojrział w nieugięte, srebrzyste oczy. W pokoju zaległa taka cisza, że słychać było skwierczenie płonących na biurku świec i stłumiony dźwięk dzwonu okrętowego, dolatujący z przystani.

- Doprawdy, kapitanie, umiesz jak nikt przyciągnąć uwagę słuchacza! Dante uśmiechnął się leniwie w odpowiedzi na ten komplement.

- Nie wytoczyłem jeszcze najcięższych dział!

Przeszedł przez pokój i wskazał na mapę Spanish Main, a konkretnie na zgrupowanie drobnych punkcików na południe od archipelagu Baja Mas, tuż u wybrzeży Hispanioli.

- Znajdujemy się tutaj, na Gołębiej Rafie. Na południe i na wschód od niej jest jeszcze dwadzieścia kilka rozproszonych wysepek. Służą one jako porty wypadowe... - zawahał się przez chwilę, szukając najtrafniejszego określenia - innym dżentelmenom o podobnym upodobaniu do niebezpiecznych przygód. Chyba cię nie dziwi, że wiosenne i jesienne konwoje budzą pewne zainteresowanie wspomnianych dżentelmenów. Zazwyczaj można spotkać w New Providence dziesięciu, może piętnastu kapitanów. Hiszpański konwój ma opuścić Hawanę w ciągu najbliższych czterech czy sześciu tygodni. Jeżeli się pospieszymy, zdążymy rozmieścić naszą małą flotyllę żaglowców w okolicznych portach i na wysepkach. Przekażą wieści o konwoju. O ile zdołamy rozbudzić ciekawość innych kapitanów, zjawi się ich w New Providence trzydziestu, może nawet czterdziestu, żeby posłuchać, co masz im do powiedzenia.

- Kto? Ja?!

Pitt podszedł od tyłu i klepnął Variana po ramieniu.

- Przecież to pan jest wysłannikiem króla, nieprawdaż? To pan przywiózł dokumenty opatrzone królewską pieczęcią oferujące wszystkim kapierom amnestię w zamian za poparcie dla pokojowego traktatu! Będziemy musieli wprowadzić pewne poprawki w tekście i zaoferować im nie tylko wybaczenie wszelkich win, ale także należną królowi część zdobyczy.

Varianowi opadła szczeka.

- Połowa z nich i tak nie umie czytać - wtrącił Dante. - Wystarczy, że pomachasz im przed nosem czymś, co wygląda na oficjalny dokument. Druga połowa to rzeczywiście dżentelmeni, którym w przeszłości

powinęła się noga i zeszedł z drogi cnoty, ale nadal są lojalni wobec króla i ojczyzny. Znajdziemy ci istic księżęce szaty, utrefimy włosy... Moja córka zapewnia, że w srebrnych koronkach i fiołkowym pióropuszu wyglądasz jak uosobienie królewskiego majestatu, który reprezentujesz.

- Ależ... ja nie mam przy sobie takiego dokumentu, nawet żadnego listu z królewską pieczęcią!

Pitt uśmiechnął się i zerknął na malowidła ściennie.

- Ale będzie pan je miał. W dodatku tak autentyczne, że samego króla ogarnęłyby wątpliwości, czy ich przypadkiem nie podpisał!

- Co więcej - dodał Dante - będziesz miał pewność, że stoimy za tobajak mur. Kiedy kapitanowie dowiedzą się, że popiera cię cała nasza rodzina, nabiorą do ciebie zaufania i przyłączą się do nas, choćby po to, by zapewnić sobie udział w łupach. Powiadam ci, z ręką na sercu, że jeśli poinformujemy trzydziestu kaperów o pełnym skarbów konwoju i zapewnimy ich, że nie muszą odsyłać do Londynu dziesięciny z łupów ani fałszować manifestów towarowych, rzuca się na Hiszpanów jak banda żebraków, którym ktoś sygnął na przynętę kilka złotych monet.

- Czy nie można im po prostu powiedzieć, że Hiszpania szykuje się do kolejnej inwazji i Anglia potrzebuje ich pomocy?

- Ta sama Anglia, która zagroziła, że napiętnuje ich jako piratów i wyznaczyła cenę za ich głowy? Która przymyka oczy, ilekroć któryś z naszych statków wpadnie w ręce wrogów, a załoga zostaje zmuszona do niewolniczej pracy w kopalni? Ta sama Anglia - kontynuował spokojnie - która przyglądała się spokojnie, jak flibustierzy, którzy pośpieszyli jej na ratunek, mrą setkami z głodu, na tyfus albo w atakach febry na pokładzie swych statków, próchniejących nad Tamizą? Czy tarzano cię kiedyś w pierzu i smole, wasza księżęca mość?

Varian poczerwieniał. Miał zaledwie trzy lata, gdy sir Francis Drake zwołał wszystkie Morskie Jastrzębie, żeby broniły brzegów Anglii przed inwazją Niezwycięzonej Armady. Mimo to pamiętał triumfalne opowieści o wspaniałym zwycięstwie i inne, mroczne, o nagrodzie, jaka czekała bohaterów. Zmuszono flibustierów do pozostania w porcie przez długie miesiące. Nie płacono im żołdu, brakowało żywności. Nikomu nie pozwolono wyjść na brzeg. Setki dzielnych ludzi marły z głodu lub padały ofiarą epidemii. Kiedy zaś zapłacono wreszcie za ich *usługi*, nie *dostali* nawet piątej części tego, co im obiecywano. Na dobitkę królowa oskarżyła Drake'a, że nie ścigał uciekających Hiszpanów. Sir Francis ostatecznie wypadł z łask i opuścił królewski dwór w pohańbieniu i ubóstwie.

- Tu, na Karaibach, imię legendarnego *el Draque* nadal budzi trwożę - zauważył cierpko Simon. - Niekiedy robił na mnie wrażenie bufo-

na, ale jego sukcesy w walce z Hiszpanami są bezsprzeczne. Wspomnij o nim raz i drugi w swym przemówieniu, a wskrzesisz wizję dawnych zwycięstw i chwały.

-Ale mimo wszystko, trzydzieści statków nie wystarczy do pokonania stu okrętów, kapitanie.

-Oczywiście! I właśnie dlatego musimy jak najszybciej zabrać się do roboty, by zapewnić sobie przewagę.

-Nie rozumiem.

- Hiszpanie to zarozumialcy. Dlatego właśnie nie wprowadzają żadnych zmian w swoich planach. Nie tylko ich konwoje kursują przez ocean według stałego rozkładu, ale nawet port docelowy, trasa i sposób zabezpieczania ładunku nie zmieniły się od stu lat. Nawet ich taktyka podczas bitwy jest łatwa do przewidzenia, gdyż istnieje tylko jeden sposób uzyskania przewagi przez tak ciężkie jednostki z osprzętem rejonowym -jak najdłużej trzymać się na dystans i strzelać do nieprzyjaciela z dział pokładowych, potem zaś podpłynąć i resztę pozostawić wojsku. Właśnie dlatego więcej niż połowę załogi galeonu stanowią żołnierze, którzy nie mają pojęcia, czym różnią się węzły morskie od węzłów marynarskich! Z tej przyczyny na galeonie jest zawsze dwóch dowódców, *capitan de mar*, który ma pod swoją komendą marynarzy, i *capitan del navio*, który odpowiada za żołnierzy, a podczas bitwy dowodzi całym okrętem. Przeważnie żaden z nich nie orientuje się w obowiązkach tego drugiego, toteż na pokładzie galeonu zazwyczaj panuje zamieszanie. Jeśli zaś dodatkowo kapitanowie są do siebie wrogo nastawieni, nie brak przepychanek i tanich demonstracji siły. Jeszcze trochę rumu?

Varian spojrział na swój kieliszek i odkrył ze zdumieniem, że jest pusty.

- Chętnie.

Gdy wszyscy trzej mieli znów pełne kielichy, Dante ruchem głowy zaprosił księcia, by wraz z nim podszedł do makiety. Z obramowania kominka zdjął stoczek, zapalił go od stojącej na biurku świecy, a następnie rozświetlił ustawione w czterech rogach stołu wieloramienne kandelabry. Wykonano je z polerowanego metalu, dzięki czemu światło padające na stół stawało się silniejsze. Szczyty małych gór rzucały cienie, morza wokół wysp i kanary wydawały się głębsze, a całość nabierała realizmu.

Tymczasem Pitt sięgnął pod stół i wydobył garść miniaturowych galeonów. Zaczął rozstawiać je na całej powierzchni mapy, w różnych portach, podając przy tym ich nazwy. Najwięcej okrętów zgrupował wokół dwóch głównych miejsc - Vera Cruz i Nombre de Dios.

- W ciągu najbliższych czterech tygodni wszystkie te statki opuszczą porty i - tu wskazał przeciwległy kraniec stołu - popłyną do Hawany.

Varian przyglądał się z zainteresowaniem, jak Pitt i Dante przenoszą modele okrętów na otwarte wody zatoki i przesuwają je w stronę Hawany. W pewnej chwili kątem oka dostrzegł jakiś ruch i zerknął w kierunku drzwi. Ujrzał Juliet, wślizgującą się do pokoju. Nie podeszła do jasno oświetlonego stołu, lecz pozostała w cieniu, opierając się plecami o ścianę.

- Tutaj są ulubione tereny łowieckie Holendrów - powiedział Pitt, ustawiając pomalowany na zielono okręcik w pobliżu grupy wysp o nazwie Małe Antyle. Niebieski model francuskiego statku kaperskiego został umieszczony na zachód od Wysp Karaibskich, trzecia zaś miniaturka, pomalowana na czerwono, znalazła się pośród wysp Baja Mas. - Francuzi chcą zawładnąć południową częścią Karaibów, więc tam koncentrują swoje siły. Anglicy zaś czują się najlepiej w Cieśninie Florydzkiej, skąd prądy zatokowe unoszą galeony na Ocean Atlantycki. Póki mamy tego samego wroga - Hiszpanię, na której wszyscy możemy się obłowić, stosunki między kaperami różnych narodowości układają się poprawnie. Nie znaczy to, oczywiście, że Holender przy nadarzającej się sposobności nie przepędzi Francuza ze swoich szlaków, ale przeważnie wymieniamy między sobą informacje, o ile jest to korzystne dla obu stron.

- Na przykład, jeśli członkowie naszego bractwa z południa lub z zachodu dowiedzą się, że do Hawany zmierza wyjątkowo duża liczba statków z cennym ładunkiem - wyjaśnił Dante - z entuzjazmem wyruszą tam w nadziei zdobycia pokaźnych łupów. Jeżeli zaś odniosą pewien sukces, wieść o udanej napaści rozejdzie się piorunem. Wstrząśnie zapewne odpowiedzialnym za konwój admirałem, nim jeszcze okręty wypłyną z portu.

- Reakcje Hiszpanów łatwo przewidzieć, chociaż ich sposób rozumowania jest odmienny od naszego — Pitt nadal bawił się stateczkami. Ustawił je w ordynku i przesunął na północ, w stronę Hawany. - Mają zwyczaj stawiać na czele konwoju najgroźniejsze okręty bojowe, osłaniać flanki galeonami mniejszych rozmiarów, z mniejszą liczbą dział na pokładzie, a pochód zamykają najcięższe jednostki. Statki z cennym ładunkiem znajdują się pośrodku. O, tu! - wskazał palcem. - Wyprowadzenie z portu takiej liczby okrętów zajmie co najmniej dwa dni. Biorąc pod uwagę panujące o tej porze roku wiatry oraz prądy, konwój rozciągnie się na sześćdziesiąt mil morskich, zanim straż tylna, niczym psy pasterskie, pogoni maruderów, by dołączyli do reszty. Kiedy zostanie uformowany zwarty szyk, konwój staje się machiną nie do pokonania. Tylko skończony głupiec poważałby się zaatakować Hiszpanów, gdy wypłyną na pełne wody Atlantyku! Ale tutaj - przesunął długi, wąskim palcem od portu w Hawanie wzdłuż wąskiego przejścia pomiędzy wschodnim wybrzeżem Florydy a Baja Mas - będą najbardziej bezbron-

ni. Znajdują się tu setki niewielkich, piaszczystych atoli - wymarzona kryjówka! Poza tym przebiegają tędy najsilniejsze prądy. Rzadko który statek potrafi je wyminąć. Samotny kaper nie musi się nawet zbytnio fatygować. Wystarczy, że zaczai się w pobliżu i poczeka na jakąś godną uwagi zdobycz. Potem szybko wyłania się z ukrycia i atakuje od tyłu.

- Mówi pan tak, jakby to była fraszka!

- Doprawdy? Jeśli doszedł pan do takiego wniosku, proszę to sobie natychmiast wybić z głowy! W Cieśninie Florydzkiej niebezpieczeństwo grozi nie tylko przyszłej ofierze, ale i napastnikowi. A choć nasze statki są lżejsze, szybsze i bardziej zwrotne od hiszpańskich, załódze nie wystarczą same dobre chęci. Jeśli nie uda się za pierwszym zamachem, minie dobra godzina, nim okręt ponownie ustawi się w dogodnej pozycji, wtedy nie będzie już mowy o zaskoczeniu przeciwnika, załoga galeonu z pewnością zdąży przygotować działa.

- Gdyby nam się jednak powiodło - stwierdził Dante - mielibyśmy cholernie dużą szansę na rozproszenie konwoju. Niektóre z żaglowców z pewnością zechcą ukryć się pod osłoną wysp - tam jednak znajdują się znowu pod ostrzałem i wpadną w stęsknione ręce innych członków naszego bractwa.

Variana poraziła znów siła i przenikliwość spojrzenia Wilka. Identyczny wyraz miały oczy Juliet, gdy walczyła z Hiszpanami na pokładzie „Santo Domingo”. Tę właśnie urzekającą siłę dostrzegł w niej, kiedy wspięli się na szczyt i gdy rozpostarła ramiona, jakby chciała ulecieć z wiatrem.

„Tam dalej grasują smoki...”

Ciche echo słów wymówionych przez Juliet, gdy stali na szczycie krateru, wywołało w nim dreszcz. Starożytni kartografowie nie mieli pojęcia, ile w tych słowach kryje się mądrości! Otóż i on dotarł do krawędzi świata znanego i przewidywalnego. Poza ścianami tego pokoju, za granicami tej zaczarowanej wyspy, czały się smoki. Zbyt wiele, by mógł je zliczyć. Następny krok zadecyduje o jego dalszym życiu. Jeśli posunie się naprzód, przekroczy linię horyzontu i wystawi się na wszelkie czyhające tam niebezpieczeństwa. Jeśli cofnie się o krok, powróci do dawnego świata, gdzie wszystko jest racjonalne, uporządkowane i bezpieczne, a ryzyko ponoszą inni. Wiedział, że sam musi podjąć tę decyzję. I że nie będzie już odwrotu, gdy porwie go prąd.

Varian spojrzął na Simona Dantego, Geoffreya Pitta i ukrytą w cieniu, wpatrzoną w niego postać. Ucisk w piersi stawał się coraz silniejszy, ogarniał go zawrót głowy. Nie spojrzawszy nawet w dół, by sprawdzić, jak głęboka jest przepaść, zrobił krok do przodu - poza skalną krawędź.

- Zgadzam się - powiedział.

Wytoczyć działa, panie Crisp! Wystrzelimy po trzy pociski. Dla naj-  
sprawniejszej załogi dodatkowa racja rumu.

- Tak jest, kapitanie.

Nathan z uśmiechem popatrzył przez reling na śródokręcie. Załoga wiedziała, że padnie taki rozkaz. Wszystkie twarze zwrócone były wyczekująco w stronę pokładu rufowego. Wyminęli już szczęśliwie ster-  
czące zęby raty koralowej. Zaraz trzeba będzie rozwinąć żagle, by nada-  
żyć za pięcioma żaglowcami, które pełne godności płynęły przed nimi. Podczas wyprawy niczego jednak nie można było pozostawić szczęściu. Po ośmiodniowym postoju w porcie Juliet zażądała, by wypalić ze wszyst-  
kich kolubryn, i na nowo je załadować. Nie było większej hańby, niż  
pozwolić, by choćby jedno działo odmówiło posłuszeństwa na skutek  
tropikalnych upałów i wilgoci. Mimo woskowych zatyczek, krople desz-  
czu i rosy mogły przedostać się przez otwór zapałowy i rozłożyć proch  
tak, że podpalony nie wybuchnął, tylko syczał i trzaskał. Ojciec i bracia  
Juliet podjęli podobne środki ostrożności, tak samo jak Geoffrey Pitt,  
który wyprowadził swą wypieszczoną „Christianę” w dziewiczy rejs.

Lucifer objął komendę na „Santo Domingo”. Załogę galeonu po-  
nownie uzupełnili Anglicy pod wodzą porucznika Becka. Prawdę mó-  
wiąc, gdyby porucznik nie stawił się przed Juliet i nie zaoferował swej  
pomocy, pozostawiłaby zapewne zdobyczny galeon na Gołębiej Rafie.  
Beck przyznał, że pomysł dalszej współpracy nie zrodził się w jego głó-  
wie. To Varian St. Clare uświadomił mu, w jakim znaleźli się położeniu,  
poinformował, że Hiszpanie zamierzają wskrziesić Niezwyciężoną Ar-  
madę, na koniec zaś polecił Beckowi, by poradził się własnego sumienia  
i sam zdecydował, czy chce wracać jak najszybciej do kraju z nowina-  
mi, czy też zostać tu i walczyć.

Beacom, który postawiony został w obliczu takiej samej alternaty-  
wy, stał teraz obok księcia błądy i znekany. Kiedy padł rozkaz: „wytoc-  
zyć działa”, zasłonił sobie uszy rękoma.

Na komendę Nathana kanonierzy otworzyli furty armatnie, usunęli  
kliny blokujące koła lawet i uwiesili się na blokach odtłcowych. Wytoc-  
czono zarówno osiem półkolubryn na głównym pokładzie, jak i dwana-  
ście kolubryn na dolnym. Ogniomistrz baterii na sterburcie przemasze-  
rował wzdłuż linii dział i sprawdziwszy położenie każdego z nich oraz  
gotowość załóg, rozdzielał zapalone lonty. Ogniomistrz na bakburcie



uczynił to samo. Raz tylko zatrzymał się, by kopnąć w tyłek majtka, który nie zauważył, że jedna z lin poluzowała się i zwisa.

- Bakburta gotowa!
- Sterburta gotowa!
- Trzy pociski pod rząd. Możecie strzelać!

Ledwie te słowa wyszły z ust Nathana, huk wystrzałów z dwudziestu dział wstrząsnął pokładami. Zadrżały deski, zadygotały maszty. Z wylotu luf wydobyły się chmury gęstego, białego dymu. W powietrzu rozszedł się gryzący zapach siarki i kordytu.

Działa cofnęły się po strzale, a załogi wciągnęły je jeszcze głębiej na pokład. Jeden z obsługi przecierał lufę mokrą gąbką, drugi czekał już z miarką prochu strzelniczego. Trzeci trzymał ubijak i przybitkę, czwarty piastował kulę z lanego żelaza. Jeszcze jeden miał wsypać proch przez otwór zapałowy i dodać odrobinę miążkiego prochu zapłonowego z rożka. Kiedy uporano się z tym wszystkim, wytaczano działo na pozycję i przytykano lont do spłonki.

Juliet była dumna ze swoich ludzi. Potrafilo oddawać strzały niemal jeden po drugim. Wszyscy wiedzieli, jak obchodzić się z działami. Dzięki temu, gdy ktoś padł w boju, inny marynarz mógł go zastąpić, sprawdzić lufę, poluzować kliny, odciągnąć działo na pozycję, załadować i odpalić. Ojciec Juliet wymagał takiego przeszkolenia załogi od chwili, gdy przekonał się, jakie mogą być skutki niewiedzy i braku doświadczenia - kompletny chaos i armaty milczące podczas bitwy.

Wszystkie zespoły spisały się równie dobrze. *Juliet* poleciła *załadować* ponownie działa, odczycić je od stanowisk ogniowych i zabezpieczyć, a następnie wydać kanonierom dodatkowe porcje rumu. Kilku majtków wspięło się na maszty, by rozwinąć więcej żagli. Po godzinie „Żelazna Róża” dogoniła prawie „Pogromcę” i „Herosa”, odległość między nimi wynosiła zaledwie kilkaset metrów. Dziwnie było patrzeć na płynący razem z nimi hiszpański galeon, ale Juliet z przyjemnością stwierdziła, że dzięki zmianom dokonanych przez Noga szybkość okrętu znacznie wzrosła i nowy nabytek dotrzymywał kroku pozostałym żaglowcom. Zmodernizowane żagle i takielunek zapewniły „Santo Domingo” większą zwrotność. Ponad dwudziestu cieśli trudziło się na galeonie, przebudowując go od dzioba po rufę. Usunięto zbędne grodzie, ogołoco no kajuty z ozdobnej boazerii, zlikwidowano kilka pomieszczeń. Dwie wieżyczki na dziobie i rufie galeonu zachowały co prawda swój charakterystyczny kształt, ale były puste w środku. Wąskie półki biegnące wokół nadburcia dawały złudzenie pełnej zabudowy pokładu. Prace trwały nawet teraz, mimo że galeon wypłynął już na morze. Jego szlak znaczyły więc niepotrzebne deski, wyrzucane za burtę.

Ostry szcęk stali uderzającej o stal sprawił, że Juliet zwróciła znów uwagę na główny pokład. Bez pośpiechu podeszła do relingu. Wiedziała z góry, co tam zobaczy. Simon Dante mocą swej perswazji skłonił księcia Harrow, by udał się wraz z nimi do New Providence, oznajmił jednak córce, że Varian St. Clare pozostaje nadal pod jej opieką.

Nathan zaproponował, by przydzielić księciu konkretne zadanie na pokładzie „Żelaznej Róży”. Postanowiono, że ma prowadzić codzienne ćwiczenia w posługiwaniu się bronią białą i palną. Varian nie zaprotestował. Po zapale, z jakim pokonał pierwszych pięciu przeciwników, którzy zgłosili się na ochotnika, widać było, że energia go rozpiera i łaknie fizycznego wysiłku.

Pamiętnego wieczoru Juliet, opuściwszy salę map, powróciła na pokład „Żelaznej Róży”. Od tej pory spędzała niemal wszystkie dni i noce na przystani, doglądając robót ciesielskich na „Róży” i „Santo Domingo”. Pracowała bez wytchnienia, by nie myśleć o Varianie. Gdy się spotykali, zamieniała z nim kilka uprzejmych słów i starannie pilnowała, by nigdy nie pozostać z nim sam na sam.

Trudno powiedzieć, że obawiała się tego, co mogłoby się wydarzyć. Nie miała wątpliwości, że przy pierwszej okazji splecą się ze sobą niczym spótkujące węże! Chciała raczej udowodnić samej sobie, że potrafi trzymać się z daleka od Variana, zachować obojętność i obserwować go chłodnym, krytycznym okiem - jak kogoś zupełnie obcego.

Pierwsii dwaj przeciwnicy, którzy stawili czoło księciu, zadali jedynie kilka ciosów, zanim St. Clare wprawnym ruchem nadgarstka wytrącił im szpadę z ręki. Trzeci zdobył się tylko na jeden niezręczny wypad i leżał rozciągnięty na deskach, z twarzą jak burak i z książęcą stopą na pośladku. Czwarty i piąty utrzymali się na nogach nieco dłużej, ale było jasne, że nie mogą się równać z Varianem. I znów wystarczył lekki obrót, by wytrącone z rąk klingi poszybowały w powietrzu.

Pokonywał jednego członka załogi po drugim. Krąg widzów ciągle się rozrastał. Przybywało coraz więcej kibiców. Juliet dostrzegła oznaki rosnącej wrogości marynarzy, kiedy każdy z ich kompanów padał ofiarą takiej czy innej sztuczki, tracił broń i zmykał przed ostrzem książęcej szpady.

- To się może paskudnie skończyć, dziewczyno - mruknął Nathan, stojący u boku Juliet.

— Istotnie — przytaknęła.

Cizba rozstąpiła się z radosnym wrzaskiem. Juliet uśmiechnęła się. Sprowadzono z dolnego pokładu Wielkiego Alfa, by dał nauczkę elegancikowi. Alf istotnie był olbrzymi. Górował nad tłumem, a jego gęsto owłosione ciało było jednym gigantycznym, twardym mięśniem. Ulu-

bioną bronią tego osiłka był krótki kordelas o szerokim ostrzu. Każdy z obecnych widział na własne oczy, jak Alf ścina nim głowy za jednym zamachem, bez wysiłku.

Varian był solidnie zbudowany, ale w szarawarach Wielkiego Alfa zmieściłoby się trzech takich jak on i jeszcze zostałyby trochę miejsca. Skoro tylko kolos przepchnął się do przodu, podniecony tłum zaprzestał nienawistnych spojrzeń i groźnych pomruków. Wszyscy wybuchnęli triumfalnym śmiechem. Nareszcie ktoś pokaże nadętemu Angolowi, że i oni nie gorsi!

Varian przez chwilę mierzył wzrokiem przeciwnika, po czym podszedł do ociekającego potem Beacoma. Zamienił elegancką szpadę na masywniejszy kordelas o płaskim ostrzu i powrócił na swoje miejsce. Obracał przy tym nadgarstkiem, przyzwyczajając się do cięższej broni.

Przy wtórze gwizdów i zachęcających okrzyków Wielki Alf ruszył do ataku. Z szerokim uśmiechem na okrągłej, brodatej twarzy kilkoma pierwszymi ciosami zmusił St. Clare'a do defensywy. Jednak uśmiech olbrzyma szybko zmienił się w grymas, gdyż księżę odpierał każdy atak i parował uderzenia, które innego zmusiłyby do ucieczki. Twarz Alfa poczerwieniała, ciosy stały się mniej celne. Co prawda, było to trening, a nie walka na śmierć i życie, ale nietrudno byłoby przekroczyć tę nieuchwytną granicę...

Okazało się to jednak bez znaczenia. Po czterech następnych uderzeniach klinga Alfa przecięła powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą znajdował się Varian. Ostrze wbiło się na pięć centymetrów w solidną dębinę. Zanim osiłek zdołał je wyciągnąć, przeciwnik przyłożył mu swój kordelas do gardła.

Widzowie nagle zamilkli. Ich bohater został pokonany.

Z wyżyn pokładu rufowego Nathan przyglądał się uważnie ich twarzom. Mruknął ostrzegawczo:

-Dziewczyno...!

- Zaczekaj! - odparła szeptem Juliet.

Obserwowała Variana. Zbliżył usta do ucha Alfa, jego wargi poruszały się. Widocznie coś mu szeptał, ale tak dyskretnie, że ona sama ledwo to dostrzegła.

- Co ty gadasz? - Alf raptownie uniósł głowę i ku zdumieniu wszystkich ryknął śmiechem. Przestał się mocować z klingą, która uwięzła w maszcie, zgiął się wpół i walił po udach, jakby usłyszał najlepszy w świecie dowcip. Varian również uśmiechał się od ucha do ucha. Cofnął się i powiódł kciukiem po ostrzu kordelasa. Chciał go podać Beacomowi, ale ten zemdłał. Rzucił więc broń Johnny'emu, który wytrzeszczył oczy i miał równie zdumioną minę jak wszyscy inni.

Alf przestał się wreszcie śmiać, wyprostował się i przesunął dłońmi po oczach, by otrzeć ściekające z nich łzy. Klepnął księcia po ramieniu tak serdecznie, że omal go nie zwałił z nóg. Wreszcie rozejrzał się wyzywająco po zebranych.

- No to co, chłopaki? Kto następny? Dam z własnej kieszeni dublona temu, kto wreszcie napędzi stracha temu sukinsynowi!

- Biorę twojego dublona. A księżę dołoży jeszcze dwa za moją fatygę!

Varian odwrócił się na dźwięk jej głosu. Juliet przepchała się do pierwszego rzędu widzów, wzięła się pod boki i stanęła w rozkroku.

- No i co, mości księżę? Postarasz się, żeby to nie była strata czasu?

- Mam nadzieję, że nie będzie... ani dla ciebie, ani dla mnie - odparował gładko.

Leniwy uśmiech Juliet sprawił, że kilku majtków zachichotało z podniecenia.

- Jeżeli mnie pokonasz, wasza księżęca mość, dorobisz się stu złotych dublonów... nie, dwustu! Ale jeśli ja wygram - co proponujesz?

Varian uśmiechał się.

- Dobrze wiesz, kapitanie, że nie mam ani grosza w kieszeni. Musisz mi więc udzielić kredytu. Z przyjemnością potracę tyle, ile sobie życzysz, z dwustu dublonów, które otrzymam po naszym pojedynku.

W tłumie widzów rozległ się pomruk. Niektórzy śmiali się, inni czynili zakłady na boku.

- Wolę, żebyś mi to odpracował - powiedziała Juliet, mrużąc oczy. - Jeśli cię pokonam, do końca wyprawy wcielisz się w chłopca okrętowego. Będiesz chodził na bosaka, szorował pokład z resztą załogi, nauczysz się rozwijać żagle, omijać rafy, a nawet gotować jadalną kaszę.

Varian wziął od Johnny'ego szpadę i uniośł ostrze w szermierczym pozdrowieniu na znak, że przyjmuje warunki.

Marynarze podnieśli wrzask. Niektórzy rozpostarli ramiona, by poszerzyć krąg. Juliet wyciągnęła szpadę i zgięła cienkie ostrze z hartowanej stali, nim opadło srebrzystym łukiem, dotykając pokładu.

Varian powtórzył ten gest, oboje skinęli głowami. Klingi uniosły się w górę i zetknęły ze sobą.

Zaczęli poruszać się wewnątrz kręgu utworzonego przez marynarzy. Ich kroki były rozważne i lekkie jak u drapieżnika. Spojrzenia zwały się, twarze zastygły w uśmiechu. Słońce świeciło prosto na nich, nie oszczędzając żadnego. Wiał ciepły, spokojny wiatr. Nie zmuszał do naglego mrużenia oczu, nie zwiewał włosów na twarz.

Juliet nieznacznie poruszyła nadgarstkiem. Metal uderzył o metal. Oczy Variana zwęziły się, lecz wyprostowane ramię ani drgnęło. Uła-

mek sekundy później ostrze jego szpady odparowało serię krótkich pchnięć z taką szybkością, że ruchy obu kling były niedostrzegalne. Wysunął do przodu nogę, przechodząc do natarcia, i przemierzyli tak pół pokładu, nim Juliet zdołała przywrócić równowagę i odepchnąć go na poprzednie miejsce. Niemordowanie parowała, to znów zadawała ciosy, następowała i cofała się, krok tu, krok tam... Wskoczyła nawet na kabestan, by poczęstować przeciwnika serią ciosów z góry.

Zeskakując stamtąd, wylądowała na kolanach. Natychmiast przykucnęła i zatoczywszy ostrzem szeroki łuk, zmusiła Variana, by skakał jak oparzony kot.

Po tej wymianie ciosów cofnęła się na pierwotną pozycję. Trzymała szpadę w wyciągniętej ręce, kreśląc jej końcem niewielkie kółka.

Varian odsunął się od żywej ściany uśmiechniętych widzów i także wrócił na dawne miejsce. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by odkryć przyczynę ich wesołości. Miał pocięty cały przód koszuli.

- Moje gratulacje, kapitanie! Zręczną masz rękę!
- Doprawdy? Mam ci zademonstrować coś więcej?

Ku szczeremu i bezgranicznemu zdumieniu Variana, przerzuciła szpadę do lewej dłoni i nie czekając aż przeciwnik oprzytomnieje, przeszła do ataku. Klingi znów się zderzyły. W poszukiwaniu jakiegoś błędu przeciwnika zbaczały to w lewo, to w prawo... Oboje podskakiwali i torowali sobie drogę wśród tłumu, który rozstępował się przed nimi. Nie przerywając walki, przebyli cały pokład i każdy stopień zejściówki, aż w końcu stanęli na pokładzie rufowym i znów przemierzyli całą przestrzeń statku, aż po widełki bukszprytu.

Varian miał za plecami schody. Wiedział, że sajuż bardzo blisko, ale nie odwrócił głowy ani na sekundę. Teraz! - pomyślał. Pora kończyć, póki ani rozum, ani nadgarstki nie odmawiają posłuszeństwa.

Juliet dostrzegła przelotny błysk w ciemnych jak nocne niebo oczach i już wiedziała, co się święci. Bacznie obserwowała Variana podczas wszystkich poprzednich pojedynków. Wpatrywała się w jego przegub i ramię, śledziła pracę nóg, zauważyła nawet drganie policzka. Wszystkie niemal niedostrzegalne znaki świadczyły o tym, że zbliża się decydujący moment. Wypatrzyła leciutki skręt nadgarstka przed następnym wypadem. We wszystkich walkach ów nieznaczny ruch pozwalał Varianowi wtargnąć pod klingę przeciwnika ostrzem szpady i wprawiwszy je w ruch obrotowy, przesunąć aż do gardy. Powstałe w ten sposób napięcie rozluźniało chwyt walczącego. Zaciśnięte na rękojeści palce rozwierały się i broń wypadła mu z ręki.

Kciuk cofnięty na gardę... oto preludium do sztuczki z przegubem, jak to nazwał Gabriel. Juliet wykorzystała moment między drgnięciem

palca a ruchem nadgarstka. Uniosła szpadę, by opuścić ją z całą siłą w dół. Zamiast wniknąć pod ostrze Juliet, ręka Variana mimo woli opadła. Poczł ostre zadraśnięcie. Rękojeść wysunęła się ze zmartwiałych palców księcia, jego szpada wywinęła koziołka w powietrzu i wylądowała w wyciągniętej dłoni dziewczyny.

Zapadła przytłaczająca cisza. Potem cała załoga wydała radosny wrzask. Na znak swego triumfu i w odpowiedzi na wiwaty Juliet uniosła w górę obie szpady. Potem wbiła w pokład jarzącą się w słońcu klingę Variana i puściła rękojeść. Szpada kołysała się przez chwilę wahadłowym ruchem.

Niebotyczne zdumienie na twarzy Variana było z pewnością szczerze. Ręka zastygła mu w powietrzu, jakby nadal ścisnął w niej rękojeść. Nie uczynił najmniejszego ruchu. Tylko wielka kropla potu stoczyła się z jego policzka.

Juliet wetknęła swą szpadę do pochwy.

- Wygrałam! Czy nie tak, mości książę?

Varian oprzytomniał na tyle, by złożyć jej niski ukłon.

- Do usług, kapitanie!

- Zażądam ich z pewnością, sir! - odparła Juliet. Podeszła do relingu i krzyknęła do Wielkiego Alfa: - Pan Crisp zaraz sobie zanotuje, że przy najbliższym podziale łupów należy ci potrać jednego dublona, nim wszystko przetracisz na rum i dziwki!

- Nic a nic nie żałuję, kapitanie. Warto było!

Juliet machnęła rękami, by uciszyć wiwaty.

- Do roboty. No, już! - zahuczał stojący obok niej Nathan.

Wszyscy z wyjątkiem Johnny'ego rozpierschli się po pokładzie. Juliet ruchem głowy przywołała go do siebie.

- Zaprowadź jego książęcą mość do kambuza i pokaż mu, gdzie co leży. Niech mi przygotuje coś do jedzenia i przyniesie do kajuty. I przy okazji daj mu słoik czernidła. Moje buty wyraźnie potrzebują czyszczenia!

Uśmiechnęła się do Variana, przekazała komendę chichoczącemu Nathanowi i zeszła pod pokład.

Znalazłszy się w swojej kajucie, zamknęła drzwi i oparła się o nie całym ciężarem. Udało się jej pokonać przeciwnika, ale zwycięstwo wisiało na włosku. Varian był szybki jak błyskawica i bardziej pomysłowy, niż sądziła. Czuła wilgoć między łopatkami, a delikatne loczki na karku skleły się od potu. Jego słonymi kroplami zapłacała za zwycięstwo.

Potrząsnęła dłońmi, by uśmierzyć ból w przegubach, i podeszła do biurka. Zazwyczaj koło południa wynosiła na pokład mapę i określała na niej pozycję statku. Ponieważ jednak oddalili się od Gołębiej Rafy zale-

dwie o kilka godzin żeglugi, nie było to konieczne. Popatrzyła na nowiutki dziennik okrętowy, który zabrała na pokład. Zanotowała *Dziś wypłynęliśmy w morze* i podała datę - trzeci września. Poza tym wpisem kartki były czyste. Gryząc w zamyśleniu dolną wargę, Juliet przysunęła krzesło do biurka i usiadła. Po chwili wstała, zdjęła pendent i odpięła szpadę. Znow opadła na krzesło. Co tu jeszcze znaleźć sobie do roboty w pierwszym dniu rejsu?

Otworzyła szufladę, wyjęła gęsie pióro i zatemperowała nożykiem. Wyjęła kałamarnicę i umieściła go w odpowiednim zagłębieniu. Potem przebiegła kilkakrotnie językiem po zębach. Od czasu do czasu zerkała w zadumie w stronę drzwi.

Odchyliła się na oparcie krzesła i położyła obutą stopę na skraju biurka. Myślała o księciu. To, *co* działo się pomiędzy nimi, nie mogło być niczym innym niż rozrywką. Przygodą bez znaczenia, która wkrótce dobiegnie końca.

Varian w drodze do kapitańskiej kajuty tylko dwa razy wyrznął w grodz. W jednej ręce miał drewnianą tacę, w drugiej dzbanek piwa.

- Kapitan lubi pociągnąć sobie piwa po południu - poinformował go Johnny, a następnie pokazał, gdzie wisi drewniany czerpak i która beczka przeznaczona jest na prywatny użytek kapitana. - Nie jest rozwodnione - skomentował konspiracyjnym szeptem. - Nie tak jak to, które wydziela się załozde po dwie kwarty dziennie. Inaczej nie można, rozpiłby się jak te świnię!

Varianowi nadal dokuczało wspomnienie urągłego śmiechu, który ścigał go nawet pod pokładem. Jakim cudem taka smarkuła mogła pokonać go na szpady?! To przekraczało ludzkie pojęcie! Mały Johnny mrugnął znacząco i pochwalił księcia za to, że pozwolił kapitanowi wygrać. Varian miał ochotę dać chłopakowi w ucho. Pozwolił jej wygrać?! Podobna myśl nawet nie powstała mu w głowie po pierwszej wymianie ciosów. Prawdę mówiąc, wyteżał wszystkie siły, żeby nie pocięła go w strzepy, jak jego koszulę!

Stanął przed drzwiami kapitańskiej kajuty i z braku trzeciej ręki postukał w nie dzbankiem.

- Wejść!

Lokciem nacisnął klamkę i popchnął drzwi. Wchodząc, potknął się o próg i o mały włos nie upuścił tacy. Juliet siedziała za biurkiem z nogą

opartą o blat. W rękę miała gęsie pióro i obracała je w palcach tak, że muskało jej wargi. Za jej plecami okna na galerię jarzyły się blaskiem słońca odbitego od wody. Włosy dziewczyny nie były ściągnięte rzemieniem, lecz spływały jej na plecy kaskadą kasztanowych loków. Najdelikatniejsze pasemka w słonecznym świetle pały ognistą czerwienią.

Varian zbliżył się powoli, postawił na biurku tacę i dzbanek. Juliet *nie* odezwała się ani słowem. Wpatrywała się tylko w niego i nadal muskała piórkiem miękkie, nadaśane usta. Wyglądała przy tym bardzo kusząco.

Oczy Variana powędrowały w stronę piersi, na której spoczywał jeden z ciemnych loków dziewczyny. Stamtąd zapędziły się jeszcze niżej i przyłgnęły do sfałdowanych na udach spodni. Znów poczuł, że pot ścieka mu ze skroni. Nim zdążył odzyskać rozum, już stał obok i trzymał ją w ramionach.

Mogła powstrzymać go jednym słowem, ale tego nie uczyniła. Mogła się opierać, mogła go odepchnąć, bezlitośnie skarcić za zuchwalstwo... ale nie miała na to czasu. Rozchyłała już wargi, by pić przepełniający go ogień. Zrzuciła mu ramiona na szyję i wydała cichy, gardłowy jęk, gdy język Variana wtargnął do wnętrza jej ust. Wczepiła się palcami w jego włosy. Gdyby nawet chciał, nie mógłby się od niej uwolnić, póki nie zaspokoiliby swego pragnienia.

Ręce Variana powędrowały do talii dziewczyny i szarpnęły za tasemki spodni. Kiedy zdołał je rozsznurować, ściagnął jej bryczesy z bioder. Jego dłonie pieściły kragłe pośladki, płaski brzuch, aż w końcu dotarły do kępki kędzierzawych włosów. Przesunął palcami po wnętrzu jej ud. Juliet jęknęła i zadrżała w jego ramionach.

Nie odrywając warg od ust dziewczyny, uniośł ją i posadził na brzegu biurka. Ściagnął jej jeden but i nogawkę spodni, nim zaczął rozsznurowywać własne. Juliet objęła go nogami w pasie i przywarła do niego z całej siły. Obejmowali się kurczowo, pieszcząc się i całując.

Nie poprzestali na tym. W pewnym momencie drugi but i spodnie Juliet wylądowały na podłodze, oni zaś przenieśli się z biurka na krzesło. Siadła mu na kolanach. Ręce Variana błędziły pod jej koszulą, co sprawiło, że pulsowanie między udami stało się silniejsze. Poczwała go w sobie i przyciągnęła jeszcze bliżej. Brakowało jej tchu.

- Rozbestwiłeś się, wasza książęca mość - szepnęła. - Kto to widział, brać bez pytania?!

Usta Variana przywarły mocniej do jej szyi. Odpowiedział jakimś nieartykułowanym pomrukiem. Nie przejęła się tym, tylko wybuchnęła śmiechem i wygięła szyję w łuk.



Oderwał usta od ramienia dziewczyny i wpatrywał się w rozświetloną rozkoszą twarz. Jak mógł nie dostrzec od razu całego blasku jej urody? Oczy, nos, usta Juliet-zwłaszcza jej usta, drżące z niedowierzania i zachwytu - prześladowały go w ciągu ośmiu dni i nocy spędzonych samotnie na Gołębiej Rafie.

- Chcesz?...

- Tak.

- Teraz, zaraz?

- O Boże, tak!

Drżący szept Juliet i jej oddech, który czuł na swoim policzku, wywołały uśmiech Variana. Przytuliła się do jego piersi, nie mogła uczynić nic innego. Panował nad wszystkim, była na jego łasce... przynajmniej w *tej chwili*. Opasał ją mocniej ramionami i przytrzymał, póki nie przestała się wiercić. Potem objął jej biodra.

Kiedy była już do tego zdolna, otworzyła oczy i spojrzała na niego ze złością.

- Zapłacisz mi za to! - zagroziła.

- To warte każdej ceny - mruknął.

Jego palce znów rozpoczęły wędrówkę. Juliet przygryzła dolną wargę i schyliła głowę tak nisko, że dotykała czołem jego brody. Jęknęła.

- To dlatego, że pokonałam cię na szpady? Musisz mi udowodnić, że masz jeszcze jedną, sprawniejszą klingę?

Parsknął niskim, cichym śmiechem.

- Gdybyś i ty ją miała, nie rwałbym się do takiego pojedynku.

- I tak mi kiedyś ulegniesz! - syknęła z cicha. - Będziesz mnie błagał na kolanach, psiakrew! Ja ci...

Przerwało jej stukanie do drzwi. Juliet zamarła.

- Jesteś tam, kapitanie?

Mały Johnny!

- Kapitanie?

- Czego chcesz? Jestem... zajęta.

Oczy Variana zwięzły się. Przesunął dłońmi po jej ciele tak natarczywie, że zakłęta drżącym szeptem.

- Pan Crisp przysłał mnie po mapę.

- J... jaką mapę, do cholery?!

- Powiada, że będziemy mijać Oszukańczą Wyspę, nim się piasek przesypie w klepsydrze. Wolałby przedtem zobaczyć na mapie, gdzie tam są płycizny.

Juliet odetchnęła głęboko i syknęła z ustami tuż przy szyi Variana:

- Muszę mu dać tę mapę. Nie odejdzie bez niej!

Varian poddał się. Pomógł jej zejść ze swych kolan i obejmował ją w pasie, póki nie stanęła mocno na nogach.

- Chwileczkę! - powiedziała głośno. - Szukam tej przeklętej mapy!

Podeszła szybko do biurka. Przykucnąwszy, zaczęła grzebać w zwójkach pergaminu, które spadły na podłogę. Odnalazła właściwy i podpretała na bosaka do drzwi. Obejrzała się, zanim uchyliła je na tyle, by przecisnąć mapę przez szparę.

- Masz! Powiedz panu Crispowi, że zaraz będę na pokładzie.

- Tak jest, kapitanie!

Chłopiec przekrzywił głowę, usiłując zajrzeć do pokoju, ale Juliet zamknęła drzwi i zasunęła rygiel. Czekąca z czołem i rękami przyciśniętymi do drzewa, ale minęła dłuższa chwila, nim dotarł do niej wyraźny stukot szczudła. Johnny nareszcie odszedł!

Nie mogła się jednak poruszyć. Nogi pod nią drżały, w gardle czuła ogień.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Variana. Nadal był spięty, drżał na całym ciele jak stalowa klinga wbita w pokład. Nie odezwał się, ale jego oczy przyzywały ją z powrotem, obiecywały jej wszystko, czego zapragnie.

Wracała do niego, nie czując desek pokładu pod stopami. Ujęła rękę, którą do niej wyciągnął. Pozwoliła, by zabrał ją znów tam, gdzie było jej najlepiej. Spiesznie sadowiła się w jego objęciach.

Wstrząsnęła nią eksplozja równie gwałtowna jak poprzednie, których doznawała w jego ramionach, a jednak różna od tamtych. Ogarniająca ją ekstaza nie miała początku ani końca. Fale doznań odpływały na chwilę, ale wiedziała, że wystarczy jedno spojrzenie, jedno dotknięcie, by przetoczyła się przez nią nowa fala przypływu.

## 17

Ze strategicznego punktu widzenia New Providence nadawała się idealnie na miejsce spotkań kaperów czy piratów. Wejście do przystani znajdowało się pod osłoną wyspy, pozwalało na swobodne przemieszczanie się zarówno do wewnątrz, jak na zewnątrz i chyba tylko cała flota wojenna mogłaby je zablokować. Ze wzgórz położonych nad zatoką rozciągał się rozległy widok, gdyby na horyzoncie ukazały się żagle nieprzyjacielskich okrętów, rozstawione na szczytach strażę miały mnóstwo czasu, by ostrzec wszystkich o grożącym niebezpieczeństwie. Był to rów-

niez idealny punkt obserwacyjny, jeśli kogoś interesowały statki handlowe krążące między wyspami.

W odległości niespełna stu metrów od brzegu zaczynała się nieprzebyta tropikalna dżungla, w której cała załoga mogła skryć się w ciągu kilku minut i to tak dobrze, że prześladowcy nigdy by jej nie znaleźli. Choć nie wzniesiono tu żadnych trwałych budynków, w ciągu jednej nocy na brzegu mogło wyrosnąć całe miasto namiotów z żaglowego płótna naciągniętego na białe w piasek drągi.

Wyspa nadawała się również idealnie na bazę wypadową dla tych, którzy atakowali statki handlowe płynące z Nowego Świata na Stary Kontynent, a zwłaszcza hiszpańskie galeony, które od czasów Kolumba wypływały na Atlantyk przez Cieśninę Florydzką. Również statki, które obrały sobie inną trasę, stanowiły łatwą zdobycz. Wyspa znajdowała się w odległości zaledwie kilku godzin żeglugi od kanałów Providence i Mona Passage. Między jednym a drugim wodnym szlakiem leżały tysiące niewielkich piaszczystych atoli, gdzie przyzajony drapieżnik mógł się ukryć, by później nieoczekiwanie zaatakować upatrzoną zwierzynę. Dlatego właśnie statki często podróżowały po dwa lub trzy naraz, a wiozącego cenny ładunek konwoju strzegła flotylla okrętów bojowych.

Varian stał na pokładzie „Żelaznej Róży”, gdy statek zmierzał ku przystani w New Providence. W porównaniu z zapierającym dech przeżyciem, jakim była przeprawa przez Gołębią Rafę, tym razem droga była prosta, ale widok nie mniej efektowny. W zatoce stało na kotwicy dwadzieścia kilka żaglowców. Straże rozstawione na obrzeżu wyspy rozpoznały flotyllę Simona Dantego i jego proporce. Zaczęto machać do nich, a powitalne okrzyki niosły się przez zatokę. Wyraźną ciekawość budził hiszpański galeon. Na jego widok ludzie wybiegali na pokłady lub tłoczyli się na brzegu.

Dante - jak zawsze ostrożny - polecił, by „Santo Domingo” zatrzymał się z dala od brzegu wraz z „Pogromcą”, „Herosem” i „Christiana”. Jednak nawet ze znacznej odległości rzucała się w oczy ogromna, charakterystyczna sylwetka hiszpańskiego okrętu wojennego. Jonas i Geoffrey Pitt byli na pokładzie „Mściciela”, a Gabriel żeglował wraz z siostrą. Okazał jednak dość taktu, nie pchając się na pokład rufowy, gdy „Żelazna Róża” wpływała do portu.

Młody Dante stał obok Johnny'ego na śródokręciu, śmiejąc się i pohukując wraz z resztą załogi, ilekroć chłopiec przywiązywał do grotu niewielki ładunek węgla drzewnego, sadzy i miedzianych opiłków, podpałał lont i wypuszczał strzałę w niebo. Gdy pocisk osiągnął najwyższy punkt swego toru, ładunek eksplodował i kaskada jaskrawoniebieskich

iskier spadała do morza. Te fajerwerki były odpowiedzią Johnny'ego na każdą z powitalnych salw, którymi inne statki kaperskie witały nowo przybyłych.

Po zużyciu kilku tuzinów strzał Johnny przewiesił łuk przez ramię i z satysfakcją zgarnął pieniądze, które rzucano mu w podjęce za widowisko. Gabriel obdarzył chłopca złotą monetą, poklepał go po rozczochranej głowie i leniwym krokiem podszedł do stojącego przy relingu Variana.

- Nie przypuszczałem, że używacie łuków.

Gabriel przez ramię wskazał zgiętym kciukiem pokład rufowy.

- Jolly pomyślała, że chłopak sobie z tym poradzi. Muszkiety i hakownice są za ciężkie i zbyt nieporęczne dla kogoś, kto ma tylko jedną nogę. Dzieciak już wcześniej oswoił się z nożem, potrafi nim rzucać ze zręcznością Cygana. Ale kiedy poczuł w ręku łuk, od razu było widać, że jest do niego stworzony. W ciągu kilku tygodni nauczył się strzelać z rufy na dziób i odwrotnie - i jakoś nikt nie stracił przy tym oka! Nog okazał się bardzo pomocny: zrobił dzieciakowi specjalny łuk, dopasowany do jego wzrostu i wagi. I od tej pory nikt już nie mógł Johnny'ego od tego odciągnąć. Zresztą, celne strzały z łuku można wykorzystać nie tylko do fajerwerków. Wystarczy przylepić do strzał kulki płonącej smoły, by podpalić nieprzyjacielskie żagle z odległości trzystu metrów! A nasz Johnny nigdy nie pudłuje.

Varian spojrział na chłopca, który wydał mu się zbyt dziecinny, by rozwinać w sobie takie talenty. I zbyt młody, by wieść życie z bronią w ręku.

- Dobrze przeciwoczyłeś swoją rolę, mości książę? - spytał Gabriel, omiatając wzrokiem wybrzeże i otaczające je wzgórza.

- Tak dobrze, jak to możliwe, gdy ma się głosić kłamstwa w oparciu o sfałszowane dokumenty.

Gabriel uśmiechnął się.

- O, to nie zwykłe fałszerstwo, to dzieło sztuki! A twój zwinny język już wcześniej zapewnił ci wstęp tam, gdzie mało kto ośmieliłby się wtargnąć. I w dodatku gwiżdżesz sobie na wszelkie ostrzeżenia, co?

Varian nie odrywał oczu od lasu kołyszących się masztów w zatoce. Nie dał się sprowokować. Juliet zależało na dyskrecji, więc od dwóch dni próbowali udawać, że nic się nie stało. Ale już pierwszego ranka, gdy oboje wymknęli się z kapitańskiej kajuty, cała załoga wiedziała, co w trawie piszczy. Gabriel Dante zjawił się na pokładzie „Róży” zaledwie pół godziny temu i od razu dowiedział się, że owo popołudnie w jaskini nie było odosobnionym incydentem.

Złociste oczy wpatrywały się w niego uparcie i Vanan zmusił się do tego, by w nie spojrzeć. Na szczęście w tej chwili podeszła do nich Juliet.

- Co tam znów knujecie? -

Miała na sobie czarny kubrak i spodnie do kolan. Krótka pelerynka ze szkarłatną podszewką podkreślała biel krezy.

- Właśnie mówiliśmy o tym, jak ślicznie wyglądasz, kapitanie - odparł Gabriel, pochylając się nad ręką siostry. - Można powiedzieć, że promieniejesz szczęściem. Policzki zarumienione, energia cię rozpiiera... Doprawdy, boję się o Van Neuka. Z całą pewnością zechce uszczypnąć cię w pośladek. I co wtedy?

- Też mi odkrycie! Próbuje tego od czasu, gdy skończyłam jedenaście lat.

- *Dziesięć lat bezowocnych starań...* - *rozważał* głośno Gabriel. - Może lepiej by zrobił, gdyby skondensował swoje wysiłki i skrócił okres obłąkania do dziesięciu dni?

Juliet uśmiechnęła się jadowniczo.

- Bez głupich uwag, bo oberwiesz!

Brat uniósł ręce do góry.

- Powtarzam tylko to, o czym cała załoga szepcze po kątach.

- Niech sobie szepczą! A ty, cholerny świętoszku, zejdziesz dziś na brzeg i wtulisz twarz w piersi pierwszej dziewczki, która ci je nadstawi. Uważaj, żebyś się wtedy nie zadławił swojącnotą! I pomyśl lepiej o tym, jak się będziesz po powrocie tłumaczył przed Melissą, czemu ci przyrodzenie sparszywiało. Może przypadkiem, spacerując po wyspie, natknąłeś się na kochanicę mego brata? - zwróciła się do Variana. - Jeśli tak, to z pewnością zapamiętałeś to dziwo. Prawie dwa metry wzrostu, cycki jak dojrzałe melony, a temperament gorący, jakby się w piekle chowała!

Twarcz Gabriela oblała się ciemnym rumieńcem. Stracił nieco tupetu.

- No, tak... - odchrząknął. - Doskonale, nim słońce zajdzie, będziemy już na ładzie. - Spuścił znowu głowę i po chwili milczenia zerknął w stronę siostry. - Dobrze już, dobrze. Tylko bądź ostrożna! Nie chcesz chyba rozzuchwalić tej bandy obiboków? Gotowi pomyśleć, żeś zgłupiała i nabrała się na piękne słówka tego eleganta! Ojcu też by się to nie spodobało.

Odgarnął kosmyk, który opadł mu na czoło, i ruszył w stronę Nathana Crispa, by wdać się z nim w pogawędkę.

Juliet westchnęła tylko i oparłszy ręce na balustradzie, zwróciła się twarzą do przystani. Szkarłatne pióro na jej kapeluszu prawie się nie poruszało. „Żelazna Róża” znacznie zwolniła, wpływając do zatoki, „Mściciel” znajdował się tuż przed nią, o pół strzału ze sterburty. Słychać

było świst lin cumowniczych i plusk wody, gdy ciężka żelazna kotwica przebiła powierzchnię morza.

- Twój brat ma rację - mruknął Varian. - Może powinniśmy...

- Trzymać się na dystans? Czyżbyś się bał urazić delikatne uczucia morskich rozbójników? A może się boisz, co powie mój ojciec, kiedy odkryje, gdzie i z kim sypiasz?

- Nie boję się twojego ojca! Myślałem tylko... - zarumienił się.

- ...że lepiej zachowywać się przyzwoicie, o ile nie jesteśmy w zamkniętej sypialni?

Varianowi zaparło dech. Ręka Juliet znalazła się pomiędzy jego ciałem a balustradą, niebezpiecznie blisko krocza.

- Byłoby rozsądniej okazać nieco powściągliwości.

Roześmiała się i cofnęła rękę.

- Rozsądek, powściągliwość! Drażnisz mnie, mój panie! Mam ochotę odpłacić ci pięknym za nadobne. Przygotowałeś już swoją mowę? Ojcu zależy na czasie. O tej porze większość kapitanów będzie już zalana w trupa. Za to jutro, skoro świt, rzuci cię lwom na pożarcie. Musisz ich przeciągnąć na naszą stronę! Przybyłeś tu pod opieką Wilka, więc będą skłonni cię wysłuchać. Reszta należy do ciebie. Jeśli zaczniesz się płatać albo się zawahasz...

- Czemu miałbym się wahać? Jeśli ci ludzie nie rozbiją konwoju, dojdzie do wojny między Anglią a Hiszpanią. Nie będzie pokoju ani po tej, ani po tamtej stronie oceanu... Kim właściwie jest ten Van Neuk? - zmienił nagle temat.

Juliet wydało się, że dostrzegła błysk zazdrości w ciemno błękitnych oczach księcia. Omal się nie roześmiała.

- To Holender, Anders Van Neuk. Żegluje po tych wodach prawie tak długo jak mój ojciec i marzy mu się połączenie obu naszych rodów. Poza tym jest diabelnie przystojny. Ostatnim razem nawet mnie korciło, by przyjąć zaproszenie na obiad w niewielkim gronie na pokładzie jego statku.

- I co cię powstrzymało?

Wzruszyła ramionami i odparła z całą szczerością:

- Sama nie wiem... Chyba to, że wszystkie dziwki w okolicznych portach opowiadają sobie, jaki to z niego kawał chłopa, jaki wspaniały, niezmordowany kochanek! A poza tym, gdybym kiedyś miała urodzić bękarta, nie chcę, żeby był taki samiutki jak cała zgraja jasnowłosych i zielonookich bachorów. Roi się od nich na Karaibach!

Brutalna szczerość Juliet sprawiła, że wokół zaciśniętych ust księcia pojawiło się kilka głębokich rys. Nieraz zastanawiał się nad ewentualny-

mi konsekwencjami ich związku. Gdy jednak dziewczyna stwierdziła bez ogródek, że jej dziecko byłoby po prostu bękartem, okazało się to znacznie cięższe do zniesienia niż wszystkie niewypowiedziane obawy.

Nathan Crisp dał znak z pokładu rufowego i Juliet pospieszyła tam, chcąc być obecna przy zarzucaniu kotwicy. Varian oparł się całym ciężarem o reling. Nie był w stanie oderwać od niej oczu, kiedy biegła na górny pokład, przeskakując po dwa stopnie naraz. Poła pelerynki odwinęła się na jednym ramieniu, ukazując karmazynowy jedwab podszewki. Juliet wypolerowała do połysku swą szpadę i naostrzyła ją tak, że mogła bez trudu przeciąć na pół świecę, pozostawiając oba kawałki na miejscu. Była cudowna! Jego uczucia dla niej stawały się coraz silniejsze. Przerazało to Variana znacznie bardziej niż perspektywa przemawiania do stłoczonych w namiocie piratów, niż konieczność tłumaczenia się przed jej oburzonymi rodzicami i braćmi, niż wisząca nad ich głowami wojna... Czyżby naprawdę zakochał się w tej dziewczynie?



Anders Van Neuk wyglądał dokładnie tak, jak każdy bawidamek w londyńskim salonie opisuje groźnego pirata, chcąc zrobić wrażenie na słuchających go damach i przyprowadzić je o mdlenie. Był wysoki, szeroki w barach i szczupły w pasie, nogi miał długie i silne. Włosy tak mu zjaśniały na słońcu, że były niemal białe. Grzywa lśniących kędziorów opadała mu na plecy. Gdzieś tam błyskał cienki warkoczyk, ozdobiony paciorkami ze szczerzego złota. Okolone długimi rzęsami zielone oczy płonęły ogniem. Wąski, orli nos i zmysłowe usta dopełniały obrazu. Obeszłoby się nawet bez nabijanego ćwiekami kubraka z czarnej skóry i bandoletów z imponującą kolekcją broni palnej i białej wszelkich rozmiarów i typów. Bez wątpienia, Holender prezentował się najbardziej imponująco ze wszystkich kapitanów i oficerów zgromadzonych w prowizorycznej tawernie z żagli rozpiętych na drągach. Na podłodze z udeptanego piasku rozstawiono stoły na kozłach. Piersiste dziewczki z gołymi nogami biegały w tę i z powrotem, czerpiąc piwo z ustawionych na tyłach beczek i napełniając nim kufle i dzbany. W pobliżu wykopano na plaży wielkie doły. Pełno w nich było teraz rozżarzonych do czerwoności węgla, nad nimi zaś piekły się na rożnach prosiaki, kozły, kurczęta, a nawet krowa, porąbana na ćwierci. Na stołach stało mnóstwo półmiseków z ogryzionymi kośćmi i okruchami chleba - najlepszy dowód, że niektórzy kapitanowie bawili w porcie od kilku dni. Psy walczyły

o ochłapy mięsa. Chłopcy okrętowi - zbyt dorośli na to, by pozostać na pokładzie, i zbyt młodzi, by zabawiać się z dziwkami - urządzili sobie zawody na plaży.

Varian chłonał wszystkie te widoki i zapachy od chwili, gdy wysiedli z łodzi na ląd.

Beacom szcztokował jak szalony, starając się usunąć najdrobniejszy pyłek z szafirowego kubraka i peleryny swego pana. Na pończochach nie było widać ani jednej zmarszczki, krótkie spodnie doskonale się prezentowały bez żadnej wyściółki czy pikowania. Wykrochmalona kreza wokół szyi Variana, z najcieńszego, drobno splisowanego lnu, przypięta była - tuż nad wycięciem kubraka - broszą z rubinem wielkości dziecinnej piastki. Po obu stronach St. Clare'a szli członkowie rodziny Dante. Trudno było sobie wyobrazić coś bardziej imponującego. Do kompanii należał także porucznik Jonathan Beck w nowiuieńkim mundurze i złotym naszyjniku, na którym wisiał medalion z insygniami Królewskiej Floty. Isabeau Dante uznała, że będzie to doskonałe uzupełnienie jego stroju. Varian wolał nie pytać, jak weszła w posiadanie tego medalionu. Nie zadawał również kłopotliwych pytań na temat woskowej pieczęci, którą opatrzono sfałszowany dokument, ani pełnego zawijasów podpisu, podobnego jak dwie krople wody do tego, którym sygnował swe listy Jakub Stuart.

Większość kapitanów znała osobiście Simona Dantego, toteż ze wszystkich stron rozbrzmiewały powitalne okrzyki. Ci, co znali go tylko ze słyszenia, odwracali się i gapili na Wilka i towarzyszące mu osoby z pewnym niedowierzaniem. Wielu przystawało na widok Isabeau i spiesznie zerknąwszy na pusty rękaw, upewniało się, że to istotnie ona. Największe zainteresowanie budziła Juliet. Nie cofała się pod badawczymi spojrzeniami, lecz odpowiadała na nie wzrokiem, który mówił wyraźnie: „Nie dla psa kiełbasa. Lepiej napij się piwa!”

Van Neuk pospiesznie przedarł się przez tłum i powitał wchodzących szerokim uśmiechem. Białe, ostre jak u rekina zęby błysnęły między starannie przystrzyżonym wąsem i pomarańczową brodą.

- Kogo ja widzę? Simon Dante! Ty stary potworze, widzę, że nadal trzymasz się prosto jak masz!!

Dante uściśnął rękę Holendra, ozdobioną pierścieniami na każdym palcu, i odwzajemnił powitanie:

- Ciągłe się wymigujesz od stryczka, Anders? A już chodziły słuchy, że zeszedł wiosny przyłapali cię na szmuglu w Porto Bello.

-Idiotyczne plotki! Owszem, postrzelali trochę do mnie, ja do nich... i mam teraz o jeden statek więcej. Ładna, nowa brygantyna. Śmiga jak



wiatr! Ale, do wszystkich diabłów, nawet się nie umywa do takiej pływającej fortecy jak „Santo Domingo”! -Zwrócił swe błyszczące oczy na Juliet. - Czy to prawda, dziewczyno? Sama zdobyłaś to cudo?

Uniosła brwi.

- Galeon zdobyła załoga „Żelaznej Róży”.

Przymrużył zielone oko.

- W pojedynkę? Bracia nie ubezpieczali ci tyłów?

Juliet skrzyżowała ramiona na piersi.

- Jeśli mi nie wierzysz, to pokażę ci, jak to się robi. Podziurawię twoją „Gołębicę” i zatopię na dnie morza. Razem z tobą.

Van Neuk wpatrywał się w nią przez chwilę. Dosłownie pożerał ją wzrokiem.

- Aż się palę do tego, żebyś mi pokazała, jak się to robi, kochanie! Jestem cały do twojej dyspozycji - od stóp do głów!

Juliet nie odpowiedziała na te prostackie zaloty. Holender kątem oka musiał zauważyć jakieś poruszenie. Dostrzegł za plecami dziewczyny Variana St. Clare'a i zmrużył oczy.

- Cóż my tu mamy? Wygląda na to, że przywieźliście ze sobą jednego z królewskich kochasiów!

Varian zeszywniał. Jego dłoń zacisnęła się odruchowo na rękojeści szpady. Jednakże Gabriel wysunął się do przodu i stanął pomiędzy St. Clare'em i Holendrem.

- Interesy mogą poczekać do jutra! Cholernie zaschło mi w gardle. Jeśli go natychmiast nie przepłuczę, język przyschnie mi do zębów i nie zdołam nawet spytać, kim są dwie ślicznotki, które podskakiwały ci na kolanie, kiedyśmy tu weszli!

Van Neuk zachichotał.

- Podskakiwały, podskakiwały, ale nie na kolanie! Ale bierz je sobie, chłopie, jeśli chcesz! Skończyłem raz na zawsze z rozpustą, odkąd wiem, do kogo mnie naprawdę serce ciągnie! — dodał z pijackim rozczuleniem i uśmiechnął się do Juliet. - Przysięgam, że nie pofolguję sobie, póki ona mnie do siebie nie dopuści!

- Wobec tego czeka cię bardzo długi celibat - odparowała Juliet, poklepała Holendra po piersi i precisnęła się obok niego. Dogoniła ojca i zasiedli przy stole, który pośpiesznie dla nich uprzątnięto. Ruchem głowy dała znak Varianowi, żeby się do nich przyłączył, korzystając z tego, że Gabriel zabawia Van Neuka.

Księżę usiadł obok niej i odetchnął głęboko.

- To są ci ludzie, z którymi twój ojciec chce rozgromić hiszpański konwój?! - mruknął z niedowierzaniem.

- Doskonale! - stwierdziła. - Co za pogardliwa, sceptyczna mina! Od razu ich sobie pozyskasz.

- Jeśli tak wyglądam, to dlatego, że istotnie odczuwam niesmak i zwątpienie. Są grubiańscy i wstrętni. To łotry, pijaki i... Boże wszechmogąca! Co wyprawia ta kobieta?!

Juliet spojrzała w tamtą stronę.

- Rzeczywiście, nie okazuje powściągliwości ani rozsądku - mruknięła. - Zazdrość cię bierze?

- Przepraszam?

- Nie masz za co przepraszać... na razie - szepnęła z chytrym uśmiechem. - A potem sama zdecyduje, czy ci wybaczyć.

Juliet zaśmiała się cicho, odwróciła głowę i spostrzegła, że matka ich obserwuje. Złociste oczy Beau przeniosły się z jej twarzy na twarz księcia. Na jej czole pojawiła się niewielka zmarszczka. Słyszała zapewne ich szepty, ale nie mogła uwierzyć, że jej córka...

Juliet poczuła, że się czerwieni. Nagle ktoś postawił z trzaskiem na ich stole pieniaące się kufle. Potem, jak za dotknięciem magicznej różdżki, zjawiły się półmiski mięsiva, bochny chleba oraz talerze i dwa wielkie srebrne kandelabry. Wznoszono toasty na powitanie Wilka i pito jego zdrowie. Zanim Juliet przypomniały się łagodne, zatroskane matczyne oczy, jej własne mrużyły się już ze śmiechu i od nadmiaru trunków.

## 18

Promienne jaskrawe słońce świeciło Juliet prosto w oczy. Odwróciła głowę, ale to niewiele pomogło. Blask był taki silny, że Juliet zbierało się na mdłości i rozboleła ją głowa.

Ubiegłej nocy trzeba było, niestety, wychylić każdy toast, który wzniesiono na cześć jej rodziny. Najpierw piwem, potem winem, wreszcie przyszła kolej na rum. Juliet musiała zebrać wszystkie siły, by wrócić na swój statek, a po drodze nie wypaść z łodzi. Nie pamiętała, jak udało jej się wdrapać na pokład ani jak trafiła do swojej kajuty. Kiedy Johnny przyszedł ją obudzić o czwartej po południu, leżała na koi w ubraniu, twarzą do poduszki. Z jej ust spływała cienka strużka śliny.

Nie stać jej było na nic więcej niż opłukanie twarzy zimną wodą. Potem napiła się prosto z dzbana, opróżniając go do połowy. W końcu wsiadła znów do łodzi i powiosłowali w stronę „Mściciela”. Siedzący

obok niej Varian St. Clare miał równie przekrwione oczy, był wyraźnie spięty i milczał. Odpowiedział niearty kułowanym pomrukiem na uwagę Juliet, że przypłynęło sporo nowych żaglowców, bo przystań to istny las masztów. Zresztą może nadal dwoiło się jej w oczach?

Ani Jonas, ani Gabriel nie powrócili na statek, gdy pijatyka dobiegła końca. Za to Simon Dante powitał córkę przy trapie wesołym i przytomnym uśmiechem, chociaż gdy opuszczał tawernę o świcie, krok miał niezbyt pewny, a połowa jego kompanów leżała pod stołem.

Teraz zaś Juliet znalazła się znowu w tym samym dusznym namiocie, cuchnącym potem, zwietrzałym piwem i dziwkami, które harowały tu ubiegłej nocy bez wytchnienia. Juliet miała na sobie ubranie, w którym spała. W aksamicie było jej gorąco, pelerynka ciągle osuwała się z ramienia, a szkarłatny pióropusz bez przerwy zasłaniał lewe oko.

Po raz dziesiąty poprawiła kapelusz i żeby zapomnieć o bólu głowy, próbowała skupić się na dyskusji, która wrzała wokół niej. Najpierw do pozostałych kapitanów zwrócił się Simon Dante. Nie bawiąc się w krasomówstwo, zapoznał ich z treścią listów przechwyconych wraz z „Santo Domingo” i wspomniał o niezwyklej liczbie hiszpańskich okrętów, stojących w różnych portach. W tym momencie kilku kapitanów dorzuciło własne spostrzeżenia na temat wzmożonej aktywności na morskich szlakach Spanish Main. Kiedy zaczęto snuć domysły co do przyczyny tego zjawiska, Dante przedstawił zebranym Variana St. Clare, księcia Harrow, który przybył tu aż z Londynu, by udzielić wyjaśnień i przedstawić godną uwagi propozycję króla Jakuba.

Biorąc przykład z Wilka, Varian mówił niezwykle zwięźle. Oczy miał zaczerwienione i zaciskał wargi, ilekroć zebrani podnosili wrzask, ale udało mu się przyciągnąć ogólną uwagę. Przedstawił obecnym królewski edykt, gwarantujący całkowitą amnestię dla wszystkich kaperów, którzy pośpieszą z pomocą i uniemożliwią hiszpańskim okrętom powrót na Stary Kontynent. Kiedy dodał, że angielski monarcha zamierza zrezygnować z należnej koronie dziesięciny od każdego zdobytego na Hiszpanach łupu, cynowe kufle walnęły z taką energią o blat, że stoły zatrzęśły się i podskoczyły.

Gdy zaczęto się dopytywać, czemu król okazał się nagle taki wspaniałomyślny, Varian starał się jak najmniej mijać z prawdą. Powiedział, że negocjacje pokojowe z Hiszpanią zostały zerwane, a król Anglii pragnie zadać przeciwnikowi najboleśniejczy cios - pozbawić go skarbów płynących z Nowego Świata.

Słuchacze byli podejrzliwi i ostrożni. Choć niektórzy z nich istotnie nie umieli czytać, wszyscy chcieli zobaczyć na własne oczy akt łaski;

pochylali się w zadumie nad woskową pieczęcią i stukali palcem w królewski podpis. Niektórzy gotowi byli od razu postawić swój krzyżyk pod dokumentem, który rodzina Dante już podpisała. Inni zawarli między sobą prywatne umowy - po dwóch lub trzech - i musieli przedtem uzgodnić decyzję ze swymi współnikami. Narady jednak nie trwały długo. Wystarczyło szepnąć słówko o skarbach odkrytych w ładowni „Santo Domingo”.

Pod koniec zebrania wszyscy, co do jednego, przyjęli propozycję. Pod dokumentem znalazło się trzydzieści siedem podpisów, włącznie z pięcioma złożonymi przez rodzinę Wilka. Teraz czekała ich kolejna noc pijaństwa i snucia wspaniałych planów. Kiedy słońce skryło się za piaszczyste wydmy, Juliet miała wrażenie, że głowa zaraz jej pęknie. Varian oczywiście musiał zostać i odpowiadać na wszelkie pytania kapitanów, ona jednak postanowiła się ulotnić. Podeszła po cichu do płóciennej ściany namiotu i wymknęła się przez szparę na czyste nocne powietrze.

Wspięła się na wydmnę i dotarła na drugi koniec zatoki, gdzie nie słyszała już wrzasków i hałasów. Za niewielkim skalnym usypiskiem znalazła płytkie jezioro, utworzone przez fale przypływu. Choć tuż obok, po drugiej stronie naturalnego falochronu, znajdowało się spienione morze, pełne niebezpiecznych prądów, woda w jezioru była spokojna, powierzchnia lekko pomarszczona, a dno pokrywał drobnutki piasek.

Rzuciwszy kubrak i kapelusz na plażę, Juliet przysiadła na skale i pozbyła się butów, pasa podtrzymującego szpadę i bandoletów z pistoletami. Na bosaka zeszła po chłodnym piasku do wody i zanurzyła się w niej po kolana. Stała tak pochylając głowę to w prawo, to w lewo, by rozluźnić napięte mięśnie karku. Zaczepnęła wody w dłoń i oblała nią szyję i pierś. Po drugiej stronie przystani każdy statek skrzył się od świateł, na relingach i rejach porozwieszano mnóstwo latarni. Księżyc się jeszcze nie pojawił, ale wzdłuż nabrzeża płonęło pół setki pochodni, a na coraz ciemniejszym niebie zabłysły gwiazdy - maleńkie i lśniące jak główki szpilek wbitych w czarną tkaninę.

Juliet uniosła rękę i końcem palca obrysowała w tym zalewie gwiazd kontury znanych konstelacji.

— To Strzelec, prawda? Bardzo odpowiedni symbol, słowo daję!

Juliet odwróciła się raptownie. Anders Van Neuk wyciągnął się na piachu z rękoma pod głową, z nogami skrzyżowanymi w kostkach.

Rozejrzała się pośpiesznie. Oprócz nich nie było nikogo. Przeklinając w duchu własną głupotę, popatrzyła raz jeszcze, ulokował się tak, że miał w zasięgu ręki jej ubranie i broń.

- Odebrałem twoje sygnały, dziewczyno. W samą porę!

- Jakie sygnały?

- Ile razy na ciebie zerknąłem, poprawiałaś kapelusz. Mogłaś po prostu podejść i chwycić mnie za ramię, czy za co byś tam chciała. Poszedłbym za tobą jak baranek! Ale przyznam, że tak jest bardziej romantycznie. Wyglądasz jak syrena, która wyszła prosto z morza!

- Anders, już późno, a ja jestem strasznie zmęczona. Jeśli myślisz, że mi się zebrało na amory i dawałam ci jakieś sygnały, grubo się mylisz. Po prostu nie mogłam już wytrzymać w tym namiocie.

- Nie mogłaś już wytrzymać, powiadasz? Dobrze to znam! - powiedział cicho. - Od dawna nie mogę wytrzymać bez ciebie, od bardzo dawna! Więc skończ już z tymi babskimi sztuczkami i przyznaj, że ciągnie cię do mnie tak samo, jak mnie do ciebie. Kiedy spotkaliśmy się poprzednim razem, niewiele brakowało...

Juliet przygryzła wargę. Zapamiętała ten przelotny moment, kiedy ciekawość wzięła w niej górę nad rozsądkiem. Była wtedy razem z Gabrielem. Mijając French Key, poznali stojącą na kotwicy „Gołębicę”. Oba statki zatrzymały się obok siebie, a rodzeństwo postanowiło oddać Holendrowi część zdobytego przez siebie łupu w zamian za grubą blachę miedzianą. Potem głupim zbiegiem okoliczności Juliet i Anders spotkali się pod gwiazdami. Wsadził jej łapy pod koszulę i omal nie udusił swoim wielkim jęzorem!

- To była pomyłka. Oboje wypiliśmy wtedy za wiele i...

- Żadna pomyłka! Tak się palisz do mnie, jak ja do ciebie. Wtedy wtrącił się do nas twój brat, niech go diabli! Ale to się nie powtórzy. Postarałem się o to, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

Uniosł rękę i pstryknął palcami. Prawie natychmiast zza skał wyłoniły się postacie czterech osiłków. Stali z rękami skrzyżowanymi na piersi i szczyrzyli w uśmiechu zarośnięte gęby. Z lewej strony pojawiło się jeszcze czterech, a dwóch innych ukazało się na szczycie wydmy. Wszyscy razem otoczyli półkolem małą zatoczkę. Uciec stąd można było tylko morzem.

Jakaż ze mnie idiotka, idiotka, idiotka!... Żeby się zapędzić tak daleko!

Jeszcze głupszym posunięciem było odpasanie broni. Mogła teraz liczyć wyłącznie na swój umysł. A ten był w nie najlepszym stanie, choć już niemal całkowicie wytrzeźwiała. Była dobrą pływaczką. Cholernie trudno będzie wyminąć wszystkie prądy przy wejściu do przystani, ale przy odrobinie szczęścia może nie uniosą jej na Atlantyk. A potem ucęstuje tego Holendra taką salwą honorową, że się nie pozbiera!

Ledwie ta myśl przemknęła jej przez głowę, usłyszała za sobą cichy plusk. Nim się spostrzegła, potężne ramię objęło ją w pasie, drugie owinęło się wokół jej szyi. Juliet odwróciła się gwałtownie i dwoma palcami

zaatakowała miejsce gdzie - według wszelkiego prawdopodobieństwa - powinny być oczy napastnika. Trafiła w jedno, napastnik wrzasnął i rozluźnił chwyt. Zdołała dzięki temu uderzyć go kolanem w krocze.

Wyrwała mu się, ale usłyszała, że inni brną ku niej przez wodę. Tym razem było ich pięciu. Rzucili się na nią jak banda kundli, rechocząc, chwyтали ją za ramiona, nogi, talię. Pierwszego, który się na to ośmielił, rąbnęła na odlew grzbietem ręki. Złamała mu nos i rozpląszczyła gębę. Drugi wrzasnął i zwiął z rozplątanym policzkiem, gdy Juliet wykorzystała leżący na piaszczystym dnie ostry odłamek koralowca. Następny trzasnął ją pięścią w skroń. Poczwała straszliwy ból w głowie, a nogi ugięły się pod nią.

Nie potrzebowali wiele czasu, by wytaszczyć ją z wody i wynieść na brzeg. Wyrwała się i przeklinała, ale trzymali ją mocno i w końcu złożyli ją na piasku jak ofiarne zwierzę. Rozpostarli i unieruchomili jej ramiona. Rozłożyli jak najszerzej nogi. Ktoś nawet nastąpił jej ciężkim buciorom na włosy, by nie mogła unieść głowy.

Anders Van Neuk stał spokojnie i otrząpywał piasek ze spodni. Popatrzył na dziewczynę i potrząsnął głową, jakby sprawiła mu wielki zawód.

- Możemy to zrobić na dwa sposoby, dziewczyno. Albo okażesz więcej entuzjazmu, albo ci wszyscy dzielni chłopcy będą się nam przyglądać. Tak czy owak, ja dostanę, czego chcę, i zamierzam dobrze się zabawić!

- Mój ojciec i moi bracia zabiją cię! - syknęła.

- A, to warte zastanowienia - przytaknął, biorąc się do rozpinania pasów i sprzączek. - Tylko nim się połapia, co się z tobą stało, będziemy już na pokładzie „Gołębicy”, i daleko stąd.

-Dościgną cię! Dopadną jak wściekłego psa i obedną ze skóry!

- Martw się lepiej o własną skórę, dziewczyno! Niewiele z niej zostanie, kiedy ten Hiszpan rozprawi się z tobą.

-Hiszpan?... Jaki Hiszpan?

- Widzisz, czasem się oplota pływając pod holenderską flagą. Cztery dni temu byłem akurat w Porto de Manati, kiedy zjawiła się tam zgraja Hiszpanów. Porzucono ich na jakiejś bezludnej kupie piasku, ale ktoś ich stamtąd wyciągnął. No więc jeden z tych donów, naprawdę kawał chłopca, choć nie ma ani uszu, ani dobrych manier... Ale czego się można spodziewać po papistach? Tak czy owak, stracił podobno uszy na „Santo Domingo” i bardzo mu zależało na jeszcze jednym spotkaniu z *la Rosa de Hierro*. Do tego stopnia, że obiecał dać temu, co ją przywiezie, dziesięć razy tyle złota, ile sam waży. Przyznasz, że w moim wypadku będzie tego całkiem sporo.

- Sprzedałbyś mnie jakiemuś cholernemu donowi za złoto?!

- Gdyby chodziło tylko o złoto, dziewczyno, za tę samą cenę odwiózłbym cię do tatusia. Ale, widzisz, ten Hiszpan obiecał mi też zezwolenie na korzystanie z ich wodnych szlaków, prawo do handlu w każdym porcie, do zakupu i wywozu wszelkich towarów, jakie zmieszczą się w naszych ładowniach, oraz do sprzedania ich z zyskiem. Zgadzam się z tobą, że to byłaby prawdziwa frajda, gdybyśmy przegonili stąd tych cholernych papistów, ale tym sposobem nie wystawię na szwank ani moich działań, ani statków, no i będę bogaty... bardzo bogaty! Prawdę mówiąc - dodał - miałem zamiar od razu stuknąć cię po głowie i odstawić do Porto de Manati związaną jak perliczkę, ale... - zamilkł i miała wrażenie, że twarde, zielone oczy obmacują jej ciało. - Taki z ciebie smakowity kąsek, że mam ochotę sam się najpierw przekonać, czy warta jesteś tyłu trudów.

Jego ręce powędrowały do pasa. Zaczął rozwiązywać rzemyki u sączka. Juliet wywijiała się, przeklinała i pluła, ale wystarczyło jedno słowo Van Neuka i łąpy jego zbirów zacisnęły się wokół jej nadgarstków i kostek jak żelazne kajdany. Holender stęknął i Juliet odgadła, że pozbył się spodni. Zakłęła widząc, że opada na kolana obok niej. Był silnie pobudzony. Rozdarł jej koszulę i chwycił brutalnie za pierś. Paznokcie miał długie i nierówne, dłonie stwardniałe. Zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć z bólu, gdy kaleczył i ugniatał jej piersi, omal nie odrywając przy tym jednego z sutków.

Zbiry Andersa zaczęły rzucać sprośne uwagi. Jeden zaferował się, że rozewrze dziewczynie gębę i dopilnuje, żeby jej nie zamknęła, jeśli kapitan chce, żeby od razu posmakowała tego, co ją czeka. Drugi wtrącił, że on raczej by ją zakneblował pięścią, żeby nie musieli słuchać jej przekleństw. Holender uderzył Juliet w twarz, by umilkła, i wzięwszy do ręki ostry sztylet, zabrał się do rozcinania jej spodni. Ponieważ nadal się szamotoła, ostrze ześlizgnęło się dwukrotnie z materiału, kalecząc ciało dziewczyny. Ale VanNeukowi to nie przeszkadzało. Palcami jednej ręki gmerał pomiędzy udami Juliet, w drugiej zaś trzymał sztylet. Rozpruwał już drugą nogawkę jej spodni, gdy do jego uszu dobiegł szcęk stali. Odwrócił głowę, by zobaczyć, co się dzieje.

Dwaj mężczyźni uzbrojeni w szpady walczyli na wydmie. W chwili gdy Van Neuk spojrział w tamtą stronę, jeden z członków jego załogi, postawiony na straży, wrzasnął i upadł, chwytając się obiema rękami za brzuch. Jego przeciwnik odwrócił się błyskawicznie i zbiegł pędem na plażę, wzbijając tumany pyłu. Dwaj Holendrzy chwycili za kordelasy i rzucili się na niego, ale wystarczył cios, a potem pchnięcie, by obaj zwalili się z krzykiem na piasek.

Anders warknął rozkazująco. Bucior przydeptyjący włosy Juliet zniknął. Mogła już podnieść głowę i zobaczyła, jak Varian St. Clare zasypuje kolejnego przeciwnika gradem ciosów i wytrąca mu broń. Książę chwycił ją, uniósł oba ostrza wysoko w powietrze, po czym spuścił je na szyję zbira z taką siłą, że niemal oddzielił mu głowę od karku.

Pozostali trzej piraci, którzy dotąd przytrzymywali dziewczynę, zerwali się na równe nogi i ruszyli do ataku. Juliet mogła teraz dosięgnąć noża, który Van Neuk nadal trzymał w dłoni. Chwyciła Holendra za nadgarstek i wykręciła mu rękę tak, że ostrze sztyletu znalazło się pod jego brodą. Anders zareagował o ułamek sekundy za późno, toteż nie zdołał udaremnić jej zamiaru. Wyteżając wszystkie siły, Juliet popychała opierając się rękę coraz wyżej, aż poczuła, jak pod naciskiem noża pęka chrząstka i kość. Ostrze przecięło tchawicę i dotarło do wnętrza czaszki.

Holender konał. Ledwie udało jej się wydostać spod niego, zanim zwałił się na ziemię. Juliet zerwała się na równe nogi i podbiegła do swej szpady. Wydobyła ją z pochwy i wzbijając chmurę piasku, ruszyła na spotkanie zbiorów, którzy przeskakując przez skały, biegli ku niej. Miotła nią taka furia, że pierwszego z nich ugodziła w pierś i przebiła na wylot.

Drugi łotr zdołał machnąć kordelasem, zanim go powaliła. Kiedy odwróciła się, poszukując następnego przeciwnika, dwa cienie kryjące się wśród skał wdrapały się pośpiesznie na piaszczyste zbocze i znikły w mroku nocy.

- Nic ci się nie stało?

Varian podbiegł do niej, chcąc otrzeć krew z jej twarzy.

Przez chwilę czuła się tak wściekła, że odebrało jej mowę. Była zła na siebie, na Andersa Van Neuka, na cały świat!

- Juliet?

- Zostaw mnie w spokoju! Zostaw mnie, rozumiesz?!

Próbowała uciec na plażę, ale zatrzymał ją po kilku krokach. Stała, ciężko dysząc i wpatrując się w odległe światła. Zawsze twierdziła, że dorównuje każdemu mężczyźnie. I na co się zdały wszystkie jej argumenty, brawurowe popisy zręczności i siły? Wystarczy jeden rozbuchany bydlak i wszyscy znowu będą w niej widzieć jedynie głupiutką kobietę!

Kiedy opanowała się na tyle, że była w stanie mówić, odwróciła się i spojrzała na Variana.

- Skąd się tu wzięłeś? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Zauważyłem, jak wymykasz się z namiotu. Holender wyszedł zaraz za tobą. Było widać, że coś knuje, więc wstałem od stołu i ruszyłem za wami. Nic ci się nie stało? Nie... skrzywdził cię?



Zobaczyła, w jakim kierunku biegnie spojrzenie Variana. Jedna nogawka krótkich spodni była przecięta i zwisała jak spódnica. Udo, które okrywała, było zbroczone krwią.

- Ten bękart mnie skaleczył. Ale poza tym nic mi się nie stało. Sama potrafię się obronić! Więc jeśli się spodziewasz podziękowań za to, żeś mnie ocalił od gwałtu, to długo będziesz na nie czekał!

Wyminęła go i pochyliła się nad ciałem Holendra. Nie ulegało wątpliwości, że pirat nie żyje. Jego szeroko otwarte, szkliste oczy wpatrywały się w wielką ciemną plamę krwi na piasku. Obie ręce nadal były zaciśnięte na rękojeści sztyletu, który wystawał mu z gardła.

- Miał zbyt lekką śmierć! - burknęła. Obrzuciła wzrokiem inne trupy leżące na piasku i wskazała najmniejsze zwłoki. - Ten będzie w sam raz. Pomóż mi ściągnąć z niego portki!

Kilka minut później Juliet wkładała spodnie nieboszczyka. Poczowała nagły chłód i rada była, że ma ciepły kubrak. Podniosła pendent, bandolety i kapelusz i ruszyła wzdłuż brzegu. Wkrótce jednak znowu się zatrzymała i zawróciła. Na oczach zdumionego Variana przyciągnęła do zwłok Andersa Van Neuka półnagie ciało majtka. Ułożyła je na brzuchu, gołymi pośladkami do góry. Potem przecięła sztyletem drugą nogawkę swych porzuconych spodni i wetknęła je w zimną, upięścienioną rękę Holendra.

- Niech myślą że szlag go trafił, jak pieprzył własnego majtka! - syknęła z nienawiścią.

Zatarłszy wszystkie ślady, które mogłyby ją zdradzić, ruszyła w stronę oświetlonej przystani. Prawie się nie odzywała do Variana, póki nie dotarli do wyciągniętych na brzeg barkasów.

- Wolałabym, żebyś nie wspominał o tym mojemu ojcu. Zdaje się, że zależało mu na poparciu tego sukinsyna.

- A co z tymi dwoma, którzy uciekli? Co zrobisz, kiedy wyskoczą z całkiem inną bajeczką?

Juliet uśmiechnęła się krzywo.

- Bardzo bym się zdziwiła, gdyby jutro rano „Gołębica” stała jeszcze w porcie! A nawet jeśli by tak było, inne bydło, które odziedziczy ją po Van Neuku, nie będzie sobie zawracało głowy, jakim cudem dochrapało się rangi kapitana! Najwyżej się ucieszy, że kto inny odwalił za niego czarną robotę. Morderstwo to najprostsza droga do sukcesu w pirackiej branży!

Cisnęła kapelusz na dno pierwszej z brzegu szalupy i zepchnęła ją na wodę.

- Dokąd się wybierasz?

- Wracam na „Różę”.  
- Płynę z tobą- powiedział St. Clare, wchodząc za jej przykładem do wody.

- Nie! To znaczy... Lepiej, żebyś został tutaj. Możesz być potrzebny.

Wsunął palec pod brodę Juliet i uniósł jej głowę. Próbowwała się opierać, lecz chwycił ją za ramiona i zmusił, by spojrzała na niego.

- Nawet teraz nie jestem ci potrzebny?

Patrzyła mu prosto w oczy, bez jednego słowa, bez najmniejszego ruchu. Przez chwilę gładził kciukiem jej podbródek. Wyczuł drżenie i uznał za dowód niechęci. Miał już opuścić rękę, ale Juliet chwyciła ją i zatrzymała go.

-Chyba... mógłbyś mi pomóc... troszeczkę...

Zachwiała się i omal nie upadła. Varian chwycił ją pod pachy. Kiedy podnosił dziewczynę, poczuł, że jedna nogawka jej spodni przesiąkała krwią.

- Ten bękart... skaleczył mnie... - powtórzyła.

Niewyraźne słowa, wyszeptane z ustami tuż jego szyi, nagle się urwały. Ciało Juliet zwisło bezwładnie, a jej głowa opadła na ramię Variana.

## 19

Ja nie mdleję! Nie zemdlałam nigdy w życiu.

- Niech ci będzie. Powiemy, że straciłaś tyle krwi, iż ledwie mogłaś oddychać.

Oczy Juliet zwęziły się.

-Nie powiemy w ogóle nic, mój panie! Popatrz no tutaj! -wskazała ranę ciętą na udzie. - Nie jest to zadrapanie, ale z pewnością nie zagraża mojemu życiu.

Varian posłusznie obejrzał ranę. Była to ryna długości jego dłoni, krwawiła obficie, ale zasklepiła się ładnie i powinna zrosnąć bez szwów. Niemniej jednak, gdyby ostrze weszło centymetr głębiej, przecięłoby tętnicę. Nieco niżej znajdowało się jeszcze jedno skaleczenie i dwa głębsze cięcia w okolicach kolana, gdzie Holender dźgał kilkakrotnie nożem w obrąbek spodni. Przewidywał, że te właśnie skaleczenia najbardziej dadzą się Juliet we znaki, gdy spróbuje włożyć wysokie buty.

Wczoraj, gdy znaleźli się na pokładzie „Róży” i pomógł dziewczynie ściągnąć zakrwawione bryczesy, przestała udawać zucha, drżała jak liść na wietrze.

Widok ten poraził St. Clare'a niczym grom. Juliet była zawsze taka pewna siebie, taka opanowana, że dopiero na widok jej zwyczajnej, ludzkiej reakcji uświadomił sobie jak jest krucha i kobieca. Zaprzagnął przez resztę życia zabijać smoki, które mogłyby jej zagrozić.

Obmył krew z uda Juliet, pomógł jej włożyć czystą koszulę, a potem całą noc przesiedział na krześle, trzymając dziewczynę w objęciach.

Westchnęła i przytuliła głowę do jego ramienia.

- Przed chwilą dzwonili na zmianę wachty. Niebo już się rozjaśnia. Johnny zaraz zastuka do drzwi, przyniesie mi ser i suchary. A twój Beacom pewnie już załamuje ręce i wyobraża sobie, że poderzneliśmy ci gardło i zakopaliśmy cię w jakiejś wydmie.

- Beacom robi postępy. Przyzwyczał się już do tego, że często znikam mu z oczu.

Juliet wyprostowała się i przez chwilę spoglądała księciu w oczy, nim go pocałowała. Nie było w tym nic prowokacyjnego ani uwodzicielskiego. Po prostu dotknęła wargami jego ust. A jednak ów kontakt przejął ich oboje dreszczem rozkoszy.

- Dziękuję - szepnęła.

- Za co?

- Za minioną noc. Za to, że pojawiłeś się na plaży, pomogłeś mi wrócić na statek, opatrzyłeś moje rany...

- Cała przyjemność po mojej stronie - mruknął. - Możesz mi wierzyć. Zwłaszcza że przy tej okazji odkryłem, iż jesteś istotą ludzką.

- Miałeś jakieś powody, żeby w to wątpić?

- Powody? Czy ty masz pojęcie, czym zajmują się twoje rówieśnice w Anglii?

- Mogę się tylko domyślać - odparła z przesadnym westchnieniem.

- Haftują monogramy na swojej wyprawie? Biją się z myślami, w co przebrać się do obiadu? Jaką sztukę Szekspira warto obejrzeć w teatrze?

- Z całą pewnością nie planują szturmować na hiszpańską flotę! A gdyby zaatakował je łotr w rodzaju Van Neuka, zapewne nie otrząsnęłyby się z szoku do końca życia. Dobry Boże, Juliet! Jesteś kapitanem okrętu bojowego, nosisz spodnie i wysokie buty, wyśpiewujesz z piratami szanty aż do wschodu słońca. Wywijasz szpadą jak anioł... a może diabeł? Cała załoga koczyłaby za tobą w ogień! A ja? Spójrz tylko, co zrobiłaś ze mną w niecałe dwa tygodnie! Obnoszę się z fałszywymi dokumentami, składam kłamliwe obietnice, popełniam zdradę stanu, uczestniczę

w spisku. Nie wspominając już o tym, że podobnie zdemoralizowałaś biednego porucznika Becka! Zmusiłaś mnie do sypiania na podłodze i spodobało mi się to bardziej niż wylegiwanie się w puchu. Prawdę mówiąc, jeśli na Karaibach jest więcej takich jak ty, to nieszczęsny los mężczyzn, którzy przypadkiem tu zabłądzą!

Twarz Juliet na chwilę straciła wszelki wyraz. Potem dziewczyna ześlizgnęła się z jego kolan. Zaczęła grzebać w porozrzucanych na biurku papierach, znalazła hubkę i krzesiwo, a w końcu zapaliła świecę.

Varian wstał, rozprostował nogi, przeciągnął dłonią po kręgosłupie i skrzywił się. Zrobił kilka ruchów ramionami, przeganiał palcami włosy i wyszedł z kajuty na galerię.

Noc ustępowała, jakby jakaś olbrzymia ręka ściągała czarne pokrowce nałożone na morze i wyspę. *Od wschodu pojawiły się na linii horyzontu pasy różu, złota i srebrzystej szarości.* Słońce wbiło się wyżej i barwy zmieniały się z minuty na minutę. Wzdłuż półkolistej linii brzegowej nadal paliły się pochodnie i ogniska. Wiatr był chłodny, ale niósł ze sobą wspomnienie upalnego dnia, i wonie płonącego drewna, i gotujących się potraw, od przystani zaś zapach piasku, soli i ryb. Górne pokłady większości stojących na kotwicy statków oświetlono wielkimi latarniami, Varian widział więc wyraźnie maleńkie sylwetki majtków podczas zmiany wacht.

Iluż tu było mężczyzn! A jednak zawierzyli swe losy garstce dowódców. Czy kiedykolwiek kwestionowali decyzje swych kapitanów? Czy zdawali sobie sprawę z ryzyka, wyruszając na wyprawę taką jak ta, w której niebawem mieli uczestniczyć?

Główne założenia planu przedstawionego przez Simona Dantego były dość proste. Załoga każdego statku kaperskiego postara się zniszczyć lub zdobyć przynajmniej jeden okręt nieprzyjacielski. Trzydzieści siedem statków kaperskich powinno więc uszczuplić konwój prawie o połowę. Ambitne zamierzenie! Należało jednak pamiętać, że eskortę hiszpańskiego konwoju stanowiły okręty wojenne, mające na pokładach od czterdziestu do sześćdziesięciu armat. Ponieważ na mniejszych statkach kaperskich dział było dziesięć, najwyżej dwanaście, mogłyby stanowić zagrożenie dla wrogów tylko wówczas, gdyby połączyły się po dwa lub trzy i zaatakowały ich równocześnie.

„Argus” miał na pokładzie dziesięć dział i większość z nich zamilkła po pierwszej salwie z hiszpańskiego galeonu.

W myślach Variana ponownie rozgrywała się tamta zażarta bitwa. Krzyki, płomienie, wystrzały armatnie, ludzie walczący jak demony i ogarnięci jedną tylko myślą-zabić wroga! Piekielny chaos... ale musiał przyznać, przynajmniej przed sobą, że było w tym coś podniecającej

go, nawet upajającego. Jakby rzucił się z gołymi rękami na diabła i wyszedł z tego bez szwanku.

Jednak nie było to prawdą. Nie uszedł cało z tej bitwy. Pozwolił, by morska wiedźma zamąciła mu w głowie, by nauczyła go rozkoszować się słonecznym żarem, nagością i radosnym, ciężkim trudem. Ubiegłej nocy zaś zabijał bez wahania. Żąda mordu, która go opanowała, była tak silna, że *nie* zdołałby jej opanować, nawet gdyby chciał.

- Jak myślisz? Długo to potrwa, zanim konwój odpłynie?

Juliet również wyszła na galerię. Zmieniła spodnie, starając się nie urazić świeżej rany na udzie, teraz zaś wkładała koszulę za pas.

- Może za tydzień, może za trzy... Dowiemy się czegoś więcej, gdy wrócą Jonas i Gabriel.

Varian wyczuł niepokój w jej głosie. Nic dziwnego, że się martwiła. Piekielne Bliźniaki podjęły się niebezpiecznego zadania. Mieli podpłynąć jak najbliżej do Hawany, przyjrzeć się bacznie przystani i galeonom oraz sprawdzić, czy konwój jest już gotów do drogi.

- *Fortuna favet fatuis* - mruknął.

- Głupim szczęście sprzyja - przetłumaczyła. - Myślisz, że to wyprawa w sam raz dla głupców?

- Sam już nie wiem, co o tym myśleć. Poza tym że zapewne niewiele zwojujemy i tylko rozdrażnimy Hiszpanów.

- Prawda, ale pamiętaj, że potrafimy ich drażnić jak nikt inny!

Oczy Juliet błyszczały w perłowym brzasku dnia. Skóra jej była tak aksamitna i rozkoszna w dotyku, że Varian nie oparł się pokusie. Pochylił się i odgarnął pasmo włosów z policzka dziewczyny. Przesunął palcami po jej szyi, po wypukłości piersi... Wyczuł pod batystem sutek i drażnił go, aż wyprężył się i stwardniał. Gdy ujrzał, że źrenice Juliet rozszerzają się, wsunął rękę jeszcze głębiej, do wnętrza niedopiętych spodni i dotknął kępki miękkich włosków. Dziewczyna zeszywniała. Z pewnością przypomniały jej się brutalne łapska Holendra. Ale Varian dotykał jej tak delikatnie, z taką czułością, że w końcu oparła się o jego ramię i z cichutkim westchnieniem zakołysała się lekko i poddała rozkoszy.

Gdy poczuł, jak topnieje pod jego pieśczętą, uśmiechnął się, wziął ją w ramiona i scałował tży, które lśniły na jej rzesach.

- Mnie też uważasz za pomyłką? - szepnęła z ustami wtulonymi w jego pierś. - Myślisz, że wywołałibyśmy sensację, spacerując nago po pokładzie?!

Varian obejrzał się przez ramię.

„Mściciel” stał na kotwicy sto metrów na prawo od pokładu dziobowego „Żelaznej Róży”. Na szczęście nie był widoczny z miejsca, w którym

stali. Za rufą „Róży” cumowały inne statki, ale było jeszcze zbyt ciemno, by mogły ich wyszpiegować jakieś ciekawskie oczy.

-Jeśli zależy ci na reputacji, kapitanie, możemy wrócić do kajuty - mruknął.

- Do diabła z reputacją! - odparła z niewyraźnym śmiechem. - O, dobry Boże!... Ależ mi będzie ciebie brakowało!

- Na razie nigdzie się nie wybieram, moja panno. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo!

Kiedy Juliet wróciła na tyle do przytomności, by podnieść głowę i popatrzeć na niego, dostrzegł w jej rysach to samo napięcie, które zauważył kilka minut temu. Nie łudził się, że potrafi - choćby częściowo - odgadnąć uczucia Juliet z wyrazu jej twarzy, ale tym razem malowała się na niej tak silna determinacja, że poczuł dreszcz trwogi.

Niepokój księcia wzrósł, gdy Juliet odwróciła wzrok, wyswobodziła się z jego objęć i cofnęła na próg swojej kajuty.

- Przypominasz sobie kapitana Roberta Brockmana? Poznaliście się wczoraj. Wysoki, siwy Anglik z opaską na oku.

Varian skinął głową. Juliet wzięła głęboki oddech i mówiła dalej.

- Jego statek, „Wicher”, należy do najszybszych. Brockmanowi udało się dopłynąć na nim do Anglii w niespełna czterdzieści dni. Jest taki szybki między innymi dlatego, że ma na pokładzie zaledwie osiem dział. I właśnie z tej przyczyny kapitan doszedł do wniosku, że najlepiej przysłuży się sprawie, ponownie wyruszając do Londynu. Ojciec uważa, że króla należy powiadomić o tym, co się tu dzieje. Jeśli zdołamy jakimś cudem zatrzymać albo rozproszyć hiszpański konwój, być może londyńska admiralicja zdąży spuścić okręty na morze i przechwycić resztę statków, nim dotrą do Hiszpanii. Powtarzałeś w kółko, jakim to zaufaniem darzy cię król i jego rada przyboczna, więc ojciec uznał - całkiem słusznie - że to ty powinienes ostrzec ich o niebezpieczeństwie.

Varian nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią. Juliet odwołała się więc do jego rozsądku.

- Nikt przecież nie oczekiwał, że będziesz bił się razem z nami! - uniosła rękę, nakazując mu milczenie. - Zanim zaczniesz protestować, uprzedzam, że przypominanie o latach spędzonych w wojsku nie na wiele ci się przyda. Małe cynowe żołnierzyki w czerwonych kurtkach ustawione w idealnym szeregu na pokładzie stanowią doskonały cel dla nieprzyjaciela, a już z pewnością dla dział rażących z odległości trzystu metrów. Sam zresztą powiedziałeś, że czujesz się tu zagubiony. Przyznałeś, że na lądzie potrafisz toczyć bitwy przy wsparciu artylerii i kawalerii, a nawet wygrać wojny, ale na morzu obowiązują całkiem inne reguły. Zakosztowałeś

bitwy morskiej, mój panie, więc powinieneś już wiedzieć, że nie chodzi w niej o zasady, tylko o przetrwanie. Zachowanie własnego życia - dodała z naciskiem. - Przeważnie nie ma czasu na troszczenie się o innych. Nie ma okazji do naprawienia błędu. Nie ma miejsca na żadne rozterki.

- Dlatego chcesz się mnie pozbyć? Żebym nie był przyczyną twojej rozterki?

Juliet westchnęła.

- Nasza kłótnia nie ma sensu. Decyzja zapadła, zanim jeszcze opuściliśmy Gołębią Rafę.

- Doprawdy? A kiedy zamierzałaś mnie o niej powiadomić?

- Właśnie to robię.

Mięsień w policzku Variana zaczął drgać.

-I na tym koniec? Więc nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie?

- Szczerze mówiąc - odparła spokojnie - nigdy nie miałeś. Jesteś przecież księciem! Członkiem angielskiej arystokracji, oficjalnym przedstawicielem króla na terenie Karaibów! Musimy zadbać o to, byś został przy życiu, wrócił do ojczyzny i oficjalnie poinformował króla, dlaczego nie posłuchaliśmy jego rozkazu i zaatakowaliśmy Hiszpanów.

- Nie tak łatwo mnie zabić. Chyba to udowodniłem ostatniej nocy.

Lekko się zarumieniła.

- Ostatniej nocy był to pojedynek fechtmistrza ze zbirami, którzy atakują z ukrycia i cichcem podryniają wrogom gardła.

Oczy Variana spoczęły na fioletowym sińcu na jej skroni.

- Nie byłaś tak obojętna, gdy chodziło o twoje własne gardło.

- Ale nie dam się tak łatwo przekabacić, nawet jeśli ktoś ma gorące ciało i giętki język! A jeśli już o tym mowa. Czyżbyś sądził, wasza księżęca mość, że masz prawo wyklócać się ze mną przy każdej okazji, tylko dlatego, że kilka razy dzieliliśmy się sobą łóżko?

- Jeśli nawet nie nauczyłem się wiele w ciągu tych dwóch tygodni, kapitanie, to przynajmniej zorientowałem się, że masz dwa oblicza. Jedno, które chętnie przyjmuje moje wyzwania, i drugie, które sobie ich nie życzy.

- Dokładnie tak! Teraz właśnie nie życzę sobie żadnych prowokacji.

- Lubisz utarczki na słowa i na szpady, Juliet. A wiesz dlaczego? Bo lękasz się zawierania przyjaźni, boisz się przywiązać do kogoś, trwożysz się, że ktoś pozna cię zbyt dobrze.

- Nie boję się zdobywać nowych przyjaciół i nie chcę stracić dawnych! A co do przywiązywania się, to namiętność jeszcze mnie całkiem nie ogłupiła. Doskonale wiem, jaki kolosalny błąd popełniłam, zadając się z tobą! Powinnam była przegonić cię od razu tamtej pierwszej nocy

na Gołębij Rafie! Wtedy nie miałbyś złudzeń co do tego, kim jesteśmy - ty i ja. Nadal byś się palił do powrotu do Anglii i do niczego niepodejrzewającej narzeczonej, która bez wątpienia zdążyła już wyhaftować twój monogram na całej swojej wyprawie. Wracaj do niej, Varianie! Wracaj do domu, do twoich sześćdziesięciu pięciu sypialń, do swego czyścibu-ta, zielonych pól i łagodnych pagórków! *To jest twój świat.*

- A jeśli się z tobą nie zgodzę?

Przez chwilę wydawała się zbита z tropu, ale zaraz zacisnęła mocno szczęki i wyprostowała się.

- Szczerze mówiąc, nie ma znaczenia, czy się zgadzasz, czy nie. Wracasz do domu, milordzie! „Wicher” wyrusza jeszcze dziś, podczas wieczornego odpływu. Z tobą na pokładzie!

Nim opuścili Gołębią Rafę, Nathan Crisp - acz niechętnie - oddał swoją kajutę do dyspozycji księcia. Tam właśnie udał się Varian po rozmowie z Juliet. Było to pomieszczenie o wymiarach trzy metry na trzy, znajdujące się w pobliżu dzioba na dolnym pokładzie. Całe umeblowanie stanowiła wąska koja i stołek na trzech nogach. Beacom zainstalował się w przylegającym do kajuty małym schowku, gdzie nie było żadnych mebli, prócz rozpiętego między dwiema belkami hamaka. Pomieszczenia oddzielała od siebie jedynie cienka drewniana grodzień, toteż kiedy St. Clare zatrzasnął za sobą z impetem drzwi, huk obudził lokaja. Ten wrzasnął i wypadł z hamaka.

Beacom ubrał się spieszenie, przyglądził ręką zwichrzone kosmyki i wyszedł ze schowka, by zastukać dyskretnie do drzwi swojego pana. Otworzył się tak raptownie, że lokajowi niemal wypadła z rąk niewielka drewniana szkatułka. Jedno spojrzenie ciemnoniebieskich oczu utwierdziło lokaja w przekonaniu, że jego książęca mość jest w złym humorze. Nie zdziwiło go więc przekleństwo, które Varian rzucił, cofając się do wnętrza kajuty.

Beacom odchrząknął

- Dzień dobry, wasza książęca mość. Tuszę, że książę pan dobrze spał? Czy wasza książęca mość życzy sobie, żeby go ogolić?

Varian odwrócił się od dwudziestocentymetrowego bulaja i przez chwilę spoglądał na lokaja takim wzrokiem, jakby nie wiedział, kto to taki i skąd się tu wziął.

- Kusząca propozycja, Beacom. Ale czy wyglądam na kogoś, kto ma ochotę poczuć ostrze na gardle?



- Prawdę mówiąc, ani trochę, wasza książęca mość. Może zatem przynieść coś do jedzenia? Albo piwa, sir?

- Lepiej nie płacz się pod nogami. Muszę coś przemyśleć.

Beacom przezornie odsunął się na bok i już miał postawić przyniesioną szkatułkę na podłodze, gdy zauważył, że ktoś podniósł wieko kufra i gruntownie przemieszał jego starannie posegregowaną zawartość.

- Czy wasza książęca mość czegoś szukał?

Oczy St. Clare'a pobiegły za spojrzeniem lokaja.

-Czystej koszuli, spodni, pończoch... Jestem przecież, u licha, królewskim wysłannikiem! Powinienem się dobrze prezentować.

Brwi Beacoma poszybowały w górę. Dopiero teraz zauważył, że koszula i spodnie, które Varian miał na sobie, były brudne, pomięte, a w dodatku poplamione wodą morską i czymś, co podejrzanie przypominało krew.

- Istotnie, wasza książęca mość.

Varian zaczął się rozbierać, a lokaj szukał czystych pończoch, spodni i koszuli. Książę wyrywał mu niecierpliwie z ręki każdą część ubrania, ale poza tym nie ruszył palcem. Nawet guziki pikowanego kubraka musiał mu zapinać Beacom. St. Clare stał bez ruchu jak manekin krawiecki. Potem usiadł i łaskawie pozwolił się uczesać, a nawet uniósł bez oporu podbródek, gdy lokaj z pewnym wahaniem podsunął wykrochmaloną krezę. Kiedy jednak Beacom zaczął się rozglądać za rubinową broszą, którą należało przypiąć kołnierz z przodu, nie mógł jej nigdzie znaleźć.

- Tego szukasz?

Zaskoczony Beacom jęknął i odwrócił się raptownie, uderzając o gródź. Varian bez pośpiechu zmienił pozycję, gdy drzwi skrzyknęły i na progu ukazał się Simon Dante. Wysoki, kruczowłosy kapitan musiał schylić się, by nie uderzyć głową w belkę. Podobnie było z Jonasem. Ten jednak nie wszedł do pokoju, lecz zatrzymał się w drzwiach, wypełniając fultrynę swą potężną postacią.

Varian miał szybki refleks i zdołał schwycić przedmiot rzucony przez Dantego. Nawet nań nie spojrział. [ tak wiedział, że to wielka brosza, którą miał wczoraj przy kołnierzu.

- Znalaziono ją na plaży, niecałe dziesięć metrów od zwłok kapitana i siedmiu majtków z „Gołębicy”.

Varian obracał broszkę w palcach, myśląc z niechęcią o przyrzeczeniu, które ubiegłej nocy wymogła na nim Juliet.

- Nie masz oczywiście pojęcia, St. Clare, skąd się tam wzięła ta błyskotka?

Głos kapera był opanowany, ale spojrzenie twarde i zimne. Zupełnie jak oczy Juliet, kiedy popatrzyła mu prosto w twarz i kazała wracać do Anglii.

Dante zmarszczył brwi. Zapewne nie zdarzyło się jeszcze, by musiał czekać na wyjaśnienia, kiedy ich od kogoś zażądał.

- Jeśli pamięć cię zawodzi, St. Clare, pozwól, że poinformuję cię, o czym się dowiedziałem. Wczoraj późno w nocy znaleziono na plaży osiem trupów, w tym zwłoki Andersa Van Neuka. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby zabito go, ponieważ dopuścił się gwałtu na jednym z własnych majtków. Gdyby tak się rzeczy miały, nie byłoby się nad czym zastanawiać, diabli go wzięli i dobrze mu tak! Niestety, na tym się sprawa nie skończyła. Odnaleziono dwóch ludzi Andersa. Byli poranieni, krwawili i ukrywali się wśród drzew. Kiedy ich wypytano, przedstawili całkiem inną wersję wydarzeń.

- Powiedzieli, że nakryli cię, gdy próbowałeś dosiąść Juliet - warknął Jonas. - A kiedy skoczyli jej na ratunek, rzuciłeś się na nich ze szpadą. We dwóch z lokajem poraniliście ich i zmusiliście do ucieczki.

Po tych słowach rozległ się zduszony pisk, a zaraz potem tępe uderzenie. To Beacom walnął głową o belkę.

- Beacoma nie było wczoraj w nocy na plaży - wyjaśnił spokojnie Varian. - Nie opuszczał statku.

Wilk zerknął na lokaja i wyduł wargi.

- Prawdę mówiąc, nie potraktowałem tej historyjki serio. Gabriel także nie, no i nie na darmo pokrwawił sobie kłykcie. Wycisnął z tych opryszków jeszcze jedną, zgoła odmienną wersję.

Varian wstał.

- Wobec tego możecie sobie wybrać taką, która wydaje wam się najbardziej prawdopodobna.

- Powiadają - Jonas przymrużył sceptycznie swe złote oczy - że wyskoczyłeś Bóg wie skąd i nim oprzytomnieli, rozciągnąłeś pięciu z nich na piasku. Wyglądałeś podobno jak wampir i trzepałeś peleryną jak nie-toperz skrzydłami.

Varian przez chwilę mierzył go wzrokiem, potem zabrał się znów do ubierania. Zdjął szeroki płaszcz z kołka i rzucił Beacomowi. Ten ode-rwał się z trudem od grodzi, udrapował pelerynę na lewym ramieniu swego pana i starannie zawiązał. Następnie podał Varianowi szpadę i zapiął pas.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał od niechcienia Dante.

- Pańska córka oznajmiła mi, że wyjeżdżam do Anglii. Jak najszybciej.

- Ach, tak? A tobie nie spodobał się ten plan?

- Wasze plany sami całkiem obojętne. Natomiast nie podoba mi się, kapitanie Dante, że traktujecie mnie jak pionka, którego należy się pozbyć, gdy zaczyna się gra na serio.

- Przykro mi, że odniosłeś takie wrażenie. Jest ono bardzo dalekie od moich intencji.

- Doprawdy?

Simon skinął głową.

- Jak najbardziej. Prawdę mówiąc, w ogóle nie zamierzałem odsyłać cię do Anglii. A już z pewnością nie pozbywałem się w tym celu jednego z najsmiglejszych statków i najlepszego, wprost nieocenionego kapitana!

-Więc dlaczego...

Pytanie wyrwało się z ust Variana, nim zdążył ugryźć się w język. Odpowiedź była oczywista. Tak postanowiła Juliet. To był jej pomysł, mimo że próbowała zrzucić winę na kogoś innego. No, cóż... Był w końcu jej zakładnikiem, zdobywcą... Mogła zrobić z nim co zechce.

- Kapitan „Wichru” ładuje na statek zapasy żywności i słodkiej wody - mówił Dante. - Wieczorem będzie gotów do drogi. Wszystkie papiery i dokumenty, które mogą ci się przydać, są już z powrotem na pokładzie „Mściciela”. Kiedy tylko będziesz gotów...

- Już jestem gotów - odparł szorstko Varian. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, kapitanie, odprowadzę cię na statek, a stamtąd przeniosę się od razu na pokład „Wichru”. Nie darowałbym sobie - dodał, siląc się na uśmiech - gdybym po powrocie do Anglii nie mógł się pochwalić, że byłem na pokładzie osławionego „Mściciela”!

- Jak sobie życzysz. Czy twój służący poradzi sobie z kufrem, czy mam kogoś przysłać?

- O, poradzę sobie doskonale, sir! - Beacom był tak szczęśliwy, że naprawdę wraca do domu, iż gotów był pomknąć na pokład z kufrem na głowie. - Zapewniam, że nie trzeba będzie na mnie czekać!

Simon skinął głową i ruszył do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się i obejrzał na Variana.

- Może choć trochę pocieszysz cię to, że decyzja o odesłaniu cię do Anglii została podjęta, zanim opuściliśmy Gołębią Rafę. Wziąwszy pod uwagę wszystko, co wydarzyło się od tamtej pory, Juliet nie będzie chyba upierać się przy swej decyzji.

- Nie wydarzyło się nic takiego, co by zachwiało jej postanowieniem - odparł spokojnie Varian. - Tyle już wiem.



Juliet postanowiła twardo, że rana na udzie nie powstrzyma jej od codziennych zajęć. Chociaż materiał spodni był szorstki, a wysokie buty

drażniły świeże skaleczenia, spędziła cały ranek z Gabrielem na pokładzie „Herosa”. Nie komentowała otartych ze skóry kłykci brata, on zaś nie zadawał kłopotliwych pytań na temat sińców na jej twarzy. Wystarczyło popatrzeć sobie w oczy. Oboje wiedzieli, co się wydarzyło. Należyło przyznać, że tym razem Gabriel potrafił utrzymać język na wodzy, choć zaszokowało go zachowanie siostry. Tego ranka niejednokrotnie była bliska płaczu.

Po południu „Heros” i „Pogromca” podniosły kotwicę, a Juliet, chcąc nie chcąc, wróciła na „Żelazną Różę”. Sześć godzin później, gdy zapadał zmierzch, stała na pokładzie rufowym swojego statku i obserwowała, jak załoga „Wichru” zręcznie wyprowadza statek z zatłoczonej przystani. Dziesiątki zwisających z olinowania latarenek rzucały migotliwe blaski na powierzchnię wody, gdy okręt wypływał na otwarte morze. Świątełka gasły jedno po drugim. Teraz, gdy statek wynurzył się spod osłony wyspy, bezpieczniej było zmierzać po ciemku ku linii horyzontu.

Juliet odjęła lunetę od oka. Dostrzegła wysoką postać kapitana Brockmana na pokładzie rufowym. Nietrudno było go rozpoznać po grzywie siwych włosów. Poza nim nie dostrzegła w momencie odjazdu żadnych znanych sobie osób. W każdym razie nie było nikogo o szerokich barach, ciemnych włosach, w kapeluszu na bakier.

Tym lepiej.

Jak dotąd, przez cały dłużyący się nieznośnie dzień, zdołała zachować twarz. Była ustawicznie zajęta i starała się nie myśleć o Varianie. Ani razu nie weszła do swojej kajuty, gdzie wszystko przypominałoby jej o nim. Łóżko, biurko, galeria, nawet krzesło służyły im do całkiem innych celów, niż można się było tego spodziewać. Nie byłaby w stanie patrzeć na to wszystko, nie odczuwając boleśnie nieobecności kochanka.

Jak mogła pozwolić sobie na takie zadurzenie? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że gdy tego ranka ujrzała Variana stojącego przy trapie i przygotowanego do opuszczenia statku w towarzystwie jej ojca, poczuła, że serce jej pęka, a odłamki osuwają się do stóp. Chciała zawołać, że to pomyłka, że wcale nie pragnie się go pozbyć, że to, co tydzień temu wydawało się jej takie logiczne i nieodzowne, przepełnia ją teraz poczuciem bezradności i powoduje zamęt w jej myślach.

Od samego początku była szczerą względem siebie i względem niego. Mówiła bez ogródek, czego chce. Wzięła Variana do swego łóżka, bo go pożądała, bo pragnęła zamroczenia namiętnością i ulgi, jaką dawało fizyczne zbliżenie. Chciała uśmierzyć swój niepokój, pozbyć się napięcia, które utrudniało jej koncentrację. Oczekiwała, że gdy to szaleństwo się wypali, będzie znów sobą, odzyska dawną wytrzymałość, siłę, odporność.

Zamiast tego jednak stała się roztargniona, nie mogła się skupić na najprostszej rzeczy. Znane na pamięć czynności, takie jak obliczanie odległości i prędkości czy wytyczanie kursu, wydawały się jej zadaniem ponad siły. Nathan Crisp marszczył brwi i strofował ją za niedorzeczne pomyłki. Skaleczyła się o obramowanie busoli. Omal nie zleciała głową w dół z zejściówki. Wpatrywała się tępym wzrokiem w Nate'a, gdy po raz drugi i trzeci zadawał jej to samo pytanie.

Przyszło jej na myśl - i to nie raz - że w taki właśnie sposób zachowywała się jej matka, kiedy minął ustalony termin, a ojciec nie wracał na Gołębią Rafę. Jeśli tak wygląda miłość, to może i lepiej, że Varian St. Clare odjeżdża raz na zawsze!

Jeśli tak wygląda miłość, to jest czymś idiotycznym, sprzecznym z rozumem. Nie miała przecież złudzeń. Nie było mowy o wspólnej przyszłości. Pochodzili z różnych światów i żadne nie czułoby się dobrze w świecie tego drugiego. On kierowała się w życiu instynktem i namiętnością, on dostosowywał się do reguł rządzących londyńskim towarzystwem.

Za miesiąc Varian znajdzie się w Anglii. Będzie się przechadzał nad Tamizą i opowiadał urzeczonym słuchaczkom o swych przygodach wśród dzikich piratów. Wróci do swojego świata, gdzie otaczają go roje pięknych kobiet w powiewnych toaletach, kusząc białym ciałem i perfumowanym biustem. Przypomni sobie o powinnościach księcia Harrow i spełni swój obowiązek - z większym lub mniejszym zapałem. Pojmie za żonę tę, którą wybrała mu matka, będzie patrzył w oczy swej oblubienicy, przysięgnie jej przed ołtarzem miłość małżeńską. A potem zabierze ją do łóżka, weźmie w ramiona...

Wydała zdławiony jęk i odwróciła się do relingu. Stojący tuż za nią Nathan Crisp uniósł jedną brew.

- Jak mi dasz rozkaz, to zdążę jeszcze zasygnalizować do kapitana Brockmana, żeby zawrócił.

- Po co, na litość boską, miałyby wracać?!

Nathan skrzywił się.

- Żeby nam wszystkim oszczędzić kłopotów. Przez cały dzień miotasz się jak kocica z poparzoną tyłkiem. Wątpię, żeby ci się humor poprawił po jego odjeździe. Powiedz tylko słowo, a dam sygnał! Raz-dwa ściągniemy go znowu na pokład i pozbędziemy się strachu, że każesz nam strzelać do swoich.

- Czasami - wycodziła Juliet - zapomina się pan, panie Crisp.

- A ty czasami - odparł, przysuwając się tak blisko, że czuła jego oddech na policzku - tak bardzo chcesz udawać obojętną, że ranisz tym sama siebie, psiakrew! Jeśli chcesz, żeby wrócił, to ci go sprowadzimy.

To proste! Nikt ci tego nie weźmie za złe, zwłaszcza po tym, jak się zachował zeszłej nocy.

-Zeszłej nocy?...

Na widok jej osłupienia skrzywił się jeszcze bardziej.

- A co? Myślałaś, że utrzymasz to w sekrecie? Nie na darmo twój brat wziął w obroty każdego zbira z „Gołębiczy"! Cała załoga wie. Pewnie i cała flota. Nie ma na pokładzie ani jednego, który by nie chciał uścisnąć twemu księciu ręki za to, że wyprawił tego holenderskiego bękartą do piekła. Dawno mu się to należało! - Urwał i popatrzył na ujście zatoki, gdzie „Wicher" nabierał wiatru w żagle i był coraz bliżej otwartego morza. - Została ci najwyżej minuta, dziewczyno.

Juliet odwróciła głowę i spoglądała za odpływającym statkiem. Większość latarni pogaszono i „Wicher" pogrążał się w coraz głębszym mroku, płynąc na wschód pod wielkimi trzepoczącymi żaglami, które białąły jeszcze w ostatnich promieniach gasnącego światła.

Juliet nie odrywała wzroku od statku, póki nie okrążył wyspy i nie zniknął im z oczu.

- Podniesimy kotwicę o świcie - powiedziała spokojnie. - Dopilnuj, żeby wszystko było gotowe.

Natan cofnął się o krok.

- Wedle rozkazu, kapitanie.

Juliet przechyliła głowę i spojrzała w górę.

- Niebo czyste, zapowiada się piękna pogoda. Jeśli wiatr nie zmieni kierunku, powinniśmy w ciągu dwóch dni dotrzeć do Czarcich Zębów. Przez ten czas, panie Crisp - spojrzała mu prosto w oczy - będziemy mieli tyle do roboty, że z pewnością zapomnimy o tej rozmowie.

- Tak jest, kapitanie - przytaknął po sekundzie milczenia. - Z całą pewnością.

## 20

Kręty łańcuch wysp, znanych jako Czarcie Zęby, idealnie nadawał się na zasadzkę. Dziesiątki małych, bezludnych atoli i wysepek tworzyło coś w rodzaju wydłużonego półksiężyca o długości około pięćdziesięciu mil wzdłuż zachodniego brzegu Cieśniny Florydzkiej. Simon Dante zapatrzył pozostałych kapitanów w szczegółowe mapy raf, pozostawiając każdemu z nich wybór najodpowiedniejszego miejsca dla swego statku.

Niektórzy byli zwolennikami szybkiego ataku. Mieli zamiar zacząć się za jedną z wysp, póki nie ukażą się galeony, a potem rzucić się na najbardziej ślamazarną sztukę i odciągnąć ją na bok.

Hiszpanie znani byli z tego, że nie okazują litości nawet swoim rodakom. Jeśli jakiś okręt spóźnił się albo z jakiegoś powodu odłączył od konwoju, *capitan-general* uznawał zwykle, że nie warto narażać na szwank reszty floty. Pozostawiano więc opieszale galeon na łaskę i nie-łaskę rabusiów, podobnie jak rzuca się ochłap surowego mięsa stada wygłodniałych wilków.

Tym razem Hiszpanie nie zdawali sobie sprawy, jak wygłodniałe są drapieżniki, z którymi przyjdzie im się zmierzyć. Nie zaspokoi ich kilka nędznych stateczków. Okręty kaperskie rozproszą się wśród raf na pięćdziesięciomilowym odcinku i będą, w pojedynkę, dwójkami lub trójkami, wabić Hiszpanów w pułapkę bez wyjścia.

„Żelazna Róża” zmierzała w stronę bliźniaczych atoli, położonych pośrodku łańcucha Czarcich Zębów. Na mapach Dantego oznakowane były jako Rafa Hiszpana i Rafa Francuza. Nazwano je tak od dwu statków, hiszpańskiego i francuskiego, które zostały właśnie tutaj zaatakowane podczas poprzednich polowań. Choć z perspektywy znacznie głębszej Cieśniny Florydzkiej wyglądały całkiem niewinnie, wysepki znajdowały się w miejscu, gdzie dno morskie wznosiło się gwałtownie, tworząc podwodne granie i półki skalne. Występujące tu prądy morskie i zatokowe zaciągnęły niejedną nieostrożny okręt na płycizny o głębokości nie większej niż dwa sążnie\*.

Kiedy galeon znalazł się już w pułapce, przyczajony statek kaperski mógł strzelać ze wszystkich dział do ofiary tak długo, aż na maszcie pojawiła się biała flaga na znak kapitulacji.

Simon Dante postanowił wykorzystać jako przynętę „Gołębicę”. Była to znacznie rozsądniejsza decyzja niż zatopienie holenderskiego statku, czego z początku domagała się Juliet. Wilk zdecydował, że pozostawi zarówno statek Van Neuka, jak i swego „Mściciela” w takim miejscu, że nadciągający konwój od razu je zauważy. Statki będą robiły wrażenie uszkodzonych i ledwie utrzymujących się na powierzchni. Niewielu hiszpańskich kapitanów nie rozpozna na pierwszy rzut oka charakterystycznej sylwetki „Mściciela”. Jeszcze mniej znajdzie się takich, w których wrodzona arogancja nie zatrumfuje nad rozważą jeśli nadarzy się okazja schwytania osławionego *Pirata Lobo*.

Na razie trzeba było ogołocić „Santo Domingo” ze wszystkich dział i moździerzy. Miały zostać rozmieszczone wzdłuż brzegów po obu stronach

\* Dwa sążnie, czyli 3,6 metra.

wąskiego przesmyku pomiędzy Rafą Hiszpana i Rafą Francuza. Można było przepłynąć tamtędy tylko w pojedynkę. Jeśli galeony spróbują dotrzeć do „Mściciela” przez rafę, utkną w przesmyku i dostaną się w krzyżowy ogień dwóch baterii rozstawionych na wybrzeżu. „Żelazna Róża” i „Christiana” będą tymczasem czekać w ukryciu za wyspami, a „Santo Domingo” zablokuje Hiszpanom drogę ucieczki. Postanowiono również wzmocnić zwykłą obsługę dział o stu ludzi - po pięciu ochotników z każdego z pozostałych statków, który mógł sobie pozwolić na taki gest.

„Mściciel” wyruszył z New Providence na czele kaperskiej floty. Skierował się na północ, utrzymując szybkie tempo i omijając wyspy, wokół których zwykły krążyć hiszpańskie statki patrolowe. Po obu stronach „Mściciela” płynęły „Żelazna Róża” i „Christiana”, tuż za rufą zaś najnowsza zdobycz Wilka - „Gołębicą”. Załozde dano do wyboru: albo podporządkują się rozkazom nowego kapitana, Isabeau Dante, albo będą ścinać trzcinę cukrową na portugalskich plantacjach. Był to doprawdy imponujący widok, kiedy bez mała czterdzieści statków wypłynęło z portu, każdy z brytyjską flagą na maszcie. Simon Dante widział coś podobnego tylko raz, w przeddzień opuszczenia Portsmouth przez Morskie Jastrzębie, które sir Francis Drake wezwał do obrony Anglii przed inwazją hiszpańskiej Armady.



Zgodnie z przewidywaniami, Juliet w ciągu dnia była tak zajęta, że nieczęsto myślała o Varianie St. Clare. Gorzej bywało po zapadnięciu zmroku, kiedy musiała wrócić do kajuty. Jednak i tu po upływie trzech nocy udawało jej się zasnąć prawie natychmiast, bez marzeń o czyjejs ręce głaszczącej jej uda.

Nim dotarli do Rąf Francuza, dwaj kapitanowie odłączyli się od floty, by zastawić pułapkę na samym skraju Czarcich Zębów. Kapitan David Smith miał osobiste porachunki z Hiszpanami, dlatego też razem z kapitanem Peterem Wilburym postanowił zająć pierwszą z proponowanych pozycji. Ustalono, że wspólna salwa z pięciu statków obwieści przybycie zbrojnego konwoju, gdy Hiszpanie wpłyną do cieśniny. Potem zaś po kolei będą przekazywać sobie podobne sygnały z jednego posterunku do drugiego na całej pięćdziesięciomilowej długości Czarcich Zębów.

Juliet zarzuciła kotwicę na płyciźnie oddalonej o pół mili od niewielkiej wysepki. „Santo Domingo” zatrzymał się obok „Róży”, a „Mściciel”, „Christiana” i „Gołębicą” zajęły pozycje za Rafą Hiszpana. Simon



Dante, Pitt i Juliet wraz ze swymi kwatermistrzami i ogniomistrzami powiosłowali na brzeg, a potem przeszli się wzdłuż plaży. Szacowali wzrokiem zbocza wydm, szukając najdogodniejszych miejsc na stanowiska ogniowe. Sprawdzali, czy szlak wodny między dwiema rafami jest taki sam, jak zapamiętali. Przyjemną niespodziankę sprawił im rosnący w odległości niespełna piętnastu metrów od plaży gęsty las.

Z pięćdziesięciu dwóch armat, w które Hiszpanie wyposażyli galeon, cztery usunęto już wcześniej, by zastąpiły uszkodzone działa na pokładzie „Żelaznej Róży”. Obecnie trzeba było rozmontować trzydzieści kolubryn, dwanaście półkolubryn oraz sześć moździerzy i przetransportować je na łódź, dzieląc równo pomiędzy dwie wyspy. Wszystkich czekało kilkanaście dni wyczerpanej pracy, ale mieli do pomocy załogę „Gołębiczy” i dodatkową setkę ochotników, którzy w czasie akcji mieli obsługiwać baterie dział.

- Potrwa to ze dwa tygodnie - powiedziała Wilk z ponurą miną - jeśli nie będziemy oszczędzać rąk ani grzbietów. Jutro skoro świt wyślemy zwiadowców na rozpoznanie terenu. Niech poszukają kamieni, zetną kilka drzew i napełnią worki piaskiem do budowy umocnień. Chcę także, byśmy podzielili się na grupki i przeszukali wszystkie wyspy. Lepiej się upewnić, czy na któreś z nich nie zaszły jakieś niekorzystne zmiany od naszej ostatniej wizyty.

Pitt był tego samego zdania.

- Nie zaszkodzi wysłać parę łódek, niech się rozejrzą po okolicy.

- Musimy wyznaczyć zwiadowców - stwierdził Simon.

Przyglądał się przybijającym do brzegu szalupom, pełnym ludzi. Z jednej z nich wysiadła Isabeau. Na widok żony Wilk uśmiechnął się chytrze.

- Zgłaszam się na ochotnika. Razem z Beau sprawdzimy Rafę Hiszpana, a ty, Juliet... - pomachał ręką do kogoś z nowo przybyłych, kto zbliżał do nich przez plażę - weź ze sobą jednego z tych chłopców i znajdźcie dobry punkt obserwacyjny ponad linią drzew.

- Tak jest, ojcze.

Juliet odwróciła się, sądząc, że ujrzy mknącego ku nim wielkimi susami Lucifera albo uzbrojonego po zęby członka jej własnej załogi.

Zamiast tego zobaczyła Variana St. Clare'a. Szedł wielkimi krokami przez plażę, ciemne włosy opadały mu na twarz, długie nogi poruszały się tak raźnie, że Isabeau Dante musiała niemal biec, by dotrzymać mu kroku. Ubrany był w prostą białą koszulę i ciemne bryczesy. Przypasał szpadę u boku, a para pistoletów znajdowała się w skrzyżowanych na pierśi bandoletach.

W miarę jak zbliżał się do stojącej na brzegu morza grupki, jego kroki stawały się coraz wolniejsze. Lekko skłonił się Simonowi i zsalutował

w odpowiedzi na uśmiech Geoffreya Pitta. Potem podszedł do Juliet, wziął ją za rękę i bez żadnych dalszych wyjaśnień ruszył w stronę drzew, ciągnąc dziewczynę za sobą.

Była tak zaskoczona, że przeszła kilka kroków, nim oprzytomniała, wbiła obcasy w ziemię i zatrzymała się.

- Skąd się tu wzięłaś, u diabła?! Powinieneś być na „Wichrze”, w drodze do Anglii!

- Twój ojciec, w odróżnieniu od córki, która jest zbyt dumna i uparta, by słuchać rozsądnych argumentów, dał się przekonać, że bardziej się przydam tu niż w Anglii. Prawdę mówiąc, doskonale się z nim dogaduję, zwłaszcza od chwili, gdy zaczęliśmy dzielić się obserwacjami na temat upartych, samowolnych kobiet i roli, jaką odegrały w naszym życiu. Odkaż mi opowiedział o pierwszym spotkaniu z twoją matką, wiem już, że całkiem serio mówiłaś o tym owafaszeniu. Czy rzeczywiście byłaś w dzieciństwie taka nieznośna, że twoi bracia musieli cię związać jak kurczaka i zwiesić głową w dół z bukszprytu?

Juliet z otwartymi ustami spoglądała to na niego, to na rodziców. Żadne z nich nie miało skruszonej miny.

- Sama widziałam, jak „Wicher” odpływa- powiedziała, zwracając się do Variana.

- Bo odpłynął. Porucznik Beck nie był zachwycony perspektywą udania się do Londynu zamiast mnie, ale zrozumiał sytuację i spełnił swój obowiązek. Za to Beacom aż się rwał do wyjazdu i zaferował Beckowi swoje usługi w drodze powrotnej. Zabrał też do Londynu kilka moich pry wamych listów, w których wyjaśniam przyczyny swej nieobecności. Możemy już iść dalej? Czeka nas niezła wspinaczka, a mamy tylko dwie godziny, nim się ściemni.

Rzucił jej przelotny uśmiech i ruszył naprzód. Piasek chrzęścił mu pod nogami, gdy maszerował w stronę drzew.

Juliet spoglądała za nim w osłupieniu. Po chwili obejrzała się na rodziców. Oni jednak szli już do łodzi. Geoffrey i Nathan rozmawiali ze sobą. Kwaternistrz uśmiechał się szeroko i drapał po brodzie. Wyglądało na to, że dobrze wiedział o tym, że Varian spędził tych kilka dni na „Mścicielu”.

Zanim Juliet spojrzała ponownie w kierunku drzew, książkę oddalił się już o kilkaset kroków. Musiała się pośpieszyć, by nie stracić go z oczu. Nie miała jednak zamiaru od razu podejść do niego. Myśli jej wirowały szaleńczo. Nie zdołała jeszcze oswoić się z myślą, że St. Clare nadal tu jest, ani pogodzić z tym, że jej rodzony ojciec ponad godzinę dyskutował z nią o rozmieszczeniu dział i stanowisk obronnych i nawet jej nie uprzedził, że coś wisi w powietrzu!

Gniew uskrzydlił jej kroki i odległość między nią a Varianem znacznie się zmniejszyła. Na wyspie był jeden wysoki szczyt i szereg pomniejszych, które tworzyły długą spadzistą grań, podobną do kości grzbietowej o sterczących kręgach, należącej do jakiegoś przedpotopowego stwora. Ścieżka, o ile można ją było tak nazwać, była wyboista i stroma. Przecinały ją kamienne występy porośnięte wysoką trawą i splecione chaszczce. Z pewnością od dłuższego czasu nie powstała tu ludzka stopa. Za to widok, kiedy zbliżyli się do szczytu, okazał się równie imponujący jak z punktu obserwacyjnego na Gołębiej Rafie. Roztaczał się przed nimi rozległy morski pejzaż. Woda lśniła w promieniach słońca jak lekko pofałdowana cynowa blacha. Cieśnina ciągnęła się przez dwadzieścia mil, aż do wybrzeża Florydy. Na północy najbliższa wyspa z łańcucha Czarcich Zębów wyglądała jak zwiewna błękitna mgiełka. Na południu niczym garb na grzbiecie delfina wznosiła się Rafa Hiszpana. Najwyższy skalny szczyt otoczony był pierścieniem drzew i pasem bladoróżowego piasku u podnóża.

Juliet straciła Variana z oczu, wiedziała jednak, że nie mógł odejść daleko. Przecięła wąski pas wysokiej, bujnej trawy i miała już wspiąć się na ostatnią skalną półkę, kiedy znów go ujrzała. Opierał się o leżący na uboczu głaz. Długie nogi były skrzyżowane w kostkach, a ramiona na piersi.

- Czemu się zatrzymałeś? Przecież to jeszcze nie szczyt.

- Myślę że i tak zapędziliśmy się zbyt daleko. Nie sądzisz, że to odpowiednie miejsce?

- Odpowiednie? Na co?

- Na wyjaśnienie wszelkich nieporozumień między nami.

Juliet rozejrzała się dokoła. Nie po to, żeby się przekonać, czy są sami, ale żeby nie patrzeć mu w oczy.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Czyżby? Kiedy wyszedłem na plażę, omal nie rzuciłem się na ciebie, by wziąć cię natychmiast, na piasku, choćby wbrew tobie, na oczach twojej matki i ojca... a nawet Boga Najwyższego!

- Zabiliby cię, gdybyś tylko spróbował!

Varian uśmiechnął się.

- Bardzo wątpię. Prawdę mówiąc, to właśnie twoja matka poradziła mi, bym zaciągnął cię w krzaki i nie puścił, dopóki nie odzyskasz rozumu. Powiedziała, że tylko w ten sposób twój ojciec zdołał ją przekonać, że z nim będzie silniejsza niż bez niego.

Juliet spojrzała na niego, podejrzliwie mrużąc oczy. Zauważyła, że Varian pozbył się bandoletów z pistoletami. Leżały obok niego na kamieniach razem z pendentem i szpadą.

-Naprawdę tak powiedziała?

- Dodała jeszcze, że jesteś bardzo do niej podobna i że nieraz tego żałuje. Wiecznie starasz się udowodnić, że dasz sobie radę sama, że nie potrzebujesz niczyjej pomocy i zapominasz o tym, że inni mogą potrzebować jej od ciebie.

- Chcesz powiedzieć, że potrzebujesz mojej pomocy?

- Cóż, taką mam słabostkę, odczuwam potrzebę zgłębienia tego, co niepojęte. Zresztą, może potrzeba to zbyt silne słowo. Chyba stosowniejsze będzie pragnienie. Pragnę zrozumieć ciebie i siebie samego.

- Czemu sam się prosisz o kłopoty? Przybyłeś tu, by spełnić swą powinność wobec króla. Uczyniłeś to. Dwa tygodnie temu rwałeś się do tego, by wrócić do Anglii, łagodnych zielonych wzgórz i uporządkowanego życia. - Machnęła niedbale ręką, wskazując błękitny przestwór wód.  
- Trzy dni temu miałeś szansę powrotu. Nie skorzystałeś z niej. A teraz ja mam ci pomóc w zrozumieniu, czemu ją odrzuciłeś?!

- Sam dobrze wiem, czemu tak postąpiłem, do diabła! Widzisz, zmarnowałem całe dwadzieścia osiem lat życia, kręcąc się bez sensu po ścieżce, którą mi wytyczono od dnia narodzin. Powiedziałem ci, że zostałem księciem z braku innych kandydatów, i w pewnym sensie jest to prawda. Ale gdybyś dziesięć lat temu ujrzała mnie w towarzystwie moich braci, chyba nie potrafiłabyś rozróżnić żadnego z naszej trójki. Ubieraliśmy się tak samo, rozmawialiśmy w ten sam sposób, pobieraliśmy nauki u tych samych guwernerów. Ba! Pewnie i w łóżku zachowywaliśmy się identycznie, bo wszystkich nas zabrano do tego samego burdelu, by wprowadzić w świat zmysłowych uciech i w tajniki kobiecego ciała.

Mój najstarszy brat zajął się polityką, gdyż tego właśnie od niego oczekiwano. Średni studiował prawo i finanse, by nasze interesy rodzinne nie podupadły. Ja wstąpiłem do wojska, bo tak zazwyczaj postępuje najmłodszy z synów. Wszyscy -jak jeden mąż - wyraziliśmy zgodę na poślubienie wybranej dla nas panny. Ty przynajmniej dzięki rodzicom wiedziałaś, że miłość istnieje, i mogłaś się jej przyjrzeć z bliska. Ale my nigdy nie zetknęliśmy się z czymś tak... przyziemnym i niecywilizowanym. Nasi rodzice okazywali sobie niezwykłą uprzejmość, gdy dwa lub trzy razy do roku uczestniczyli w tych samych balach czy przyjęciach dworskich. Ale nigdy nie trzymali się za rękę i nigdy - broń Boże! - nie uśmiechali się do siebie. Kiedy ojciec umarł, matka zatroszczyła się przede wszystkim o stosowne żałobne stroje dla nas wszystkich. Nie miałem pojęcia, że miłość może sprawiać fizyczny ból. Aż do chwili, gdy ujrzałem cię na szczycie Gołębiej Raty, kiedy rozpostarłaś ramiona i przysięgałaś, że pewnego dnia popłyniesz na drugą stronę horyzontu, żeby się

upewnić, czy rzeczywiście grasujątam smoki. Nie masz pojęcia, jakie to było dla mnie bolesne! Podczas gdy mnie po raz pierwszy w życiu przebiegło przez myśl podejrzenie, że istnieje coś takiego jak miłość, ty byłaś przekonana, że za horyzontem czają się legendarne stwory, czekając tylko na to, byś je odkryła!

Chyba właśnie w tym momencie dotarło do mnie, co oznacza gwałtowny trzepot w mojej piersi. Właśnie wtedy zakochałem się w tobie, chociaż i potem zdarzały się chwile, o których myślałem, że mogły być początkiem mego uczucia. Miałem trzy dni i trzy bardzo długie noce na dokładne przemyślenie sprawy, i łudziłem się, że i tobie było choć trochę przykro, kiedy mnie odesłałaś...

Juliet wpatywała się w niego, widziała poruszające się wargi, słyszała wypowiedane słowa. Do momentu, gdy Varian powiedział, że się w niej zakochał. Od tej chwili umysł odmówił jej posłuszeństwa.

- Wiem, że od samego początku dałaś mi jasno do zrozumienia, że zależy ci tylko na przelotnej rozrywce - dodał zbity z tropu jej uporczywym spojrzeniem. - Ale myślałem... przypuszczałem...

Kiedy nadal wpatrywała się w niego bez słowa, westchnął i przegarnął ręką włosy.

- Oczywiście liczyłem na zbyt wiele, prawda? Przypuszczałem, że zależy ci na mnie choć troszkę. Że postanowiłaś mnie odesłać nie dlatego, że ci się *znudziłem*, tylko z obawy, że to już *nie jest* zwykła rozrywka, tylko coś więcej...

Juliet poczuła na rzęsach piekące łyzy. Biała koszula Variana i jego ciemne rozwichrzone włosy tworzyły teraz zamazaną plamę. Mrugnęła oczyma, by widzieć wyraźniej, i łyzy popłynęły jej po policzkach, a wargi rozchyliły w cichutkim jęku. To była prawda! Wyczytała ją w spojrzeniu Variana. Mówiło, jak bardzo ją kocha, jak jej potrzebuje, jak rozpaczliwie pragnie, by i ona zapragnęła go i pokochała z równą siłą. Było to równocześnie przerażające i podniecające. Jaką straszliwą władzę miała nad inną ludzką istotą... i jaką władzę Varian miał nad nią! Nie była to potęga zdobyta z mieczem w rękę, ale siła działająca w ciszy, wyrażająca się dotknięciem lub cieniem uśmiechu.

- Kazałam ci odejść - szepnęła - bo nie wierzyłam...

Odsunął się od głazu i podszedł bliżej.

- W co?

- Nie wierzyłam, że mógłbyś pokochać kogoś takiego jak ja.

Uniósł dłoń i koniuszkiem palca otarł łzę spływającą po jej policzku.

- Kogoś takiego jak ty? - szepnął. - Twój widok zapiera mi dech w piersiach. Przy tobie chciałbym mieć siły stu mężczyzn. Przewyższasz

każdą z cam, z jakimi miałem zaszczyt i przyjemność obcować. Dla ciebie z największą radością do końca bycia będę zabijał smoki. Ja miałbym cię nie kochać?!

Juliet poczuła na policzkach gorący rumieniec. Ich spojrzenia spotkały się przelotnie. Z oczu płynęły jej łzy z takim uporem, jakby nigdy nie miały przestać. Końce wszystkich palców Variana były już wilgotne. Próbował teraz kciukiem zatamować ten potop, ale ona płakała i płakała.

- Ty też myślałaś, że nigdy ci się to nie zdarzy?

Potrząsnęła głową.

- Nie wierzyłam, że spotka mnie coś takiego!

- Al: spotkało?

Cóż za głupie pytanie. Wiedział przecież, że tak! Wiedział, zanim sama się domyśliła, co oznacza szaleńczy niepokój w jej piersi, ociążalność i żar całego ciała, radzić z bliskości Variana, gdy przez całą noc tulił ją w ramionach. To przewyższało wszelkie jej oczekiwania. Nie miała pojęcia, jak i kiedy się to stało ale nie było to chwilowe zauroczenie. Przeniknął do jej krwi, stłł się cząstką jej istoty, niezbędną jak samo życie.

Wpatrywała się uparcie w zagłębienie u podstawy jego szyi, nie mogła podnieść wzroku ponad linię obojczyka. Nawet wówczas, gdy odchylił głowę do tyłu, próbując zająć jej w oczy, spuszczała je uparcie. W końcu nie miał innego wyboru. Zanurzył długie palce we włosach dziewczyny i ostrożnie odwrócił jej twarz ku sobie. Widać wyczytał z jej lśniących oczu odpowiedź na swoje pytanie, bo uśmiechnął się i przymknął powieki. Zdawało się jej, że usłyszała cichutki szept: „Dzięki Ci, Boże!”, ale nie była tego pewna, bo w następnej sekundzie całował już jej policzki, oczy, sknie, czoło... Dwa czy trzy razy musnął lekko wargami jej usta, zanim spadł na nie w *zaborczym, nieustępliwym* pocałunku. Wówczas objęła go za szyję, a on unosił ją do góry i wirował z nią w oszołamiającym tempie.

Słyszała jak raz po raz powtarza jej imię. Zadrżała gwałtownie, uświadomiwszy sobie, że pragnę słuchać tego szorstkiego, zdławionego namiętnością głosu do końca życia. Jej usta poruszyły się, nie wiedziała jednak, czy wypowiedane przez nią słowa dotarły do kochanka. Jedno nie ulegało wątpliwości. Znikły jej wahania, pragnęła powiedzieć mu, że go kocha a to na razie wystarczało.

# 21

*Hawana, piętnasty września 1614 roku*

Jednym z trzydziestu dwóch okrętów wojennych, stojących na kotwicy i otaczających przystań zbrojnym półkolem, była „Contadora”. Należała też do grupy największych jednostek bojowych, z których składała się eskorta konwoju. Wewnątrz pierścienia galeonów znajdowało się pięćdziesiąt dziewięć staków handlowych, których kapitanowie z coraz większym niepokojem myśleli o zbliżającym się rejsie do Hiszpanii. Już w lecie dowódcy statków, gubernatorzy wysp i oficerowie wszystkich garnizonów na terenie Spanish Main wykazywali niezwykle podniecenie. Wiedzieli, jakie to ważne, by liczna flota dotarła bez przeszkód do Hiszpanii. Królowi zależało na okrętach i na ich cennym ładunku. A jeszcze bardziej niż srebra i złota Hiszpania potrzebowała swych najlepszych żołnierzy i oficerów, jeśli plany nowej inwazji na Anglię miały zostać uwieńczone sukcesem.

Zwykłych marynarzy oraz oficerów niższych stopni nie uprzedzono, że wiozących sktrby żaglowców będzie znacznie więcej niż zazwyczaj. Nie poinformowano ich również o tym, że Spanish Main straci największe ze swych okrętów bojowych. Marynarze byli z natury gadatliwi i szybko zaczęli się przechwalać, że Hiszpanie zamierzają pomścić klęskę zadaną ich wielkiej flocie w 1588 roku. Nie byłoby już mowy o całkowitym zaskoczeniu wroga na Starym Kontynencie, a w dodatku rozgorzałyby otwarta wojna z angielskimi kaperami na Karaibach.

Nawet wśród tych, którzy wiedzieli, że coś wisi w powietrzu, niewiele znało szczegóły planowanej akcji, a jeszcze mniej zdawało sobie sprawę z ogromu przedsięwzięcia, dopóki ich okręty nie przybyły do Hawany na umówione spotkanie i póki nie ujrzeli na własne oczy zatłoczonej przystani. Równocześnie większość kapitanów informowała o wzmożonych atakach na żaglowce zmierzające do portu w Hawanie. Każda przybywająca grupa donosiła o francuskich lub holenderskich piratach, gromadzących się coraz liczniej w pobliżu portu, niczym roje much zlatujących się do padliny. Siedem statków zatopiono albo porwano, dwanaście zaś wróciło do portów macierzystych, nie chcąc stracić cennego ładunku.

„Contadora” przybyła z Vera Cruz. Miała na pokładzie czterdzieści osiem ciężkich dział nie musiała więc obawiać się kaperów, którzy nękali

przede wszystkim mniejsze i źle strzeżone statki handlowe. Kapitan „Contadory” Luis Ortoló został odwołany od swych zwykłych obowiązków, czyli patrolowania wybrzeży w okolicach Kartagenu. Po raz pierwszy od pięciu lat miał ujrzeć ojczystą Hiszpanię. Podczas podróży, na jego galeonie będzie płynęło dwudziestu trzech znamienitych pasażerów, między innymi były gubernator Nueva Espana wraz z rodziną. Na pokładzie „Contadory” znalazł się również kapitan Diego Flores de Aquayo z grupą swych oficerów. Oni także ucierpieli wskutek napaści piratów. Zdumiewająca wieść o zdobyciu „Santo Domingo” rozniosła się niczym pożar wśród hiszpańskich żaglowców stojących na przystani i znacznie zwiększyła panujące tam od pewnego czasu napięcie. Jeśli okręt tak wielki i tak znakomicie uzbrojony uległ zuchwałej napaści, to jaką nadzieję ocalenia mają pomniejsze statki?!

Nieco wcześniej tego samego wieczora otyły, czerwonołocy Aquayo powtórzył raz jeszcze swą historię, tym razem na użytek nowych pasażerów, którzy zjawili się na pokładzie „Contadory”. Opowieść ta za każdym razem stawała się coraz barwniejsza i tego wieczoru galeon „Santo Domingo” uległ przemożnej sile siedmiu ciężkich okrętów wojennych. Załoga galeonu stawiała bohaterki opór, zużyła niemal całą amunicję i zadała wrogom dotkliwe straty. Podczas bitwy zatopiono co najmniej jeden okręt nieprzyjacielski. Ostatecznie jednak kapitan Aquayo skapitulował, wiedziony troską o życie członków swej załogi - przecież piraci wymordowaliby ich co do jednego!

Kapitan nie szczędził pochwał pod adresem don Cristóbalu Nufio Espinosa y Recalde z racji jego męstwa i nieugiętego hartu. Walczył z wrogami do ostatniej chwili - najlepszym dowodem są jego świeże blizny. Odstrzelono mu płatki obojga uszu. Zniekształcone małżowiny, każda zakończona czarnym strupem, były widoczne mimo starannie ułożonej fryzury bohatera.

Podczas opowieści kapitana Aquayo Recalde zachowywał powściągliwe milczenie, choć w jego hebanowych oczach pojawiał się błysk zniecierpliwienia, gdy przechwałki kapitana stawały się coraz bardziej niewiarygodne. Nie było jednak żadnych wątpliwości co do osoby napaśnika. Gubernator don Felipe Mendoza szczerze pogratulował kapitanowi Aquayo, że udało mu się w tej sytuacji ująć z życiem.

- *La Rosa de Hierro*. Żelazna Róża! - Gubernator potrząsał głową ze zdumieniem. - A myśmy sądzili, że to tylko nazwa statku! Wiedzieliśmy, oczywiście, że synowie *Pirata Lobo* żeglują pod jego szkarłatną flagą, ale żeby córka?! Musi być z niej odrażająca herod-baba, w której żaden prawdziwy mężczyzna nie dopatrzy się kobiecych uroków!



Po tych słowach rozległ się pomruk ogólnej aprobaty. Wśród siedzących za stołem gości, którzy raczyli się doskonałym winem i wykwintnymi potrawami, były trzy ciemnowłose i samookie piękności - żona gubernatora i jego dwie córki. Jedna miała siedemnaście, druga piętnaście lat i żadnej z nich nie wolno było opuszczać kajuty bez opieki duenny. Nic dziwnego, że obiad na statku w towarzystwie wielu młodych, przystojnych oficerów przyprawił obie panny o rumieńce i brak tchu.

- Czy to prawda, *senor caption*? - spytała starsza. Jej podniecony szept sprawił, że Recalde podniósł wzrok znad talerza. - Istotnie jest tak niezgrabna, że można ją wziąć za mężczyznę?

- Nasze spotkanie było bardzo krótkie, *senorita Lucia*.

- Dajże spokój, *don Cristóbalu!* - huknął *Aquayo*. - Nie mogłeś przecie zapomnieć tej figury jak żelazna beczka ani twarzy tak szpetnej, że odstraszyłaby samego *Belzebuba!* Gdybym miał taką córkę, z samego wstydu trzymałbym ją w piwnicy pod kluczem!

Spojrzenie *Recaldego* stwardniało.

- Nie twierdzę, że zapomniałem jej twarz, *senor capitán-general*. Jej obraz wypalił się w moim umyśle i nie zatrze się, dopóki nie ujrzę jej znów przed sobą. W kajdanach, oczywiście. I z pętlą na szyi.

- Sądząc z nagrody, jaką pan obiecał temu *Holendrowi*, jestem pewien, że twoje życzenie wkrótce się spełni, *don Cristóbalu!*

- Żywię podobne nadzieje co do jej ojca - przyznał kapitan „*Contador*”. - Wspomniał pan straszne imię *Belzebuba*. Otóż, moim zdaniem, *Wilk* to jego najbliższy krewny! Zjawia się nie wiedzieć skąd i jak grom z jasnego nieba spada na nasze okręty! Atakuje słabych i silnych - bez różnicy. Nie lęka się niczego, ani naszych armat, ani przewagi zbrojnej, ani potęgi!

- Ale jest człowiekiem - odparł zimno *Recalde*. - Jeśli go zranisz, będzie krwawił. Jeśli strzelisz mu w serce, umrze.

- Problem polega na tym, *don Cristóbalu* - wtrącił się któryś z oficerów - że trzeba podejść dość blisko, jeśli chce się kogoś zranić lub zabić. Nie ma wśród nas nikogo, kto mógłby się pochwalić, że stanął twarzą w twarz z *Simonem Dante*.

*Recalde* nie odpowiedział nic. Jego największym marzeniem było rozprawić się z kimś z rodziny *Dante* - z ojcem, z córką... wszystko jedno. Był przed opuszczeniem *Hawany*. Jakież by to było wspaniałe preludium do nowej inwazji na *Anglię!* Pokonanie najgroźniejszego z jej *Morskich Jastrzębi!*

Zdobycie przez piratów „*Santo Domingo*” - i to wówczas, gdy *galeon* znajdował się pod jego komendą - było haniebną zbrodnią której *Recalde* nie mógł puścić płazem. Zemści się, choćby musiał czekać nie

wiem jak długo! W tych okolicznościach powrót do Hiszpanii nie był dla don Cristóbalą przyjemnością, lecz przeszkodą. Ileż mogło się zmienić od chwili obecnej do szczęśliwego zakończenia wojny z Anglią! *La Rosa* mogła dostać się w ręce innego wroga. Zginać podczas napaści na kolejny okręt. Wypaść za burtę i utonąć. A wówczas Recalde nie mógłby dopilnować osobiście, by zapłaciła za swe zbrodnie!

W tym momencie konwersacja potoczyła się naturalnym torem ku planowanej inwazji na Anglię. Nikt jakoś nie zauważył, że Recalde nie bierze udziału w dyskusji. Nikt z wyjątkiem Lucii, która wpatrywała się przez cały wieczór w kapitana, jakby był smakowitym kęsem rzadko spotykanego, egzotycznego przysmaku.

Zauważywszy, że panna go obserwuje, Recalde pozwolił sobie również na zuchwałe spojrzenia. Jego wzrok przesunął się po szyi Lucii, aż do rowka między jej piersiami. Biust siedemnastolatki był niewielki i płaski, ale zgodnie z wymogami ostatniej mody jej piersi, uniesione w górę i mocno ściśnięte, całkiem imponująco piętrzyły się nad dekoltem. Dziewczyna miała czystą oliwkową cerę i wielkie oczy łani. Paplała bez przerwy o swym weselu - niebawem poślubi potomka jednego z najbogatszych rodów w Hiszpanii. Recalde myślał o przyjemnym i skutecznym sposobie zamknięcia jej ust.

Z rozmysłem przeniósł wzrok na jej młodszą siostrę, która siedziała nieco dalej. Oczy miała spuszczone, ale kapitan zauważył, jak jej faluje łono i jak niecierpliwie wdycha, ilekroć siostra usiłuje zwrócić ogólną uwagę.

Na szczęście damy wcześniej odeszły od stołu. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności Recalde poszedł za ich przykładem. Usprawiedliwiając się przed gubernatorem i kapitanem, użył jako pretekstu świeżych jeszcze ran.

Nie było to w gruncie rzeczy kłamstwo. Kiedy Juliet Dante odstrzeliła mu płatkę uszu, cierpiał istne męki. Ta dziwka stała tak blisko, że nadal miał na policzkach ślady oparzeń od prochu strzelniczego. Jeden centymetr wyżej - i straciłby słuch. Nawet teraz dokuczały mu bóle głowy i nieustanne dzwonienie w lewym uchu. Był wściekły, że nie umie odróżnić szumu wiatru w liściach przybrzeżnych drzew od szelestu jedwabnej sukni. Teraz właśnie ktoś szedł po pokładzie, a on usłyszał go niemal zbyt późno.

- Czyżbyś nudził się w naszym towarzystwie, *señor capitán*? Konwersacja z nami nie jest dla ciebie dość interesująca?

Stał przy relingu i słuchał, jak woda pluszcze o kadłuby stojących w porcie okrętów, gdy pojawiła się nagle przed nim drobna figurka. Była to młodszą córką gubernatora, Marisol. Końce cieniutkiego koronkowego szala, którym się okryła, powiewały na wietrze.

Spojrzał ponad ramieniem dziewczyny. Potężnie zbudowanej, towarzyszącej nieustannie córkom gubernatora duenny nie było nigdzie w pobliżu.

- Przysięgam, seniorita, że nie odczuwałem bynajmniej nudy - zapewnił z dwornym ukłonem. - Raczej obawiałem się, że mój widok mógłby być zniewagą dla tak pięknych oczu.

- Ma pan na myśli swoje rany, kapitanie? Wcale nie budzą we mnie odrazy! Prawdę mówiąc, przy tak starannie ułożonej fryzurze są prawie niewidoczne. Znam się trochę na ziołach leczniczych, nauczyły mnie tego świątobliwe mniszki w jednej z klasztornych szkół w Madrycie. Jeśli rany panu dokuczają, może mogłabym złagodzić pańskie cierpienia.

Marisol zbliżyła się o krok, Recalde cofnął się i odruchowo zasłonił uszy rękami, by zakryć je przed ciekawskim spojrzeniem dziewczyny. Tylko tego brakowało! Piskliwe wywody natrętej, niedowarzonej mniszki raniły jego męską dumę.

- Wieczór jest chłodny, seniorita. Radzę schronić się pod pokładem.

- Bzdura! Jest tak parno, że pot mi ścieka po skórze. - Zsunęła szal z ramion i nie zważając na ostrzeżenie kapitana, oparła ręce o balustradę i spojrzała w stronę przystani. - Jakie to piękne! - szepnęła. - Jak bosko piękne! Chyba nigdy nie widziałam tylu okrętów naraz. Lśnią i migoczą jak gwiazdy... A i gwiazd jest takie mnóstwo w Nowym Świecie!

Spojrzała uważniej i mina jej zrzędła, gdyż po całodziennym deszczu niebo nadal było zakryte chmurami.

Cała powierzchnia oceanu widocznego za przystanią była czarna, bez jednego światełka. Sprawiało to wrażenie ogromnej, mrocznej otchłani. W głosie Marisol zabrzmiał lęk.

- Jakie to piękne... a zarazem przerażające! Patrzę na ten nieskończony przestwór wód i wydaje mi się, że w porównaniu z nim wszystko jest takie małe, nic nieznaczące. Nasz okręt to tylko kilka desek zbitych gwoździami i posklejanych smołą, zdanych na łaskę wiatru i burzy. Czy pana nie trwoży, kapitanie, że jesteśmy zależni od kaprysów żywiołu? Może w nas uderzyć piorun albo woda wedrze się jakąś szparą i pójdziemy na dno. Zatonimy bez śladu.

-Niepotrzebnie się pani niepokoi, seniorita. Nasz okręt jest mocny niczym twierdza. Nie wypływamy zresztą samotnie na ocean. Nasza armada rozciągnie się z jednego końca horyzontu po drugi, nim dotrzemy bezpiecznie do domu.

- Do domu! - westchnęła tęsknie. - Mój Boże! A taka byłam szczęśliwa, taka podniecona, kiedy papa oznajmił nam, że przeniesiemy się do Nowego Świata! Jakże się cieszyłam, że nareszcie wyrwę się z klasztoru! Omal nie umarłam z niecierpliwości, póki nie dotarliśmy do Vera Cruz. -

Urwała i spojrzała z ukosa na kapitana. - Czy pan uważa, że jestem bezwstydną? Ze to grzech uciekać od wiecznych modłów i zapachu kadzidła?

- Mówienie prawdy nie jest grzechem.

Uśmiechnęła się, a jej leżąca na relingu dłoń przesunęła się nieco bliżej do ręki kapitana.

- Wobec tego nie będzie pan chyba zaszokowany, jeśli wyznam szczerze, że moje oczekiwania wcale się nie spełniły. Willa była wspaniała i niczego nam nie brakowało, ale papa zabronił Lucii i mnie wychodzić poza bramę. W ciągu dwóch lat pozwolono mi wybrać się do miasta zaledwie raz, i to pod eskortą tylu gwardzistów, że nie widziałam nic, tylko konie! Lucia przez cały czas biadoliła, że zaraz nas porwą i zgwałcą. Mamę tak to zdenerwowało, że całą złość wyładowała na mnie!

- To wielka szkoda! Vera Cruz to takie piękne, eleganckie miasto.

- Wiem! - posłała mu jeszcze jeden uśmiech i jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie. - Powiedziałam, że papa pozwolił nam opuścić rezydencję tylko raz, ale to nie znaczy, że sama nigdy się stamtąd nie wymknęłam. Syn ogrodnika strasznie się rozkochał we mnie i często pomagał mi wydostać się przez tylną bramę. Pokazał mi w mieście takie rzeczy, że mama by mdlała i mdlała, przez cały miesiąc, gdyby się o tym dowiedziała!

Recalde odwzajemnił uśmiech.

- Gdyby pani mama wiedziała, że w tej chwili jest pani ze mną na pokładzie, i to bez duenny, nie skończyłoby się na omdleniu!

- Doprawdy? Taki z pana niebezpieczny mężczyzna, kapitanie? Taki uwodziciel samotnych, bezbronnych dziewczyn?

Ta smarkula wyraźnie z nim flirtowała! Była co prawda dość ładna, ale rozkapryszona, zbuntowana i przeświadczona o tym, że dzięki potajemnym wyprawom w towarzystwie syna ogrodnika stała się wytrawną, niebezpieczną kusicielką.

- Zapewniam panią, señorita, że jest pani ze mną całkowicie bezpieczna.

Wydeła wargi i zrobiła rozczarowaną minkę.

- A miałam nadzieję, że jest pan inny niż wszyscy!

- Inny? Pod jakim względem?

- Reszta oficerów widzi we mnie tylko córkę gubernatora. Puszą się i *wdzięczą*, a rozmawiają tylko o pogodzie! Tymczasem pan, kapitanie, patrzy na mnie tak, jakby mógł przeniknąć wzrokiem przez suknię... a nawet zedrzyć ją ze mnie i wziąć bez pytania to, czego pan zapagnie.

- A gdybym tak postąpił, co by pani zrobiła?

- Może zaczęłabym krzyczeć? - Przynęła się jeszcze bliżej i musnęła koniuszkiem palca jedną z nabrzmiałych żył na jego ręce. - A może

wyznałabym, że już od dawna nie jestem dziewicą i że z ochotą dam ci to, czego pragniesz? - Spojrzała mu prosto w twarz z minką, która zapewne skusiła syna ogrodnika. - Wiesz, kapitanie, gdzie jest moja kajuta?

- Wiem.

- Duenna chrapie jak smok, więc nigdy nie pozwalam jej sypiać w moim pokoju. Gdybyś nieco później zastukał do mych drzwi, znajdziesz mnie samą.

Recalde rzucił okiem w otaczające ich ciemności i uśmiechnął się.

- Gdybym teraz zastukał do drzwi pani ojca, senorita, i powtórzył mu naszą rozmowę, z pewnością nie zostawiano by cię odtąd samej.

Dziewczyna zeszywniała. Cofnęła rękę i zacisnęła ją w pięść. Drżała w dziecinnej furii i z rozkoszą poszarpałaby paznokciami arogancką twarz oficera. Wreszcie odwróciła się z głośnym szelestem spódnicy. Poopędziła przez pokład, wściekła i upokorzona.

Nim jeszcze ucichł odgłos jej kroków, z zagłębienia w grodzi wynurzyła się następna postać. Ciemne oczy płonęły gniewem.

- A więc to tak! Postanowiłeś uwieść także moją siostrę?!

- Zjawiła się tu z własnej chęci. Ja jej nie zapraszałem.

- Doprawdy? - oczy Lucii zwięziły się. - Ale gdyby mnie tu nie było, to byś jej nie zniechęcał, co?

Recalde uśmiechnął się, bez pośpiechu podszedł do niej i skłonił, by cofnęła się znów do mrocznej niszy. Wrócił do tego punktu, w którym im przerwano. Rozpiął stanik Lucii i zadarł jej spódnicy aż do pasa. Podobnie jak w ciągu trzech poprzednich nocy, kiedy „przypadkiem” spotykali się na pokładzie, przyjęła go w siebie z żarłoczną zachłannością i pojękiwała, gdy przygniatał ją do twardych desek. Wkrótce te kokieteryjne jęki przeszły w zgłodniały krzyk. Musiał jej zatkać usta ręką, by ich nie usłyszeli wartownicy na górnym pokładzie.

Sam szybko osiągnął zaspokojenie. Dodatkowej pikanterii ich uściskom dodawał fakt, że Recalde przez cały czas wyobrażał sobie, iż miażdży w brutalnym uścisku przerażoną Juliet Dante i dziko mści się na niej. Na koniec odepchnął od siebie dziewczynę, która drząc na całym ciele, oparła się o gródź.

- *Por Dios*\* - szepnęła, zakrywając spódnicy gołe nogi. - Moja siostra chyba by umarła, gdybyś jej zrobił coś takiego! *Ja sama nre wiem, jak przeżyję te sześć tygodni na morzu. Por Dios Misericordiso*\*\* - roześmiała się cicho. - Nie wiem, czy zdołam dojść do swej kajuty!

\* *Por Dios* (hiszp.) - Na Boga.

\*\* *Por Dios Misericordiso* (hiszp.) - O Boże miłosierny.

Recalde zaczął zapinać spodnie.

- Jeśli ci moje usługi nie w smak, jestem pewien, że znajdą się na pokładzie inni, którzy potraktują cię z większym szacunkiem, seniorita.

- Chyba żartujesz, kapitanie? - Uśmiechnęła się i ostrożnie osłoniła ciasnym stanikiem obolałe i pogryzione piersi. - Ten niezdara, którego mam poślubić, jest gruby i łysy. Kropka w kropkę jak twój kapitan Aquayo. Na samą myśl, że mnie dotknie, robi mi się niedobrze. Ale to bogacz i zaufany doradca króla, więc muszę za niego wyjść. Dzięki tobie, mój kapitanie, będę miała wspomnienia, które pomogą mi znieść ten koszmar.

- Bardzo mi pochlebia twoje uznanie - mruknął sucho.

- O, zasłużyłeś na nie w zupełności! - potwierdziła, wyciągając rękę, by przeszkodzić mu w zapięciu spodni. - T zasłużyysz na nie znowu, każdego dnia i każdej nocy, gdy będziemy przemierzać ogromny ocean. I na tym się nie skończy, bo chcę, byś pragnął mnie tak jak ja pragnę ciebie, a gdy wrócimy do Sewilli, byś nie mógł o mnie zapomnieć.

Recalde na dobrą sprawę już o niej nie pamiętał. Stał oparty o reling ze wzrokiem utkwionym w horyzont-tam, gdzie niebo stykało się z morzem. Zmrużył oczy i wpatrywał się w ciemność coraz uważniej. Gołym okiem nic nie można było dostrzec, a jednak przez sekundę miał wrażenie, że coś widzi. A może raczej wyczuł, że coś się czai na wschodzie za horyzontem?

Odruchowo sięgnął ręką do pasa, ale miał na sobie mundur galowy. Pas z nieodłączną lunetą zostawił w kajucie. Pewnie to było złudzenie. Wejścia na przystań strzeże tuzin statków patrolowych, żeby nie wspomnieć o wartownikach rozstawionych na wszystkich wzniesieniach wzdłuż linii brzegowej. Tylko szalenic podpłynąłby tak blisko do portu w Hawanie w przeddzień odjazdu wielkiej floty.

Nagle wstrzymał dech. Spojrzał w dół i raptownie ocknął się z zadumy. Poczuł rękę, która wślizguje mu się pod ubranie, zaciska na... Już miał ją odpędzić jak natrętą muchę, gdy nagle zaparło mu dech. Lucia, chcąc przyciągnąć jego uwagę, nie posłużyła się wcale ręką!

Gabriel Dante odłożył lunetę. Szeroki pas odległego o milę wybrzeża był bardzo słabo oświetlony po obu stronach płonącego rzęsimym blaskiem portu w Hawanie. Ani on, ani Jonas nie byli w stanie podpłynąć bliżej za dnia. Teraz jednak postanowili wykorzystać deszcz oraz to, że

chmury stały nisko na niebie, i spróbować szczęścia jeszcze raz, zanim skierują się na północ.

Oba statki płynęły po ciemku. Żadnych świateł, ogni, nawet fajek! W taką wilgotną, duszną noc najmniejsza czerwona iskierka była widoczna na wiele mil. Posunęli swą ostrożność do tego stopnia, że zastąpili zwykłe żagle innymi, ufarbowanymi na ciemnoniebieski kolor. W przeszłości nieraz im się udawało dzięki temu przemknąć niepostrzeżenie obok nieprzyjaciela w odległości pięciuset metrów. Tej nocy nawet Jonas zachowywał ostrożność, gdyż w pobliżu Hawany roiło się od statków i łodzi patrolowych. Kontrolowały one cieśninę i przesmyki, przemierzając je w tę i z powrotem - ciemne, szybkie i trudne do zauważenia.

Obaj bracia osłupieli na widok zatłoczonej przystani. Zanim jeszcze dostrzegli, że największe okręty bojowe usytuowały się w pobliżu wejścia do portu, wiedzieli, że lada dzień konwój ruszy i zacznie się gigantyczny exodus. Zauważywszy wiele mówiące rozmieszczenie żaglowców, Jonas podpłynął na swym „Pogromcy” najbliżej jak mógł, by policzyć dokładnie, ile ciężkozbrojnych galeonów opuści Hawanę w pierwszej kolejności. Gdy tego dokona, trzeba będzie rozwinąć żagle i wracać pędem na wyznaczone stanowiska.

Gabriel przesunął dłonią po karku. Podniósł znowu lunetę i spojrzał w stronę przystani, ale dostrzegł tylko charakterystyczne sylwetki czterech statków patrolowych, które zauważył już wcześniej. Nie było powodu do niepokoju. Na wszelki wypadek podszedł do lewej burty i omiół wzrokiem horyzont. Za pierwszym razem nie zauważył nic. Za drugim także nie. Dopiero za trzecim dostrzegł niewyraźną sylwetkę statku, zbliżającego się szybko od zachodu. Zmierzał wprost na „Pogromcę” Jonaśa! Była to jednostka znacznie większa niż statek patrolowy. Co najmniej trójmasztowiec z wieżyczkami na dziobie i na rufie.

Galeon. Nieoświetlony galeon!

Gabriel skierował lunetę na pokład „Pogromcy”. Wiedząc, że brat koncentruje się na tyłach, Jonas pewnie kazał swym najbystrzejszym ludziom skupić się na obserwowaniu wejścia do przystani. Psiakrew! To niemiłe przypuszczenie potwierdzał jeszcze fakt, że Gabriel nie dostrzegł żadnej widocznej zmiany szybkości czy kierunku „Pogromcy”. Statek brata z konieczności płynął powoli. Na fokmaszcie rozpięto tylko ciemnoniebieski forbramsel i bramsel, a na grotmaszcie i bezanmaszcie jedynie niezbędne do sterowania marsie. Jonas musi rozwinąć żagle na wszystkich trzech masztach, jeśli ma uzyskać niezbędną szybkość i wywinąć się prześladowcy, zanim hiszpański galeon podpłynie tak blisko, by poczęstować go salwą ze wszystkich dział.

- Pocałuj mnie w dupę, bydlaku! - warknął głośno Gabriel.

- Może nie zechce - zauważył sucho sternik. - Diabli wiedzą, kto się tu będzie śmiał ostatni - dodał, wskazując dwa inne niepokojące cienie zbliżające się szybko z flanki do „Herosa”.

Gabriel z lunetą przy oku wykonał pełny obrót. Rzeczywiście! Nie tylko „Pogromca” znalazł się w trudnej sytuacji. Bóg wie, skąd wzięły się dwa psy myśliwskie i wyniuchały „Herosa”! Pewnie wytropiły go tak samo, jak on rozpoznał ich statki patrolowe - na tle jasno oświetlonej przystani wpadła im w oko charakterystyczna sylwetka. To, że podpłynął aż tak blisko, okazało się głupotą. Niewybaczalnym błędem, który mógł ich drogo kosztować. Będą mieli dużo szczęścia, jeśli zdołają się wymknąć, nim piekło się rozpełta!

- Wszyscy na pokład! - rozkazał z zimną krwią. - Otworzyć furty, przygotować stanowiska ogniowe. Na mój znak...

Obejrzał się na „Pogromcę”. Brat w dalszym ciągu nie miał pojęcia o czającym się w mroku niebezpieczeństwie. Nie zauważył żadnego sygnału, chyba że to będzie raca albo salwa armatnia. A jeśli zdecydują się na to...

- Jak tylko działa będą nabite, dać salwę burtową.

- Salwę burtową, sir? Przecież jesteście jeszcze za daleko, tylko zwrócimy na siebie uwagę tych czarnuchów!

- Chyba i tak już nas namierzyli. Ale jeśli znasz lepszy sposób na zaalarmowanie mego brata, to zamieniam się w słuch!

Sternik uśmiechnął się szeroko.

- Tak jest, kapitanie. Salwa burtowa!

- Wiesz co, Riley? I tak niewiele wyjdzie z tego strzelania, więc niech chłopcy dadzą podwójny ładunek prochu. Urządzimy tym bękartom pokaz fajerwerków!

Recalde jęknął. Lucia atakowała go z taką samą determinacją i brutalnością, jaką on wykazał wcześniej. Widział już nie tylko gwiazdy, ale świetlne wybuchy gdzieś na horyzoncie. Po chwili ujrzał jeszcze więcej świateł, a równocześnie głuchy grzmot pierwszej eksplozji przewalił się nad przystanią. Recalde wiedział już, że nie są to majaki wywołane sprawnością warg Lucii.

- *Jesus Cristo!*

Wczepił się palcami w jej włosy i brutalnie oderwał dziewczynę od siebie. Miał ochotę kopnąć ją, gdyby zastąpiła mu drogę do burty. Dale-



ko, w gęstym mroku nocy, jakiś żaglowiec strzelał z dział pokładowych. Odblaski eksplozji, odcinające się ostro od chmurnego nieba, barwiły wodę oranżem i złotem.

Na górze i na dole zagrzmiały spieszne kroki. Załoga „Contadory” zbiegła się na widok salwy. Zapewne to samo działo się na pokładach wszystkich innych statków. Machano w podnieceniu rękoma, pokazywano palcami. Potem drugi statek otworzył ogień... trzeci... czwarty! Na przedzie widoczne były dwa mniejsze statki, jeden niepokojąco blisko przystani, z tyłu zaś trzy znacznie większe. Dwa małe okręty, popychane ku przystani, rozwinęły resztę żagli, zwiększyły szybkość i zdołały uciec -jeden na wschód, drugi na zachód.

Ten, który zmierzał na zachód, przedostał się na otwarte morze. Ale uciekającemu na wschód zagroziły drogę dwa statki patrolowe, uzbrojone po zęby. Kiedy otworzyły ogień, musiał znów zmienić kierunek. Wówczas galeony wykorzystały prędkość, jaką zdążyły rozwinąć i zasypywały uciekiniera salwami z dział.

Recalde - podobnie jak wszyscy na pokładzie - nie odrywał oczu od sceny rozgrywającej się w odległości mili. Zaciśnął ręce na relingu, jakby chciał go złamać. Poznał już, że zapędzony w potrzask żaglowiec to angielski statek kaperski.

- Ładujcie łańcuchowymi! - nalegał, wyteżając wszystkie siły, by jego wołanie dotarło do statków patrolowych mimo dzielącej ich odległości. - Ogołocić go z żagli! Otoczyć! Na Boga, dostaniecie go!

Przypominało to urzekający taniec w zwolnionym tempie. Kaper ustawił żagle pod wiatr, chcąc wymknąć się statkom patrolowym i przedrzeć się czym prędzej na otwarte morze. Zamiast tego wpadł na dwa zastępujące mu drogę galeony. Z otworów strzelniczych wszystkich pięciu statków buchały pomarańczowe płomienie. Niektóre pociski trafiały do celu, inne wpadały do morza, wzbijając fontanny białej piany. Echo wystrzałów docierało teraz znacznie szybciej do przystani, co oznaczało, że statki się zbliżają. Tonęły jednak w obłokach białego dymu, który unosił się w powietrzu jak ciężka kurtyna i nie pozwalała śledzić rozwoju wypadków.

Kiedy Recalde po raz ostatni zdołał coś dostrzec, statek kaperski jeszcze się opierał, ale wszystkie żagle miał podziurawione, a niektóre zwiślały w strzępach. Na górnym pokładzie wybuchł pożar, niemal niedostrzegalny we wszechogarniającym chaosie wystrzałów, płomieni i dymu. Kiedy zaś okręt zniknął z pola widzenia, kryjąc się za niewielkim wzniesieniem, widać było, że wlecze za sobą potężny ogon dymu.

Wymontowanie dział, przetransportowanie ich z „Santo Domingo” na brzeg i ustawienie na stanowiskach ogniowych zajęło im dwanaście dni niezmordowanej harówki. Rafa Francuza posiadała naturalne umocnienie w postaci półki skalnej, która ciągnęła się wzdłuż całej plaży. Na Rafie Hiszpana jednak wszelkie fortyfikacje trzeba było wykonać własnymi rękoma, zarówno okopy, jak i wały. Mimo to nikt się jakoś nie skarżał na bolące mięśnie. Jedzenia mieli pod dostatkiem, a dni nie były już tak upalne ani wilgotne jak przed miesiącem. Każdy rano witało dźwiękiem okrętowego dzwonu i wszyscy pracowali długo po zapadnięciu zmroku, nim wreszcie poczłapali do hamaków rozwieszonych wśród drzew. Na obu plażach rozbito płócienne namioty, ale większość wołała spać pod gołym niebem.

Juliet trudziła się wraz ze swą załogą. Każda z kolubryn ważyła około dwóch ton. Strzelano z niej pociskami o wadze czternastu kilogramów, a do jednorazowego załadowania działa potrzeba było osiem kilogramów prochu. Wszystko to trzeba było przetransportować z galeonu do namiotów na wybrzeżu. Brak męskiej krzepy Juliet nadrabiała fachową wiedzą. Objęła nadzór nad montowaniem lawet na brzegu. Brązowe lufy trzeba było przyśrubować do kolebek, a potem nastawić właściwie celowniki, wbijając kliny dla uzyskania odpowiedniej wysokości. Kiedy zaś ostatnie działo zostało spuszczone z pokładu, przewiezione w szalupie na wybrzeże i zamontowane na właściwym miejscu, Juliet poleciła Crispowi przepłynąć na „Żelaznej Róży” między wyspami. Dzięki temu lufy kolubryn można było ustawić tak, by każdy wystrzał powodował jak największe szkody.

W prowizorycznych magazynach, wzniesionych pod osłoną drzew, składowano cztery rodzaje pocisków. Kule nadawały się przede wszystkim do dziurawienia pokładów i kadłubów. Pociski łańcuchowe, składające się z dwóch kul z lanego żelaza, połączonych łańcuchem, owijały się wokół masztów i rej, rozbijając je w drzazgi. Kartacze gronowe służyły przede wszystkim do tego, by odstraszyć przeciwników od wychodzenia na pokład. Wpychano kolubrynie do gardła dziesiątki małych okrągłych kulek, które po odpaleniu rozsypywały się po całym pokładzie, zabijając lub kalecząc każdego, kogo napotkały po drodze. Czwartym i ostatnim rodzajem pocisku armatniego był sangrenel. Był to worek płócienny, wypełniony spiczastymi odłamkami metalu. Po podpaleniu prochu z worka nic nie pozostawało, zaś kawałki żelaza o ostrych niczym brzytwa krawędziach wbijały się w ciało i kości jak rozgrzane ostrze noża w słoninę.

Varian St. Clare, obnażony do pasa, pracował ramieniem w ramię z resztą załogi. Ponieważ całymi dniami przebywał na słońcu, skóra mu zbrzośniała, uśmiech wydawał się jeszcze szerszy, a zęby bielsze. Mięśnie, które i przedtem prezentowały się całkiem niezłe, stwardniały teraz jak dębina. Śmiech księcia, który z początku rozbrzmiewał niezwykle rzadko, okazał się sympatyczny i zaraźliwy, zwłaszcza że Varian umiał śmiać się z własnej nieudolności. Nie potrafił wykonać najprostszych czynności, które dla ludzi morza były czymś oczywistym. Chociaż wspaniale władał rapierem i szpadą, miał dwie lewe ręce, gdy przyszło mu walczyć kordem lub toporem. Przeciwnicy stali wtedy blisko siebie, nie było miejsca ani czasu na wymyślne kroki lub ustalone z góry pozy. Kiedy go pouczano, jak należy obchodzić się z pika, zdołał jakimś cudem przedziurawić niawłasne spodnie i wpaść do otwartego luku. Gdy zaś pewnego razu wspiął się po takielunku i zawołał do Juliet, by popatrzyła, jak mu dobrze idzie, zaczęła stopa wyblinkę i zawisł na wancie głową w dół. Dyndał tak wśród ogólnego śmiechu, aż wreszcie ktoś spoważniał na chwilę i wyratował go z opresji.

Rwał się do każdej pracy, choćby to była najczarniejsza robota. Spędził popołudnie z Nathanem, który wtajemniczał go w arkana podnoszenia żagli. Kiedy jednak Nog Kelly demonstrował księciu, jak się zbija lawetę i wybił sobie przy tym młotkiem zęb, polecił, by książę - nieposzkodowany na urodzie - sam ukończył dzieło. Varian zabawił się nawet w Robin Hooda z Johnnym i mimo że zdarł sobie skórę z przedramienia, napinając bez końca łuk, z dumą wręczył Juliet kokos, który przesyłał strzałą na wylot. Juliet czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Prawdę mówiąc, śmiała się od rana do nocy. Uśmiech pojawiał się na jej ustach o świcie, gdy otwierała oczy i stwierdzała, że leży wtulona w potężne ciało Variana, i pozostawał tam do nocy, gdy zasypiali nadzy i zaspokojeni, obejmując się ramionami. Szkoda wielka, że rzeczywistość wdierała się do ich raję. Gdyby nie to, Juliet z przyjemnością spędzała by całe dnie na pływaniu i leniwych, niekończących się pieszczotach.

- Powinni już tu być! - powiedziała, obserwując przez lunetę czystą i niepokojąco pustą linię horyzontu. - Minęły prawie trzy tygodnie. Zdążyliśmy przenieść działa, przygotować zasadzki, zbudować umocnienia. O, Boże! Zdołaliśmy nawet nauczyć cię, jak wleźć na drzewo i jak piec kraby w gorącym piasku!

Co najmniej raz na dzień Juliet wspinała się na najwyższy punkt obserwacyjny na wyspie. Przeważnie towarzyszył jej Varian, a to oznaczało, że zarówno pod górę, jak w drodze powrotnej nie obejdzie się bez odpoczynku w ustronnym miejscu. Tego dnia zjawili się na szczycie dobrze przed zachodem słońca i zluzowali dwóch wartowników godzinę wcześniej, niż przewidywał rozkład wacht.

Stojąc za ukochaną, Varian odgarnął jej włosy na bok i ucałował wrażliwą szyję.

- Zawsze uważałem, że twoi bracia doskonale sobie radzą w każdej sytuacji. Moim zdaniem drażnią umyślnie Hiszpanów, wypinając na nich tyłki, a potem zmykają tylko po to, by zwabić ich za sobą i pokazać figę.

Juliet odłożyła lunetę i westchnęła.

- Ale trzy tygodnie! Wysłane przez nas łodzie zwiadowcze też wróciły z niczym. Żadnych statków. Żadnego konwoju. Żadnego ruchu w cieśninie. Szczerze mówiąc, ojciec się obawia, że inni kapitanowie stracą cierpliwość i odpłyną.

- Może francuscy i holenderscy kaperzy spisali się aż za dobrze i wiecokról Nueva España zabronił hiszpańskim statkom opuszczać port?

- Może, może... Jak następnym razem rozłupiesz kokos, może się z niego posypią złote dublony!

Ręce Variana ześlizgnęły się z jej ramion i objęły piersi.

- Jak śmiesz kpić sobie ze mnie, moja panno?! Z człowieka, który z narażeniem życia złapał żółwia, żebyś mogła dziś wieczorem delektować się wyśmienitą zupą?

Oparła się o jego pierś. Pod dotknięciem dłoni kochanka jej sutki natychmiast się wyprężyły. Można by pomyśleć, że po trzech tygodniach trawiący ją pożar wypalił się albo przynajmniej osłabnie, ale jedno dotknięcie, spojrzenie, krzywy uśmiešek, zarezerwowany wyłącznie dla niej, wzniecał w dziewczynie istną burzę emocji.

Teraz też burza się rozszalała. Juliet ze śmiechem, ale bez tchu, popchnęła Variana na trawę. Upadł na wznak. Usiadła na nim okrakiem, wyciągnęła mu koszulę ze spodni i podwinęła do góry, obnażając masywną pierś. Przesunęła po niej dłońmi. Porastające klatkę piersiową ciemne włosy łaskotały wewnątrz jej dłoni, nim powędrowała niżej, na gładki brzuch Variana. Wyczuła pod palcami czarny pas, który zawsze nosił, odpięła go i zabrała się do guzików spodni.

Przez pierwszych kilka dni po przybyciu na Rafę Francuza Varian starannie się golił i przycinał bródkę oraz niewielki wąsik, ale przez ostatnie dwa tygodnie całkiem zapomniał o brzytwie. Całą twarz pokrył mu kasztanowy zarost, coraz gęściejszy i miłszy w dotyku. Zaczął też wiązać włosy w kucyk i osłaniać chustką czoło, by pot nie zalewał mu oczu. Wszystko to, w połączeniu ze zmianą stroju na luźną batystową koszulę i zamszowe bryczesy oraz opalenizną podkreślającą jego olśniewający uśmiech i biel zębów, sprawiało, że Varian coraz bardziej przypominał pirata, a coraz mniej księcia. Możliwość takiej przemiany nigdy by jej nie powstała w głowie, gdy spotkali się po raz pierwszy na pokładzie „Argusa”!

- Nie żałujesz swoich fioletowych piórek? - spytała szeptem.

Jej ręce nadal błądziły po ciele kochanka. Czuła, jak pręży się pod jej dotknięciem.

- Co takiego? Nie bardzo wiem, o co pytałaś...

Juliet roześmiała się i potrząsnęła głową na znak, że pytanie nie miało znaczenia. Już pochylała się, szykując mu nową niespodziankę, gdy jej spojrzenie padło przypadkiem na skalny występ na najwyższym szczycie Rify Hiszpana. Punkty obserwacyjne obu wysp były oddalone od siebie o jakieś dwanaście kilometrów. Zbyt daleko, by usłyszeć dzwon alarmowy, ale wystarczająco blisko, by dostrzec umówiony znak - biały obłoczek dymu nad płonąącym stosem gałęzi. Juliet usiadła prosto, sięgnęła po lunetę i zerwała się na równe nogi.

- Co się stało? - spytał Varian. - Coś złego?

- Nie wiem. Nie mogę...

Juliet zakłęta. Promienie słońca padające pod złym kątem rozszczybiały się w soczewce lunety i zamiast wyraźnego obrazu miała przed oczyma różnobarwne tęcze. Dostrzegła coś w oddali, na południu. To ukazywało się na grzbiecie fali, to znikało w wodnym rowie... Niebawem rozpoznała opływowe linie „Christiany”. Geoffrey trzy dni temu zaprosił ją na poranny objazd wysp na pokładzie tej ślicznotki.

- To Pitt. Ależ pędzi!

Zwróciła lunetę na zachód i omiotła wzrokiem horyzont. Pusto. Jednak „Christiana” skakała z fali na falę, jakby się jej paliło pod kilem. Juliet wręczyła lunetę Varianowi.

- Muszę wracać na plażę. Zostaniesz tu i zaczekasz na zmianę wachty? To pewnie nic takiego, ale jakbyś zauważył coś dziwnego, jakbyś w ogóle coś zauważył, to podpal stos i uderz w dzwon!

Varian skinął głową. Zapiął spodnie i wsunął w nie poły koszuli.

- Podpalić stos, uderzyć w dzwon. Wedle rozkazu, kapitanie!



„Christiana” przebyła kanał, nie zmniejszając szybkości. Na koniec postawiła żagle pod wiatr, z gracją wykonała zwrot i przybiła do wyspy od tyłu. Kapitan Pitt, zamiast zarzucić kotwicę, dał nurka przez burłę i bez trudu, w pięknym stylu dopłynął do brzegu, podczas gdy „Christiana” znów nabrała wiatru w żagle.

Do tej pory na plaży zebrał się cały tłum. Nie zabrakło Simona, Isabeau ani Juliet.

- Stałem akurat na kotwicy koło Ruchomej Skały, kiedy zjawił się jeden ze zwiadowców kapitana Smitha - oznajmił Pitt, wynurzając się

z wody i strzepując słone krople z włosów. - Konwój opuszcza Hawanę. Jego straż przednia wpłynie do cieśniny od południa. Jutro powinni tu być. Wysłałem Spita na północ. Przekaze wieści pozostałym kapitanom. Przyda im się trochę czasu, żeby załoga wytrzeźwiała.

Simon Dante skinał głową. Oczekiwanie dobiegło końca! Pitt dostrzegł pytający wzrok przyjaciela. Niestety, nie znał odpowiedzi na jego bezgłośne pytanie.

— Dotąd ani słowa. Nikt nie widział „Pogromcy” ani „Herosa” i nie słyszał o nich. Smith wspomniał, że jego ludzie dla sportu dogonili jakiś francuski statek handlowy i dowiedzieli się, że w pobliżu Hawany doszło do bijatyki. Francuzi nie wiedzieli, kto w niej brał udział. Plotkowano o jakichś statkach kaperskich i o tym, że pod koniec dnia poszły na dno dwa żaglowce.

- Nasze? - spytała cicho stojąca u boku męża Isabeau.

Geoffrey potrząsnął głową.

- Tego Smith nie wiedział. .



Tej nocy nikt nie zmrużył oka. Przewieziono na brzeg ostatnie baryłki prochu, zakończono wszelkie przy gotowania na obu brzegach. O świcie „Mściciel” podniósł kotwicę i ciągnąc za sobą wielkie, ale bezbronne cielisko „Santo Domingo”, skierował się na zachód od obu raf. Zgodnie z sugestią Geoffreya Pitta, zmieniono nieco pierwotny plan, wykorzystując w charakterze przynęty galeon i statek Wilka. Ponieważ zabrakło „Pogromcy” i „Herosa”, wszystkie działa „Gołębicy” będą bardzo przydatne na drugim końcu przepustu. Hiszpanie nie byli tacy głupi! Kiedy zobaczą aż dwa statki kaperskie chybotające się bezradnie na mieliźnie, mogą zwietryżyć podstęp. Zwłaszcza w sytuacji, gdy dopiero co zaatakowano ich od południa.

Podczas gdy ojciec holował galeon na ustalone miejsce, Juliet po raz dziesiąty obeszała plażę, przyglądając się bacznie, czy działa i kanonierzy są należycie zamaskowani. Namioty porozbierano, beczki prochu schowano wśród drzew i krzaków. Działa przykryto płóciennymi płachtami, które polano smołą i przysypano piachem. Nie wolno było rozniecać ognia. Tylko z tyłu za każdą armatą stały dwa szczelnie przykryte garnki pełne rozżarzonych węgli, niezbędnych do zapalania lontów.

Kiedy nie było już nic więcej do roboty, Juliet wspięła się znów na szczyt w towarzystwie Variana i Geoffreya. Kiedy tam dotarli, Juliet najpierw zdziwiła się, dlaczego „Mściciel” odholował galeon tak daleko, poza pas turkusowej wody na krawędzi rafy? Zaraz potem pomyślała, że

gdyby na własne oczy nie widziała przygotowań, uwierzyłaby święcie w to, że „Mściciel” jest już wrakiem. Maszty robiły wrażenie połamanych, z rej zwisały strzepy płótna. Takielunek żałośnie obwisł. Kilka żagli na skutek przechyłu znalazło się po niewłaściwej stronie burty. Były częściowo zanurzone w wodzie, co wzmagało wrażenie, że statek już tonie. Natarto maszty i relingi węglowym pyłem, by wyglądały tak, jakby cudem ocalały z pożaru. Na pierwszy sygnał dany przez zwiadowców miano podpalić wiadra pakuła na pokładach obu żaglowców, dzięki czemu otoczą je chmury gęstego, czarnego dymu.

Stojący obok niej Varian wpatrywał się w zadziwiająco jasne niebo. Wczesnym rankiem nad wyspami wisiała mgła, otulając je białym całunem. Słońce jednak przebiło się przez nią i teraz całe niebo było czyste. Ani jednej chmurki! - pomyślał Varian i zmarszczył brwi.

- Co to takiego? Grzmi?

Juliet przechyliła głowę na bok i wsłuchiwała się w niski, dudniący pomruk, tak odległy, że niemal ginał w szumie drzew.

- To nie grzmoty - mruknęła. - To działa kapitana Smitha. Zaczęło się!



Nie minęła godzina i pojawiła się przednia straż hiszpańskiego konwoju. Pitt, Juliet i dwaj wartownicy odruchowo przykucnęli, gdy na horyzoncie ukazały się pierwsze żagle. Varian poszedł za ich przykładem, choć wiedział, że z takiej odległości nikt by ich nie mógł dostrzec. Dwie, trzy, pięć, osiem piramid z drewna i płótna jawiło się ich oczom w całym swym majestacie. Rozpostarte żagle odcinały się bielą od błękitnego nieba. Można je było łatwo rozpoznać po wielkich czerwonych krzyżach. Pływające na czele galeony były masywne i ogromne. Równie wielkie jak „Santo Domingo”, a może nawet większe od niego? Zazwyczaj płynęły za statkiem admirałskim w otwartym szyku przypominającym klucz dzikich gęsi albo literę V. Mniejsze statki handlowe, wiozące cenny ładunek, znajdowały się pośrodku i były troskliwie osłaniane przez okręty wojenne. Teraz jednak, gdy konwój się przybliżył, dostrzegli, że coś zakłóciło ten porządek.

- Wygląda na to, że stracili kilku obrońców na prawym skrzydle - mruknął Geoffrey. - Boże, błogosław kapitanów Smitha i Wilbury'ego! Popatrzcie no tutaj, z tyłu...

W podnieceniu wymachiwał palcem, wpatrując się w coś na południu, na skraju ich pola widzenia. Juliet skierowała tam swoją lunetę i uśmiechnęła się. Varian mrużył oczy i zastanawiał się, co też zwróciło ich uwagę.

- Proszę! - Pitt roześmiał się i podał mu swoją lunetę. - Tuż za cypłem Rify Hiszpana!

Varian przyłożył do oka oprawny w skórę instrument i wyregulował ostrość. Statki nadal były maleńkie, ale nie ulegało wątpliwości, że za jednym z żaglowców, który widocznie odłączył się od stada i teraz z trudem usiłował doścignąć konwój, ciągnęła się cienka smuga dymu.

- Wracajmy lepiej na statki - odezwał się Pitt, wstając i otrzepując kolana z piasku.

Juliet już pędziła na przystań, rozgarniając długimi nogami bujne trawy. Ciemnorude włosy powiewały za nią jak porporzec.

## 23

*To* było niemal zbyt łatwe.

Na maszcie statku admirałskiego wywieszono chorągiewki sygnalizacyjne. Konwój zwolnił tempo, a następnie dwa z okrętów wojennych podpłynęły do głównodowodzącego na odległość głosu. Po odebraniu rozkazów oba odłączyły się od konwoju i kipiąc oburzeniem na kaperów, którzy ośmielili się zniecka zaatakować hiszpańską flotę, wyruszyły na oględziny dwóch tłących się jeszcze statków, zdanych na łaskę fal przybrzeżnych. Hiszpanie dobrze znali te zwodniczo spokojne pasma lazuru i szafiru, stanowiące granice Baja Mas i uwzględniali je na swoich mapach. Stracili tu wystarczająco dużo statków, by uznać za całkiem prawdopodobne, że statek kaperski przez własne zuchwalstwo wpadł w pułapkę i nie mógł się z niej wydostać pod nieustannym ostrzałem z górującego nad nim galeonu. Oba żaglowce wydawały się poważnie uszkodzone. Gdy Hiszpanie podpłynęli bliżej, ujrzeli swoich rodaków, oficerów w połyskujących na słońcu hełmach, którzy machali do nich rękami z wysokiej wieżyczki na rufie.

Obserwujący ich z pokładu „Mściciela” Dante uchwycił moment, w którym kapitan pierwszego galeonu rozpoznał w skołatany wraku statek należący do *Pirata Lobo*. Na wszystkich pokładach otwały się bezzwłocznie furty armatnie. Zarówno marynarze, jak i żołnierze tłoczyli się przy relingach, wspinali na reje, niektórzy nawet skakali do góry i wrzeszczeli z radości. Już czuli się posiadaczami dziesięciu tysięcy dublonów.

Dante rozkazał nie rozwijać marsli. Rozpięto tylko tyle żagli, by „Mściciel” mógł się dyskretnie wyslizgnąć, udając, że z najwyższym tru-



dem szuka schronienia pod osłoną dwóch wysp. Gdy statek wydostał się na szersze wody, jego kapitan — dumny z tego, że nie dostrzeżono ani jednej z armat ukrytych pod teatralną dekoracją - upewnił się, że ma wolne oba boki, po czym rozkazał porządnie napiąć obluźowany takielunek i zastąpić podarte żagle całymi. Zmienił kurs na sterburtę. „Mściciel” wykonał pełny obrót *na* niewielkiej przestrzeni i był teraz gotów na powitanie hiszpańskich okrętów, gdy wynurzą się z przesmyku. Isabeau powierzyła dowództwo nad „Gołębicą” Pittowi, który ustawił statek od zawietrznej w pobliżu Rify Francuza. W ten sposób obaj z Simonem Dante mogli wziąć nadpływające galeony w morderczy krzyżowy ogień.

Tymczasem Juliet ukryła „Żelazną Różę” na tyłach wyspy tak, by wyprowadzić ją stamtąd i skierowawszy wszystkie działa na wylot kanału, odciąć Hiszpanom odwrót. Ponieważ manewrowanie statkiem to nie zabawka, nim dokonano tych ruchów, upłynęły prawie dwie godziny. Zanim jednak Hiszpanie zorientowali się, że „Róża” bierze ich na cel, jeden z galeonów znajdował się już w przesmyku, a drugi, zachęcany przez załogę „Santo Domingo” machaniem rąk i przyjacielskimi okrzykami, ruszył w ślad za nim. Wówczas większość „życzliwych rodaków” zdjęta hełmy i wypięta się nieprzystojnie na znikający w wąskim kanale galeon.

Kanonierzy obsługujący armatnie baterie na brzegu zaczęli, aż oba okręty} wojenne uwięzną w ciasnym przejściu pomiędzy wyspami. Wówczas błyskawicznie usunięto osmolone i zapiaszczone płachty maskujące, zapalono lonty i pierwsza seria pocisków łańcuchowych wyleciała w powietrze, zanim Hiszpanie zorientowali się, że wpadli w pułapkę. Kartacze gronowe i sangrenele zapędziły załogę pod pokład, pociski łańcuchowe zdzierają osprzęt, dziurawiły żagle i wyrwały deski. Kanonierzy z galeonów odwzajemniali się niemrawo - na pięć dział odzywało się najwyżej jedno. Część załogi na dolnym pokładzie, pod osłoną grodzi, od czasu do czasu strzelała do wrogów, ale ponieważ pokłady galeonów znajdowały się wysoko nad poziomem wody, każdy pocisk przelatował nad głowami stojących na brzegu kanonierów i dopiero kilkaset metrów za nimi wylatywała w powietrze fontanna piachu, kamieni i palmowych liści.

Strona przeciwna natomiast strzelała bardzo skutecznie. Kiedy z żagli i takielunku galeonów niewiele już zostało, lufy rozstawionych na brzegu dział wycelowano w kadłuby obu statków. Straty wyrządzone przez kolubryny i moździerz były straszliwe. Hiszpanie nie mogli się cofnąć i nie byli w stanie walczyć efektywnie. Z konieczności więc posuwali się naprzód ciasnym korytem - po to tylko, by u jego wylotu ujrzeć wycelowane w nich działa cudownie wskrzeszonego „Mściciela” i „Gołębicę”.

Kanonierzy Simona Dantego oddali tylko jedną salwę burtową i na pierwszym z galeonów pojawiło się pół tuzina białych flag. Zdesperowany

oficer, który wypełził z dymiących jeszcze szczątków wieżyczki na rufie, zdarł z siebie koszulę i wymachiwał nią nad głową jak szalony, by zwrócić uwagę kaperów, nim następna salwa rozedrze go na strzępy. Drugi galeon natknął się na armaty Pitta i ucierpiał podobnie, po czym poddał się, co obsługa baterii powitała gwizdami i radosnymi okrzykami.

„Żelazna Róża”, przepływając obok zachodniego wylotu kanału, zorientowała się, że jej pomoc nie będzie już potrzebna, więc oddała tylko jedną salwę na wiwat. Juliet kazała zawrócić. Jednym okiem śledziła poczynania reszty Hiszpanów, drugim wypatrywała sygnałów od wartowników, którzy mając z góry o wiele lepszy widok, powinni byli zawiadomić, gdyby jeszcze jakiś statek odłączył się od konwoju. Miała nadzieję, że tak się stanie. Jej załoga rwała się do walki, a działa były nabite i gotowe do akcji.

Na razie blokowała wylot przepustu, zakładając, że dziesiątki Hiszpanów w stalowych hełmach gapią się w tej chwili w lunety tak, że omal ich sobie nie wbiją do oczu. Z pewnością śledzą rozwój wydarzeń i zorientują się po słupach dymu, że ich galeony przepadły. Rozpoznali „Mściciela”, a może i „Żelazną Różę”. Nie wiedzieli tylko jednego - ilu wrogów przyczaiło się w pobliżu i śledzi ich z ukrycia, zamierzając zwabić w pułapkę.

- Domyślasz się, co zrobią? - zapytał cicho Varian.

Juliet potrząsnęła głową.

- Może i są łatwi do rozgryzienia, ale to nie tchórze. Nie rwą się do ucieczki. Spójrz tylko - statek admirałski już zwalnia i daje znak innym okrętom z eskorty, by sformowały szyk.

- Piękny widok, co? - zauważył Crisp, podchodząc do niej z drugiego boku. — Ile ich naliczyłeś?

- Osiem z eskorty, dwadzieścia trzy handlowe - odparła Juliet z roz-targnieniem. - Muszą teraz podjąć decyzję, czy lepiej będzie przyśpieszyć i czym prędzej wyprowadzić na bezpieczne wody statki z cennym ładunkiem, czy zaczekać na resztę floty.

Skierowała lunetę jeszcze bardziej na południe, ale na horyzoncie było tylko cztery czy pięć późnialszych okrętów, które usiłowały dogonić czołówkę. Bez wątpienia, zjawi się ich więcej. Zależy od tego, ile statków wypłynęło z Hawany pierwszego dnia, jak bardzo się rozciągnęły i jaką prędkość rozwija najbardziej ślamazarny okręt z konwoju.

- Jeśli postanowią odpłynąć stąd jak najszybciej, nasi przyjaciele na północy będą mieli niezłe szanse.

- A jakże, słyszeli, jak u nas grzmi, to wiedzą, że burza nadciąga. - Crisp mrugnął do Variana i zachichotał. - Kto wie? Jak wszystkie galeony przepadną bez śladu na płyciźnie, może dony uwierzą, że mamy diabła do pomocy, co?

Żart był dobry, więc Varian się uśmiechnął. Prawdę mówiąc, nie byłby zawiedziony, gdyby konwój machnął ręką na straty i pociągnął dalej. Osiem okrętów bojowych i dwadzieścia trzy statki handlowe... Juliet rzuciła to od niechcienia, jakby to nie była walka na śmierć i życie, tylko spacer po skwerze w słoneczne popołudnie.

Po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich kilku tygodni zadał sobie pytanie, jak zareagowałaby jego matka, gdyby zjawił się w Londynie z Juliet u boku? Z pewnością niezłomna jak dotąd matrona zemdłałaby na ten widok i trzeba by tuzina flakonów z solami trzeźwiącymi, by przywrócić ją do przytomności! Mógł sobie również wyobrazić miny swoich przyjaciół i znajomych, gdyby im opowiedział, w jakich okolicznościach poznał czarującą pi ratkę albo jak stał u jej boku na pokładzie statku bojowego i widział, jak srebrzyste oczy rzucają wyzwanie całej hiszpańskiej flocie. Zdawały się mówić: Chodźcie no tu! Zakosztujcie moich armat!

Juliet spojrzała przez lunetę i coś się zmieniło w wyrazie jej twarzy. Szczęki napięły się, usta zacisnęły w wąską białą linię. Mimo opalenizny było widać, że cała krew odpłynęła jej z twarzy. Była teraz chorobliwie żółta. Nie patrzyła już na Hiszpanów wyzywającym wzrokiem. Jej oczy utkwione były w dwa żaglowce płynące w ogonie konwoju.

Wyciągnęła po omacku rękę i nie od razu udało się jej schwycić Crispa za ramię.

- Co się stało, dziewczyno? Coś ty zobaczyła? Jeszcze ktoś do nich dołączył?

Juliet nie była w stanie odpowiedzieć. Nie mogła nawet odjąć lunety od oka i popatrzeć na kwatermistrza. Nathan wyjął własną lunetę, otworzył ją z trzaskiem i podniósł do oczu.

Varian wpatrywał się w daleki konwój, ale gołym okiem nie mógł dostrzec niczego, co mogłoby wprawić Juliet w takie osłupienie. Hiszpańskie okręty rzeczywiście zwały szyki, choć nadal kilku spóźnialskich wlokło się od sterburty.

Crisp zaklął i odjął lunetę od oka, zamrugał nim i wychylił się poza reling, jakby dzięki temu miał lepszy widok.

Odetchnął z trudem, przez chwilę wciągał powietrze w płuca, potem wypuścił je i znów zaklął siarczyście.

- Na rany Chrystusa! - syknął. - To statek kapitana Gabriela! To „Heros"! I płynie pod hiszpańską flagą!

Gabriel wetknął koniec języka w dziurę po wybitym trzonowym zębie. Język był jedyną częścią jego ciała, która zachowała pewną swobodę ruchów. Postronki wokół nadgarstków i kostek u nóg całkowicie uniemożliwiały takie czynności, jak wstanie, przejście kilku kroków czy nawet otarcie zalewającej oko krwi. Gdyby zaś uniósł głowę, te bydlaki od razu by wiedziały, że odzyskał przytomność, i znów zaczęłyby się bicie.

Dopiero wspólnymi siłami dwóch okrętów bojowych i czterech statków patrolowych zdołano go zmusić do wyładowania w pobliżu Hawany. Choć Gabriel z radością- podobnie jak każdy z jego załogi - walczyłby do upadłego, byłoby to marnowanie młodego życia. Jonas i „Pogromca” wymknęli się tym draniom cało i zdrowo. Gdyby było inaczej, Hiszpanie nie omieszkaliby pochwalić się tym sukcesem. A Jonas był zawzięty jak kundel. Z pewnością nie pozwoli, by jego młodszy brat zgnił w łańcuchach na jakiejś galerze! A co dopiero, gdy ojciec dowie się o wszystkim? Biedne skurwysyny. Ogarnęło go niemal współczucie dla Hiszpanów.

Z wyjątkiem jednego.

Gabriel od razu go poznał z opisu Juliet. Pociągła, drapieżna twarz, martwe czarne oczy, obcięte uszy. Domyślił się, że to ktoś ważny albo ma wysoko postawionych przyjaciół. A może po prostu taki z niego skończony drań, że zasłużył sobie na przywilej „przesłuchiwania” jeńców. Nie tylko od razu pojawił się na pokładzie zdobytego „Pogromcy”, ale objął nad wszystkim komendę.

Kapitan Cristobal Nufio Espinosa y Recalde.

To nazwisko wbiły mu raz na zawsze do głowy brutalne ciosy jego zbirów. Gabriel powtarzał je sobie niczym mściwą litanię. Chciał zabić tego bydlaka! Zgnieść jak pluskwę! Udusić własnymi rękami!

Żeby tak mieć jakąś szansę, chociaż najmniejszą... Ja bym mu pokazał!

Hiszpanie najwidoczniej doszli do wniosku, że „Heros” to jeszcze nie wrak i może się na coś przydać. Gabriel słyszał odgłosy piły i młotka i mimo wszystko był rad, że naprawiają jego statek. Byłoby lepiej, gdyby cieśle znali się na swej robocie, bo co się tyczy majtków... Ta hołota nie miała pojęcia o nawigacji, a co dopiero o ulepszonych sterach! Przyzwyczajeni byli do żaglowców z osprzętem rejowym, do kilku nieskomplikowanych i niezmiennych manewrów. Nie mieli pojęcia, jak ustawić żagle na dziobie i na rufie, by w pełni wykorzystać pomyślny wiatr. I właśnie dlatego, kiedy omal nie doszło do zderzenia z galeonem, zdecydowali, że „Heros” będzie płynął osobno, poza ustalonym szykiem.

Gabriela uwięziono pod pokładem w małej klitce - dawnej kajucie kwatermistrza. Drzwi wyważono, z mebli pozostawiono tylko krzesło przybite do podłogi. Na korytarzu stał zawsze przynajmniej jeden war-

townik, najczęściej dwóch. Jakby Gabriel nawet teraz-związany i pobity do nieprzytomności - stanowił dla nich zagrożenie.

O niczym nie macie pojęcia, głupie bydłeta!

Kiedy Recalde zjawiał się z *wizytą*, przynosił ze sobą lampę. Poza tym było tu ciemno i ponuro. Światło wpadało tylko przez przymknięty bulaj o średnicy dwunastu centymetrów. Powietrze było gęste od kurzu, a ponieważ Gabriela od dwóch dni ani na chwilę nie odwiązywano od krzesła, śmierdziało tu krwią i moczem. Właśnie ten odór utwierdził Gabriela w uporze. Wszystko znieśie, utrzyma się przy życiu, wykorzysta najmniejszą szansę!

Wyobrażał sobie, jak okropnie teraz wygląda. Pierwszego dnia w poszukiwaniu ukrytej broni rozebrali go do bielizny, a później nie zadali sobie fatygi, by go z powrotem ubrać. Po dwóch dniach i wielu przesłuchaniach był nie tylko pokrwawiony, ale i posiniaczony od stóp do głów. Rana nad okiem stanowiła ulubiony cel brutalnych ciosów na początku każdej rozmowy z oprawcami. Na policzku miał jeszcze jedną, ajego wargi były opuchnięte, poranione i zeskorupiałe. Stracił czucie w stopach i rękach. Od wczoraj nie mógł poruszać palcami. Powrozy tak się wpiły w ciało, że być może palców w ogóle już nie było? Szczerniały i odpadły. Ogłuchł na lewe ucho, nie wiedział, czy to skutek pobicia, czy po prostu pełno w nim zakrzepłej krwi. Prawym ledwie wychwyił poranną strzelaninę. Słyszał też późniejsze salwy, po których Recalde zjawiał się znów w kajucie i zbrukał sobie rękawiczki, wymierzając Gabrielowi w szczękę tak mocny cios, że pozbawił go przytomności na dobrych kilka minut.

Ostrożnie otworzył zdrowe oko, zastanawiając się, czy Recalde nadal tu jest. Hiszpan poruszał się bezszelestnie jak pyton i raz już udało mu się wprowadzić jeńca w błąd.

Ledwie to pomyślał, poczuł, że ktoś chwyta go za włosy i brutalnym szarpnięciem zmusza do podniesienia głowy. Mimo woli wyrwało mu się bolesne stęknienie. Ilekroć ten bydlak wczepiał mu rękę we włosy, Gabriel miał wrażenie, że wyrwie mu wszystkie za jednym zamachem.

- Widzę, że wróciłeś już do przytomności, senior Dante - odezwał się Recalde w poprawnej angielszczyźnie. - No, no! - podniósł ostrzegawczo palec. - Jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie opluć, rozkażę Jorge-mu, by ci uciął język.

Oko Gabriela zwróciło się w stronę Jorgego. Przy tym zwałistym, paskudnym zbirze nawet Lucifer wyglądałby jak delikatne książątko! Pięści Jorgego przypominały młoty kowalskie, ramiona szereg związanych ze sobą baryłek z prochem, a muskuły twarde kule. Większość obrażeń na ciele Gabriela była wynikiem lekkich klapsów i szturchnięć, którymi ten potwór częstował go ze znudzoną miną. Młody Dante wołał nie sprawdzać, do czego jest zdolny Jorge z nożem w rękę.

Recalde puścił zaciskane w garści włosy. Rad był, że dostrzegł niepokój w ślepiach tego wilczego szczeniaka.

- Rozsądna decyzja - pochwalił.

Gabriel już miał opuścić głowę, ale zrezygnował z tego, gdyż okryta rękawiczką łapa kapitana podkradła się znów do jego włosów.

- Nie należę do tych, co wierzą w przypadek. - Recalde pochylił się ku niemu i Gabriel poczuł na policzku cuchnący czosnkiem oddech. - Nie przez przypadek przyłapał się na ciebie i twego brata na szpiegowaniu w pobliżu Hawany. Nie przypadkiem nasze okręty zostały niedawno zaatakowane u wybrzeży Hiszpanii. A i to, że nasz konwój ucierpiał dziś na skutek podwójnej napaści, również nie jest dziełem przypadku. Nawiasem mówiąc, w obu wypadkach zasadzka była przygotowana po mistrzowsku.

Splatał i rozplatał ukryte za piecami ręce.

- Nie bez powodu wasza rodzina słynie z bezczelności! Gdyby ten przeklęty statek poruszał się prędzej, zdołałbym przerwać tę farsę, zanim dwa z naszych najlepszych okrętów wpadły w śmiertelną pułapkę.

- Trzeba było postawić mnie za sterem - wychrypiał Gabriel. - Chętnie bym was tam odstawił. I to pędem.

Groźny Jorge zrobił krok w stronę jeńca, ale Recalde powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie, nie. To wspaniałomyślna propozycja. Skorzystam z niej. Zaraz się znajdziesz na pokładzie, senor Dante. Prawdę mówiąc, jest tam już cała twoja załoga i niecierpliwie czeka na swego kapitana. Wybieramy się na spotkanie z osławionym *Pirata Lobo*. Jorge, rozwiąż tego dżentelmena. Uważaj na jego ręce. Są takie spuchnięte, że skóra zacznie odchodzić przy najlżejszym draśnięciu.

Gabriel nie czuł dotyku noża rozcinającego mu pęta. Ręce i stopy miał jak z ołowiu. Był pewien, że nie utrzyma się na nogach.

Recalde dał znak czekającym na korytarzu wartownikom. Chwycili Gabriela pod pachy i wywlekli z kajuty. Dociągnęli go do schodów - bezwładne nogi obijały się o każdy stopień. Kiedy znaleźli się już na górze, zatrzymali się i przepuścili kapitana Recalde, który ruszył przodem na pokład rufowy.

Dowleczony tam Gabriel doznał szoku. Okrzyk oburzenia i niedowierzania, który wydarł mu się z ust, przypominał raczej jęk. Odpowiedziały mu równie bezsilne wrzaski załogi, gdy witała swego dzielnego, sponiewieranego kapitana.

Każdy marynarz z „Herosa” został obnażony do pasa i przywiązany za ręce i nogi do want albo do relingu. Tworzyli żywą tarczę osłaniającą górny pokład hiszpańskiego statku.

Gabriela zawleczono na rufę, gdzie podobnie jak innych, przywiązano go do takielunku. Zawisł tam rozkrzyżowany i doskonale widoczny dla każdego, kto miał lunetę. Bluzgał przekleństwami, podobnie jak cała załoga „Herosa”. Kiedy ich okrzyki przestały bawić Hiszpanów, a hałas zaczął im dokuczać, Recalde skinął na kilku swoich żołnierzy. Zaczęli bezlitośnie smagać nagie plecy, ramiona i brzuchy związanych jeńców. Biczowali tak długo, aż ciała nieszczęśników spłynęły potem i krwią a ich krzyki zmieniły się w ledwie dosłyszalne przekleństwa.

- A teraz — Recalde stanął za plecami Gabriela - jestem pewien, że twoja rodzina zechce się przekonać, że jesteś żywy i, powiedzmy, niezbyt poturbowany. Może złożymy im wizytę? Szczególnie zależy mi na odnowieniu znajomości z twoją siostrą- mruknął, dotykając jednego z okaleczonych uszu. -O ile pamiętam, podczas ostatniego spotkania coś jej obiecałem. Moja załoga nie może się już doczekać. Sądzę, że Jorge pierwszy z tego skorzysta. To, co mam między nogami, jest tak wielkie, że nawet dziwki uciekają przed nim ze strachem. Ale pewien jestem, że *la Rosa de Hierro* zechce mu dogodzić w nadziei, że ocali ci życie. Jak myślisz, señor Dante? Czy ceni je na tyle, że gotowa jest poświęcić własne?

- Niech cię szlag! - warknął Gabriel. - Żebyś zgnił w piekle!

Recalde westchnął i skinął na Jorgego. Zbir przyniósł wiadro morskiej wody, używanej do peklowania mięsa i oblał nią Gabriela od stóp do głów. Słona ciecz opryskała również wiszącego obok majtkę, którego plecy były poharatane biczem. Kiedy sól wniknęła do ran, majtek wrzasnął tak straszliwie, że całą przywiązaną do want studwudziestoosobową załogę „Herosa” przeszył dreszcz.

Gabriel nawet nie jęknął. Każdy jego mięsień, każde ścięgno sprężyło się w straszliwym bólu. Kiedy nieco zelżał i Gabriel zdobył się na otwarcie oczu i zaczerpnięcie oddechu, usłyszał rozkaz: „postawić wszystkie żagle!” i poczuł, jak „Heros” podrywa się do skoku. Odłączyli się od konwoju i zmierzali prosto na Rafę Francuza i Rafę Hiszpana. Co gorsza, nie byli sami. W ślad za nimi podążały trzy największe okręty bojowe. Furty działowe były otwarte, pokład przygotowany do akcji.



- Gabriel... - szepnęła Juliet. - Boże święty, to Gabriel! Tam, na wantach!

Usta Crispa poruszały się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Albo przekleństwa utknęły mu w gardle, albo w płucach zabrakło powietrza.

Oddali jeszcze jedną salwę, by uprzedzić ojca i Geoffreya Pitta o zbliżaniu się następnych gości. Nie mogli go jednak powiadomić tym sposobem, iż jednym ze statków jest „Heros”. Juliet wysłała z tą wieścią posłańca w szalupie, zanim jeszcze włosy stanęły *im* dęba na widok żywej tarczy zbliżającego się nieprzyjaciela. Ani „Mściciel”, ani „Gołębica” nie powróciły dotąd i Juliet doszła do wniosku, że ich załogi mają pełne ręce roboty z dwoma pierwszymi galeonami. Trzeba było rozbroić Hiszpanów, być może wysadzić ich na ląd i dobrze pilnować, by nie próbowali odzyskać swych okrętów i zaatakować od tyłu.

Juliet wiedziała, że nie może rzucić się w pojedynkę na cztery statki. Nie dysponowała taką liczbą dział. A jeśli „Heros” wpadł w ręce Hiszpanów, to nawet ulepszone stery na „Żelaznej Róży” nie dawały jej przewagi, gdyż oba statki były bliźniaczo wyposażone. Gdyby przyspieszyła, „Heros” uczyniłby to równie zręcznie.

Teraz zresztą nie miało to już znaczenia. Odkąd ujrziała załogę „Herosa” przywiązaną do want, wszystko się *zmieniło*. *Całajej zimna* krew, odwaga i brawura gdzieś się rozwiały. Pozostał tylko paralizujący strach, jakiego nigdy dotąd nie zaznała.

- Jakie będą rozkazy, dziewczyno? - spytał cicho Crisp. - Weź się w garść, ludzie patrz!

- Jezu Chryste... - wyszeptała. - Jeśli zaczniemy strzelać, zabijemy Gabriela i całajego załogę!

- Oni i tak zginą. Ale jeśli się zawahamy, te bydłaki przepłyną nam pod samym nosem. Będą pewni, że nie wystrzeli do nich nikt z brzegu ani tym bardziej twój ojciec. Lepiej nie myśleć, co się wtedy stanie z nami wszystkimi!

- Chwileczkę! - odezwał się Varian. - Spójrzcie! Zwalniają i rozdzielają się *na dwie* grupy.

Wszyscy troje wpatrywali się w hiszpańskie okręty bojowe. Zwinęły żagle i pozostawiając wyraźny ślad na wodzie, ustawiły się w szyku obronnym w odległości mili od wybrzeża. Tylko „Heros” parł naprzód, ale i on przepłynąwszy pół mili, odwrócił się burta do brzegu.

Manewr został wykonany niezręcznie. Reje ustawiono niewłaściwie, a statek wykonał zwrot opieszale. Juliet zauważyła to, ale nie potrafiła wyciągnąć wniosków z obserwacji ani jej wykorzystać. Mogła myśleć tylko o bracie - rozkrzyżowanym na wantach i bezbronny. Nie umiała spisać go na straty tak łatwo jak Crisp, choć wiedziała, że na pokładzie statku bojowego nie ma miejsca na litość. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, na jakie niebezpieczeństwo narażają się, wypływając z New Providence. Ryzykowali zresztą za każdym razem, ilekroć opuszczali Gołębią Rafę.



Obejrzała się przez ramię. Ani śladu „Mściciela”. Odwracając głowę, pochwyliła spojrzenie Variana i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Zawsze z irytującą łatwością czytał w jej myślach. Ciekawe, czy i tym razem zdołałby je odgadnąć?

- Hiszpanie to żołnierze - powiedział cicho. - Nie rozumię jak marynarze.

- Więc co z tego?

- Można wszczać rokowania - podsunął.

- Co takiego?!

- Wykaż gotowość do pertraktacji. Dowiedz się, czego chcą i co proponują w zamian.

- Dobrze wiem, czego chcą! - warknęła. - A jeszcze lepiej, co mogą mi zaproponować!

- Ale dzięki rokowaniom zyskasz na czasie. Poślij wysłannika z białą flagą. Już ja sobie z nimi porozmawiam!

- Ty? Czemu, u diabła, miałabym wysyłać właśnie ciebie?!

- Ponieważ jestem księciem Harrow, królewskim emisariuszem, uprawnionym do negocjacji pokojowych.

- Negocjacji pokojowych?! - syknęła z pogardą. - Oni nie chcą pokoju, tylko krwi. Mojej i mego ojca!

- Oczywiście! Ale nie mają pojęcia, ilu przeciwnikom będą musieli stawić czoło. Na razie widzieli tylko „Żelazną Różę”<sup>15</sup> i „Mściciela”. Kto wie? Może tuzin innych statków kaperskich czai się na nich wśród raf i atoli?

- Masz zamiar blefować? - Spojrzała na niego z jeszcze większym przerażeniem. - Jeżeli ci nie uwierzą - a jestem pewna, że tak właśnie będzie! - zabijacie od razu albo powieszają na wantach obok mego brata!

- Nie tak łatwo mnie zabić! Dziwne, że jeszcze tego nie zauważyłaś. A jeśli przywiążą mnie do want obok twego brata, to trudno o lepsze towarzystwo. Każ spuścić szalupę i przygotuj flagę - namawiał łagodnie. - Niech się przekonają, że chcesz z nimi pertraktować. Tak postępuje każdy doświadczony generał, tego się spodziewa każdy dobrze wyszkolony żołnierz.

Nadal spoglądali sobie w oczy. Juliet przemknęły przez głowę setki powodów, dla których powinna odmówić prośbie Variana. Mogli go zabić! Ponurym głosem poleciła Crispowi przygotować szalupę i postarać się o białą flagę.

- Dajcie mi pięć minut na przebranie się - powiedział Varian, spoglądając przez ramię Juliet na jej naburmuszonego kwatermistrza. - I czterech najlepszych wioślarzy, żeby dowieźli mnie do ceł, zanim się rozmyślę!

Po raz ostatni popatrzył na Juliet i popędził na dół, by znaleźć strój odpowiedniejszy dla królewskiego wysłannika. Ciemnoniebieski aksamitny kubrak i spodnie do kolan, w które się wystroił, by zaimponować kapitanom w New Providence, były nieco pomięte, ale nadawały się do włożenia. Kiedy bezskutecznie usiłował zapiąć wykrochmalona krezę, drzwi kajuty otworzyły się za jego plecami.

Juliet dostrzegła, że Varian nie może sobie poradzić z krezą, więc wyjęła mu ją z rąk wraz z rubinową broszą.

- Pozwól, że cię wyręcę, nim pokłujesz sobie wszystkie palce. A już myślałam, że po wyjeździe Beacoma nauczyłeś się ubierać sam!

- Jeśli się śpieszę, wszystko leci mi z rąk. Zresztą, o wiele lepiej radzę sobie z rozbieraniem, jak wiesz.

Spojrzała na niego i pochwyciła namiętne spojrzenie ciemnobłękitnych oczu.

- Powiem ci w sekrecie, że mnie też bardzo często drżą ręce - powiedziała cicho. - Zwłaszcza kiedy robię coś naprawdę głupiego i nie mogę się nadziwić, że uchodzi mi to na sucho! - Uśmiechnęła się czule i pogładziła go po policzku końcem palca. - Nie zrobisz nic głupiego, prawda?

Miał już odpowiedzieć, ale jego uwagę przyciągnęły ręce Juliet, obejmujące go za szyję, zawieszające na niej coś pod białą nakrochmaloną krezą. Był to cienki rzemyk i zawieszony na nim niewielki sztylet w pochwie, który wślizgnął się pod kubrak i przyłgnał do spoconej skóry między łopatkami. Następnie Juliet przyklękła, odpięła mu podwiązkę pod kolanem i podciągnawszy nieco nogawkę umieściła drugie ostrze po wewnętrznej stronie uda. Trzecie znalazło się na lewej łydce Variana, ukryte za mankietem wysokiego buta. Wreszcie ostatni sztylet o podwójnym ząbkowanym ostrzu Juliet wsunęła mu do spodni i ukryła z przodu.

- Wątpię, żeby któremuś z mężczyzn przyszło do głowy, że w takim miejscu można schować sieczną broń - powiedziała. - Ale lepiej uważaj przy siadaniu!

Zmierzyła Variana krytycznym wzrokiem, sprawdzając, czy wszystkie sztylety są dobrze schowane, pomogła mu założyć pendent i poklepała na szczęście błyszczącą rękojeść rapiera.

- Jeśli uda ci się podejść do Gabriela...

Głos jej się załamał. Varian uniósł palcem jej brodę i popatrzył w zwróconą ku niemu twarz.

- Wiem, co mu powiedzieć od ciebie.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, jakby uczył się na pamięć jej rysów. Potem lekko pocałował Juliet w usta i wyprostował się na znak, że jest gotów do drogi.

Isabeau Dante wpatrywała się w posłańca. Poprosiła, by raz jeszcze powtórzył wiadomość.

- To statek kapitana Gabriela, to „Heros"! Z Hiszpanami przy sterze. Płyną do nas, i to szybko. A za nimi jeszcze trzy galeony.

- A Juliet?

- Trzyma się dzielnie, kapitanie Beau, i czeka na rozkazy.

- O, dobry Boże!

Isabeau spojrzała na bliższy z dwóch tłących się jeszcze galeonów, które zapędzili w zakole Rify Hiszpana. Simon wszedł na pokład pierwszego z nich, by podyktować warunki kapitulacji. Pitt był na pokładzie drugiego, oddalonego o kilkaset kroków. Ponieważ oba statki znajdowały się poza zasięgiem jej głosu, Beau przywołała jednego z najszybszych pływaków i wyprawiła go z nagłą wieścią. Ledwie odpłynął, Isabeau wydała rozkaz: „wszyscy na górę!" i nim posłaniec dotarł do pierwszego galeonu, „Mściciel" rozwinął już wszystkie żagle i zmierzał do południowego cypla rify.

Kiedy Wilk usłyszał nowinę wykrztuszoną z trudem przez mokrzuteńkiego majtka, ogarnęła go taka wściekłość, że wypalił z działka obrotowego w dziób statku, na którym odpływała jego żona. Nie zatrzymała się. Przywołał więc dzikim rykiem Geoffreya Pitta. Kilka minut później obaj byli już na pokładzie „Gołębiczy" i stawiali żagle. Statek znajdował się jednak w niedogodnej pozycji i musieli wykonać zwrot - dość niemrawo, bo manewr utrudniał im brak wiatru.

Hiszpańscy kapitanowie, których statki obróciły się w dymiące wraki, spostrzegli, że zwycięzcy o nich zapomnieli. Zaczęli więc wrzeszczeć na swych podkomendnych, by znaleźli choć kilka żagli, które można by rozpiąć na uszkodzonych rejach i spróbować ucieczki. Oba galeony skierowały się na wschód, na otwarte wody, starając się uciec jak najdalej od groźnych kłów Wilka.

Nie uciekli daleko.

Tymczasem Isabeau opłynęła cypel Rify Hiszpana i jednym spojrzeniem oceniła sytuację. Trzy galeony w szyku bojowym, a naprzeciw nich płynąca niesłychanie powoli „Żelazna Róża". Maleńka, bezbronna i dzielna niczym Dawid stojący oko w oko z Goliatem. I szalupa, zmierzająca przez wzburzone fale do „Herosa". Nawet z tej odległości biała flaga na rufie była wyraźnie widoczna.

- Angielski książę? - Recalde niespiesznie okrążył Variana St. Clare. Promienie słońca odbijały się od stożkowatego hełmu Hiszpana. - Doprawdy ciekaw jestem, señor, czemu cię tak pociąga towarzystwo notorycznych bandytów?

- Zapewniam, kapitanie, że nie towarzyszę im z własnej woli - odparł Varian. - Mój statek został niedawno napadnięty przez holenderskich kaperów, którzy postanowili zatrzymać mnie dla okupu. Zdaje się, że Dante zapłacił im tyle, ile zażądali, chcąc uwolnić rodaka ze szponów serojadów, ale nie mogę powiedzieć, że bym mu był za to wdzięczny. Zwłaszcza w obecnej sytuacji - dodał, usiłując wygładzić mankiety, po czym strząsnął jakiś kłaczek z aksamitnego kubraka. - Nie lubię, gdy się mnie do czegoś zmusza pod groźbą pistoletu, bez względu na to, czy to robi Anglik, czy Hiszpan!

Recalde zacisnął usta.

- Powiadasz, książę, że zmusili cię do odegrania roli parlamentariusza?

- Doszli widać do wniosku, że propozycja przedstawiona przeze mnie zrobi większe wrażenie, niż gdyby przekazał ją jakiś brudny majtek.

- Ach, tak? Dwóch dżentelmenów zawsze się łatwiej porozumie?

- Mój drogi kapitanie, może i masz nieco ogłady... - Varian urwał i spojrzał wymownie na obnażonych i pokrwawionych marynarzy, przywiązanych do want. - Ale z tego, co widzę, wcale nie wynika, byś zasługiwał na tytuł dżentelmena.

Recalde, słuchając słów Variana, przechylił głowę w prawo. Teraz obrócił ją i spojrzał bacznie w twarz księcia.

- Niestety, señor, trudno zachować maniery dżentelmena w takiej dżungli jak Nombre de Dios - mruknął. - Zwłaszcza gdy ma się do czynienia z bandytami i wyrzutkami, którym imponuje tylko siła i bezwzględność. Co się zaś tyczy propozycji, którą mi książę przekazał, to doprawdy bawi mnie bezczelność tej rodzinki! Nie ma mowy o żadnych rokowaniach. Żądam bezwzględnej kapitulacji.

- Jeśli tak sprawy stoją, to chyba rzeczywiście mamy problem, gdyż kapitan „Żelaznej Róży”...

- Kapitan „Żelaznej Róży” stawi się przede mną w ciągu godziny. Jeśli tego nie uczyni, podpisze wyrok śmierci na swego brata i całego załogę.

- Ja zaś miałem panu przekazać od kapitan Dante, że jeśli nie ustąpisz, reszta ich floty... - Varian urwał i omal się nie potknął. Dostrzegł żagle na północy, w pobliżu cypla Rify Francuza, oraz na południu, gdzie

stał obecnie „Mściciel” przy brzegu Rafy Hiszpana - bez litości zniszczy każdy wasz statek, który zepuści się na te wody.

- W takim razie mamy pata - tak się to u was nazywa, nieprawdaż?

- Możesz być pewien, kapitanie, że to nie są cze pogroźki ze strony kapitan Dante.

- Z mojej również, señor. - Dał znak jednemu z żołnierzy w szkarłatnych mundurach, by przytknął płonący lont do panewki obrotowego działka na nadburciu. - Przekonamy się, kto ma słabsze nerwy!



Juliet zareagowała bez zastanowienia.

Widziała, jak szalupa z Varianem podpływa do „Herosa”, śledziła ruchy niebieskiej sylwetki wspinającej się po wręgach kadłuba i wchodzącej po trapie na pokład. Od tej chwili tylko od czasu do czasu mogła dostrzec błękitną smugę w morzu szkarłatnych mundurów i stalowych lub skórzanych pancerzy.

Potem grad kartaczy uderzył w żywą tarczę załogi „Herosa”. Efekt był przerażający. Juliet pojęła, że pertraktacje zostały gwałtownie zerwane. Nie miała czasu na zastanowienie. Doznała szoku na widok bezbronnych ludzi rozrywanych na kawałki. Mogła tylko uczynić to, co podpowiadał jej instynkt.

Dzielała oba statki odległość była zbyt mała, aby „Róża” mogła szybko podpłynąć na tyle blisko, by niestraszna jej była żadna kula z dział „Herosa”. Nie mogła też poczęstować wroga salwą burtową i cofnąć się błyskawicznie, nie ponosząc żadnych strat. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt, nawet Nathan Crisp, nie zakwestionował rozkazu dowódcy. W jednej chwili reszta zwiniętych dotąd żagli wydeła się na rejach, a „Żelazna Róża” pomknęła w stronę bliźniaczego „Herosa”, by dosłownie w ostatniej chwili wykonać desperacki zwrot i ustawić się do niego burtą.

Z takiej odległości każdy pocisk wymierzony w „Herosa” był zatrważająco skuteczny. Żelazne kule przebijają poszycie kadłuba, wdzierały się do otworów działowych, wywracając armaty i zabijając hiszpańskich kanonierów. Inne pociski, które nie dotarły na górny pokład, rykoszetem spadały na dolny, powodując straszliwy chaos. Hiszpańscy kanonierzy, nieprzyzwyczajeni do angielskich lawet, strzelali na oślep i choć wiele kul uszkodziło żagle i takielunek „Żelaznej Róży”, większość nie wyrządziła przeciwnikom żadnej krzywdy.

Licząc w napięciu bezcenne sekundy, które trzeba było poświęcić na ponowne załadowanie dział, Juliet zauważyła, że Hiszpanie uzbrojeni

w rusznice wdrapują się na nadburcie i na olinowanie. Wiedziała, że statek Gabriela dysponuje baterią pięciu działek obrotowych. Z wściekłością w sercu spostrzegła, że nie zamontowano ich na pomoście działowym po to, by mierzyć do nadpływającego przeciwnika. Strzelano z nich do krzyczących, bezbronnych ludzi na wantach. Nim padł strzał z ostatniego, piątego działka, Juliet dostrzegła znów błękitną smugę. Varian pędził przez pokład z błyszczącą szpadą w ręce, z białą krezą wokół ogorzalej szyi, z rozwianymi kasztanowymi włosami. Zdołał się przebić do działka i nie dopuścił do tego, by płonący lont zetknął się z prochem. Po pierwszym kanonierze ściał jeszcze trzech, nim zwałił się pod naporem przeważającej liczby żołnierzy w czerwono-czarnych mundurach.

Juliet nie miała czasu zastanawiać się nad losem księcia, gdyż „Żelazna Róża”, która nabrała zbyt wielkiej prędkości, postawiła marsie i płynęła w przechyle, by uniknąć zderzenia. Mimo to uderzyła burtą w „Herosa” i między obydwooma statkami trysnęła olbrzymia fontanna spienionej wody. Do tej pory kanonierzy uporali się z ładowaniem dział i wystrzelili kolejną porcję sangreneli i pocisków zapalających, które trafiły prosto w uszkodzony kadłub, niszcząc większość pozostałych na dolnym pokładzie annat. Wszędzie tam, gdzie padły płonące strzepy smołowanego płótna, wybuchały pożary. Ze szczytu masztów „Róży” uzbrojeni w muszkiety członkowie załogi zaczęli odpowiadać ogniem na strzały Hiszpanów. Mieli jednak ograniczone pole działania ze względu na żywą tarczę z ciał towarzyszy, która osłaniała wroga.

Juliet wrzasnęła, by zarzucić na burtę liny z kotwiczkami i połączyć ze sobą ocierające się burtami statki.

Pierwsza desperacka próba wdarcia się na pokład „Herosa” została udaremniiona przez strzelców. Juliet ulokowała wszystkie falkonety na balustradzie sterburty, ale ci, którzy mierzyli z nich do znajdujących się znacznie wyżej strzelców wyborowych, zostali wybici do nogi z mistrzowską precyzją. Póki Hiszpanie stali na rejach i broniły ich ciała marynarzy z „Herosa”, załoga „Żelaznej Róży” była bezradna i wystawiona na ostrzał.

Juliet stała na pokładzie rufowym. Była już ranna, kula z muszkietu trafiła ją w ramię. Nathan przykucnął obok niej i usiłował ratować sternika, który zwiślał z wyciągu. Krwawa plama na jego plecach powiększała się z każdą chwilą.

Jakaś samotna postać wyłoniła się z luku. Zaczerpnęła powietrza, i przebiegłszy przez pokład rufowy pod gradem kul z muszkietów, skryła się za grodzia.

Mały Johnny położył obok siebie kołczan pełen strzał. Ze swej kryjówki na skraju pokładu zaczął szyc z łuku do hiszpańskich muszkiet-

rów i arkebuzerów. Zestrzel i wal ich z rej z zabójczą precyzją. Jego strzały przelatywały pomiędzy ciałami przywiązanymi do want. Okazały się niezawodne wtedy, gdy żaden strzelec nie mógł odpłacić Hiszpanom pięknym za nadobne. Chłopak puszczał w powietrze strzałę po strzale, a gdy kołczan był już pusty, sięgnął po drugi. Szeregi hiszpańskich obrońców wyraźnie się przerzedziły.

-Naprzód! - zawołała Juliet. - Wszyscy do góiy i na pokład!

Żałoga „Żelaznej Róży” nie potrzebowała zachęty. Skoro tylko umilkły muszkiety, wszyscy stłoczyli się przy relingu. Z nożami w zębach, z kordelasami i pikami w garści wdzielali się na pokład „Herosa”. Torowali sobie drogę wśród krwawych szczątków bratniej załogi. Przecinali pęta tych, którzy pozostali przy życiu i wołali, by ich uwolnić. Ci zaś, których oswobodzono, przyłączali się do walki, z zajądłym gniewem atakowali Hiszpanów czym popadło, choćby gołymi pięściami.

Juliet wystrzelała wszystkie kule z czterech pistoletów, które miała za pasem, po czym odrzuciła bezużyteczną broń i ze szpadą w prawej ręce, a sztyletem w lewej przedzierała się przez tłum żołnierzy w stożkowatych hełmach. Nad ich głowami nadal fruwały strzały. Trafieni nimi Hiszpanie z wrzaskiem spadali z rej na pokład, na którym toczyła się zażarta walka. Pozostawieni na „Żelaznej Róży” kanonierzy oddali jeszcze jedną morderczą salwę. Kawałki desek z kadłuba „Herosa” i gorący popiół wylatywały w powietrze wraz z językami pomarańczowego ognia. Rozcinając pęta jeńców, poprzecinano również takielunek. Liny były obluźwane, reje przekrzywione. Coraz więcej stojących na nich Hiszpanów traciło równowagę. Skoro tylko oswobodzono załogę „Herosa”, wyborowi strzelcy z „Róży” zaczęli strącać Hiszpanów stojących na rejach. Nie oszczędzili żadnego z nich.

Woda zaczęła wlewać się przez dziury w kadłubie do wnętrza „Herosa”. Na korytarzach i schodniach można się było udusić w kłębach dymu i pary. Hiszpańscy marynarze, którzy woleli schronić się pod pokładem, z konieczności musieli wyjść na górę, gdzie ginęli z ręki kapera lub od zbłąkanej kuli rodaka.

Juliet przebijała się na pokład rufowy, gdyż tam dostrzegła największy tłum Hiszpanów w szkarłatnych kubrakach i stalowych pancierzach. Tam również widziała po raz ostatni brata, jak miotał się, usiłując zderzyć swe pęta. Gabriel krzyczał do swoich ludzi, dodając im odwagi i wiwatował na cześć załogi „Żelaznej Róży”, kiedy zaatakowała jego statek. Tak jak wszyscy, wydierał się, żeby ktoś go odciął, do cholery, bo chce wziąć udział w bitwie! Juliet niemal już do niego dotarła, gdy nagle została zaatakowana przez grupę zbrojnych w kordelasy Hiszpanów, którzy przyparli ją do grodzi pod pokładem rufowym.

Nathan znajdował się po jej lewej ręce. Rzucił się na jednego z napastników, by udaremnić jego pchnięcie. Ten odparował je potężnym ciosem klingi. Stalowe ostrze pękło u nasady, ale Hiszpan miał w drugiej ręce sztylet i wbił go w ramię Nathana aż po rękojeść. Wyszarpnął nóż z rany i z pewnością posłużyłby się nim ponownie, gdyby nie cienka stalowa klinga, która pojawiła się nie wiedzieć skąd. Sztylet Hiszpana zawirował w powietrzu i przeleciał przez pokład wraz z odciętą dłonią, która nadal zaciskała się na rękojeści.

- Ciągłe się spotykamy w takich okolicznościach, kochanie - powiedział Varian, błyskając zębami w uśmiechu. - Może by zerwać z tą tradycją?

Stanął przy Juliet i ramię w ramię stawili czoło napastnikom. Twarz miał zakrwawioną, krezę zgubił, odcięty rękaw kubraka zwisał, ukazując głęboką krwawą lysę na ramieniu. Krwawił także z rany na udzie, ale wytrwale torował dziewczynie drogę do schodków.

Gdy do nich dotarli, Juliet wbiegła na pokład rufowy. Członkowie jej załogi rozhuścili liny i zapędzili w kozi róg jakiegoś olbrzyma. Tymczasem na drugim końcu pokładu hiszpański oficer w stalowym pancerzu ustawiał coś na balustradzie. Juliet w pierwszej chwili nie zorientowała się, co on robi. Gdy się odwrócił, ujrzała w jego ręku długi mosiężny uchwyt nabitego falkonetu. Żelazna lufa wycelowana była w wanty, do których przywiązano Gabriela.

Juliet dostrzegła syczący lont. Widziała usta Hiszpana rozciągające się w szerokim uśmiechu. Do jej uszu dotarło coś, co przypominało ściśnione, zniekształcone przekleństwo. Ujrzała też pozbawione blasku czarne oczy spoglądające na nią spod wygiętej krawędzi hełmu i natychmiast poznała Cristóbal Recaldeo. Szok sparaliżował ją na chwilę, a Hiszpan wykorzystał ten moment, by zademonstrować dziewczynie, jak z rozmysłem przykłada płonący lont do spłonki.

Juliet usłyszała własny krzyk. Wiedziała, że nogi same niosą ją ku nieprzyjacielowi, ale kroki wydawały się zbyt powolne, a stopy tak ciężkie, jakby grzęzła w ruchomych piaskach. Wydawało jej się, że czas zwolnił swój bieg. Gabriel odwrócił się, krople potu na jego czole załśniły. Oczy rodzeństwa spotkały się na chwilę, która wydawała się trwać całą wieczność. Wypełniały ją oderwane wspomnienia z dzieciństwa. Porozumiewawcze gesty, wspólny śmiech, dziecięce psoty - przekora i miłość... Zmiażdżone wargi Gabriela poruszały się, mówił jej coś, czego Juliet nie mogła dosłyszeć. I nagle znów biegła. Uniosła się w powietrzu, uderzyła z całej siły w pierś i bark Hiszpana w tym samym momencie, gdy syczący lont dotknął prochu.

Niemal uwierzyła w to, że odepchnęła Recaldeo i zapobiegła niebezpieczeństwu, gdy nastąpił wybuch. Ujrzała lśniąca żelazne kulki wylatują-



ce z paszczy falkonetu. Ale zamiast poszybować w stronę want, do których przywiązano Gabriela, godziły prosto w jej pierś.



Skoro tylko „Żelazna Róża” otworzyła ogień, wszystkie trzy galeony rozwinęły żagle i ruszyły do ataku. Pierwszy z nich wykonywał właśnie obrót, by poczęstować wroga salwą burtową, kiedy stojąca u steru „Mściciela” Isabeau zagrodziła mu drogę. Kanonierzy na obu żagłowcach byli gotowi do akcji, ale statek kaperski był znacznie lżejszy, szybszy i zuchwalszy od hiszpańskiego galeonu, toteż działa „Mściciela” prędko się rozprawiły z relingami i otworami działowymi w lewej burcie przeciwnika, wybijając przy okazji wielkie dziury w pokładach i wywracając lawety, których nie mogły podtrzymać pogruchotane kliny. Hiszpański galeon zrewanżował się, strzelając do marsli „Mściciela”, ale były już zwinięte, więc niewiele im to zaszkodziło. Mimo to statek Wilka odpowiedział na afront, nacierając na przeciwnika i racząc go niejedną ogniastą salwą wymierzoną w dziób. Znajdująca się tam wysoka wieżyczka rozpadła się, a oba statki znikły w obłokach dymu.

Przedarłszy się przez żółtą siarczaną mgłę, Isabeau kazała poluzować żagle i znowu zatoczyła koło, tym razem nieco mniejsze. Wiedziała, że największym zagrożeniem są nie salwy z dział galeonu, zgoła nieszkodliwe przy odległości mniejszej niż trzysta metrów, ale sprawność strzelców, którzy obsiedli relingi i reje niczym stada czerwonych mrówek. Jeśli odległość między „Żelazną Różą” i „Herosem” jeszcze się zmniejszy, wystrzelają wszystkich dzielnych członków jednej i drugiej załogi. Beau powierzyła ster Luciferowi, a „Mściciel” ruszył znów do ataku, znacząc wyraźny ślad na błękitnej wodzie. Tym razem grad pocisków łańcuchowych i karcaczy spadł na górny pokład wroga, a zwłaszcza na maszty i reje.

Po wieżyczce na dziobie nie zostało ani śladu. Kawałki desek fruwały w powietrzu, ciała zabitych wyrzucały w powietrze serie następujących po sobie wybuchów. Eksplozje przypominały uderzające raz po raz błyskawice w czasie burzy. Pomarańczowe płomienie pełzały po pokładzie. Zdumiewające! Czy takie spustoszenie mogło być wynikiem jednej kanonady? Beau wiedziała wprawdzie, że załoga jej męża jest niesłychanie sprawna, ale chyba nawet ona nie potrafiłaby zaatakować galeonu równocześnie z obu stron!

W tej chwili z obłoków dymu wyłonił się drugi statek - sprawca tego pogromu. Rozpoznawszy go, Isabeau zdziwiła się niezmiernie. Nie była to wcale „Gołębnica”, której się spodziewała! Miała przed sobą

groźnego, choć nieco sfatygowanego „Pogromcę”, którego rudowłosy kapitan stał oparty o maszt i energicznie wymachując pięścią, domagał się następnej serii pocisków zapalających.

- To panicz Jonas! - oznajmił Lucifer, uśmiechając się szeroko. - Popatrzcie tylko, kogo ze sobą przytaszczył!

Wielki czarny Cimaroon raz jeszcze uśmiechnął się szeroko i nie zważając na mgłę, wskazał palcem na północ. „Christiana” Geoffreya Pitta, ze Spitem McCutcheonem u steru, zmierzała ku nim, prowadząc za sobą trzy inne statki kaperskie. Druga para żaglowców - najwidoczniej towarzysząca „Pogromcy” - prześcignęła go i puściła się w pogoń za dwoma pozostałymi galeonami, które usiłowały zawrócić i dołączyć do konwoju.

Isabeau usłyszała plusk wody pod jeszcze jednym kilem i od strony rufy ujrzała zbliżającą się szybko „Gołębicę”. Widziała stojącego na pokładzie rufowym Simona. Wziął się pod boki, a długie czarne włosy powiewały na wietrze. Powiadomił Lucifera za pomocą sygnałów, co zamierza uczynić, i oddalił się, zmierzając ku „Żelaznej Róży”. Zdażył jednak przekazać Isabeau całkiem inny znak, który sprawił, że oblała się rumieńcem. Gdy zwróciła się do sternika, by wydać mu nowe rozkazy, w jej głosie była nutka wyzwania.



Na schodach Varian był o krok za Juliet. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację na pokładzie rufowym, nie zdażył jednak powstrzymać dziewczyny, gdy jak szalona rzuciła się na falkonet, który właśnie miał wystrzelić. Wydarzenia nastąpiły po sobie tak błyskawicznie, że nieomal równocześnie. W jednej chwili Juliet była tuż przed nim, a potem rzuciła się na Recaldeggo i przygniotła go do relingu. Broń wystrzeliła, ale niepodtrzymywana ręką kapitana luźna odchyliła się na skutek odrzutu. Kule z kartacza rozleciały się we wszystkie strony. Kilka świsnęło w powietrzu tak blisko głowy Variana, że pęd powietrza poruszył mu włosy. Większość niczym garść kamyków uderzyła w plecy olbrzyma, który odpierał ataki sześciu majtków zbrojnych w kordy i kordelasy. Zachwiał się pod uderzeniem i runął do przodu, wpadając na nastawione ostrza marynarzy z „Żelaznej Róży”. Musieli jednak przebić go jeszcze kilka razy, nim wydał ostatni gniewny ryk i twarzą w dół zwałił się na pokład.

Varian podbiegł do Juliet. Leżała bez ruchu, przygniatając swym ciężarem Recaldeggo. Kiedy St. Clare chwycił ją za ramiona i podniósł do góry, zobaczył, że jeden jej policzek jest zalany krwią. Tymczasem Hiszpan podniósł się i wydobył szpadę z pochwy.

Rapier Variana zablokował uderzenie, które miało przeciąć szyję Juliet. Klingi zderzyły się i zwarły. Varian zerwał się na równe nogi i przełamał opór Hiszpana. Ostrza szpad znowu się rozłączyły, zetknęły, zderzyły, starły ze sobą w szeregu błyskawicznych morderczych ataków i rypost. Obaj mężczyźni przemierzali pokład rufowy wzdłuż i wszerz.

O ile talenty szermiercze Juliet zaskoczyły księcia, sprawność kapitana Recaldeggo była łatwa do przewidzenia. Hiszpanie uchodzili za niezrównanych mistrzów szpady. Varian musiał wykorzystać wszystkie swe siły i niebagatelny talent, by odparować każdy cios, nie pozwolić, aby przeciwnik przyparł go do szafki z busolą lub do relingu. Jak rekin czujący świeżą krew, Recalde instynktownie obrał za cel ataków rozcięte ramię i zranione udo przeciwnika. Dbał o to, by ciosy były szybkie i celne. Nigdy nie robił dwóch kroków, jeśli wystarczył jeden. Rzadko starał się zmylić wroga, wołał go wykończyć swą zimną, zabójczą precyzją.

Tymczasem Gabriela odcięto od want i zniesiono na pokład. Jego nogi były nadal zbyt spuchnięte, by mógł się na nich utrzymać, ale doczołgał się na kolanach do miejsca, gdzie leżała Juliet, wsparta częściowo o grodzie. Ręce bolały go, jakby je diabli smażyli w piekielnym ogniu. I choć mógł już nimi poruszyć, nie bardzo chciały go słuchać. Przytulił więc tylko siostrę i zajrzał pod chustkę, by przekonać się, skąd wycieka krew zalewająca twarz Juliet.

Varian popełnił klasyczny błąd. Na ułamek sekundy oderwał wzrok od swego przeciwnika. Zauważył, że Gabriel zbliża się do siostry i bierze ją w ramiona. Była taka bezwładna, że Varian po prostu musiał przekonać się, czy pocisk z falkonetu jej nie zabił. To było silniejsze od instynktu, który nakazywał mu skoncentrować całą uwagę na szpadzie Hiszpana.

Drogo zapłacił za to jedno spojrzenie. Poczul dotknięcie stali na swej piersi i ból, gdy ostrze przeniknęło do wnętrza. Odskoczył, zanim przeciwnik zdążył pogłębić pchnięcie, ale krew i tak trysnęła z jego boku, płamiąc kubrak i spływając na spodnie. Varian cofał się, Recalde następował. Kiedy książę potknął się o ciało ogromnego Hiszpana i omal nie upadł, kapitan nie dał mu czasu na odzyskanie równowagi, tylko zapędził go w kąt, atakując z taką zajadłością, że Varian upadł na jedno kolano, odstawiając na chwilę głowę i barki.

Stojąc nad powalonym wrogiem, Recalde uniósł szpadę tak, że skierowane do dołu ostrze godziło w plecy St. Clare'a. Wyraźnie zamierzał wyświadczyć przeciwnikowi łaskę, dobijając go tym ciosem.

- Teraz już widać, kto ma słabsze nerwy. Zegnaj, senior!
- Jeszcze nie teraz, do cholery! - syknęła Juliet.

Recalde odwrócił się raptownie. Juliet stała tuż za nim, chwielejąc się na nogach. Jej szpada mignęła jak srebrna błyskawica. Ostrze znalazło

miejsce pod pachą, gdzie pancierz stykał się z rękawem kubraka. W tej samej chwili Varian wyciągnął sztylet schowany między łopatkami, Gabriel zaś odkrył, że ma dość czucia w palcach, by pociągnąć za spust pistoletu, który wyrwał z ręki jednego ze swych majtków.

Ciało kapitana Recaldego przebiegł dreszcz, gdy równocześnie zadano mu trzy śmiertelne ciosy. Zatoczył się do tyłu i zwałił całym ciężarem na uszkodzony reling. Drewniana balustrada poddała się z głośnym trzaskiem i Recalde spadł z pokładu do morza. Wyzionął ducha, zanim wchłonęły go spienione fale.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie poruszył. Na śródkręciu nadal wrzała bitwa, ale Hiszpanie już się zaczęli poddawać. Załogi „Żelaznej Róży” i „Herosa” podniosły radosny krzyk na widok „Pogromcy”, „Mściciela” i „Gołębic”, które ruszyły do ataku na trzy galeony, odcinając im odwrót i zasypując pociskami z dział.

Pod Juliet ugięły się kolana. Varian jednym susem znalazł się przy boku ukochanej, by ją podtrzymać. Na jej skroni widniała głęboka ryna. Skaleczyła się o ostry brzeg hełmu Recaldego. Ale choć wyglądało to paskudnie, Juliet uśmiechała się. Jednym ramieniem obejmowała Variana, drugim Gabriela, który dzielnie znosił te dowody siostrzanej miłości, choć były bardzo bolesne dla skatowanego ciała.

Z Varianem sprawy przedstawiały się niewiele lepiej. Miał przebity bok, ramię i udo. No i ktoś powinien zszyć mu ranę na głowie. Jak na człowieka, który wylądował na Karaibach z jednąmałą blizną z dzieciństwa, zdobył w krótkim czasie zdumiewająco dużo nowych.

Gabriel uwolnił się z objęć siostry, pokuśtykał do relingu i spojrzał na kompletnie zrujnowany pomost działowy.

- Mój statek! - poskarżył się cicho. - Popatrz, coś ty zrobiła z moim statkiem!

Ale Juliet nie odpowiedziała na bolesny uśmiech brata, kiedy się do niej odwrócił. Objęła ramionami szyję Variana, a ich usta spotkały się ze sobą. W prawej ręce nadal trzymała szpadę, a w lewej zmiętą hiszpańską flagę, która jeszcze przed chwilą powiewała na maszcie „Herosa”.

## 25

Simon Dante przemierzał nieustannie kapitańską kajutę „Żelaznej Róży” - od ściany do ściany. Jego krok był powolny i miarowy. Znalazłszy się na końcu pokoju, robił zwrot w tył, by ruszyć w przeciwnym

kierunku. Ręce miał splecione za plecami, głowę pochyloną. Od czasu do czasu zerkał w stronę koi, Nog Kelly zszywał ranę na skroni jego córki i właśnie zaciskał ostatnie węzełki.

- Za czaszkę nie ręczę, może być pęknięta - oznajmił posepnie cie śla. - A i tak w najlepszym wypadku będzie jej dzwoniło w uszach i może wpadać na ściany przez kilka dni albo i dłużej, jak się jej nie przekona, że ma wstawać tylko za potrzebą. Ramię też jej będzie dokuczało jak cholera, chociaż ma szczęście, że to nie złamanie, tylko siniaki i opuchlizna. Poza tym kilka skaleczeń, kilka zadrapań, i tyle. Wszystko się powinno zagoić raz-dwa...

- Będzie miała dość czasu, żeby się kurować na Gołębiej Rafie stwierdził obojętnym tonem Simon Dante. Dostrzegł, że oczy córki otwierają się raptownie i rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie spod przymrużonych powiek. - Żadnych sprzeciwów! Nathan ma dziurę w ramieniu, połowa twojej załogi liże rany, statek Gabriela leży na dnie oceanu... Para kapitanów, śmiechu warte! Ani jedno, ani drugie nie ma pojęcia, kiedy trzeba walczyć, a kiedy wiać. A jeśli już o tym mowa, to w naszej rodzinie mamy jeszcze jedną szaloną osobę!

Zwrócił całą siłę swego spojrzenia na żonę, która siedziała bokiem przy biurku Juliet, owijając czystym bandażem skaleczony kikut.

- Że też właśnie mnie los pokarał dwiema babami, które...

- ...bardzo cię kochają - dokończyła słodko Isabeau - i z anielską cierpliwością znoszą twoje humory.

- Moje humory?! I twoja anielska cierpliwość, *madameV*. To ty ruszyłaś do boju na moim okręcie! To ty postawiłaś na jedną kartę własne życie, życie całej mojej załogi i mój statek...

- Żeby ratować twoją nieodrodną córkę i syna.

- Moją... - Urwał i zacisnął wargi. - Powiniennem i ciebie odesłać na Gołębią Rafę!

Beau uśmiechnęła się.

- Tylko spróbuj!

Zaklął pod nosem i poszukał wzrokiem następnej ofiary. W kajucie kapitańskiej „Żelaznej Róży” było tłoczno. W jednym kącie stały oparte o ścianę Piekielne Bliźniaki. Gabriela trudno było poznać. Miał zapuchnięte oko, posiniaczoną twarz, a jego wargi przypominały dwa skrawki surowego mięsa. Jonas, który niepostrzeżenie ciągnął za konwojem od samej Hawany, licząc na szczęśliwy traf, dzięki któremu zdołałby odbić „Herosa”, mógł pochwalić się rysą na policzku i raną w ramieniu. Z szerokim uśmiechem, którym błyskał zza rudej brody, obejmował brata zdrową ręką i co chwila wicherzył mu włosy, jakby chciał się upewnić, że Piekielne Bliźniaki nadal żyją i znowu są razem.

- Cóż cię tak bawi? - warknął Simon.

-"Nasza rodzinka, ojczyste! - zahuczał Jonas. - Mam brata, który cuchnie jak beczka solonych śledzi. To po pierwsze. A po drugie, mam siostrę, która ma więcej odwagi *niż* niejeden mężczyzna. W dodatku odziedziczyła ją po mamusi, która jak się wyrwie na wodę,, to prześcignie każdego cholernego papistę i przy sterze, i przy działach! Poza tym mamy jeszcze trzy niezgorsze galeony, załadowane skarbami po burty... Chyba *dość* powodów, żeby szczyrzyć zęby? O, byłbym zapomniiał, mamy jeszcze ojca... To dopiero spryciarz! Znalazł sobie niepodobną do innych żonę i dochował się z nią wspaniałych dzieci!

Dante przez chwilę spoglądał spode łba na syna, potem obejrzał się na Geoffreya Pitta.

- Czy to ja zwariowałem, czy oni?

Pitt wzruszył ramionami.

- Chyba i jedno, i drugie.

Srebrzyste oczy Wilka zwięzły się.

-Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, mój przyjacielu. Odpowiedziałeś jak Salomon!

- Siadaj tutaj! - odezwała się Isabeau, klepiąc blat biurka. - Niech cię Nog wreszcie pozszywa.

-Najpierw niech się zajmie księciem. On bardziej krwawi.

Varian stał w milczeniu obok koi, przyciskając do brzucha zranione ramię. Zdjął kubrak, kiedy Juliet uparła się, że nie pozwoli się opatrzyć, dopóki Nog nie obejrzy jego żeber. Ponieważ jednak krew przestała płynąć, a ból był całkiem znośny, jedno spojrzenie ciemnoniebieskich oczu wystarczyło, by cieśla wrócił do łóżka Juliet. Została już pozszywana, podobnie jak Gabriel. Ranę Nathana przypalono i kwatermistrz wraz ze Spitem McCutcheonem zajął się jeńcami oraz wyznaczaniem załóg, które odstawią zdobyczne galeony na Gołębią Rafę.

Uszkodzenia „Herosa” okazały się zbyt poważne, by można je było naprawić, toteż po zabraniu ze statku wszystkiego, co miało jakąś wartość, otwarto luki, by mogło przez nie wtargnąć morze. Za to Jonas natknął się na trzech kaperów, którzy spóźnili się na spotkanie w New Providence, pozyskał ich dla sprawy i skłonił do pościgu za dwoma galeonami, które na samym początku wpadły w zasadzkę. Rezultat był taki, że w skład floty Wilka wchodziło już pięć zdobycznych hiszpańskich galeonów, a nawet sześć, jeśli liczyć „Santo Domingo”, który mocno ucierpiał w bitwie. Wszystkie stały teraz na kotwicy pod osłoną obu wysepek, *od* zawietrznej. Jeden galeon przekazano kaperom, którzy przybyli wraz z Jonaszem, a łupy podzielono równo między załogi. Drugim galeonem obdarowano dwa statki, które -zwabione hukami dział- odprowadziły „Christianę” do portu. Obaj

kapitanowie postanowili wziąć udział w dalszym polowaniu na konwój. Pozwolono też pozostać z nimi wszystkim członkom załogi „Żelaznej Róży” i „Herosa”, którzy mieli dość sil i chęci do dalszej walki. Ranni wracali na Gołębią Rafę na pokładzie „Róży”.

Z trzech pozostałych zdobycznych okrętów jeden przeszedł pod komendę Gabriela, póki nie znajdzie godniejszego zastępcy utraconego „Herosa”. „Santo Domingo” nadawał się już tylko na przynętę, toteż Simon Dante postanowił wypełnić go beczkami z prochem i wysłać w charakterze powitalnego daru dla następnej grupy hiszpańskich okrętów. Straży przedniej konwoju tak się śpieszyło na północ, że wysłała tylko jedną łódź patrolową z ostrzeżeniem o grożących reszcie floty zasadkach. „Christiana”, ślizgająca się po falach z lekkością morskiego ptaka, zatopiła kuriera i przejęła wiadomość, której nie zdążył przekazać. Wszystko wskazywało więc na to, że nazajutrz dalsze galeony niefrasobliwie wyruszą na spotkanie swej zguby.

Prawdę mówiąc, rezultaty jednodniowej działalności przewyższały najśmielsze oczekiwania Simona Dantego. Uszkodzenia „Mściciela” nie były tak poważne, by musiał odesłać statek na Gołębią Rafę. Cieśle powinni uporać się z nimi przez noc. Tak więc zyskali pięć okrętów, a stracili tylko jeden, „Herosa”. Cóż za wspaniałe bilans! Jeśli reszcie poszukiwaczy przygód także dopisze szczęście, hiszpański konwój zmaleje o połowę, nim dotrze do północnego wylotu Cieśniny Florydzkiej. Tam zresztą Wilk zamierzał również postawić komitet powitalny *złożony* z kaperów. Już sam ich widok, zwłaszcza że będą nieustannie nękali konwój podczas przeprawy przez cieśninę, powinien skłonić resztę hiszpańskich okrętów do niezwłocznego powrotu do Hawany!

Na razie jednak utrzymanie w korbach krnąbrnej rodzinki wymagało od Simona całej siły i pełnej koncentracji. Gdyby się wydało, że na myśl o ich wyczynach pęka wprost z dumy, wleźliby mu na głowę i nigdy nie odzyskałby nad nimi kontroli!

By umocnić się w tym przekonaniu, zwrócił wzrok na Variana St. Clare’a. Tylko on ze wszystkich obecnych w kajucie nie piał z zachwytu jak napuszony kogut. I tylko jego można było jeszcze zastraszyć nieugiętym *wilczym* spojrzeniem. Książę zezwolił w końcu, by Nog zajął się jego ranami, ale nie oddalił się od koi Juliet, a ich ręce się stykały. Ilekroć na twarzy ukochanej pojawił się choćby najlżejszy grymas bólu, palce Variana natychmiast obejmowały jej dłoń. A co dziwniejsze, Juliet odwzajemniała uścisk.

Przez głowę Wilka przemknęło wspomnienie sprzed dwudziestu pięciu lat, gdy on sam znajdował się w niemal identycznym położeniu. Legendarny pirat uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Trzeba było zmykać póki czas, wasza książęca mość!
- Varian obejrzał się na niego i po chwili spytał z uśmiechem:
- A czy ty, kapitanie, żałowałeś choć przez chwilę, że nie uciekłeś?
- Simon zerknął na Beau. Jonas i Gabriel klarowali coś matce, a ona się zaśmiewała.
- Nie. Ani przez jedną cholerną... cudowną chwilę!
- Ze mną będzie tak samo.



Dwie godziny później, o świcie, „Żelazna Róża” podniosła kotwicę. Nathan wytyczył kurs. Najpierw na wschód, potem na południe - i do domu! „Róża” towarzyszyły trzy łodzie, które miały stanowić przednią straż i ostrzegać o grożącym niebezpieczeństwie.

Varian pozostawił śpiącą Juliet i stanął w drzwiach na galerię, patrząc na dwie wyspy za rufą, które stawały się coraz mniejsze i mniejsze. Bok go bolał, ramię pulsowało. Przymknął oczy i próbował zliczyć wszystkie razy i ciosy, które mu zadano w ciągu ostatniego dnia. Z całą pewnością nie był zrozpaczony, że wraca na Gołębią Rafę. Z drugiej strony jednak było to bardzo podniecające. Podobne życie nie mogło się znudzić nawet Simonowi Dantemu, dla którego przygody były chlebem powszednim!

Woń prochu strzelniczego i spalonego płótna unosiła się nadal w kajuście. Spojrzawszy raz jeszcze na śpiącą Juliet, Varian wyszedł na wąski balkon. Wiatr rozwiewał mu włosy, obryzgiwała go piana fal, skoszonych okrętowym kilem. Wznosiła się wysoko, migocząc jak garść brylantów, i wpadała znów do morza. Obok statku płynęła para delfinów. Ich ciała śmigały - gładkie i błyszczące - pod powierzchnią błękitnej wody. Od czasu do czasu szarawy kształt wynurzał się, przeskakiwał przez bruzdę, jaką pozostawiał na falach statek, unosił się na grzbietach fal i z powrotem dawał nurka.

Varian usłyszał za sobą jakiś stuk i odwrócił się w chwili, gdy Juliet weszła na galerię. Trzymała się za głowę i chwiała na nogach, gdyż statek dość mocno kołysał. Jednym skokiem Varian znalazł się przy niej, objął ją w pasie i zmarszczył brwi.

- Czemu nie leżysz w łóżku, kapitanie? Nie wolno ci wstawać!
- Nie było cię! - poskarżyła się szeptem. - Otworzyłam oczy, a ciebie nie było...

Przygarnął ją do siebie i poczuł, jak tuli twarz do jego ramienia.

- Jestem przy tobie. I pozostanę tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała.



Uniosła głowę powoli, jakby ważyła znacznie więcej niż zwykle. Wzrok miała szklisty, źrenice rozszerzone - pewnie od naparuru, który wmusił w nią Nog Kelly. Uśmiechała się jednak.

- Chciałabym, żebyście obaj zostali.

- Obaj?

- No pewnie! Przecież jest was dwóch! Prawdę mówiąc, wszystko się jakoś podwoiło... Nawet drzwi było dwa razy tyle i nie od razu trafiłam w te, co trzeba.

Spróbowała podnieść rękę i dotknąć policzka Variana, ale poczuła taki ból w posiniaczonym ramieniu i w piersi, że się rozmyśliła. Potem coś innego zwróciło jej uwagę. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po kadłubie statku i pomknęło ku wschodowi, gdzie gorące, jasne słońce zapowiadało pogodny dzień.

- Też dwa! - zdumiała się cicho.

Varian spojrział na morze i zobaczył parę śmigających delfinów. Już miał uspokoić Juliet, że wzrok jej się poprawia, gdy uświadomił sobie, że dziewczyna nie patrzy wcale na wodę. Poszedł za jej wzrokiem... i nagle krew zakipiała mu w żyłach. Coś sobie przypomniał!

- Jeśli się nie mylę, to był jeden z twoich warunków. Nieprawdaz? Chciałaś ujrzeć o poranku dwa słońca na niebie, nim zgodzisz się wyjść za mnie!

Juliet przechyliła głowę i popatrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami, jakby podejrzewała, że ten wybryk natury to jakaś chytra sztuczka Variana. Potem jej spojrzenie ześlizgnęło się na jego usta, które uśmiechały się coraz szerzej.

- Teraz już nie powinnaś odczuwać przymusu, moja panno! Tylko czystą, niezmaconą radość z dotrzymania obietnicy. Bogu dzięki, bo z twoim ojcem już wszystko omówiliśmy.

- Naprawdę?

- Naprawdę - zapewnił, podnosząc do ust jej rękę. - Uważa, że powinienem mieć więcej rozumu i nie wżenąć się w gniazdo szerszeni, ale mu odpowiedziałem, że i tak mnie już pogryzły. I zanim jeszcze o to zapytasz, odpowiadam: nie! Nigdy bym od ciebie nie wymagał, żebyś przeniosła się ze mną do Anglii. A poza tym w ciągu ostatnich kilku tygodni doszedłem do wniosku, że i ja będę tu bardziej szczęśliwy. Połtyniemy we dwoje na kraniec świata.

- Chcesz razem ze mną zabijać smoki?

- Wytępiamy je co do jednego, kochanie! Co do jednego!